

ŁĄCZY NAS NIENAWIŚĆ



J. LUSZYŃSKA

ŁĄCZY NAS
NIENAWIŚĆ

J. Luszyńska

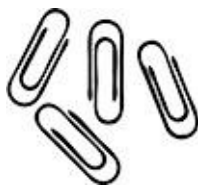
ŁĄCZY NAS NIENAWIŚĆ



SPISEK  PISARZY



Rozdział 1



A zatem to jest to słynne uczucie, które towarzyszy ci, gdy jesteś o krok od spełnionego marzenia. Właśnie teraz, o godzinie dziewiątej piętnaście, wywołano moje nazwisko.

Weszłam więc do najcudowniejszego pod słońcem gabinetu. Nie rozdawali tam słodyczy, węgla, zasadniczo żadnych darmowych rzeczy. Nie było szafek ze złota, skrzatów, przemyłych ludzi... ale za biurkiem siedział osobnik, który miał być moim dżinem, dobrą wróżką, zbawieniem.

Jak zauroczona podałam mu wszystkie przytargane ze sobą dokumenty i usiadłam w fotelu, którego siedzisko zapadło się, przez co niemalże wylądowałam tyłkiem na ziemi. Obserwowałam swojego potencjalnego szefa z tej ogromnej odległości – wydawał się z niej jeszcze bardziej władczy. Nic dziwnego, pracował w Adeline. Pewnie sama też bym urosła o kilka centymetrów z dumy, gdyby mnie tu zatrudnili.

Mimo niedogodnych warunków siedziałam prosto, jakbym zjadła kij od szczotki na śniadanie. Mężczyzna w ciszy czytał wszystko, co mu wręczyłam, czasem sprawdzał coś w komputerze. Klimatyzacja przyjemnie chłodziła, a mimo to pot spływał mi po niemal wszystkich częściach ciała.

I wtedy ni stąd, ni zowąd po moim kręgosłupie przeszedł promieniujący ból. Cudem powstrzymałam się przed wrzaśnięciem.

A mama mówiła: *Chodź na jogę. Spróbuj ze mną pilatesu.*

Pragnąc dyskretnie zmienić pozycję, ruszyłam się, ale przez myśl by mi nie przeszło, że nogi przykleją się do skórzanego obicia. Przekręciłam się i w końcu odlepiłam od fotela... wydając przy tym dwuznaczny odgłos. Zamarłam w bezruchu z szeroko otwartymi oczyma.

Mężczyzna odłożył kartkę, którą studiował, spojrzął na mnie znad okularów i spytał:

– Potrzebuje pani wyjść?

Histerycznie kręciłam głową.

– Nie, to nie ja. To fotel. Footeel – przeciągałam sylaby.

– Widzi pan?

Zaczęłam ocierać się o mebel, wykręcając się na nim we wszystkie strony, a wszechświat jak zwykle był łaskawy dla swojej ulubienicy – Maliny Mazurek – więc nie wybrzmiał już żaden dźwięk.

Te kilka sekund, podczas których ja mazałam tyłkiem jego fotel, a on czekał na coś, nie wiadomo na co, można uznać za kwintesencję całego mojego istnienia. Tak robiłam – kiedy życie rzucało mi kłode pod nogi, ja dorzucałam jeszcze kilka od siebie, aby mieć pewność, że żaden upadek mnie nie ominie.

Gdy dotarło do mnie, co wyczyniam, znieruchomiałam. I przez moment tylko tak na siebie patrzyliśmy. Lekko dyszałam, on zaś wykonał głową taki ruch, jakby chciał przytaknąć, ale w zwolnionym tempie. Ten niesmak w jego oczach zapamiętam chyba do końca życia.

Potem wrócił do czytania, toteż mogłam spokojnie zatopić się w swoich myślach z nadzieją, że w którejś się wreszcie utopię i będzie święty spokój. Jak zdarta płyta odtwarzałam w głowie raz po raz to, co wydarzyło się dwie minuty wcześniej. Biorąc pod uwagę fakt, że za drzwiami czekało jeszcze z dwudziestu innych kandydatów na to stanowisko i prawdopodobnie żaden z nich nie puści bąka podczas rozmowy kwalifikacyjnej, moje szanse malały z każdą chwilą. Oczywiście, że żaden z nich nie zrobiłby czegoś podobnego. Mieli te swoje piękne garnitury i błyszczące buty, którymi nerwowo uderzali o wypolerowaną posadzkę. Nie pierdzieli, tylko robili dobre wrażenie.

W przeciwieństwie do mnie.

– Studiowała pani na Uniwersytecie Warszawskim?

Ocknęłam się. To mój moment!

– Tak. Równolegle na Wydziale Zarządzania i Nauk Ekonomicznych. To studia pierwszego stopnia – dodałam szybko, zapominając o oddychaniu. – Zarządzanie w korporacji. A na studiach magisterskich zarządzanie marketingowe.

Facet mruknął pod nosem w odpowiedzi. Wszystko poplątałam. Zrozumiał w ogóle, co tak naprawdę studiowałam? Nigdy się nie dowiem, ponieważ prędko odwrócił wzrok i ponownie zamilkł. A mama tyle razy mówiła: *nie pluj słowami*.

– I zna pani trzy języki oprócz ojczystego?

– Angielski, niemiecki i czeski – wyrzuciłam z siebie ekspresem.

Uniosłam podbródek, kiedy pokiwał głową z zadowoleniem. No ba, w końcu firma prowadzi sklepy w Czechach. Marka ich ubrań się rozrasta i dałabym sobie rękę uciąć, że wkrótce rozpleni się również w innych europejskich krajach. Kiedyś nie szło im tak dobrze, ale zmiany klimatu i coraz większa świadomość społeczeństwa w zakresie ekologii dmuchnęły Adeline w żagle. Jeśli dorzucić do tego etykę działania, to polska firma produkująca ubrania z ekologicznej bawełny, stuprocentowo transparentna i o pięknym piarze, stawiającym na szeroko rozumianą tolerancję, to coś, co każdy pochwali i pokocha.

Ja również. To wszystko składało się na miejsce, w którym absolutnie pragnęłam pracować. Musiałam.

Z tego powodu przygotowałam się do tego spotkania. Przecwiczyłam w domu wszystkie możliwe pytania, które mogłyby pojawić się na rozmowie o pracę. Nawet te dziwne, na przykład o to, jakie rzeczy zabrałabym na bezludną wyspę. W jeden wieczór ułożyłam w głowie plan na kolejne trzydzieści lat życia i byłam gotowa rozpisać mu go w punktach.

Byle bąk mnie nie powstrzyma.

– Ale nie ma pani żadnego doświadczenia – powiedział mój rozmówca.

W żadnym – powtarzam – żadnym poradniku nie znalazłam wzmianki o takim zdaniu.

– Tyle co z praktyk studenckich... – wydusiłam z siebie. Zagryzłam wargę i wyprostowałam się jeszcze bardziej.

– Nie pracowała pani nigdzie? W ogóle? – pytał niemal z wyrzutem. – W czasie studiów sporo osób łapie się gdzieś dodatkowo...

Dupek. Myśli, że wszyscy mają zawód syn.

– Pracowałam – odparłam niechętnie. – Jako kelnerka, pomoc kuchenna, rozkładałam towar w sklepach, zbierałam owoce...

Mężczyzna zmarszczył czoło i zdjął okulary. Ponownie przetaił oczy. Najwidoczniej okrutnie go męczyłam.

– Czemu nie zamieściła pani tej informacji w dokumentach? – drażył

Wzruszyłam ramionami.

– Doszłam do wniosku, że to doświadczenie nijak ma się do stanowiska, o jakie się ubiegam – wytłumaczyłam. – Zarabiać trzeba. Ja zaczęłam w gimnazjum. Od tamtej pory imam się czegoś bez przerwy. Nie na pełny etat, ale...

– Od gimnazjum? – powtórzył i przyjrzał mi się, chyba nawet z zainteresowaniem. – To dość wcześnie.

Klepnęłam się w uda, starając się samą siebie przywołać do porządku. Gorąco buchnęło mi w twarz przez uznanie, które wybrzmiało w jego głosie.

– Można powiedzieć, że sytuacja mnie do tego zmusiła. Wie pan, ja kobieta pracująca... – Potrząsnęłam głową. Nie, kobieto. Nie idź tą drogą. – Znaczy... Gastronomię na przykład znam od podszewki. Praca w sklepie też mi niestraszna. Obsługa klienta, rozładunek, realizacja zamówień i fakturowanie...

Jego czarne brwi poszybowały ku górze.

– Ale tego to pani chyba jeszcze nie robiła w wieku... piętnastu lat?

Możliwe, że starał się zażartować, ale pokiwałam głową.

– Trochę tak. Pracowałam wtedy w chińskiej knajpie, niby na zmywaku, ale właściciele nie znali polskiego, więc pomagałam, ile umiałam. Mama jest właścicielką wegańskiej restauracji, tak że i tutaj...

– I to uznała pani za niewarte wspomnienia w CV? – wszedł mi w słowo.

Westchnęłam nostalgicznie. Jak doświadczenie w lokalnych sklepikach miałoby pomóc zdobyć pracę w takim miejscu jak Adeline?

– Nie miałam okazji pracować w zawodzie – tłumaczyłam. – To wszystko było na dochodne. Takie doświadczenie raczej nie imponuje. Szukałam czegoś innego, ale sam pan wie, jak jest... Nikt nie pali się do zatrudniania żółtodziobów, którzy nie wiedzą, co mają robić, wszystko trzeba im tłumaczyć, pilnować ich, pokazywać im palcem...

Złapałam się za usta, ale było już za późno.

Banda bezmyślnych słów zdążyła przez nie wylecieć i trafić do jego idealnie wyrzeźbionych uszu, które wszystko pochłonęły, mózg przetworzył, a oczy rzuciły mi pełne niedowierzania spojrzenie.

– To znaczy... Miałam na myśli, że...

– Dziękuję pani. – Zerwał się z miejsca i obszedł biurko. – Odezwiemy się.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja nadal siedziałam z tyłkiem przyklejonym do fotela i tylko się w nią wpatrywałam. Moje marzenia padły martwe na wydeptany beżowy dywan.

Ale nie mogłam tam zostać. Musiałam otrząsnąć się z szoku. Wyjść z tego z twarzą.

Wstałam więc i podałam mu dłoń. Jego uścisk był szybki i silny.

– Ale... – Na co komu twarz? – ...nie spytał pan o moje mocne strony ani o to, gdzie widzę siebie za trzydzieści lat. Ani o to, co zabrałabym ze sobą na bezludną wyspę. Mogę panu wymienić. Mam spisane na kartce!

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i siłą wypchnął mnie z pomieszczenia.

– To nie będzie konieczne. Do widzenia.

Nim się obejrzałam, stałam już w korytarzu i wpatrywałam się tępo w drzwi, które zamknęły się za kolejnym kandydatem na moje wyśnione stanowisko. Dzielnie przełknęłam łzy i powłócząc nogami, wyszłam z budynku. Gdy zjeżdżałam windą, nie odpowiadałam wsiadającym na pozdrowienia, a na zewnątrz odwróciłam się i ostatni raz rzuciłam okiem na biurowiec – piętnaście pięter, cały oszklony, niemal sięgający nieba. Gdzieś tam, wśród tych wszystkich okien, mógł być mój gabinet. Mogłam zostać asystentką dyrektora generalnego Adeline. Wskakiwać z innowacyjnymi pomysłami, które zapisałam w dzienniku i trzymałam pod poduszką. Nie tym razem.

Z wyróżnieniem obroniłam trzy prace dyplomowe, harowałam latami... Po co? Po co uczyłam się po nocach, szerokim łukiem omijałam wszelkie imprezy, straciłam szanse na przyjaźnię? Teraz wieczory spędzałam sama, co najwyżej z mamą i babcią Aliną, ale one też coraz częściej znajdowały ciekawsze zajęcia. I po co to wszystko? A, no tak. Po to, żeby powiedzieć na rozmowie kwalifikacyjnej, że bez sensu zatrudniać żółtodzioba.

Muszę iść na przeszczep mózgu.

Nawet nie chciało mi się podnosić nóg, więc szurałam butami. Zmierzałam w stronę przystanku autobusowego w ślimaczym tempie (tego samego przystanku, z którego prawdopodobnie nie musiałabym korzystać po tym, jak dostałabym tę pracę, bo mogłabym sobie pozwolić na kupno samochodu), kiedy ktoś mnie znokautował.

W akcie kompletnie nieprzemyślanej próby ratowania swojego marnego życia odruchowo wyciągnęłam ręce przed siebie, licząc na pomoc, a pomoc, i jednocześnie winowajca całego zdarzenia, chwyciła za nie i przytrzymała. Serce tak mocno waliło mi w piersi, że mogłam je usłyszeć.

– Nic się pani nie stało?

Wyrwałam się z uścisku nieznanego. Patrzcie go. Ludzie z tak potężnymi barkami powinni mieć wyznaczone specjalne ścieżki spacerowe. Może wtedy nie taranowaliby innych, mniejszych, a potem nie musieli patrzeć na nich podejrzliwie, tak jak ten mężczyzna patrzył na mnie.

– Na pewno? – dopytywał.

Gapił się tymi swoimi niebiskimi ślepiami jak sroka w gnat. I na co liczył? Skwasiłam się, dając mu do zrozumienia, że nie na rękę mi ta dyskusja. Oczywiście, że nic się nie stało, poza tym, że moje

życie właśnie legło w gruzach.

– Na pewno – powiedziała grobowym tonem. – Nigdy nie czułam się lepiej. Lubię być taranowana.

Blondas uniósł obydwie brwi i uśmiechnął się, jakbym właśnie rzuciła mu fenomenalny komplement. Wolną rękę wcisnął w kieszeń lawendowych spodni, w drugiej trzymał marynarkę w tym samym kolorze.

– Nieudana randka? – spytał i zerknął na zegarek. – Kiepski początek dnia.

No zlitujcie się.

– Randka? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Uważa pan, że to jest priorytet każdej kobiety? Randkowanie? – wyplułam z siebie. – I może wokół miłości kręci się świat, a wśród nas latają niewidzialne kupidyńki i tylko czekają, żeby ugodzić człowieka swoją cukierkową strzałą?

Zacisnęłam usta w wąską linię i opuściłam głowę. Kobieto, opanuj się. Wdech i wydech. Facet nie jest niczemu winien. Tylko cię staranował. Nie on nazwał cię żółtodziobem – sama to przecież zrobiłaś.

Uniosłam głowę i posłałam mu krzywy uśmiech. Starłam się, by był szczery, ale nieznajomy zmarszczył czoło w taki sposób, że domyśliłam się, iż się nie udało.

– Rozmowa o pracę – wyjaśniłam, chcąc załagodzić sytuację. – Widzi pan ten budynek? Tam, właśnie tam, miałam spełniać się zawodowo. Rozmawiać o bawełnie ekologicznej. – Machałam ręką z coraz większą złością. – Ekologicznej! A co zrobiłam?

Zadałam mu pytanie retoryczne i dałam kilka sekund na odpowiedź na wypadek, gdyby jednak okazał się jasnowidzem.

– Wszystko spieprzyłam! – krzyknęłam, a przechodząca obok para starszków rzuciła mi spojrzenie po brzegi wypełnione dezaprobatą. – Niemalże poprosiłam ich, żeby mnie nie zatrudniali. Równie dobrze mogłam tam wejść, powiedzieć, że to nie ma sensu, i wyjść. Oszczędziłabym sobie wstydu.

Oddech. Za szybko i za dużo gadam. Zapominam o łapaniu powietrza.

– A co tam dają za pracę? – spytał, przyglądając się budynkowi i mrużąc oczy przez odbijające się w szybach promienie słońca.

Westchnęłam z wyraźnym bólem. Najlepszą.

– Posadę asystentki dyrektora generalnego – jęknęłam.

Mężczyzna odgarnął jasne włosy z czoła i szybko opanował jedną brew, którą odruchowo uniósł.

– I o to ten płacz? – Zaśmiał się. – Co to za radocha być czyjąś asystentką?

Spróbowałam wywnioskować, gdzie sam pracuje, po wyglądzie. Był młody, pewnie niewiele starszy ode mnie. Całkiem przystojny – rysy twarzy regularne, zarost ledwie widoczny. Jasne włosy, prosty nos, mocno zarysowana szczęka. Taki beztrojski chłopiec z błyskiem w oku. Nie mój typ. Ja preferuję wyrazistych. Albo długowłosych, kopie dzieci-kwiatów, albo w ogóle okularników, jak ten pajac z Adeline. Tak, zdecydowanie wolę pseudo-intelektualistów z ironicznym poczuciem humoru.

Zmierzyłam te bary, co to mnie omal nie zabiły. Stawiałabym na to, że mądraliński jest sportowcem, ale formalny ubiór sugerował coś zgoła innego. Może i jego strój świadczył o tym, że siedł do jakiejś pracy, jednak czas poświęcony nieznajomej już nie.

Jak widać, talent do rozgryzania ludzi również nie przypadł mi w udziale.

– Co za radocha? – Wzniosłam ręce do nieba w akcie totalnego zrezygnowania. – Naprawdę sądzi pan, że z marszu zostaje się dyrektorem? Tak dobrze to ma tylko ten na górze!

Podążył za moim palcem i ze zmarszczonym nosem łypnął na bezchmurne niebo.

– Że Bóg? – spytał błyskotliwie.

Z płaskiem strzeliłam otwartą dłońią w czoło.

– Dyrektor generalny, synalek tatusia! Ojciec wygrzał synowi posadkę i ustawił go na całe życie. – Pociągnęłam żałośnie nosem. – Może nie wyglądał, ale jestem pewna, że jest rozpieszczony jak dziadowski bicz.

Nieznajomy przekrzywił głowę.

– Dziadowski bicz, ugrzane posadki... – podjął z rozbrajającym uśmiechem. – Brzmi jak niezły sajgon, a i tak chciałyby tam pani pracować?

Utkwiłam wzrok w autobusie stojącym na czerwonym świetle. To mój. Teraz przez pół godziny będę sterczeć w korkach. Pewnie ktoś będzie śmierdzieć. Zawsze ktoś śmierdzi.

Tak, chciałam pracować w Adeline. Pragnęłam wypłaty, którą oferowali.

– Chciałabym – jęknęłam. – Dlaczego to nie mogłam być ja? Dlaczego mi ojciec nie wygrał czegoś podobnego? A zresztą! Popracowałam trochę, zdobyła doświadczenie i zostawiła tego potwora w cholere. Bez jakiegoś ojca, któremu musiałabym być potem cokolwiek winna.

Rozmówca zamrugał, zmieszany moim kompletnym brakiem stabilności emocjonalnej, ale to bez znaczenia, bo naprawdę poczułam ulgę. Ten piękniś wykonał kawał dobrej roboty, nawet pomimo wcześniejszego staranowania.

– Jeszcze pani nie dostała tej pracy, a już myśli o rzucaniu jej – zauważył.

Posłałam mu mordercze spojrzenie.

– Nie dostanę jej tak czy siak – mruknęłam. – Co to za różnica?

Autobus podjechał na przystanek. Ludzie stłoczyli się przy wejściu, nie pozwalając wydostać się ze środka wysiadającym. Ktoś krzyknął, żeby zrobili miejsce.

– Nie ta, to inna. – Uśmiechnął się. – Nie ma co płakać nad rozlanym prosecco.

Mądrała. Zrobił krok w tył. Potem następny. Wycofywał się. Podobnie jak ja. Tyłem do autobusu, przodem do niego.

– Będzie dobrze. – Uniósł dłoń w taki sposób, jakby chciał mi pomachać, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. – Powodzenia, pani gniewna!

Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Drzwi autobusu zaczęły piszczeć, zwiastując zamknięcie, więc prędko wskoczyłam do środka i oparłam się pokusie, by wyrzeć zza stłoczonych ludzi i pomachać nieznajomemu. Słowa formowały się na moich ustach, pragnących mówić z nim dalej, ale cóż, szansa minęła. Może to i dobrze.

Miałam dwadzieścia cztery lata. Skończyłam studia. Pozostawałam bezrobotna, na dodatek nadal mieszkalam z mamą. Restauracja rodzicielki podupadła i na gwałt potrzebowałyśmy ratunku.

To nieodpowiedni czas na myślenie o romansach. To pora na rozwój zawodowy, pięcie się po mojej drabinie kariery. Na uratowanie małej wegańskiej knajpki. Zacisnęłam powieki i pozwoliłam autobusowi minąć nieznajomego. Tylko na pół sekundy otworzyłam jedno oko, ale nie wyjrzałam przez okno.

Mimo to zastanawiałam się całą drogę: czy gdyby mnie zobaczył, pomachałby?

Rozdział 2



Mama czekała na progu mieszkania. W pierwszej kolejności, zanim jeszcze cokolwiek powiedziałam, starała się wyczytać coś z mojej aury. Miałyśmy taki układ: w podobnych chwilach najpierw sama spróbowała zgadnąć, czy coś się udało, czy też okazało kompletną kląpą. Swojego czasu, gdy jeszcze fundusze na to pozwalały, uczęszczała na warsztaty i kursy, gdzie rozprawiano o czakrach i energii, więc obecnie dumnie korzystała z nabytych umiejętności. Raz na pięć szacowań rzeczywiście udawało jej się trafić, ale to chyba niewiele nawet jak na kogoś, kto zgaduje z zamkniętymi oczyma. Mimo to żadna z nas się tym nie przejmowała. Grałyśmy niezmiennie z tym samym entuzjazmem, a w mamie kumulowało się ostatnio jeszcze więcej zapału, gdyż zakochała się bez pamięci i zachowywała jak nastolatka.

Ja zaś uświadomiłam sobie, jak zakochane nastolatki potrafią być irytujące.

Nie ma na świecie drugiego człowieka, którego kochałabym bardziej od niej, ale przysięgam, kiedy słyszę przez cienkie ściany naszego mieszkania chichotanie ciągnące się nieprzerwanie przez dwie bite godziny, fantazjuję o tym, że wrywam drzwi z zawiasów i rzucam w nią nimi. Bezkresna jest jednak miłość córki do matki: wciąż tego nie zrobiłam.

No dobra, niech będzie. Próbowałam, ale tylko raz. Drzwi są pieruńsko ciężkie i to nie takie łatwe wyjąć je w pojedynkę z zawiasów.

Do chichotania należy jednak dorzucić wieczne wiszenie na telefonie, odpisywanie na wiadomości w trakcie obiadu i używanie dziwnych zdrobnień. I kiedy mówię dziwnych, wcale nie przesadzam.

Mama, Iwona, swoją nową miłość poznała na portalu randkowym, a ma ona na imię Joanna lub, jak ktoś woli: Joneczka, Asiulka, Asieniunia, Joasieniunia, rzadziej Kocurek. Nie mam pojęcia, dlaczego nikt nie wlepie za takie rzeczy mandatów.

Rzadko bywam zaskoczona, ale te zdrobnienia potrafią odebrać człowiekowi mowę. Nawet takiemu z otwartą głową. Od małego rozmawiałyśmy z mamą o wszystkim, tematy tabu dla nas nie istniały. Opowiadała mi o roli natury w życiu człowieka, uczyła chodzić boso po trawie, zabraniała kupować czegokolwiek z napisem MADE IN CHINA ze względu na dramatyczne warunki przymusowej pracy w Państwie Środka.

Już jako dwunastolatka tłumaczyłam koleżankom z klasy, czym jest feminizm i patriarchy, co skończyło się jednym protestem zorganizowanym na długiej przerwie. Planowałyśmy z koleżankami przywiązać się do drzwi klasy w celu przeciwstawienia się lekcjom historii, na których uczono wyłącznie o dokonaniach mężczyzn. Cel szczytny, ale organizacja nas przewyższyła. Z sześciu uczestniczek jedna się rozchorowała, dwie zapomniały transparentów, ta, która miała zorganizować łańcuchy, dostała ochrzan od ojca za wynoszenie podejrzanych przedmiotów z garażu, więc zostałam ja, pasek od kwiecistej sukienki i nożyczki znieśczonego nauczyciela. Nikt nie mówił, że początki aktywizmu są łatwe.

Mimo przeszkód chciałam zmieniać świat na lepsze. Zwłaszcza od momentu, w którym spacerowałyśmy z mamą boso po łące, a ona spytała z zaskoczenia:

– Skarbie, czy wiesz, czym jest miłość?

– Wiem – przybrałam ton, który miał uczynić mnie doroślejszą i wcale nie ośmioletnią. – Miłość jest wtedy, jak jest pan i pani i oni się kochają, i mają dzieci.

Mama uśmiechnęła się, słysząc tę odpowiedź. Usiadła na ziemi i poklepała miejsce obok siebie, które natychmiast zajęłam.

– Częściowo masz rację – powiedziała miękko. – Ale musisz wiedzieć, że można mieć dzieci, nawet gdy się nie kocha. Albo kochać się, ale ich nie chceć. Wybałuszyłam oczy, ponieważ do tej pory głęboko wierzyłam, że wystarczy wielka miłość i pragnienie dziecka, żeby zaczęło magicznie rosnąć w brzuchu. To był moment, w którym mama wytłumaczyła mi, że istnieją różne rodzaje miłości. Nie tylko kobiety do mężczyzny, ale też kobiety do kobiety, matki do córki, córki do kucyka i mężczyzny do mężczyzny. Wszystkie równie ważne, ale nie wszystkie całkowicie akceptowane przez społeczeństwo. Tego nie potrafiłam pojąć. Jak można nie akceptować miłości?

Od tamtej chwili minęły lata, a ja nadal pragnę zmieniać świat. Pewnie dlatego ta nieudana rozmowa kwalifikacyjna tak boli. No i dlatego, że na gwałt potrzebujemy kasy.

Teraz stałam w progu i patrzyłam na mamę z goryczą. Po drodze zdjęłam przyciasny w ramionach beżowy żakiet, który przemoczyłam do ostatniej suchej nitki, potargałam sobie przy tym włosy i nawet nie spróbowałam ich poprawić. Z furią cisnęłam ciuch do szafy, nie korzystając z wieszaka, i ściągnęłam skórzane szpilki, które otarły mi pięty.

Mama klasnęła w dłonie.

– Udało się!

Spojrzałam na nią spod byka.

– Serio? – burknęłam. – Właśnie to wyczytałaś z mojej aury?

Obrysowała rękoma w powietrzu zarys mojej sylwetki i przymknęła powieki.

– Tak właśnie mówi – odrzekła, podążając za mną do ciasnego pokoju, w którym z trudem zdjęłam ołówkową spódnicę i wciągnęłam na siebie dresowe spodnie.

– W takim razie moja aura pieprzy bzdury – wycedziłam, ściągając przez głowę przepoconą bluzkę, i zaraz założyłam rozciągnięty top z Muminkami.

– Rekrutacja nie wyszła? – spytała z zawodem mama.

Podniosła bluzkę z podłogi i dołożyła do pozostałych części mojej garderoby, które konsekwentnie zbierała. Wlepiała we mnie intensywne spojrzenie zielonych oczu, identycznych jak moje, i czekała.

Jako dojrzała kobieta, z pełną powagą rzuciłam się na łóżko i ukryłam twarz w poduszce.

– To była katastrofa. – Podniosłam się na łokciach. – Gadałam jak potłuczona, spociłam się cała... Nie zaprezentowałam połowy tego, co sobie zaplanowałam!

Znów przycisnęłam twarz do poduszki i wydarłam się w nią, dając upust piętrzącym się emocjom. Mama usiadła na łóżku i zaczęła gładzić moje plecy. Nie należała do osób, które na siłę wmawiają komuś, że będzie dobrze, gdy oczywistym jest, że nie będzie. Akceptowała porażki i starała się wyciągać z nich wnioski. Nawet teraz, kiedy musiała zwolnić pracowników restauracji i tyrać za trzech, nie skarżyła się, nie poddawała.

Bardzo przydatna umiejętność, której nigdy nie opanuję.

– Nie ta praca, to inna – westchnęła.

Zerwałam się do siadu. Mówiła dokładnie to samo, co ten facet z przystanku! Zmówili się?

– Nie, mam. To była moja życiowa szansa. Połączenie pracy w korporacji i działań, w które wierzę i które popieram. Czy wiesz, jak mało jest takich...

– Czy ty aby troszeczkę nie przesadzasz? – weszła mi w słowo, gdy tylko wyczuła, że znów się nakręcam. – Czy to od razu musi być korporacja? Nie możesz poszukać czegoś mniejszego? Raz się na coś uprzesz i za nic nie da ci się przetłumaczyć...

Ostatnie słowo przeciągnęła, świadoma, że wstąpiła na grząski grunt. Zmarszczyłam czoło. Wałkowałam ten temat już tysiącrotnie. Gdy dostawałam w szkole niższą ocenę niż pięć; gdy

prezydent nie odpowiedział na moją petycję, dotyczącą całkowitego zakazu jazdy samochodami w celu poprawy jakości powietrza, którą podpisała mama i babcia Alina; gdy ignorowałam zaproszenia znajomych i całym dniami siedziałam nad książkami... Była chyba jedyną matką, która skakała z radości, gdy w szkole średniej dostawałam inną ocenę niż szóstka.

I oto wróciłyśmy do punktu wyjścia.

– Powinnaś mnie motywować, a nie ciągnąć w dół – powiedziałam.

Mama zmrużyła oczy i machnęła mi przed nosem palcem wskazującym, na który założyła trzy kolorowe pierścionki.

– Ciągnę cię w dół? Skarbie! – Wyrzuciła ręce przed siebie. – Puknij się w głowę. Masz wiele lat na dotarcie na szczyt drabiny sukcesu. A życie to nie tylko praca. Istnieje wiele innych spraw, które się naprawdę liczą.

Och, ja już wiem, co się według niej tak bardzo liczy.

– Tak? – spytałam z przekąsem. – Jakie to sprawy?

– Na przykład miłość!

– No tak! – Pacnęłam się w czoło. – Więc kiedy miłość opłaci nam czynsz? Zalegamy już trzeci dzień. A, i wspomnij, żeby spłaciła te buty, które wzięłaś na debet. I niech kupi mi samochód – wyliczałam na palcach. – Zrobi zakupy w supermarkecie, bo zostały tylko hummus i rzodkiewka. Myślisz, że emeryturę też mi zapewni? Kurde, zarabicie! Muszę sobie jedną sprawić!

Moja rodzicielka opuściła ręce, a w jej oczach pojawił się cień rozczarowania.

– Nie mówię, że masz dla niej wszystko rzucić. – Poczochrała mi włosy. – Po prostu... Nie samą pracą człowiek żyje. Trzeba czasem wyjść do świata. Zakochać się – gdakała rozmarzonym tonem, a koraliki w jej warkoczykach brzęczały. – Stracić kontrolę.

– Nigdy nie tracę kontroli – przypominałam jej.

– I to jest właśnie twój problem, skarbie! – krzyknęła tak głośno, że aż podskoczyłam. – Nie bywasz spontaniczna. Wszystko masz zawsze zaplanowane, nawet godziny wypróżniania. – Zasłoniła mi ręką usta, gdy spróbowałam zaprotestować. Bzdura! Fizjologii nie da się zaplanować. – Kiedy coś idzie nie tak, nie dajesz sobie rady z sytuacją, bo umiesz tylko to, co jest w scenariuszu.

Puściła mnie. Przepraszam, czy moja własna matka powiedziała mi właśnie, że jestem sztywna? Przecież ja tyle razy byłam w swoim życiu spontaniczna.

Jestem jednym wielkim spontanem!

– Ale nie rozumiesz, że mój scenariusz to dla nas szansa na normalne życie? – Miałam ochotę wstać, ale się powstrzymałam. Jeślibym to zrobiła, nakręciłabym się jeszcze bardziej, a to nam niepotrzebne. I tak już gryzłam się w język. – Naprawdę chciałabym się nie martwić i nie musieć układać kolejnych planów.

Zamówić czasem pizzę na obiad. Kupić wreszcie nową torebkę, a nie smarować starą pastą do butów, żeby ukryć przetarcia!

Zamknęłam się, kiedy dostrzegłam w jej oczach smutek. Przeżywała wszystko równie mocno jak ja; nie było jej to obojętne, a buty kupiła, ponieważ musiała. Czasami po prostu jej optymizm działał na mnie jak płachta na byka. Słuchanie w kółko, że wszystko się ułoży. Czemu wciąż się nie układa? Jak długo będziemy jeszcze czekać?

– Przepraszam... – szepnęłam.

– Och, daj spokój. – Mama szybko przetarła oczy i się podniosła. – Zrobiłam spaghetti. Idziesz?

Oczywiście, że za nią poszłam. I to z myślą, że jestem nie tylko sztywna, ale również niereformowalna.

Jednak czy żądałam od życia aż tak wiele? Czy byłam jedyną osobą na tym świecie, dla której liczył się sukces zawodowy? Oczywiście, że nie. Ludzka egzystencja to nieustający wyścig szczurów, w którym bierzemy udział niezależnie od tego, czy się na niego zapiszemy, czy nie. Czasem po prostu nie zdajemy sobie z tego sprawy. A ja miałam już po dziurki w nosie wiecznego zaciskania pasa. Odmawiania sobie wakacji, wielokrotnego przeliczania budżetu przed zakupem kilku używanych książek.

Mama ponad dekadę temu spełniła swoje marzenie i otworzyła wegańską restaurację. Żadna

z nas nie je mięsa, ona przy tym po mistrzowsku gotuje, więc poczułyśmy, że karmienie ludzi roślinami to coś dla nas. Znalazłyśmy lokal, mama wzięła kredyt, był remont, były wielkie plany i marzenia... Ale nie przewidziałyśmy tego, że marketing nie jest naszą mocną stroną. Nie umiałyśmy dotrzeć do klientów. Ani czternastoletnia ja, ani mama-kucharka.

Wtedy po raz pierwszy znalazłyśmy się na skraju bankructwa. Chodziłam do ostatniej klasy gimnazjum i zaczęłam wspomagać mamę dorabianiem to tu, to tam. W pierwszej klasie liceum pracowałam codziennie po szkole, żeby dołożyć do domowego budżetu. W tamtym momencie obiecałam sobie, że po studiach znajdę robotę marzeń, dzięki której już nigdy nie będę się zamartwiać o wydane pieniądze. Na szczęście restauracja mamy przetrwała, chociaż raz funkcjonowała lepiej, a raz gorzej.

Ale ostatnio znów podupadła, więc rosły nam długi. Najpierw pandemia, potem ogromne podwyżki cen artykułów, mediów, kryzys na świecie i cieńsze portfele klientów. Wszystko to składało się na napięcie, kolejne głupie błędy, strach przed bankructwem. Ludzie znów przestali przychodzić. Nawet stali klienci zaglądali rzadziej niż kiedyś.

Nie umiałam pomóc. Kiedy myślałam o Adeline, pomysły same wskakiwały mi do głowy. Na myśl o Warzywniaku dostawałam mdłości. Mama nie lubiła unowocześnień, podchodziła do nich z nieufnością, wołała skupiać się na kuchni, a ja nie miałam sił i czasu panować nad wszystkim w pojedynkę. Musiałam pracować, skończyć szkołę. Zaniedbałyśmy więc plany promocyjne, konta na platformach społecznościowych... Nawalałam na całej linii jako marketerka... i jako córka.

Dlatego potrzebowałam dobrze płatnej pracy, i to natychmiast. Plan na to obmyśliłam jeden i, jak widać, nie wypalił. Nie opracowałam zapasowego, gdyż obawiałam się, że poświęcanie uwagi na Plan B osłabi Plan A. Cóż, kto by się spodziewał, że Plan A osłabi mnie?

Nie pozostało nic innego, jak zacząć intensywnie myśleć nad nowym rozwiązaniem. Co jutro? Pojutrze? Powinnam nazajutrz iść pomóc w restauracji czy jednak znaleźć coś, co faktycznie przyniesie nam jakieś pieniądze? Usiadłam przy biurku i spróbowałam zapanować nad drżącą wargą. Przez moment wierzyłam, że będę mogła pewnym krokiem ruszyć dalej, prosto ku świetlanej przyszłości. Tak właśnie kończy się dzielenie skóry na niedźwiedziu. Wymuszonym Planem B.

Spadłam z krzesła na dźwięk telefonu. Edyta Geppert wydarła z siebie refren o róży i cierniu, a ja upomniałam się w duchu, żeby zmienić ten dzwonek, bo ludzie dziwnie na mnie patrzą, gdy rozbrzmiewa w zatłoczonym autobusie. Łypnęłam na zegar wiszący na ścianie. Za dziesięć dwudziesta pierwsza. Jaki telemarketer pragnął zostać zmiażdżony w drobny pył o tej godzinie?

Odebrałam, gotowa na atak, ale momentalnie zamilkłam. Później chyba coś mówiłam. Tak mi się wydaje. Musiałam coś z siebie wydukać.

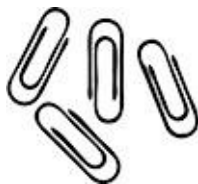
Z telefonem w ręku ruszyłam do salonu, w którym mama medytowała wśród rozpalonych świec i kadzideł. Biała szalwia podrażniła mój nos.

– Mamo... – szepnęłam, by nie wyrwać jej zbyt gwałtownie z medytacji.

Otworzyła oczy i ze zrelaksowaną miną czekała na to, co miałam jej do powiedzenia.

– Dzwonili... – złapałam szybko oddech. – Dzwonili z Adeline. Chcą, żebym od poniedziałku zaczęła pracę.

Rozdział 3



Zacisnęłam kurczowo palce na znoszonej skórzanej torebce, ponieważ tylko to mogło opanować ich drżenie, a następnie wbiłam wzrok w niewygodne szpilki. Schyliłam się, żeby przetrzeć plamkę błota ze spiczastego czubka. Jak to się, do diaska, stało, że z tyłu kandydatów i kandydatek wybrali akurat tę, która nazwała samą siebie żółtodziobem?

Wyprostowałam się. A jeśli to ukryta kamera? Cholera, to na bank ukryta kamera! Zostanę ośmieszona na oczach kraju.

Oczami wyobraźni ujrzałam przed sobą dziennikarza z mikrofonem w ręku, który uśmiechnął się wdzięcznie do obiektywu.

– Witam państwa, nadajemy prosto z budynku firmy Adeline. Oto Ina, która naiwnie myślała, że dostała pracę po skompromitowaniu się na oczach szefa! Czyż to nie przezabawne?

A przed milionami płaskich telewizorów miliony ludzi, łąpiących się za brzuchy ze śmiechu. Wzdrygnęłam się. Otrzymanie tej posady było zbyt nieprawdopodobne. Nie mogłam tam zostać.

Nie mogłam pozwolić, żeby mama musiała wstydzić się za córkę wyśmiewaną na oczach milionów widzów. A poza tym na bank trudno znaleźć po czymś takim porządną pracę.

Zerwałam się na równe nogi i nie patrząc nikomu w oczy, ruszyłam długim korytarzem prosto w stronę wyjścia. Mijałam schludnie ubranych pracowników, niosących zazwyczaj pod pachą jakieś teczki lub filiżanki z parującą kawą. Nie oglądałam się na srebrne tabliczki z wrytymi nazwiskami, wiszące przy każdej parze drzwi. Nie zwolniłam, gdy ktoś krzyknął, że uwielbia owocowe czwartki. Liczyłam się tylko ja, drewnopodobne płytki, od których odbijały się moje obcasy, i winda na końcu drogi. Potem już tylko kilka pięter w dół i wolność. Żadnych drwin.

Podniosłam wzrok jedynie raz, żeby sprawdzić odległość dzielącą mnie od ogłoszenia suwerenności, ale jako że wyczucie czasu miałam raczej marne, skrzyżowałam spojrzenie ze zdziwionym szefem, zmierzającym prosto w moją stronę. Schowałam głowę w ramiona. Może minę go jak duch? Jak powiew powietrza, na który nie zwróci uwagi?

Ale nie, nic z tego. Szef zatrzymał się i powiedział:

– Pani Mileno, mój gabinet jest w tamtą stronę.

Stałam jak wryta i po chwili zastanowienia się odwróciłam. Nawet imienia nie zapamiętał. Rozciągnęłam wargi w tak szerokim uśmiechu, że zabolowały mnie policzki, i machnęłam ręką.

– A myślałam, że tam. – Zaśmiałam się głośno.

Dyrektor podążył za moim ruchem i zlustrował srebrne drzwi windy, które właśnie otworzyły się i wypuściły dwójkę ludzi. Pracownicy pozdrowili go zdawkowo, on im odpowiedział, po czym zacisnął usta. Jego spojrzenie było wystarczająco wymowne, więc bez słowa poczłapałam we wskazanym kierunku.

Dopiero pod drzwiami nabrałam teatralnie głośno powietrza w płuca i wykrzyknęłam:

– No rzeczywiście to tutaj!

I klepnęłam go zawadiacko w ramię, co dość szybko okazało się najgorszym pomysłem

na świecie. Najpierw zmierzył miejsce, które dotknęłam, a następnie moją bladą z przerażenia twarz. Mama miała rację. Improvizacja mnie zabija. Nowy plan, Ina: przymknij się.

Jako że plany uwielbiałam realizować, wyszczerzyłam się do dyrektora i, udając opanowanie, przekroczyłam próg. Wciągnęłam w nozdrza zapach kawy. Na wielkim, pełnym segregatorów i makulatury biurku stał półlitrowy kubek. Taki kubek może dużo powiedzieć o drugim człowieku. Przyjrzałam mu się, szukając jakiegoś śmiesznego napisu albo nadruku, ale on był biały. Cały biały, z zimną kawą w środku. Kto korzysta z tak nudnych naczyń?

Usiadłam potulnie w zapadniętym fotelu, a moja pupa, podobnie jak w dniu rozmowy kwalifikacyjnej, prawie dotknęła podłogi. Szefunio coś przeglądał albo udawał, że to robi. Bo ileż można gapić się w jedną i tę samą kartkę?

W końcu przemówił. Zaczął od oczywistości. Przedstawiał mi firmę, tłumaczył, czym jej pracownicy się zajmują, jak gdybym wcale nie dotarła w najdalsze odłamy sieci w poszukiwaniu informacji na ich temat.

– Nasza bawełna produkowana jest zgodnie z zasadami przyjaznego rolnictwa, czyli...

– Żadnego GMO, sztucznych nawozów i pestycydów.

Wyrwałam się. Weszłam mu w słowo. Kompletny brak kultury. Skoro jednak już zaczęłam, to powinnam w to brnąć. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– W swojej ofercie mają państwo również odzież z recyklingu. – Przynajmniej wreszcie zaistniała szansa na wyrecytowanie tego, czego nie udało mi się wydusić na poprzednim spotkaniu. – Głównie z poliestru. Szacuje się, że taka produkcja obniża emisję dwutlenku węgla o ponad siedemdziesiąt procent w porównaniu do zwykłego poliestru.

Mężczyzna poprawił okulary i oparł się o krzesło. Pierwszy raz skupił wzrok na mojej osobie dłużej niż półtorej sekundy. To chyba znaczyło, że mam się jednak nie zamykać.

– Jestem zachwycona wartościami firmy. Tu nie chodzi tylko o produkcję odzieży, ale również etyczne zachowanie względem rolników. Prowadzicie też wspaniałe kampanie reklamowe. – Nawet nie wiedziałam, kiedy przeniosłam się na sam skrawek fotela. – Do tej pory zastanawiam się, w jaki sposób udaje wam się jednocześnie reklamować własne produkty i przemycać wartościowe treści, jak szerzenie szeroko pojętej tolerancji czy reagowanie w obliczu przemocy. Uwielbiam was za to. Która inna marka robi takie rzeczy?

Zdjął okulary, ale tym razem nie przecierał oczu. To dobry znak!

– Wspieracie małe szwalnie, ludzie zatrudniani są na umowę o pracę, a nie śmieciówki. – Uśmiechałam się błogo. – Nie wierzę, że wy naprawdę istniejecie.

Czasem wręcz się boję, że się obudzę, a was już nie będzie.

Na do tej pory poważnej twarzy pojawił się cień zadowolenia. Nie ma to jak połączane ego. Mój przełożony oparł łokcie na blacie i nachylił się w moją stronę.

– Skąd pani to wszystko wie? – spytał.

Wzruszyłam niewinnie ramionami.

– Z internetu.

Ba, Adeline znalazło się na moim celowniku jeszcze w liceum. Z przyjemnością śledziłam rozwój firmy, raz nawet kupiłam u nich w sklepie polar, który do tej pory wisiał w szafie jako ciuch odświętny, na jakąś komunię czy coś podobnego. Chciałam ich chociaż symbolicznie wesprzeć, mimo że mogłabym nakupić za tę kasę jedzenia na dwa tygodnie dla siebie i mamy.

Albo na trzy.

Dalsza część rozmowy minęła na banałach. Omawianiu godzin pracy, które nie były żadnym zaskoczeniem, ponieważ pełen etat to jednak pełen etat, urlopów, których plan uzupełnia się na początku roku, wynagrodzenia.

Otóż to – wynagrodzenie.

Wiecie, komu pieniądze szczęścia nie dają? Bogaczom. Ludziom, którzy nie czekają ze zniecierpliwieniem na przelew bankowy, nie zastanawiają się, czy lepiej najpierw opłacić prąd czy gaz, szukając informacji odnośnie do tego, które pierwsze będzie odcięte. Nie twierdzą, że banknoty przynoszą miłość i spełnienie, ale zastrzelcie mnie, jeśli brak gotówki nie doprowadził do rozpadu

dobrych przyjaźni i związków. Łatwiej też spotkać nowych znajomych na wycieczkach i warsztatach, zajęciach jogi i tańca, niż w czterech ścianach własnego mieszkania, licząc bilon, którego i tak nigdy nie starcza na wyjście. Wiedziałam coś o tym.

Rozpaczliwie pragnęłam tej pracy. Wstawania punkt szósta trzydzieści, żeby dotrzeć na dziewiątą. Robienia mu kawy. Tonięcia w obliczeniach. Ziewania na zebraniach. Podsuwania błyskotliwych pomysłów. Tworzenia fascynujących prezentacji i pisania doskonałych przemówień...

– Czy wszystko jasne? – spytał dyrektor na koniec kolejnego monologu.

Przytaknęłam.

– Nie ma pani żadnych pytań?

Zaprzeciłam zdecydowanym ruchem głowy. Żeby tylko już niczego nie spartolić.

– Dobrze. – Siorbnął kawy z nudnego kubka. – W takim razie pokażę pani gabinet.

Wyszliśmy na korytarz, a mnie serce zabiło szybciej, zaś w brzuchu zaczęły tańczyć motyle. Gabinet! Mój własny gabinet z wielkim oknem. Żółtodziób za sekundę otrzyma swój własny pokój. Co dzień rano będę patrzeć przez to wielkie okno i popijać kawę. Będę obserwować wschody i zachody słońca. Będę...

– Proszę bardzo – powiedział, wskazując kanciapę z wciśniętym do środka biurkiem.

Zamrugalam. Zamknęłam oczy i otworzyłam jeszcze raz.

Pomiędzy biurkiem a ścianami ledwie znalazła się przestrzeń dla dorosłego człowieka. Mam przechodzić pod blatem? Bo pomiędzy to się raczej nie zmieszczę. Dwa plastikowe i krzywe krzesła stały po obydwu stronach pomieszczenia. Ściany pomalowano w widocznym biegu na biało. Dolna wargę zadrżała mi na widok małego włochatego dywanika, leżącego tuż przed moimi stopami.

Gdzie moje okno?

– Nie... – brzmiałam tak, jakbym odgrywała scenę śmierci w melodramacie. – Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Ja mam być a-sy-stent-ką.

Resztkami sił powstrzymywałam się, żeby nie chwycić go za kołnierz.

– Asystentką – powtórzyłam jeszcze raz, powoli i wyraźnie. – To nie moje biuro.

Widać było gołym okiem, że ta jego łepetyna z ciemnymi lokami nie mogła pomieścić tego, co się działo. Wycofywał się, potem znów zbliżał, unosił rękę, wskazując wewnątrz klitki, potem przeczesywał nią włosy, otwierał usta, zamykał...

Wreszcie wyprostował się i poprawił granatową marynarkę.

– Pani Mileno, to jest pani biuro – mówił powoli i wyraźnie, beczelnie papugując mój ton. – Na razie tyle, ale nie wiadomo. Może kiedyś znajdzie się coś większego.

Motyłki, które wcześniej latały pomiędzy moimi jelitami, najprawdopodobniej dostały zbiorowego zawału.

Wdech i wydech. To nic. Gnojek stojący obok może i pozbawił mnie okna, ale nie odbierze mi radości z otrzymanej pracy. Podpisałam umowę. Już oficjalnie pracowałam w tej firmie i byłam jego asystentką.

Dyrektor generalny niezbyt przejmował się drobnym załamaniem nerwowym swojej podwładnej i tym, że na przemian śmiała się do siebie i wzdychała przeciągle. Odwiedziliśmy bufet i ksero. Dowiedziałam się, gdzie znajdę zapas papieru, ekspres do kawy, toaletę, po czym wróciliśmy do klitki. Znaczy gabinetu.

Mężczyzna znikąd wyciągnął laptopa i telefon z wpisanymi kontaktami, ale nie dał mi czasu na ich przejrzenie. Dorzucił do tego jeszcze plik dokumentów.

– Na rozgrzewkę. Niech pani sprawdzi obliczenia i... – Zawahał się. – Błędy ortograficzne. Zwłaszcza ortografię.

Otworzyłam usta, ale szybko je zamknęłam. Żadnych głupich pytań.

– To chyba wszystko. – Dyrektor zdjął okulary i... tak. Wciąż go męczyłam. – Pan Kubiak chce się z panią widzieć punkt piętnasta.

Oczy niemalże wyszły mi z orbit.

– Ale że prezes? – spytałam z niedowierzaniem.

Okularnik zmarszczył brwi i westchnął cierpiętniczo.

– Syn prezesa – wytłumaczył. – Dyrektor generalny. Pani przełożony. Jakub Kubiak.

Czemu mówił jak do dziecka? Stała przed nim poważna dorosła kobieta. Może i mierzyłam zaledwie metr sześćdziesiąt, ale obcasy dodawały mi wzrostu. Nie przypominałam przedszkolaka.

A potem przyszła mi do głowy zupełnie inna myśl.

– Zaraz... – Podeszłam tak blisko z laptopem i papierami w ramionach, że facet aż zrobił krok w tył. – To pan nie jest...?

Uśmiechnęłam się niezręcznie, a potem obdarowałam go całą gamą dziwnych min. Gdybym nie miała ich zajętych, pewnie machałabym rękoma, starając się dać mu do zrozumienia, że to jego wzięłam za swojego przełożonego. Mimo że trochę to trwało, w końcu zrozumiał, co mam na myśli i... wybuchnął śmiechem.

Poważnie. Jego twarz się rozjaśniła, jasnozielone oczy rozbłysły.

– Nie... – wydusił z siebie, gdy wreszcie zapanował nad rechotem. – Nie. Przepraszam, to faux pas z mojej strony, nie przedstawiłem się pani. Było tak wielu kandydatów... – Poprawił okulary i uśmiechnął się przepraszająco. – Proszę mi wybaczyć.

Też się zaśmiałam, udając, że bagatelizuję sprawę, podczas gdy miałam ochotę wydrapać mu za to oczy.

– Bartosz Tomczak. – Wyciągnął w moją stronę dłoń. – Jestem asystentem prezesa.

Chwyciłam teczkę w zęby i odwzajemniłam uścisk. Tym razem nie uciekł tak szybko.

– Prezesa – powiedziałam, gdy uwolniłam usta. – No to pan na bank ma gabinet z oknem.

W pierwszej kolejności rzucił mi zdezorientowane spojrzenie, by zaraz znów się rozpromienić.

– Proszę się nie martwić. Wszystko w swoim czasie – rzekł przemyślnie.

I tyle go widziałam. Zamknął drzwi, zostawiając mnie samą w klitce.

Rozdział 4



Całe szczęście, że nie cierpię na klaustrofobię. Opadłam na krzesło i sprawdziłam, czy jeśli wyprostuję obydwie ręce, to dotknę ścian po przeciwległych bokach, ale błyskawicznie przestałam. Przecież jeśli ktoś akurat wejdzie, uzna mnie za wariatkę.

Z ciekawostek: nie dotknęłam, ale zabrakło pięciu centymetrów. Wiem, bo znalazłam linijkę w szufladzie.

Wsadziłam nos w dokumenty i zatopiłam się w pracy. Mama medytowała dla relaksu, ja pływałam w papierologii jak w ciepłym morzu. Wreszcie się rozluźniłam, zajęłam czymś myśli. Kąciki moich ust się uniosły, mięśnie karku, do tej pory rwące i twarde jak kamień, powolutku odpuściły. Znalazłam się w swoim żywiole. Niczym surfer mknący przez fale w kierunku złocistej plaży, tak ja mknęłam przez rzędy czarnych literek, tablek, wykresów. Mogłabym przysiąc, że pomimo braku okna, moje włosy rozwiały wiatr, morska bryza szczypała policzki. Wolność!

A potem znalazłam dwa błędy ortograficzne w słowie „dochód”. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Rozejrzałam się po pomieszczeniu, mrużąc oczy. Czy ktoś robił sobie żarty? Ale chwila... Zmarszczki na czole się wygładziły. Może to po prostu jakieś zaburzenie? Mam! Dysortografia! Uśmiechnęłam się dumnie. Tak, owszem. Jestem inteligentną kobietą, która zna trudne słowa.

Jakby na to nie spojrzeć, choć mój przełożony z ortografii był noga, obliczenia wykonywał bezbłędnie. Podobno nie można mieć wszystkiego – albo jesteś umysłem ścisłym, albo humanistycznym. Tak się przyjmuje, ale spróbuj to powiedzieć na głos. Nagle znajdzie się tłum wybitnie utalentowanych, którzy z niczym nie mają problemów. Tacy z zamkniętymi oczyma machną esej o życiu kulturalnym mrówek, by potem bez najmniejszych problemów obliczyć, ile kosztuje koszulka po dwudziestoprocentowym rabacie. Wszechstronnie uzdolnieni – brzydzą się wami.

Dzięki tym bykom jednak zapałałam sympatią do Jakuba Kubiaka. Kuba Kubiak, powtórzyłam w myślach i zaśmiałam się rozkosznie, a następnie mimochodem zerknęłam na telefon, którego ekran się podświetlił. Wiadomość. Mój rozanielony wzrok padł na godzinę.

Matko i córko, za dwie minuty piętnasta, a ja nie wiem, gdzie jest biuro dyrektora!

Wybiegłam z klitki i popędziłam przed siebie, ale na końcu korytarza zawróciłam, bo zapomniałam zamknąć drzwi na klucz. Trzasnęłam nimi, prawie wrywając sfatygowaną gałkę, i taktycznie postanowiłam nie marnować czasu. Przy wejściu wisiała mapka budynku. Tam znajdę odpowiedź. Nie ma sensu biegać w popłochu i błądzić.

Tupałam o posadzkę w oczekiwaniu na windę. Czerwone cyferki na wyświetlaczu się nie zmieniały, utknęła na czwartym piętrze. Co oni tam robili? Szukali Narni? Drzwi obok otworzyły się i zaraz zamknęły za panią z serwisu sprzątającego. Schody!

Popędziłam nimi. Głuchy stukot obcasów postawił pewnie cały budynek na nogi. Raz się poślizgnęłam, wrzeszcząc wniebogłosy, ale złapałam się w ostatniej chwili barierki. Nie tym razem, losie! Zamierałam dotrzeć na to spotkanie w jednym kawałku.

I jak najmniej spóźniona.

Zgubiłam się po wybiegnięciu z klatki schodowej i zawróciłam. Biegłam na ugiętych nogach, bo szpilki mocno ograniczyły moje ruchy, lecz i tak tempo miałam przyzwoite. Na widok drzwi wejściowych i upragnionej mapki, niemal się popłakałam. Dopadłam do niej zasapana. Odgarnęłam przyklepione do czoła włosy i zaczęłam ją studiować.

Plan ewakuacji.

Ewakuacji. Na wypadek cholernego pożaru.

Oparłam na ścianie przed sobą obydwie dłonie i wypuściłam powietrze nosem. To koniec. Pierwszy dzień w pracy, pierwsze spotkanie z szefem, a ja już spóźniona. Uniosłam głowę w nagłym przypływie olśnienia. Wiem! Muszę zadzwonić do Tomczaka.

Sięgnęłam do kieszeni i zamarłam. Komórka została w klitce.

Trudno ocenić, jak długo tak stałam z ręką na biodrze i pustym spojrzeniem utkwionym w przeszklonych drzwiach, lecz gdy wreszcie otrząsnęłam się z pierwszego szoku, ruszyłam pędem z powrotem na klatkę schodową. Z zaciśniętymi zębami wspinałam się piętro po piętrze, co chwila sprawdzając w zimnym ledowym świetle materiał spodni na tyłku, ponieważ tak bardzo mi się spocił, że czułam stróżki potu spływające po udach.

Na piątym piętrze złapał mnie kryzys. Zamknęłam barierkę w stalowym uścisku i kucnęłam. Zmarszczyłam nos, wyczuwając odór, i powąchałam się pod pachą.

Obrzydliwość. Jestem skończona.

Bzdury! Pocenie się jest naturalną reakcją organizmu, a nie powodem do wstydu. Podniosłam się. Kolejny krok w górę. Poza tym nie przyjął się tutaj, żeby pachnieć. Kolejny krok. Przyszłam tutaj, żeby błyszczeć profesjonalizmem, wiedzą i ambicją. Jeszcze jeden krok...

Nie, nie mam już siły.

Usiadłam na schodkach i ukryłam twarz w dłoniach. Powstrzymałam wszystkie łzy, które pragnęły wtargnąć do moich oczu, ale nie zapobiegłam rezygnacji, przejmującej moje ciało komórka po komórce, jak gdyby każdą łapała w dwa palce, przyglądała się jej, a potem z namaszczeniem miażdżyła. Tak, rozpadałam się. Tam, na tych zimnych schodach, wśród szarych ścian i szpitalnego światła, wyjętego żywcem z horroru.

– Dobrze się pani czuje?

Uniosłam głowę i spojrzałam w zmartwione niebieskie oczy. Starszy mężczyzna w granatowym uniformie nachylił się nade mną. Zatrzymałam wzrok na żółtej naszywce na jego piersi: ochrona. Rany boskie! Cudem uniknął wyściskania.

– Tak, tak. Jak najbardziej – wyświergotałam. – Czy wie pan może, gdzie znajdę gabinet dyrektora?

– Którego? – spytał.

Ściągnęłam brwi. Do tej pory sądziłam, że słowo dyrektor każdy wypowiada z czcią i od razu wiadomo, o kogo chodzi, ale cóż, prezesem to on nie był, więc w sumie...

– Jakuba Kubiaka.

Mężczyzna zmierzył mnie podejrzliwie wzrokiem. Atmosfera zgęstniała. Wyprostował się, założył ręce na piersi. Jasne oczy, do tej pory zatroskane, teraz raziły niechęcią.

– Przykro mi, musi pani opuścić ten budynek – zakomunikował.

Trochę zajęło, zanim zebrałam szczękę z podłogi.

– Słucham?

Starał się grać twardego, ale gołym okiem było widać, że chciał jak najszybciej się ulotnić.

– Niech pani nie utrudnia – mruknął. – Mam takie polecenie z góry.

Zdębiałam. Już? Tak szybko? Kilka minut spóźnienia i już wysłali ochronę, żeby mnie wyprowadziła? A jakieś wypowiedzenie? Cokolwiek?

– Niemożliwe – jęknęłam płacziwie. – Przecież ja tylko...

Ochroniarz stęknął. Obrócił się wokół własnej osi i westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Ja tu tylko pracuję. – Rozłożył ręce w akcie bezradności. – Jak prezes mówi, że wszystkie kobiety, które przychodzą do dyrektora, mam wyprowadzać, to co ja mogę? To naprawdę nie moja wina.

Córka wychodzi za mąż w tym roku, praca potrzebna. Karocę sobie wymyśliła...

Nic więcej już nie słyszałam. Można by pomyśleć, że analizowałam głębokie zmarszczki przy jego ustach, pożółkłe od papierosów zęby, przerzedzone białe włosy... Ale nie. Myślałam tylko o tym, co usłyszałam.

Prezes zakazał ochronie wpuszczać kobiety, które przyszły w odwiedziny do jego syna.

Zakazał je wpuszczać. Kobiety. W liczbie mnogiej.

– Ja pieprzę, playboy mi się trafił! – krzyknęłam na całą klatkę schodową.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy, podobnie jak ja. Byłam pewna, że wypowiadam te słowa w myślach, ale najwidoczniej mi się to nie udało. Odchrząknęłam i podniosłam się, unosząc dumnie podbródek. Będziemy zatem udawać, że nic się nie wydarzyło.

– Zaszło nieporozumienie – mówiłam wyniośle. – Nie jestem żadną... – położyłam dłoń na piersi – odwiedzającą. Nazywam się Ina Mazurek. Jestem asystentką dyrektora.

Jego brwi niemal się spotkały, on zaś ewidentnie zachodził w głowę, czy go przypadkiem nie okłamuję. Przejechał palcami po podbródku, podrapał siwy zarost. Chyba liczył w głowie za i przeciw.

– Nie widziałem pani wcześniej – wydał wyrok.

Prychnęłam i odgarnęłam włosy, pragnąc okazać pewność siebie, ale mokre od potu kosmyki zahaczyły o rzęsy i wlażyły mi do oka, więc zamiast emanować siłą, stałam przed nim i mrugałam. Wątpliwe, żeby dzięki temu nabrał do mojej osoby respektu.

– Bo to mój pierwszy dzień – wyjęczałam wreszcie.

Mój pierwszy dzień, powtórzyłam w myślach.

Zbiegłam po schodach i dopadłam do ochroniarza. Zacisnęłam pięści na jego kurtce i przyciągnęłam go do siebie.

– Niech pan posłucha. – Patrzyłam mu głęboko w oczy. – Ta praca to moje marzenie, nie mogę stracić jej dlatego, że zgubiłam się w drodze na pierwsze spotkanie z szefem. Proszę mi natychmiast pokazać, gdzie znajduje się biuro Kubiaka. Błagam.

Puściłam go i wygładziłam miejsce, które ścisnęłam. Wyprostowałam pogięty materiał i posłałam ochroniarzowi życzliwy uśmiech.

Udało się! Pomaszerował przed siebie jak na skazanie, a ja podążyłam za nim. Adrenalina buzowała mi w żyłach. Trafiliśmy wreszcie na korytarz na moim piętrze, a ja, chcąc podnieść starszego mężczyznę na duchu, przystanąłam przy swojej klitce i powiedziałam:

– Widzi pan? Tu jest mój gabinet! Nie oszukałam pana.

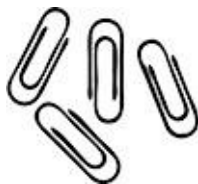
Zmierzył drzwi obojętnym wzrokiem i wzruszył ramionami.

– Możemy iść dalej – zaświergotałam.

I wtedy, właśnie wtedy, dotarło do mnie, czemu ten człowiek się zatrzymał. Nie przystanąłam, żeby pokazać mu drzwi klitki. Przystanąłam, bo on to zrobił.

Bo tuż obok moich drzwi znajdowały się inne. Ze srebrną tabliczką, na której wryto imię i nazwisko: *Jakub Kubiak*.

Rozdział 5



Czemu wiatr zawsze wieje mi w oczy? Miałam neodpartą ochotę walnąć w te drzwi głową, ale zamiast tego podziękowałam po stokroć ochroniarzowi, który bezspornie nadal mi nie wierzył, ale oddalił się bez słowa. Korzystając z samotności, poprawiłam spięte w długi warkocz włosy i jeszcze raz sprawdziłam stan swoich spodni na tyłku. Przydałoby się lustro, ale skąd miałam je wytrzasnąć? Poza tym, szef nie powinien czekać na mnie nie wiadomo jak długo, bo jeszcze pomyśli, że nie potrafię trafić do pokoju obok. Więc trudno, zapukałam.

– Kto tam? – wybrzmiało zza drzwi.

Kurde, spodziewałam się raczej czegoś w stylu: *wejść!* Albo zwyczajnego proszę. No ale ludzie przecież nie urodzili się po to, żeby spełniać moje oczekiwania.

– Ina Mazurek! – Zbliżyłam się, żeby lepiej słyszał. – Pana nowa asystentka!

– Spóźniła się pani!

Ktoś zamasyżuje pchnął drzwi od środka, a skrzydło rąbnęło prosto w mój nos. Potem przyszedł ból. Padłam na ziemię z jękiem na ustach. Naprawdę miewałam lepsze dni.

– O Boże... Jest pani cała?

Winowajca oderwał moje dłonie od nosa. Krew popłynęła bystro prosto do ust. Usłyszałam przekleństwo i wyrwałam się, próbując ponownie zatamować krwawienie. Dopiero wtedy podniosłam powieki i ujrzałam dwoje niebieskich oczu, uważnie badających moją twarz. Nie był to jednak pan ochroniarz.

– Tak... Nic mi nie jest – stęknęłam.

Łypnęłam na mężczyznę jeszcze raz, dla potwierdzenia. Znałam typa. Widziałam go już. I to całkiem niedawno – to on znokautował mnie po rozmowie rekrutacyjnej przed biurowcem!

Chwycił mnie pod pachami i pomógł mi się podnieść, a ja myślałam tylko o tym, że przecież spościłam się okrutnie i to co najmniej krępujące. Chyba to zauważył, skoro po postawieniu mnie na nogach wytarł ręce w materiałowe spodnie.

A potem wmaszerowaliśmy do jego gabinetu.

– Niech pani przyłoży to do nosa – polecił, wciskając mi naręcze chusteczek. Przydały się, bo z nosa tryskało niemal jak z fontanny. Marzyłam o zimnym okładzie.

Mimo to uśmiechnęłam się do niego.

– Miło mi pana poznać. – I wyciągnęłam dłoń, na którą spojrział z odrazą. No cóż, była cała we krwi. Schowałam ją z powrotem za siebie.

– Co ja mam z panią... – Dyrektor stanął nade mną z rękoma na biodrach. Rozpiął guzik śnieżnobiałej koszuli pod samą szyją. – Cholera, to chyba podchodzi pod wypadek w pracy. Co mam zrobić? Wezwać kogoś od BHP?

Machnęłam ręką i oparłam się, bo zakręciło mi się w głowie. Od uderzenia czy nadmiaru wrażeń? Ból nosa powoli ustępował, czyli to pewnie wrażenia.

– Nie ma takiej potrzeby, panie dyrektorze, naprawdę nic mi nie jest – zapewniłam go. – Czuję

się już lepiej.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem. On nie chciał mieć problemów, ja nie chciałam mu ich dostarczać. Nie pierwszego dnia pracy. Przynajmniej dzięki temu zapomniał, że się spóźniłam...

– Gdyby się pani nie spóźniła, nic podobnego by się nie wydarzyło – stęknął z pretensją.

Wycelował palcem w mój nos. No wiecie co? Poddaństwo poddaństwem, uległość uległością, ale przecież to on mnie znokautował. Znowu!

– Zgubiłam się. – Oddaliłam chusteczki od twarzy i odczekałam moment. Krwawienie prawie całkowicie ustąpiło. – Myśli pan, że mieliby w bufecie jakieś mrożonki?

Zmarszczył się.

– Teraz pani myśli o jedzeniu? – Czekałam, aż zorientuje się, co powiedział, i na szczęście ten moment nastąpił: – A, okład... Tak, chyba powinni coś mieć.

I stał tam tak dalej z rękoma na biodrach, przyglądając mi się z niesmakiem. Odnotować: nierycerski. I do tego playboy. Złe połączenie.

– To idę – jęknęłam i podniosłam się, ale dwie silne ręce wylądowały na moich ramionach i znów sprowadziły do pozycji siedzącej.

– No co pani, ja pójdę! – krzyknął, jakby to była moja wina, że w ogóle żyję i jeszcze dycham. Zrobił krok przed siebie i się zatrzymał. – Wie pani, gdzie jest bufet?

To na szczęście wiedziałam, dzięki czemu kilka minut później leżałam na niewielkiej sofie w jego gabinecie z kompotową mieszanką na twarzy. Zalała mnie ulga, więc mogłam myśleć o tym, że nie przerobiłam wszystkich dokumentów, a to oznaczało pracę w domu.

Jednym okiem badałam gabinet przełożonego. Tak wyobrażałam sobie biuro idealne. Jasne, przestronne... Z oknem. Wzdłuż ściany wisiały półki. Dyrektor siedział obok w fotelu, grzebał w telefonie i co chwilę upewniał się, czy jeszcze na pewno żyję. Żyłam i miałam się całkiem nieźle.

Podniosłam się do pozycji siedzącej, a mężczyzna odłożył komórkę na blat szklanej ławy.

– I co? – spytał z przejściem. – Złamany? Może jednak gdzieś to zgłosimy? A jeśli trzeba jechać do szpitala?

Wstałam i zachwiałam się na nogach, kiedy świat wokół zawirował. Na wszelki wypadek zdjęłam buty, gdyż wysoki obcas i zawroty głowy to mieszanka wybuchowa.

– Spuchł? – zwróciłam się do Kubiaka i wyeksponowałam nos.

Dyrektor podniósł się i bardzo próbował nie krzywić się podczas oględzin.

– Czy ja wiem... – Uniósł bezradnie ręce. – Chyba zawsze był sporawy.

Opuściłam głowę i zasłoniłam nos dłonią. No wiecie co? Wyrzuty sumienia powinny zmusić go do bycia miłym!

Jeśli nie ma opuchlizny, powinnam wyjść z tego bez szwanku. Dam sobie jeszcze kilka chwil na wypadek, gdyby organizm postanowił jednak pozbawić mnie przytomności, i dopiero pójdę obadać sytuację w lustrze.

Dziwnie było tak stać przy dyrektorze, a że na wyjście do łazienki chciałam jeszcze poczekać, podeszłam bosą do dziesiątek równiśko poustawianych na półkach książek. Liczyłam na literaturę faktu, coś, co mogłabym sama przeczytać, ale... książki przygodowe i fantastyka? Poważnie?

Dobrze, że po tym uderzeniu w ogóle rozpoznawałam litery.

– Lubi pani czytać? – zagadnął dyrektor.

Odwróciłam się gwałtownie. Tak, brawo ty. Poza zmiążdżeniem nosa, przypraw swoją asystentkę jeszcze o zawał. Tym razem bufet cię już nie uratuje.

– Owszem – odparłam lekko i wróciłam do lustrowania kolorowych grzbietów. – Ale nie jestem fanką literatury pięknej.

Stanął obok. Teraz różnica w naszym wzroście uwypukliła się jeszcze dotkliwiej. Ja: niska i krępa – tak mnie kiedyś podsumowała krawcowa, myśląc, że nie słyszę. Cóż, słyszałam. I zapamiętałam. On natomiast mógł poszczycić się budową atlety. Oczywiście, bo czemu los miałby mu czegokolwiek poskąpić?

– Nie lubi pani czasem wejść w czyjąś skórę, przeżyć coś, o czym normalnie mogłaby pani tylko pomarzyć?

Uniosłam głowę, żeby jego facjata znalazła się w zasięgu mojego wzroku.

– Nie lubię, jak ktoś wciska mi kit. Wolę konkrety, sprawdzone informacje. – Złączyłam kciuk i palec wskazujący. Odwróciłam się do niego całym ciałem, a on zrobił to samo. – Fakty, które są czymś poparte, a nie historie o tym, jak jakiś pierścionek niszczy cały świat.

Nacisnęłam palcem grzbiet *Hobbita* i od razu tego pożałowałam. Kubiak wyglądał na mocno wzburzonego. Najwyraźniej trafiłam na fana fantastyki.

– Jakiś pierścionek niszczy świat? – Nachylił się nade mną. – Zdaje sobie pani sprawę z tego, że Tolkien to geniusz? Poza tym nie trzeba pisać i rozmawiać tylko o tym, co się przeżyło lub zna na wylot. Po to ludzkości wyobraźnia. – Przyjrzał mi się skwaszony. – No dobra, niech pani obejrzy ten nos. Da pani radę dojść sama do łazienki? A może od razu pojedziemy do szpitala, co?

Zapewniłam go, że to na pewno nie będzie konieczne, po czym wybiegłam z gabinetu z myślą, że z zaschniętą krwią muszę wyglądać jak zombie po konsumpcji mózgu. Wzdrygnęłam się na swój widok w lustrze. Czerwony nos, a wokół niego istic artystyczne ślady krwi, rozmazane od oczu aż do brody. Dobry początek znajomości z dyrektorem. Wręcz kapitalny.

Jednak brakowało opuchlizny. To akurat szczęście w nieszczęściu. Jak to powiedział Kubiak: nos zawsze był sporawy.

Napędce doprowadziłam się do porządku i wróciłam do punktu wyjścia. Mój przełożony siedział za czarnym metalowym biurkiem, odwrócony w stronę okna. Postanowiłam wykorzystać ten moment spokoju.

– Mogę pana o coś spytać? – zagadnęłam.

Powoli przekręcił się w moją stronę, zatem przystąpiłam do ataku. Zaczaiłam się i przygotowałam do skoku, jak na drapieżcę przystało.

– Jak nos? – uprzedził mnie.

Ach, zdążyłam już o tym zapomnieć. Szybko mi poszło. Idealny przykład tego, jaką wagę przywiązywałam do swojego zdrowia. Brawo, Ina.

– Dobrze – powiedziałam, pragnąc wrócić do poprzedniego tematu. – Nie spuchł.

Kubiak klepnął z zadowoleniem w blat.

– Ha! Czyli miałem rację, że już był sporawy – oznajmił triumfalnie.

Przełknęłam tę uwagę i wymusiłam uprzejmy uśmiech.

– Dlaczego dostałam tę pracę? – wyplułam.

Mężczyzna przycisnął plecy do oparcia i złączył opuszki palców obu dłoni. Jego oczy rozbłyły złowieszczo.

– Niech mi się pani przyjrzy... – Poluzował wąski granatowy krawat. – Czy ja naprawdę wyglądam pani na człowieka, który zajmuje się sprawami rekrutacji? To ja przeprowadziłem z panią rozmowę kwalifikacyjną?

Zmrużyłam powieki. Po co te retoryczne pytania?

– No nie, ale... – Wyminęłam krzesło przeznaczone dla gości. Rant biurka wbił mi się w uda. – Jest pan dyrektorem generalnym, a to było stanowisko pańskiej asystentki. No i spotkaliśmy się tamtego dnia. Sądziłam, że...

Zamknęłam się, gdy uświadomiłam sobie, co robię. Chciałam usłyszeć, jak przyznaje, że nie zdecydowało o tym nasze spotkanie. Nokaut, krótka rozmowa, moje jęki dotyczące tego, jak bardzo zawałam i pragnęłam posady asystentki. Czy to rzeczywiście mógł być powód? Nie moje kwalifikacje, tylko durny zbieg okoliczności? Nie no, oczywiście, że nie. Człowiek na tak wysokim stanowisku nie zatrudniałby przypadkowego przechodnia, z którym zamienił dwa słowa przed budynkiem.

– Pani... – Rzucił okiem na jakąś kartkę i uśmiechnął się pod nosem. – Malino. Ciekawe imię.

Nienawidzę, gdy ludzie nie zdrabniają tego imienia.

– Wystarczy Ina – podpowiedziłam.

Dyrektor uśmiechnął się szerzej.

– Pani Ino, proszę uwierzyć mi na słowo, nie ja maczałem w tym palce. – Odłożył dokumenty.

– Niech się pani nie doszukuje drugiego dna. Nie ma go.

Jasne włosy opadały mu na czoło, podkreślając wizerunek beztroskiego chłopca. W tym

przypadku nie pomagał nawet garnitur i krawat. Jakub Kubiak nie przypominał kogoś, kto cokolwiek bierze na poważnie.

– N-nie szukam drugiego dna. – Uciekłam spojrzeniem, a gorąc buchnął mi w twarz. – Po prostu...

– Jak pani wie, trzy pierwsze miesiące to okres próbny, ale płatny normalnie. – Oparł łokcie na blacie i przyglądał mi się z uśmiechem, ogromnie z siebie zadowolony. – Bartosz zapewne zapoznał panią z działaniem firmy i pani obowiązkami?

Przytaknęłam i usiadłam w fotelu. Czyli koniec tematu felernego spotkania.

– Dobrze. – Mężczyzna podniósł się i dał mi telefon. – Niech pani odblokuje i wejdzie w kontakty.

– Ale ja już dostałam telefon – wyrwałam się.

Kubiak przewrócił oczami.

– Wiem, ale ten jest wyłącznie na telefony do mnie i ode mnie.

Że co? Kolejne pytania cisnęły mi się na usta, ale przygryzłam wargę i zrobiłam, jak polecił. Weszłam w kontakty. Jeden numer, opatrzony zdjęciem. Dyrektor uśmiechał się do obiektywu z jakiejś tropikalnej plaży, wiatr rozwiały mu włosy i rozchełstał koszulę. Mało profesjonalne zdjęcie. Ale bardzo wyrzeźbiony brzuch.

– Może pani już wyłączyć – ocucił mnie. – Proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy, jeśli pojawią się jakiegokolwiek wątpliwości. Zawsze służę pomocą.

O, tego się nie spodziewałam. Uśmiech sam rozsiadł się na moich wargach. Może niepotrzebnie się martwiłam tym playboyem? Kubiak nie mógł być aż tak zły.

– Ale to działa w obydwie strony – dodał. – Chcę, żeby była pani do mojej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Odwołuję wszystko. To nie skończy się dobrze.

– Po trzecie, może się zdarzyć, że będę czasem potrzebował pomocy w sprawach lekko prywatnych. Proszę się nie martwić, nic wielkiego – ciągnął.

Uniosłam brwi. Lekko prywatnych? Przełknęłam jednak komentarz i pozwoliłam mu kontynuować. On natomiast, zamiast mówić, przespacerował się w stronę okna, oparł się o nie i teatralnie westchnął. Chyba myślał, że gra w jakimś filmie, a jego bohater przeżywa rozterki egzystencjalne.

Doszłam więc do wniosku, że uznał naszą rozmowę za zakończoną.

– Panie dyrektorze?

Odwrócił się z pytającym spojrzeniem.

– Dlaczego mi pan nie powiedział? – drażylałam.

Kubiak uniosł brew i pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nie ma zielonego pojęcia, o czym mówię.

Podrapałam się po karku. Jak ugryźć temat w taki sposób, żeby go nie urazić?

– No wie pan... Wtedy, przed budynkiem... Moja złość, pańskie barki...

Zaczęłam bawić się palcami i spuściłam głowę. Po przeżyciach tego dnia powinnam przespać przynajmniej tydzień. I jakby tego było mało, właśnie dotarło do mnie, że wciąż pozostaję bosa. Gdzie moje buty?

– Ach, dlaczego nie powiedziałem, że zawód syn należy do mnie? – Ton jego głosu wskazywał na droczenie się, ale i tak ukryłam twarz w dłoniach.

– Kurczę, przepraszam – wydukałam.

Jego śmiech sprawił, że się wyprostowałam. W porównaniu z moim, lekko chrumkającym, ten był iście filmowy. Wpatrywałam się w dyrektora dłużej, niż powinnam. Cholera, no miał w sobie jakiś urok.

– Niech pani nie przeprasza za prawdę. – Odchrząknął, jakby zakłopotany. – Gdybym pani wtedy powiedział, nie byłoby niespodzianki. A przyda się nam pani tutaj.

– Tak, ale... – Tupnęłam cicho nogą. – Może pan Tomczak mówił, co go przekonało do zatrudnienia mnie? Skończone kierunki? – podesunęłam. – Znajomość języków? List motywacyjny?

Piątka na dyplomie? Nagroda prezydenta miasta za najlepszą pracę?

Odpowiedziało mi kręcenie głową.

– Nie zająknął się słowem – stwierdził dyrektor. – W ogóle jest małomówny, pewnie pani zauważyła. – Wzdrygnął się. Chyba nie przepadał za asystentem swojego ojca. – Ale może pani charakter? Z tego, co pani opowiadała, mogła go pani powalić podczas rozmowy na kolana...

– Nabija się pan, a ja pytam poważnie – przemówiłam grobowym tonem.

Parsknął. Ta rozmowa zdecydowanie za bardzo go bawiła.

– Pojęcia nie mam – odparł wreszcie z rozbijającą szczerością. – Ale miło, że skończyło się tak, a nie inaczej. Bo rzeczywiście, charakter pani ma, a ja czasem potrzebuję, żeby ktoś postawił nie do pionu. Wie pani, że tak powiem... kopnął w tyłek.

Wybałuszyłam oczy.

– Mam pana kopać? – spytałam.

Uśmiechnął się szeroko, ale zaraz spoważniał.

– To była metafora. Bardzo panią proszę, niech mnie pani nigdy nie kopie.

Rozdział 6



Dwa pierwsze tygodnie pracy sprawiły, że z człowieka przeobraziłam się w kłębek nerwów. Taki kopiący prądem, gdy się go dotknie, wybuchający śmiechem w nieodpowiednich momentach, mamroczący do siebie pod nosem. Wracałam z pracy do pustego domu, mimo że na zewnątrz panował już półmrok, ponieważ tak jak ja zostawałam zbyt długo w Adeline, tak mama wyrabiała nadgodziny w restauracji. Nie miałyśmy nawet chwili, żeby podzielić się rewelacjami z tego, co się u nas działo, przez co poza stresem zżerały mnie jeszcze wyrzuty sumienia. Nie do końca w ten sposób wyobrażałam sobie ten idylliczny czas spędzony w firmie marzeń.

A pracy nie brakowało. Od dwóch tygodni ślęczałam nad prezentacją na najbliższe zebranie, dotyczącą poszerzenia dystrybucji naszej odzieży o kolejne kraje europejskie. Zachodziłam w głowę, czym marka mogłaby się wyróżnić i podczas setnej próby odnalezienia inspiracji na stronie sklepu, doznałam olśnienia – te ubrania zaledwie się od siebie nie różniły. Występowały głównie w rozmiarze oversize, raziły kolorami lub wręcz przeciwnie, zostały z nich wyprane, a ponadto nadawały się do noszenia na co dzień lub do uprawiania sportu. Następnie rozejrzałam się po pracownikach firmy. Nie mieli szansy reprezentować marki, dla której pracowali. Ubrani w białe koszule, garnitury, zbyt ciasne spódnice i kombinezony...

Tego potrzebowaliśmy. Ubrać pracowników w nasze produkty! To znaczy... ja tak uważałam i zamierzałam przekonać do tego pozostałych.

Ustami Kubiaka. Bo to on miał wygłosić tę błyskotliwą prezentację.

Skoro jednak o nim mowa, każdego dnia konsekwentnie odbierał mi kolejną cegiełkę radości z życia i ogólnego zadowolenia. Dzwonił w środku nocy, każąc wezwać dla siebie taksówkę pod klub. Poleciał przynosić kawę, ale nie byle jaką, tylko karmelową z kawiarni dwie ulice dalej, wciąż ciepłą, więc codziennie rano odbębniałam jogging, pędząc jak porąbana z kubkiem w ręku przez zatłoczone ulice stolicy. I co najgorsze, nie czytał niczego, co mu przesyłałam. Mogłam zobaczyć, że wszystkie maile z danymi i propozycjami pozostawały nieodczytane. Zgadzał się na wszystko, nawet nie zapoznając z pomysłami.

Tak zaczynałam każdy dzień – od sprawdzenia, czy wreszcie zajrzał do tego, co mu wysłałam, i codziennie doznawałam tego samego rozczarowania. Moje marzenia o wykorzystaniu swojej wiedzy i kreatywności ledwie dychały. Zawzięcie tkwiłam w papierach, czytałam, liczyłam, tworzyłam biznesplany, szacując, jaki wariant będzie najatrakcyjniejszy dla firmy, pozwalając, by dzień zmienił się w noc, a on... A on nic. Jakby sprawdzał, ile potrafię znieść. Źle trafił. Okazałam się wyjątkowo wytrwałą zawodniczką.

Jedyne, czego byłam pewna, to tego, że Kubiak wreszcie coś przeskrobie. Za każdym razem, gdy telefon zaczynał dzwonić po godzinach pracy, oczyma wyobraźni widziałam, jak pędzę do klubu, gdzie Kubiak leży nieprzytomny z przepicia, wokół tłoczą się paparazzi, a ja wpadam w tłum, przerzucam szefa przez ramię i zawożę do domu. Później, na konferencji prasowej, wydaję oficjalne

oświadczenie w telewizji, że Jakub Kubiak zasłabł wskutek przepracowania, odwodnienia i zagłodzenia, podczas spotkania z sierotami w... klubie Hot Night. Muszę to jeszcze dopracować. Zerwałam się na równe nogi na odgłos pukania. Kubiak przecież nigdy nie pukał. Wchodził do mojej klitki jak do siebie. Z nikim się nie zintegrowałam, więc nowi znajomi też odpadali. Starych z kolei nie miałam...

Moje życie towarzyskie naprawdę pozostawiało wiele do życzenia.

W szparze drzwi pojawiła się głowa Bartosza Tomczaka. Dokładnie tego samego, który spławił mnie na rozmowie kwalifikacyjnej, a potem jednak przyjął. Od tamtego dnia go nie widziałam.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się niepewnie i przekroczył próg, chociaż wciąż trzymał rękę na gałce. – Sprawdzam, czy nadal pani u nas pracuje, bo nigdzie pani nie widać.

Zaśmiałam się nerwowo i zaraz odchrząknęłam. Cholera, jakbym wiedziała, że będę mieć gości, przynajmniej bym posprzątała, a tak to na biurku stały trzy kolorowe kubki po kawie, w tym jeden już kwitnący.

– Pracuję, pracuję... – Zaśmiałam się raz jeszcze, chwytając zapleśniały kubek i chowając go za laptopem. – Po prostu... nie wychodzę stąd zbyt często. – Zabrzmiało żałośnie. – Wie pan, pracy nie brakuje. Ciągle coś robię.

Zacisnęłam zęby w oczekiwaniu na jego szyderczy śmiech, bo pewnie tylko nieudacznicy siedzą zamknięci w klitce i nie otwierają do nikogo gęby. Drwina jednak nie nadeszła. Posłał mi tylko porozumiewawcze spojrzenie i pokręcił głową.

– Ale chyba pani coś je, prawda?

Co to w ogóle za pytanie? Zlustrowałam żółtą paczkę po niedojedzonych, wilgotnych już krakersach. Czy jem? Jak nie zapomnę wziąć czegoś z domu, to i owszem. Raz Kubiak wielkodusznie poczęstował mnie czekoladowym cukierkiem, chyba miał dobry dzień. Jem, jem, odpowiadam samej sobie w myślach. Wczoraj późnym wieczorem zamiast obiadu zjadłam czekoladę na raz. Pyszna była. Z kawałkami nieodpłatnej pracy po godzinach. – Oczywiście! – Ręką zaprosiłam go, żeby usiadł, i sama zrobiłam to samo. – W końcu nie samą pracą człowiek żyje, czyż nie?

Och, poza staniem się kłębkim nerwów, okazywałam się również hipokrytką i kłamczuchą.

Wytarłam spocone dłonie o materiałowe spodnie. Z jednej strony pomyślałam, że to zdrowe – odezwać się do człowieka, który nie jest Kubiakiem. Z drugiej, chyba już zapomniałam, jak rozmawiać z normalnymi ludźmi.

Szczególnie takimi z miłym uśmiechem i modnymi okularami. O co chodzi z tą słabością do okularów? To jakiś fetysz? Okularnicy zawsze tak na mnie działali. Co prawda zazwyczaj moje zauroczenia dotyczyły postaci filmowych, a nie istniejących w rzeczywistym świecie... ale to właśnie było w nich najlepsze. Nieistniejącymi nie można się rozczarować.

– Pytam, bo w bufecie jest przynajmniej szansa na zawarcie jakichś znajomości. – Tomczak rozejrzał się po klitce i jak na zawołanie żarówka zamigotała, ogłaszając wszem i wobec, że stan mojego „biura” jest gorszy niż krytyczny. – Tutaj nie pozna pani wielu ludzi.

Wzruszyłam ramionami, starając się jednocześnie uprzątnąć trochę bałagan na biurku.

– Szczerze powiedziawszy, poszukiwanie znajomości nie jest teraz moim priorytetem – przyznałam.

Cholera, w głowie brzmiało to lepiej. Podrapałam się po nosie, który zaczął niemożliwie swędzieć. Skąd w ogóle pomysł na zagadywanie człowieka o takie sprawy? Czy mam napisane na czole, że dokucza mi samotność?

– Chodzi mi o to, że... – dukałam, starając się wyjść z tej niezręcznej rozmowy obronną ręką. Teraz swędział mnie też policzek. O, i szyja. A więc mam uczulenie na interakcje społeczne. Świetnie. – Teraz praca jest moim priorytetem. Chcę dać z siebie wszystko.

Oderwałam rękę od twarzy i uderzyłam obydwoma o uda. Bartosz intensywnie się nad czymś zastanawiał – prawdopodobnie szukał drogi ucieczki. Gdyby spytał, powiedziałabym mu, gdzie wisi plan ewakuacyjny, ale że milczał...

– Nie jest pani chyba jednym z tych robotów, które przekładają pracę nad wszystko inne? – spytał.

No i masz babo placek. Przejrzał mnie. Oto ja – cholerny pracuś. Nie potrzebuję przyjaciół,

rodziny i czasu dla siebie. Nie potrzebuję też nawodnienia i pożywienia. Mój organizm zaspokaja się obliczeniami.

– Więc jednak – kontynuował Tomczak. – A myślałem, że tylko ja mam ten problem.

Moje oczy zabłyśły. Czyżbym właśnie odnalazła bratnią duszę w tym niewdzięcznym świecie, pełnym osobników gardzących wysiłkiem?

– To pan też...? – Urwałam.

Co miałam mu powiedzieć? „Pan też jest taki jak ja?”. Zupełnie jakby statek kosmiczny wyrzucił nas w dzieciństwie na planetę Ziemię, a my po wielu latach wreszcie się odnaleźliśmy. Po tylu traumach, nieporozumieniach, ściskającej za gardło samotności...

– Czy jestem pracoholikiem? – Tomczak oblizwał jasnorożowe wargi i uśmiechnął się półgębkiem. Odgarnął z czoła czarne loki. – Chyba można tak powiedzieć. Sam wolę nazywać siebie ambitnym, chociaż mój okulista pewnie by polemizował... – Zdjął okulary i przetarł oczy. – Regularnie dostaję naganę za męczenie oczu i walczę z zapaleniem spoj... – Parsknął. – Nie wiem, czemu pani o tym mówi.

Biedny, zostawiłam go samego na polu bitwy i ostatkiem sił walczył o kontynuację naszej konwersacji. Powinnam natychmiast się poprawić – zmarszczyłam brwi, pogładziłam podbródek i spytałam zaintrygowanym głosem:

– Zapalenie spojówek?

Proszę, po dwudziestu czterech przeżytych latach nareszcie dotarło do mnie, dlaczego nie miałam przyjaciół. Nie potrafiłam w ludzi. – Taaak – przyznał, przeciągając to słowo w nieskończoność i patrząc na wszystko, tylko nie na mnie. – Ale jak tak sobie teraz myślę, może to dobrze, że jada pani tutaj sama.

Hola, hola. Zdaję sobie sprawę, że rozmówczynią jestem tragiczną, ale żeby od razu insynuować, że powinnam tkwić zamknięta w klitce do końca życia?

– Słucham? – bąknęłam.

Okularnik wziął głęboki wdech i pochylił się konspiracyjnie w moją stronę. Poczułam presję, więc również się pochyliłam. Co innego miałabym zrobić?

– Wie pani, jeśli jest się blisko szefostwa, każdy uprzejmie się uśmiecha, ale na pogawędki raczej nie ma co liczyć. – Wyprostował się. – Ludzie przerywają rozmowy na nasz widok, zupełnie jakby byli na cenzurze, a my jakbyśmy tylko czekali, aż powinie im się noga.

Przytaknęłam w milczeniu. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Jak gdyby los dał mi szturchańca. Co innego wieść samotne życie z wyboru, a co innego zostać odrzuconym. Kilka razy przez to przechodziłam. Bolało.

Już nabierałam powietrza, by powiedzieć coś na rozładowanie sytuacji, kiedy drzwi klitki otworzyły się na oścież. Kubiak przeciągnął po nas zamglonym wzrokiem i wreszcie odnalazł mnie w tym dwuosobowym tłumie. Jego twarz się rozjaśniła.

– Pani Ino – powiedział słabym głosem. – Poproszę panią do mojego gabinetu. Migusiem.

Zmierzył jeszcze wzrokiem Bartosza. Wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie zrezygnował i zatrzasnął drzwi. Z przerażeniem spójrzałam na nadpsutą gałkę – pewnego dnia odpadnie, drzwi się zatrzasną, a ja tu umrę.

Asystent dyrektora zerwał się z miejsca, pożegnał w pośpiechu i zaraz też go nie było. Nie zdążyłam mu nawet odpowiedzieć. Co z nimi?

Przed drzwiami gabinetu Kubiaka jeszcze raz odetchnęłam. Wciągnęłam do płuc powietrze wypełnione mocnymi zapachami płynu do mycia podłóg, kawy i pączków. Dzisiaj pączkowy piątek, który co poniektórzy kochają jeszcze bardziej od owocowych czwartków. Tak przynajmniej słyszałam, gdy przemykałam niezauważona do toalety.

Dyrektor patrzył przez okno. Zamknęłam drzwi, a on powoli odwrócił się w moją stronę. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli czegoś nie odwalił. Ta twarz. Te jasne, błędzące oczy. Blond włosy rozczochrane jeszcze bardziej niż zwykle. Pomięta koszula. Nerwowe uderzanie palcami o podłokietniki...

– Pani Ino – przemówił ponurym głosem. – Oto nadszedł czas prawdziwej próby.

I to tak bez klubu? Przepicia? Paparazzich?

Usiadłam, czując, że nogi mogą się pode mną ugiąć, on zaś podniósł się i stanął nade mną. Patrzył na mnie, jakby chciał mi powiedzieć, że bardzo mu przykro, ale jednak nam nie wyjdzie. Że mnie kocha, ale bardziej kocha siebie.

Chwila. Ale to chyba nie mowa zwalniająca?

– Musi mnie pani kryć – oświadczył.

Wsluchalam się w siebie. Co było silniejsze? Ulga czy lęk?

– Co muszę?

Zaczął chodzić po gabinecie, widocznie poirytowany, podczas gdy ja walczyłam ze sobą. Do tej pory bez mrugnięcia okiem wykonywałam wszystkie, nawet najbardziej absurdalne polecenia. Nie skarżyłam się, nie ripostowałam. Co pomyślałam, to moje, ale twarz każdorazowo ubierałam w życzliwy uśmiech. Tylko z czasem sprawiało mi to coraz więcej trudności.

– Pierwsze razy są najgorsze, wie pani? Zawsze muszę tłumaczyć swoim asystentom, co i czemu, a oni się dziwią i zadają zbyt dużo pytań. Problemem są pytania. Czyli żadnego nie zadam. Łyknę wszystko, co mi zaserwuje.

– Widzi pani, nie pojawiłem się na spotkaniu – wykrztusił szybko, jakby chciał zerwać plaster.

Drgnęła mi powieka. Palce zacisnęły się na podłokietnikach.

– Ale nie na tym, na które dokumentację przygotowywałam przez ostatni tydzień, prawda? – Podniosłam się, chichocząc. Boki zrywać. – Bo jeśli teraz nie zgłosilibyśmy naszego projektu, nie moglibyśmy go przedstawić na następnym. Wiedział pan o tym. Przypominałam panu. – Spojrzałam mu głęboko w oczy. Głębiej się już nie dało. Z pewnością dotarłam do jego duszy, pochowanej na dnie Atlantyku. – Codziennie od tygodnia.

Dyrektor machnął ręką, jakbym była upierdliwą muchą.

– Bardzo możliwe, że na tym – rzucił tak lekusiętko. Niczym piórkiem. – W każdym razie chodzi mi o to, że musi pani powiedzieć mojemu ojcu, że nie mogłem przyjść, bo byłem chory.

Moja kolekcja ubrań. Sześć odrębnych biznesplanów. Tyle godzin pracy.

– Słucha pani?

Ocknęłam się. Spojrzałam na niego, jakbym pierwszy raz widziała go na oczy. W uszach mi szumiało. W opuszkach palców pulsowało pragnienie zemsty.

– Dlaczego... miałabym okłamywać prezesa? – wydusiłam.

Kubiak prychnął i uśmiechnął się arogancko. Stanął przede mną z rękoma na biodrach. Starał się być większy. Chciał pokazać, że jest górą. Co to, to nie.

Wyprostowałam się. Wciąż daleko było mi do niego, ale założyłam ręce na piersiach i zmarszczyłam brwi.

– Bo to polecenie służbowe – szepnął beczelnie.

Och, ty...

– Och, tak? – westchnęłam. – A skoro nie było pana na tak ważnym zebraniu, to gdzie pan był? Bo na obłożnie chorego to mi pan nie wygląda. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak pięć złotych. Rozchylił usta ze zdumienia. Na ten widok jakiś głosik z tyłu mojej głowy zaczął powtarzać, że powinnam się natychmiast uspokoić, ale... ale... Jeśli kłamstwo wyjdzie na jaw, Kubiak nie stanie w mojej obronie. Powinnam strzelać do bramki prezesa, a nie jego syna.

– To nie pani sprawa – stęknął rozdrażniony. – Pani myśli, że kim jest?

Zbliżyłam się o krok. Na bank wylażyły mi wszystkie zmarszczki na czole. Ile bym ich nie smarowała kremami, i tak nie znikwały. Ale to dobrze, dzięki nim wyglądałam na starszą. Bardziej doświadczoną.

– Nie moja sprawa? A jednak mam podłożyć swoją głowę. – Zapanowałam nad głosem, który podniosłam. – Skoro już mam kłamać, to przynajmniej chcę wiedzieć, jakie są szanse, że wszystko się wyda, a ja wylecę na zbity pysk. – Przemysślałam swoje zachowanie i szybko dodałam: – Panie dyrektorze.

Kubiak nadal pozostawał w szoku, a moje serce powoli zwalniało. Ciśnienie opadło, szum ustał. Powrócił rozsądek, który teraz darł się wniebogłosem, że przeięłam na całej linii. Dałam się ponieść

emocjom. Problem polegał na tym, że w tym wypadku widziałam tylko jedną opcję: kopać dalej. Jeśli teraz bym się wycofała, nie odpuściłby mi. Na tyle go już przejrzałam, by to wiedzieć.

Okazanie słabości wiązało się z przegraną.

– Byłem w domu – powiedział.

Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej tym razem celnie trafiłam i dyrektor podjął grę.

Szkoda tylko, że kłamał jak z nut.

– Jeśli mamy siedzieć w tym razem, to musi pan współpracować – stwierdziłam.

To jeden z tych momentów, gdy wiesz, że możesz wiele stracić, a mimo wszystko grasz *va banque*. No bo jednak gdyby ktoś go gdzieś widział, a ja skłamałabym prezesowi, pewnie szybko by się mnie pozbyli. W nosie miałam, co stanie się z Kubiakiem, gdy prawda wyjdzie na jaw. Martwiłam się o siebie.

Poza tym gniew ojca ewidentnie go przerażał. Świadczyły o tym niespokojny wzrok, błądź i nerwowy chód.

– Panie dyrektorze... – Sięgnęłam po kartkę, która leżała na biurku, gotowa na notatki. – Gdzie pan był? Z kim? I jak długo?

– Pani chce to spisać?

Spojrzałam na niego wymownie, z miną pokerzystki.

– Jeśli mam być skuteczna, potrzebuję planu – oznajmiłam. – Słucham.

Zapadła cisza. Dyrektor zmrużył niebieskie oczy i przyglądał mi się przez długie sekundy. Wyglądał, jakby oceniał w myślach, czy jestem godna zaufania. Przeszłam z nogi na nogę i poprawiłam dekolt szarej koszuli. Będzie gadał czy nie?

– Hotel Mazowsze – przemówił. – Z Anną Szymczak, z dwie i pół godziny. Nie więcej.

Zanotowałam.

– Pokój zarezerwowany na pana nazwisko? – spytałam.

Potrząsnął głową.

– Na jej.

– Ktoś was widział?

Ponownie szybki przeczący ruch.

– Tylko obsługa.

– Albo aż – skwitowałam.

Zapisałam to, po czym, ku jego zdziwieniu, podarłam kartkę i wyrzuciłam do kosza. Niestety, skoro wszystkie znaki na niebie i ziemi na coś wskazują, tylko głupiec łudzi się, że jest inaczej. Ten sam głupiec później zbiera szczękę z ziemi. Albo serce. Bo z tym różnie bywa. Ja na szczęście od początku poznałam się na Kubiaku. No, może nie za pierwszym razem, ale już w dniu, w którym pan Waldemar, czyli nasz ochroniarz, dał mi wyraźną ku temu podstawę. Od tamtej pory czekałam. I się doczekałam.

Kubiak był tylko synem bogatego ojca, który za nieswoje pieniądze lubił zabawić się przez dwie i pół godziny w hotelowym pokoju, zamiast iść na zebranie. Takie to proste, przewidywalne i rozczarowujące.

– Niech pan zdejmie marynarkę – poleciłam mu.

Poruszył ramionami, jak gdyby zamierzał tańczyć.

– Nie sądzę, żeby to było stosowne. – Uśmiechnął się zalotnie. – A przynajmniej, wie pani, nie tutaj...

Skwasiłam się i nie powstrzymałam przed wyrzuceniem z siebie szybkiego „fuj”, na które dyrektor momentalnie się wyprostował i cofnął.

– No wie pani...

Obrażony zdjął granatową marynarkę. Posadziłam go w fotelu, nakazałam poluzować krawat, rozpięłam mu dwa górne guziki koszuli. Był tak naburmuszony, że milczał, nawet gdy pudrowałam mu twarz, dzięki czemu jego skóra stała się jeszcze bledsza.

Zaparzyłam herbatę, zalewając szklankę wodą do połowy, jakoby już trochę upił. Wyciągnęłam też wszystkie możliwe tabletki z torebki i rozłożyłam artystycznie na biurku, mając nadzieję, że nikt nie wyłapie, że większość z nich to rozkurczowe i na ból zatok.

Złość dyrektora powoli łagodniała, biło od niego zadowolenie, a ja z każdą chwilą szanowałam siebie coraz mniej. Po to ta ciężka praca, Ina. Po to te lata edukacji, nadgodziny... Po to.

Schowałam puder z powrotem do torebki, kiedy do gabinetu wpadł niewysoki łysy człowiek. Zdebiałam. Widziałam go na zdjęciach.

– Co ty sobie wyobrażasz, co?! – wrzasnął, gdy tylko drzwi się za nim zatrzasnęły. – Myślisz, że w nieskończoność będziesz robić ze mnie idiotę?! – Opierał się o biurko i chyba tylko ono powstrzymało go przed rzuceniem się na Kubiaka z pięściami. Swoją drogą, nie byłam pewna, czy próbowałabym go powstrzymać. – Ciekawe, jaką będziesz miał minę, jak naprawdę pewnego dnia odetnę cię od...

Przerwał. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Ja próbowałam wtopić się w ścianę, a on dyszał złowieszczo z pulsującą na skroni żyłą. Wyprostowałam się i kiwnęłam głową na powitanie. Czyli z wtapienia nici.

– Pani jest jego nową asystentką?! – Na mnie chyba też krzyczał.

Przytaknęłam bez słowa. Ależ opalenizna! Ktoś tu właśnie wrócił z wakacji.

– Myślałem, że wyraziłem się dość jasno na ten temat. – Znów zwrócił się do swojego syna. – Miałeś zatrudnić kogoś kompetentnego!

No wiecie co! Zacisnęłam pięści. Zrobiłam głośny krok do przodu, wypięłam pierś i wyparowałam:

– Jestem kompetentna! – Och, nie, nie, nie. – Szanowny panie prezesie.

Czy ja właśnie dygnęłam?

Chyba tak, bo obydwaj wpatrywali się we mnie z otwartymi ustami. Czyli czas obronić swoją reputację.

– Wiem wszystko na temat tej firmy i jestem ekspertką marketingu oraz zarządzania. Ukończyłam świetną uczelnię i mam ogromną wiedzę, co udowadniam każdego dnia w tej pracy. – Policzki mi płonęły. Przelotnie ich dotknęłam, tylko się o tym upewniając. – Od dwóch tygodni pracowałam nad projektem, który miał dzisiaj zostać przedstawiony zarządowi, ale... – Urwałam i spojrzałam w oczy Kubiaka. Przemieliałam język w ustach. – Ale dyrektor od rana czuł się podle. Dlatego nie mógł uczestniczyć w dzisiejszym zebraniu.

Czyli tak boli złamane serce. Czujesz, że mogłoby stać się coś jeszcze; że historia nie została dokończona, a jednak ktoś wchodzi na scenę i siłą cię z niej ściąga.

Za włosy.

– Proszę pani, to nie pierwszy raz, kiedy słyszę, że ten gamoń podle się czuł, jak to pani pięknie ujęła. Akurat magicznie w dniu zebrania! – Prezes trzasnął pięścią w blat. Choleryk. No typowy choleryk. Wypisz, wymaluj. – Mogę się założyć, że znów obracał jakąś tanią lalę!

Tego bym się w życiu nie spodziewała. Biznesmen, prezes firmy, szanowany człowiek, tak często nagradzany... i takie słownictwo? I to jeszcze przy asystentce jego syna?

Uniosłam palec wskazujący i wystąpiłam jeszcze bardziej do przodu. Nie zdziwiłabym się, gdyby para szła mi uszami. Przeięli. Wyobrażając sobie Adeline, widziałam wiecznie uśmiechniętych hipisów stąpających po łąkach, łapiących motyle tylko po to, żeby zaraz je wypuścić. A nie to. Co to ma być?

– Z całym szacunkiem, panie prezesie, ale nie uważam, żeby pomiatanie kobietami w jakikolwiek sposób tutaj pomogło – wycodziłam. – To nie one są winne zachowaniu pana syna, a i fakt, że wierzą w jego piękne kłamstwa, nie czyni ich tanimi. – Co ja najlepszego robiłam? Wybrnij, Ina.

Wybrnij natychmiast! – A poza tym, nie mam powodu, żeby pana okłamywać. Mogę panu w tym momencie przesłać propozycję projektu oraz całą prezentację na przyszłe zebranie, ponieważ jest już skończona. Nie po to tak ciężko nad nią pracowałam, żeby teraz kłamać panu w twarz.

Wszyscy troje byliśmy w szoku. Prezes był w szoku. Kubiak był w szoku i ja też byłam w szoku. Serce waliło mi tak mocno o pierś, że ledwie oddychałam. Żołądek ścisnął się w ciasny supeł i zemdlilo mnie, przez co przypomniałam sobie, że jeszcze nic nie jadłam poza jednym wilgotnym krakersem.

Prezes spojrzał na Kubiaka, który natychmiast przybrał minę męczennika, następnie obrzucił

szybkim spojrzeniem listki tabletek porozrzucane po biurku. Podrapał się po czubku głowy. Przetwarzał.

– Ma pani jaja – powiedział swoim zachrypłym głosem, celując w mój nos palcem. – Tylko dlatego jeszcze dzisiaj pani nie polecą. Ma pani pięć minut na przesłanie mi projektu od momentu zatrzaśnięcia się za mną tych drzwi. – Wskazał je. – Ale niech mój syn opuści jeszcze chociaż jedno zebranie, a inaczej będziemy rozmawiać.

Przełknęłam głośno ślinę, lecz wytrzymałam spojrzenie tych zimnych oczu.

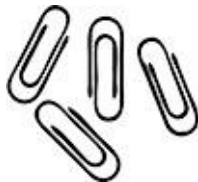
– Jedno zebranie – powtórzył prezes. – A zdegraduję go i utnę pensję. I jeśli będzie chciał awansu, to sobie na niego zapracuje. Jeśli zapragnie urlopu, będzie ścigać się o niego z innymi. I zamiast na Majorkę, pojedzie w najlepszym razie na Mazury. Jasne?

Przytaknęłam, chociaż powinien to chyba zrobić Kubiak. Mowa była przecież o nim.

– I jeszcze jedno – wycedził. – Mam nadzieję, że połączyła pani już fakty i wie, że jeśli on wyleci, to pani razem z nim.

Wnętrznosci wywróciły mi się na drugą stronę. Nie na to się pisałam. To nie jest przykład jednej wielkiej hipisowskiej rodziny. Gdzie moja łąka? Gdzie tęcza i szczęście?

Rozdział 7



– Panie dyrektorze, wybiera się pan gdzieś?

Siedem dni. Tyle minęło od momentu, w którym prezes zagroził nam obydwójgu zwolnieniem. Chociaż nie, wróć. Chyba bardziej mi. Cały ten czas dopieszczałam więc prezentację w nadziei, że jeśli teraz pokażemy się od jak najlepszej strony, wspomnienie dotychczasowych błędów nieco się zatrze. Mówiąc nieco się zatrze, wyobrażałam sobie raczej gumkę do ścierania wielkości Pałacu Kultury i Nauki, dzięki której wyczyściłabym wszystkim pamięć. Napięcie rosło z każdym dniem, tym bardziej że Kubiak zaczął odczytywać moje maile, a nawet dostałam od niego pakiet uwag. Na ostatnią chwilę, co prawda, przez co musiałam zarwać nockę, żeby wszystko wprowadzić. Ale jednak. Mogło to świadczyć o tym, że zmienił strategię. Może się przestraszył? Doświadczył oświecenia? Zmądrzał?

Oj, nie. Przeszarżowałam. Na to ostatnie raczej nie mogłam liczyć. Takie rzeczy widać po oczach. Jego pozostały próżne i nieobecne, jak gdyby był tutaj, ale jednocześnie marzył, aby znaleźć się gdzie indziej.

Spróbowałam przełknąć gulę, która pojawiła się w moim gardle. Ponad wszelką wątpliwość wybierał się gdzieś na pół godziny przez zebraniem. Przymierzał przed lustrem krawaty, nucąc sobie coś pod nosem. Przechadzał się po biurze tanecznym krokiem. Zlustrowałam całe wielkie pomieszczenie: jego biurko – puste; stolik na kawę ściśnięty pomiędzy musztardową sofą i fotelem – pusty. Podeszłam do fotela – pusty. Do sofy – pusta. Obeszłam Kubiaka dookoła... Nic.

Ani śladu wydrukowanej prezentacji.

– Który?

Dyrektor stanął przede mną i począł przykładać do siebie raz zgniłozielony krawat, a raz jasnozielony. No to zaczęłam myśleć: zastrzelić go czy poćwiartować?

Nie czekał na odpowiedź. Machnął mi przed nosem zgniłozielonym, dając do zrozumienia, że już postanowił, i przełożył go przez głowę, narzucił na siebie czarną marynarkę i już mój skowroneczek był gotów do wyjścia.

Po moim trupie.

Zatarasowałam mu drogę własnym ciałem.

– Zebranie jest za pół godziny. – Zacisnęłam powieki, ponieważ jedynie to mogło mnie uspokoić. – Nie zdąży pan. Prezes nas zwolni.

Otworzyłam oczy tylko po to, żeby przekonać się, że dyrektor uśmiecha się z politowaniem.

– No nie, chyba nie wzięła pani tego na poważnie? Pani Ino, mój ojciec histeryzuje tak przynajmniej dwa razy w miesiącu. – Wzruszył lekceważąco ramionami. – To nie pierwszy raz i jak pani widzi, nadal tutaj jestem i mam się świetnie. Zresztą do lotniska jest rzut beretem. Ani się pani obejrzy, będę z powrotem.

Do lotniska? To przynajmniej dwadzieścia minut w jedną stronę. Przy dobrych wiatrach. A jeszcze droga powrotna? Śniadanie podeszło mi do gardła. Patrzyłam bezradnie, jak mężczyzna cofnął się po teczkę, o której sobie przypomniał, jeszcze raz sprawdził swoje odbicie w lustrze szafy i ruszył

pewnym krokiem w moją stronę.

– A projekt? – stęknęłam rozpaczliwie. – Jest świetny. Moglibyśmy...

– Te ciuszki? – Skwasił się. – Miałoby to może szansę się przebić, gdyby pani wzięła pod uwagę nie tylko pracowników firmy – mówił tak znudzonym tonem, że miałam ochotę wymierzyć mu cios w żołądek – ale i pracowników sklepów. To z nimi nasi klienci w głównej mierze się stykają. My możemy być chodzącą reklamą, nie mówię, że nie, ale stać panią na więcej.

Czułam się tak, jakby mi co najmniej sprzedał prawy sierpowy.

– Ale... Nie chodziło tylko o...

– A poza tym położyła się pani w obliczeniach już na początku, przez co reszta też poleciała. Poprawki trochę zajmą. Czy pół godziny starczy? – Wzruszył znów ramionami i zmarszczył nos. – Wątpię.

Opuściłam ręce. Po prostu mi opadły.

– Gdzie? – wyrzuciłam.

Kubiak westchnął poirytowany i spojrział na zegarek.

– Niech mnie pani natychmiast wypuści – rozkazał. – Nie mam teraz czasu na głupoty.

Potrząsnęłam głową. Nigdzie nie pójdzie. Szczególnie teraz, gdy połamał mi skrzydła i zachowywał się tak, jakbym mogła sobie na nich dalej latać. Musiałam znaleźć ten błąd. Poprawić go. Dopisać przynajmniej wzmiankę o uniformach dla personelu sklepów stacjonarnych, chociaż to nie one stanowiły główny zamysł projektu. Chodziło nie tyle o samą promocję, co rozszerzoną ofertę ubrań, ale tego chyba już nie doczytał.

– Dlaczego nie powiedział mi pan wcześniej o błędzie? Przecież odsyłał mi pan swoje uwagi!

W pierwszym odruchu dyrektor wyraźnie planował zdrwić, ale w moich oczach pojawiły się łzy. Mrugałam jak opętana, żeby je odpędzić, na nic się to jednak zdało.

Widocznie zakłopotany Kubiak podreptał w miejscu.

– Proszę nie brać tego do siebie, to fajnie, że jest pani taka ambitna, ale... – Potarł szeroki podbródek. – Nie ma sensu startować w tych zawodach. Pani projekt jest niedoszlifowany, ale dopiero pani zaczyna, więc można pani wybaczyć. Poza tym ojciec i tak wybiera zawsze pomysły Bartka.

Niedoszlifowany? Pracowałam nad tym tak długo. Włożyłam w to całą swoją energię, serce i wyobraźnię. Sądziłam... że im się spodoba. Spodziewałam się, że zarząd oszaleje z zachwytu. Nie przyznałabym się do tego przed sobą, ale właśnie na to liczyłam. Uświadomiłam sobie to teraz, stojąc przed nim ze spuszczoną głową, kiedy jedna z łez zaplątała mi się pomiędzy rzęsami i spłynęła po policzku.

– Poprawię to – wykrztusiłam, wycierając twarz. – Poprawię to, niech pan tylko się nie spóźni.

Błagam. Ja... kryłam pana!

Przechylił głowę. Stopą uderzał o panele.

– Sam pan przecież o to prosił. – Serce waliło mi jak oszalałe. – O to, bym w razie potrzeby kopnęła pana w tyłek. No to pana kopię! – Zaciśnęłam pięści, bo już znalazłam się o krok od chwycenia go za chabety. – Niech pan posłucha tylko ten jeden raz. Błagam. Tylko ten raz. Dojrzałam go – błysk zawahania. Mignął w ułamku sekundy, objawiając się słabością, jakimś pieruńskim współczuciem, łagodnością.

I równie szybko, co się pojawił, zniknął w cholerę.

– Przykro mi, ale asystentka nie będzie mi mówiła, co mogę, a czego nie. – Dyrektor chwycił mnie za ramię i przesunął. Niby zrobił to delikatnie, a jednak miejsce, za które złapał, paliło. – Zmarnowała pani mi i sobie dziesięć minut, więc jeśli nie zdążę na to bardzo poważne spotkanie, będzie pani mogła podziękować samej sobie.

I wyszedł. Tak po prostu. Stałam tam jeszcze moment, pociągając nosem, chociaż już żadna łąza nie ośmieliła się pojawić. Dobrze sobie, moja wina.

Tylko że mnie nie powstrzyma byle dupek. Nie poddawałam się łatwo. Kiedy nauczyciel historii odciął pasek, którym przywiązałam się do drzwi klasy, wystąpiłam na najbliższej radzie pedagogicznej z prośbą o zorganizowanie uzupełniających lekcji o wielkich kobietach. Napisałam oficjalne podanie i złożyłam je w gabinecie dyrektora, a pomysł spotkał się z entuzjazmem pedagogów. Zajęcia się odbyły.

Samodzielnie składałam swoje skrzydła na nowo, niezależnie od tego, ile razy mi je połamano. Teraz miałam zamiar zrobić to samo. Popędziłam do klitki i w pocie czoła dopisałam pomysł o strojach dla pracowników sklepów stacjonarnych. Nie zdążyłabym zrobić nowych obliczeń, ale odnalazłam błąd w pierwotnej wersji prezentacji, chociaż dopiero po długich minutach spędzonych na studiowaniu pierwszych kilku stron. Z piersi wyrwał się jęk frustracji. Nie zdążę tego wszystkiego naprawić. Zrobię to przynajmniej jako tako.

Na posklejanych skrzydłach też można latać.

Powtarzałam sobie te słowa raz za razem, a w szczególności kiedy weszłam za tłumem do ciemnej sali konferencyjnej, w której królował projektor. Żadnych świateł poza poświatą, która padała na białą tablicę. Zlustrowałam długi prostokątny stół, zastawiony dzbankami z kawą oraz herbatą, i policzyłam krzesła, a potem ludzi znajdujących się w pomieszczeniu. Dziesięcioro, włącznie ze mną. I dziesięć krzesel, a zabrakło Kubiaka. Czyli nie powinnam siedzieć ze wszystkimi, w przeciwieństwie do Bartosza. Dla niego znalazło się miejsce, chociaż był tylko asystentem.

Dla asystentki dyrektora miejsca zabrakło.

Stałam w drzwiach, udając nieudolnie, że przeglądam komórkę. Co innego miałam ze sobą zrobić? Jednak... Zatrzymałam palec klikający przypadkowe ikony. Podniosłam wzrok na puste krzesło. Miejsce Kubiaka. Tego samego, którego zabrakło.

No cóż. Kto po wsi chodzi, sam sobie szkodzi.

Pewnym krokiem podeszłam do wolnego miejsca, odsunęłam krzesło i usiadłam. Ignorowałam spojrzenia spod ściągniętych brwi. W ofercie firmy były damskie i męskie ubrania, ale zarząd składał się z prawie samych mężczyzn w średnim wieku... Wspaniale. Nie ma to jak różnorodność. Moja twarz zastygła w kamiennym wyrazie. Zdenerwowanie mogła zdradzić tylko przyciskana kurczowo do serca teczka. Jej akurat nie potrafiłam odłożyć na blat.

Powiew powietrza omiół mój policzek, do nosa dotarł zapach mięty. Bartosz i prezes zajęli swoje miejsca. Przegrałam. Zerknęłam nerwowo na drzwi, które pozostawały zamknięte. Kubiak nie zdążył.

To koniec.

Prezes rozpoczął zebranie. Przedstawił temat, sięgnął po kartki, które podał mu Bartosz, i czytał, wtrącając od czasu do czasu coś od siebie. Robiłam wszystko, żeby skupić się na jego prezentacji, ale w głowie wirowały mi najróżniejsze scenariusze. Ostatkiem sił wierzyłam jeszcze w Kubiaka. Wyobrażałam sobie, że wpada, chwyta teczkę i wygłasza tę prezentację, wykorzystując swój urok do zamaskowania błędów. Dyrektor jednak z rycerskości miał w sobie niewiele.

Po kwadransie prezes skończył. Prawie wszystko, co powiedział, jednym uchem mi wleciało, a drugim wyleciało. Przyjrzałam się mężczyźnie, któremu ustąpił miejsca. Był od niego młodszy, o rudych, krótko ostrzyżonych włosach i drżących dłoniach, acz nie bardziej niż moje. Kolejnych dziesięć minut należało do niego. Kubiak miał aż nadto czasu, by się spóźnić, lecz i tak zdążyć. I co z tego?

– Pani Mazurek.

Mazurek. Mazurek to... Zwróciłam się sztywno w stronę nawołującego mnie głosu i ujrzałam prezesa.

– Czy mój szanowny syn i dyrektor tej firmy zamierza pojawić się i wygłosić swoją prezentację? – Zaśmiał się, a pracownicy mu zawtórowali. Wszyscy poza mną i Bartoszem.

– O-on... – Przełknęłam ślinę. – On powinien j-już tu być.

– Ale go nie widzę – skwitował prezes.

Wbiłam paznokcie mocniej w tekturę, tym samym uświadamiając sobie, co trzymam w dłoniach. Oddaliłam od siebie teczkę i uśmiechnęłam się do siebie. Głupia. Sama kleiłaś skrzydła, to i sama na nich lataj.

– Ja mam wszystkie niezbędne dokumenty – powiedziałam.

– Słucham? – Prezes zacharczał, chyba znów się śmiejąc. – Pani chce wygłosić prezentację?

Po pomieszczeniu przeszedł szmer. Chichot wymieszany z oburzeniem. Zwykła asystentka, taki nikt, miałaby wygłaszać przemówienie przed tak zacnymi osobowościami?

– No jasne, że chcę – stwierdziłam.

Krześło zaszurało donośnie, gdy zerwałam się z miejsca. Nie czekając na czyjąkolwiek aprobatę, podeszłam do mównicy. Nie tracę tej pracy przez to, że Kubiak nie raczył się pojawić. Nie poddam się tak łatwo.

Za mną widniała biała tablica. Przygotowałam prezentację multimedialną, ale nijak miała się do poprawek, które wprowadziłam, więc postanowiłam z niej zrezygnować. Wdech i wydech.

Przyjrzałam się wszystkim obecnym w pomieszczeniu. Niektórzy przyglądali mi się z żywym zainteresowaniem, inni z kpiną. Nie obawiałam się tego wystąpienia – przemówienie znałam na pamięć. Martwiłam się tym, co nastąpi potem.

– Dzień dobry państwu – zaczęłam drżącym głosem. – Nazywam się Ina Mazurek i dzisiaj przedstawię propozycję projektu w zastępstwie za dyrektora generalnego Jakuba Kubiaka.

Zmieniłam zdanie. A co tam, niech zobaczą tę prezentację. Zerwałam się i wcisnęłam pendrive do firmowego laptopa. Otworzyłam prezentację i od razu wytłumaczyłam błąd, wcześniej wytknięty przez Kubiaka. Wybrnęłam. Jedna pomyłka to jeszcze nie koniec świata.

Mówiłam jak natchniona. Zastanawiałam się, czy duchowni czują się podobnie w trakcie kazania. Omawiałam swój pomysł, dopowiedziałam to, na co zwrócił mi uwagę Kubiak. To było takie proste – mówić o tym, w co wierzyłam, nad czym ciężko pracowałam. Kątem oka zaobserwowałam, że prezes oparł brodę na dłoni i trwał tak bez najdrobniejszego ruchu. Albo słuchał, albo próbował wyprowadzić mnie z równowagi.

Podczas podsumowania emocje wreszcie opadły, a ja zdobyłam się na uśmiech do publiczności. Wówczas drzwi się uchyliły, a do środka wślizgnął się dyrektor. Ciśnienie, które ledwie zdążyło mi opaść, skoczyło do nieba. Zamiast krwi w żyłach krążyła dzika furia. Prawie padłam ze zdziwienia, zauważywszy, że kilku mężczyzn spojrzęło na niego z niechęcią i odwróciło się ostentacyjnie w moją stronę. Tylko prezes nie drgnął. Cały czas wpatrywał się prosto we mnie. To bynajmniej nie pomagało.

Na koniec podziękowałam, wyjęłam pendrive i podeszłam do krzesła, które zajął mój przełożony. Stałam nad nim i spojrzałam wymownie. Mężczyzna uśmiechnął się promiennie, kompletnie nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Stałam więc dalej.

– Co pani chce? – spytał.

– Zajął pan moje miejsce.

Zerwał się jak poparzony, a przy tym zupełnie nieświadom tego, że miejsca wyliczono. Stał za mną i rozglądał się po zgromadzonych, a ja ciągnęłam siłą kąciki ust ku dołowi, próbując nie roześmiać się złowieszczo. A masz, gnojku. Stój teraz jak pajac.

I trwał tak do końca zebrania. Później jedynie przesunął się pod ścianę i o nią oparł. Zamiast słuchać, przeglądał telefon. Wstrętne stworzenie.

Nie zaszczyciłam go spojrzeniem, kiedy wychodziliśmy. Wyminęłam go i spokojnym krokiem, patrząc prosto przed siebie, skierowałam się do jego gabinetu. Stałam pod nim, Kubiak zaś szedł wyjątkowo wolno, widząc, że na niego czekam. Stopa za stopą, z rękoma w kieszeniach, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Dotarłszy pod drzwi, stęknął i przeciągnął się, zamiast je otworzyć. Gdybym go teraz zamordowała, każdy sąd by mnie uniewinnił.

– Znakomicie sobie pani poradziła – zawyrokował, otwierając zamek.

Wcisnęłam się w przejście przed nim i trzasnęłam teczką o jego biurko.

– Prezes prosi, abyśmy przesłali mu poprawioną prezentację do końca przyszłego tygodnia – mówiłam bezbarwnym tonem z oczami wlepionymi w blat biurka. – Zostawię panu wydrukowaną wersję, przygotuję poprawki i prześlę do zatwierdzenia. Zajrzy pan do nich?

Dyrektor oparł się o mebel. Stał wyjątkowo blisko, ale nie podjęłam gry. Nie zaszczyciłam go spojrzeniem.

– Przynajmniej do obliczeń – dodałam.

– Coś mi mówi, że się pani złości.

Przygryzłam język, ale zęby zbyt szybko odpuściły.

– Pański intelekt i szósty zmysł wprawiają mnie w osłupienie każdorazowo, gdy tylko otwiera

pan usta. – Podniosłam na niego oczy. – Proszę, niech pan przestanie to robić, bo wreszcie zamienię się w posąg.

Już widziałam u niego tę minę. Przed budynkiem, kiedy odpowiedziałam równie niemiło.

Był zachwycony.

– No i jest! – Pstryknął palcami. – Charakterek. Wiedziałem, że gdzieś tam w pani drzemie.

Bardzo starałam się nie przejść do rękoczynów, ale Kubiak konsekwentnie pogarszał sprawę. Zamiast przyznać się do błędu, położył obydwie dłonie na moich ramionach. Skumulowałam w sobie siłę ze wszystkich przeszłych wcieleń, byleby go nie odepchnąć.

– Po co te nerwy? – chlapnął durnowato. – Przecież świetnie sobie pani poradziła!

Wyrwałam się. Widocznie niewiele było za mną tych wcieleń. To nie ujdzie nam na sucho. Prezes dotrzyma obietnicy. Jego spokój mówił sam za siebie – już podjął decyzję. Może gdyby się zdenerwował, pomyślałabym, że te jego krzyki to jedynie czcza gadanina, ale on na spotkaniu był całkowicie opanowany. Już po nas.

– Oczywiście, że sobie poradziłam! – Nabrałam powietrza w płuca, starając się zapanować nad głosem, który podniosłam. – Od tygodni nie robiłam nic innego, tylko przygotowywałam te dokumenty. Wszystko po to, żeby pan dzisiaj mógł wygłosić prezentację...

– O, to, to! Widzi pani? – Kubiak klasnął w dłonie. – Pani przygotowywała, czyli to nawet dobrze, że mnie nie było, bo kto przedstawiłby ją lepiej od pani? Na pewno nie ja.

Zaraz wybuchnę. Płaczem czy agresją?

– To powinien być pan – mówiłam. – Prezes tego właśnie oczekiwał...

Dyrektor prychnął i machnął lekceważąco ręką. Wszystko tak traktował. Wszystko było zbyt mało ważne, żeby się tym przejmować. Na każde moje słowo reagował jednym niedbałym ruchem. Albo prychnięciem.

– Naprawdę aż tak trudno zrozumieć, że to było ważne?! – wybuchnęłam.

Ramiona mi zadrżały, ale momentalnie zebrałam się do kupy. Od tygodni balansowałam na granicy hysterii. W moim głosie nie wybrzmiał już nawet gram złości. Były tam za to bezsilność i żal.

Kubiak wreszcie się przyknuł, a uśmiech spelzł mu z tej ślicznej twarzyczki. Przypatrywał mi się z niezrozumieniem. Tamtego dnia przed budynkiem zastanawiałam się, czy szukałby mnie w tłumie. Ależ byłam głupia! Dzisiaj, znając już jego podły charakter, spieprzałabym przed nim, ile sił w nogach.

– Oczywiście, że prezes nic panu nie robi. Jest pan jego synem. Ale ja... – Głos mi się załamał. – Tak ciężko na to pracowałam. Tylko co pana obchodzi jakaś tam przypadkowa dziewczyna, która przynosi panu kawę? Nic! Najważniejsze to sobie poużywać. No bo po co robić cokolwiek, jeśli zamiast tego można wkurzać wszystkich dookoła i nie ponosić żadnych konsekwencji, no nie?!

Ina, obudź się. Nie możesz od wszystkich oczekiwać, że przejmą się twoim losem. Każdy sobie rzepkę skrobie. Nie jesteśmy jedną wielką hipisowską rodziną. O co tutaj walczyć?

Dorośnij.

– Ja... – zaczął.

– Ja, ja i ja – weszłam mu w słowo. – Świat się wokół pana nie kręci.

Po wściekłości nie został nawet ślad. Zastąpiła ją bezsilność, poczucie przegranej. Może przesadziłam, ale tylko to wydawało mi się słuszne. Powiedzieć prawdę. Zwyczaj coraz rzadziej praktykowany, wypierany pozorami i uśmiechaniem się przez łzy. Z tym ostatnim nieźle mi szło. Lecz nie tym razem.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Firma już opustoszała, wszyscy wrócili do domów. Tego poranka także planowałam zostać dłużej, ale zmieniłam zdanie. Zabrałam ze swojej klitki rzeczy i uciekłam. Bez dodatkowej pracy.

– Pani Inko! – Odwróciłam się w drzwiach. – Jak to tak dzisiaj z pustymi rękami?

Pan Waldemar uśmiechnął się szeroko i wskazał na dłoń, w której ścisnęłam jedynie torebkę, a nie papiery czy firmowy laptop.

– Człowiek z czasem mądrzeje. – Odpowiedziałam uśmiechem. – Do widzenia.

Coś mi mówiło, że już nigdy więcej tu nie wrócę.

Rozdział 8



To koniec. Zawaliliśmy prezentację, pokłóciłam się z dyrektorem... Stracę tę posadę.

Pragnęłam wrócić do domu, usiąść przed komputerem i przejrzeć ogłoszenia o pracę, jednocześnie jednak perspektywa pozostania samej w pustym i głuchym mieszkaniu przerażała jak nigdy. W głowie huczały myśli, wręcz darły się jak opętane. Oddychałam głęboko, a mimo to mój puls niebezpiecznie przyspieszał. W myślach nakazywałam sobie spokój. Wiedziałam przecież, że to nie dzieje się naprawdę; że już przez to przechodziłam...

Szłam szybko. Nabierałam powietrze do płuc, a odnosiłam wrażenie, że wcale nie oddycham. Obcasy obijały się od krzywych płyt chodnikowych, a ja stąpałam pewnym krokiem, przepychając się pomiędzy ludźmi, ze wzrokiem utkwionym przed sobą, bliska biegu.

Uspokój się, Ina. Nic się nie dzieje. Nic się nie dzieje.

Szłam jak w transie i przebudziłam się z niego dopiero na miejscu.

Weszłam w bramę. Pomiedzy wysokimi odremontowanymi kamienicami, na samym parterze, znajdowała się niewielka restauracja z zielonym szyldem: Warzywniak.

Ostatkiem sił nacisnęłam na klamkę i weszłam do środka. Nie wyczułam aromatu potraw, który zawsze pieścił nozdrza po przekroczeniu progu. Gwar rozmów nie przytłoczył. Wręcz przeciwnie: nikogo tu nie było.

– Skarbie?

Mama porzuciła książkę, którą czytała, i zerwała się z krzesła. Przypatrywała mi się z niepokojem, jakbym dopiero wróciła z podróży dookoła świata. Hulajnogą.

– Co się stało? – spytała.

Wskazałam swoją pierś, gdzie niespokojnie biło serce. Od razu zrozumiała. Od lat ten jeden gest stanowił nasz szyfr.

Przyszłam właśnie tutaj, gdyż tak naprawdę doskonale wiedziałam, gdzie mogę szukać pomocy. Zdawałam sobie sprawę, że mama zawsze, ale to zawsze mnie uratuje. Albo przynajmniej spróbuje.

Tylko że widok pustej restauracji wyłącznie pogorszył sprawę. Przywołał wspomnienia, z którymi sądziłam, że się uporałam. Tak bardzo się myliłam.

Oparłam łokcie na stole i schowałam twarz w dłoniach, głośno dysząc.

– Ina, oddychaj spokojnie. – Zdecydowanie w głosie mamy stawało do pionu. – To tylko atak paniki. Miałaś takich w swoim życiu setki i nigdy nic ci się nie stało. Dzisiaj też nic się nie stanie.

Przytaknęłam, w ogóle nie wierząc w jej słowa. Było ich tak wiele, to prawda. I większość z nich opanowywałam właśnie w tym miejscu. W lokalu, spełnionym marzeniu i największym koszmarze. Gdy całymi dniami czytałyśmy książki, ponieważ brakowało klientów. Zarabiałymy dwadzieścia złotych dziennie. Nawet czternastolatka wiedziała, że z tego nie wyżyjemy. Niewykorzystane produkty rozdawałyśmy potrzebującym, żeby jak najmniej się marnowało, ale nie potrafiłam cieszyć się, że wspieramy innych. Nie w sytuacji, w której same ledwie wiązałyśmy koniec

z końcem. Przed zamknięciem moje serce przyspieszało do granic możliwości. Zakładałam na plecy tornister z odrobionymi zadaniami domowymi i wiedziałam, że już nikt się nie pojawi. Już nikt nas nie uratuje.

– Liczymy krzesła – poleciła mama, wyrывая mnie z wspomnień.

Spojrzałam na nią jak na wariatkę, ale ona czekała. Czekalaby tak do końca świata, byleby tylko mi pomóc.

– Jeden – wydusiłam przez zaciśnięte gardło.

Jednak w restauracji znajdowało się zaledwie dwadzieścia krzesel. Wyciszenie nie nadeszło. Mama podeszła więc do ściany wyłożonej drewnianymi klepkami pomalowanymi na biało i pokazała mi pierwszą. Wiedziałam, co robić.

Przy trzydziestej siódmej złapałam pierwszy głęboki oddech i ścisnęłam ją mocniej za palce.

– Dziękuję – szepnęłam.

W jej oczach wezbrała ulga. Pociągnęła mnie za sobą do kuchni i już wiedziałam, że będziemy jeść. Zawsze tak robiła. Ilekroć napad paniki robił spustoszenie w naszym i tak chaotycznym życiu, starała mi się to w jakiś sposób wynagrodzić. Nie mogłam nie widzieć w niej tego, czego tak nienawidziłam – poczucia winy. W końcu ataki zaczęły pojawiać się przez rozwód rodziców i finansowe problemy Warzywniaka.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Już dawno nie widziałam kuchni tak czystej, wręcz sterylnej. Mama z Aliną dbały o porządek, ale podczas pracy podłoga niejednokrotnie lepiała się do podszew, garnki wydychały hektolitry pary, piekarnik dzwonił, domagając się uwagi.

A teraz cisza.

Błyszczące blaty. Kuchenka owinięta folią aluminiową, nadal lśniąca, bez nawet śladu działania. Wszystko aż się darło, że nie przyszedł dzisiaj nawet jeden klient. Dlaczego?

– Był ktoś dzisiaj? – spytałam.

Mama zatrzymała się w pół kroku. Obserwowałam uważnie jej plecy. Warkoczyki splecione w ogromny kok z tyłu głowy.

Odwróciła się i zmarszczyła nos.

– Stali klienci – westchnęła niechętnie. – Dowozy...

– Dowozy? – przerwałam jej. – Zdecydowałaś się wreszcie na pośredników? Nic mi nie mówiłaś.

Od tak dawna namawiałam ją, żeby skorzystała z firm kurierskich, które pomogłyby z dowozami. Było tyle możliwości, z których nie chciała skorzystać. Jak dobrze, że jednak poszła po rozum do głowy.

Mama jednak przetała brwi, a potem oczy. Coś było nie tak. Nie spodziewała się mnie. Nie sądziła, że przyjdę i będę zadawać niewygodne pytania.

– Mówiłam ci już, że nam się to nie opłaca przy ich prowizjach – mówiła znużonym tonem. – Po prostu mamy kilka osób, które zamawiają u nas codziennie lunch. Dogadaliśmy się, że będziemy dowozić im jedzenie. Głównie przekąski, sałatki... – Nerwowo poprawiła szerokie rękawy wielokolorowej bluzki.

Wzrokiem odnalazłam tylne wyjście. Drzwi były uchylone, a za nimi jedna postać paliła papierosa. Alina. Babcia też nie miała samochodu. – Nie macie prawka ani samochodu – drażyłam. – Jak dowozicie, skoro nie korzystacie z pośredników?

Mama ewidentnie wolałaby być teraz w innym miejscu. Znowu westchnęła, przetała twarz. Pod zmęczonymi zielonymi oczami rozciągały się brązowe sińce. Nerwowo oblizywała spierzchnięte usta. Odkąd dostałam pracę w Adeline, praktycznie w ogóle nie bywałam w Warzywniaku. Mijałyśmy się, więc nawet wcześniej nie zauważyłam, że jest aż tak źle.

– Rowerem – powiedziała wreszcie, siłąc się na lekkość.

Ale niech mnie ktoś zabije, jeśli tu nie było haczyka. Wpatrywałam się w nią długo i nie mogłam oprzeć się obezwładniającemu poczuciu przegranej. Znowu. Nie tylko nie utrzymałam posady w Adeline, ale również zawiodłam mamę. Miałam iść do dobrze płatnej pracy i ją wesprzeć, a nie

przepracowałam nawet miesiąca. Podobno trzeba najpierw nauczyć się przegrywać, by w końcu wygrać. Czemu odnosiłam wrażenie, że wygrać to ja mogę co najwyżej plebiscyt na największego przegrywa roku?

– Dokąd jeździsz? – spytałam.

Mama odwróciła się bez słowa i otworzyła lodówkę. Wyciągnęła z niej czerwone warzywa i mieszankę sałat. Wyrzuciła je na blat, a papryka poturlała się nieuchronnie w stronę krawędzi, lecz mama w porę ją złapała. Otworzyła szafkę nad głową i wyjęła z niej szklaną misę.

Nie odpowiadała.

Drzwi trzasnęły, babcia odkasznęła, a potem usłyszałam głośno wciągane powietrze i szybkie kroki. Alina wbiegła do pomieszczenia i rozwarła ramiona. Przytuliłam ją mocno. Podałam się tej chwili, wtuliłam w nią i zaciągnęłam piżmem. Oraz całkowitym poczuciem bezpieczeństwa. – No proszę... – Odsunęła się. – Kogo to widzą moje stare oczy?

Uśmiechnęłam się krzywo, bo choć wyglądała na zadowoloną z odwiedzin, wiedziałam, że zaraz zbiorę cięgi. Łypała swoimi wąskimi miodowymi oczyma, a ja liczyłam dodatkowe zmarszczki na jej czole. Te wokół ust nie martwiły, ona się ciągle śmiała. Czoło marszczyła, gdy była smutna lub zmartwiona.

Patrząc na to z biologicznego punktu widzenia, nie byliśmy spokrewnione. Mama mojej mamy zmarła niedługo po moich narodzinach, nie miałyśmy okazji się poznać. Alina pomagała w restauracji od samego początku jej istnienia. Od razu, jak gdyby robiła to całe swoje dotychczasowe życie, wzięła nas pod swoje skrzydła. Otoczyła opieką. Stała się promykiem słońca i nigdy, przenigdy nas nie opuściła. Nawet w tych najgorszych momentach, trwała tuż obok i rozśmieszała, chociaż i jej nie zawsze było lekko.

Może to dlatego, że nie miała własnej rodziny. Jedyne dziecko zginęło w wypadku samochodowym przeszło dwadzieścia lat temu. Mąż pięć lat później, zjadł go rak. Babcia nigdy nie próbowała drugi raz ułożyć sobie życia. Przynajmniej nie na poważnie. Kiedy ją o to podpytywałam, mówiła, że jest zbyt stała w uczuciach. Cała Alina.

– Pięknie wyglądasz – bąknęłam.

Jedynie uśmiechnęła się w odpowiedzi i poprawiła białą kitkę na czubku głowy. To prawda, wyglądała pięknie. Była cholernie energiczną i atrakcyjną babcią. Ciuchy nosiła modniejsze od moich.

– I co, tylko na tyle cię stać? – Wysunęła podbródek do przodu. – Najpierw przez miesiące papłasz o pracy marzeń, a ja wytrwale słucham. Później płaczesz przed rozmową kwalifikacyjną, a ja ci ocieram łzy. Potem dostajesz ją i... – Klasnęła mi przed oczyma. – Jak kamień w wodę! Niewdzięcznica...

Ostatnie słowo już bąknęła pod nosem, szeptem. No cóż, obrywałam zasłużenie.

– Przepraszam, przysięgam, że wszystko nadrobimy. – Przytuliłam się do niej od tyłu i położyłam brodę na ramieniu. – Ugotujemy coś, obejrzymy *Dirty Dancing*...

Strzeliłam celnie. Babcia kiwała głową na boki, udając niezdecydowaną, chociaż uśmiechała się od ucha do ucha.

– Opowiem ci o wszystkich przystojnych facetach z firmy... – podsunęłam.

– No! – Odwróciła się. – Wreszcie mówisz sensownie! Słyszałaś, Iwona? Są jacyś faceci!

Mama dalej tkwiła przy blacie i bez słowa kroić pomidorki koktajlowe. To zmieniło tor mojego myślenia. Dobry humor prysnął jak bańka mydlana. – Gdzie dowozicie jedzenie? – zwróciłam się do Aliny.

Dostrzegłam zmieszanie. Babcia zerknęła na mamę, ale ona wytrwale udawała, że ta konwersacja jej nie dotyczy. To do niej tak niepodobne, że miałam ochotę nią potrząsnąć.

Wreszcie Alina się poddała:

– Białółka i Ursynów.

– Alina! – krzyknęła mama, odwracając się do niej gwałtownie.

– Co Alina?! – Babcia rozłożyła bezradnie ręce. – Chcesz ją okłamywać, to ją okłamuj. Ja nie zamierzam.

Zamknęłam powieki i dopiero po chwili ponownie je podniosłam, głęboko wierząc, że to tylko

sen. Ale mama z Aliną nadal przede mną stały. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby na siebie krzyczały. Żeby chociaż spojrzwały na siebie ze złością. Było gorzej, niż myślałam.

– To dwa przeciwległe krańce miasta – zauważyłam odkrywczco. – A ty nawet nie masz roweru.

Zwracałam się do Aliny, ale ona patrzyła na mnie w taki sposób, że krew zastygła mi w żyłach. Wróciłam do mamy. Oczywiście, że nie dzieliły się drogą. Ktoś musiał zostać w lokalu, na wypadek, gdyby jednak jakiś szaleniec się tu zapuścił. A to znaczyło, że...

– Jeździsz sama? – wypaliłam i podeszłam do rodzicielki. – Rowerem przez całą Warszawę? Dzień w dzień?

– Dwa razy dziennie – wyrwała się Alina, mroząc mamę spojrzeniem. – Wymyśliła sobie jeszcze popołudniowe dowożenie deserów.

Złapałam się za głowę. To nie mogła być prawda. Jasne, że ludzie robią nie takie kilometry na rowerze, ale wystarczyło rzucić na mamę okiem, żeby zrozumieć, jak bardzo dawało jej to w kość. Nie zdążyłam jednak nic powiedzieć, bo moja rodzicielka bąknęła, że skończył się ocet balsamiczny, i wyszła pospiesznie z kuchni.

Poszukałam dłonią blatu i oparłam na nim cały ciężar ciała. W tamtej chwili ważyłam chyba z dwieście kilo. Kości, woda, mięso, tłuszcz, a do tego osiemdziesiąt kilo poczucia winy i pięćdziesiąt lęku.

– Wszystko przez to, że mnie tutaj z wami nie ma – szepnęłam, wpatrując się w białe-czarne płytki. – Gdybym była...

Alina pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła z niej małe kartonowe pudełko. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Normalnie kazałabym jej zgasić to paskudztwo i urządziła mowę moralizatorską na temat szkodliwości palenia, ale teraz wyciągnęłam rękę po papierosa. Zawahała się, ale ostatecznie mi go podała.

Gorzki dym porysował moje gardło, wypełnił płuca i wydostał się nosem.

– Nic byś i tak nie poradziła – powiedziała babcia zachrypniętym głosem. – Siedziałybyś tu z nami i czekała na cud. A to... – Pokręciła głową i westchnęła. – A to niewiele daje.

Przypatrywałam się jej. Lnianym materiałowym spodniom kończącym się w talii oraz różowej bluzce na krótki rękaw z Mona Lisą.

– Dostałaś w ogóle ostatnio wypłatę? – spytałam.

Jej ręka zatrzymała się w połowie drogi do ust. Nic więcej nie musiała mówić, znałam odpowiedź. Nie opłacimy czynszu ani za mieszkanie, ani za lokal. Nie zapłacimy Alinie za jej pracę. Nie, jeśli ja nie przyniosę pieniędzy do domu. Cóż, nawet jeśli dostanę jutro wypowiedzenie, trzy tygodnie przepracowałam. Za to mi zapłacą. Niewystarczająco, żeby opłacić wszystko, ale może chociaż zachowamy dach nad głową i spłacimy częściowo babcię.

– O mnie się nie martw – mówiła. – Martw się o was. Jeszcze nigdy nie było aż tak źle.

Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Widziałam to również po uszczuplających się oszczędnościach, które regularnie dokładałam do wydatków. W sumie od jakiegoś czasu już nie dokładałam, tylko opłacałam to, co mogłam. Nie potrafiłam się jednak o nią nie martwić. Wiedziałam, że emerytura Aliny nie należy do najwyższych, a do tego nikt nie lubi pracować za darmo. Pracuje się w jakimś celu, do diaska.

Babcia zgasiła papierosa i chwyciła niewielki wiatrak. Podłączyła go, żeby szybciej usunąć drażniący zapach z pomieszczenia.

– Wybacz, że ci to mówię, może nie powinnam... – opuściła głowę – ...ale cieszę się, że dostałaś tę pracę, maleńka. Wiesz, może ona jakoś nas uratuje.

Jakoś nas uratuje odbijało się w mojej łepetynie jak w pustej studni. Wypowiedziała te słowa, jak gdyby to był jakiś honor, jakaś wielka sprawa. Jakby brakowało mi tylko peleryny, bo poza tym mogłabym spokojnie robić za bohaterkę. Ale ja nie byłam bohaterką i nie chciałam jej udawać. Ani teraz, ani kilka lat temu.

Nastoletnia dziewczyna nie powinna być zmuszona do ratowania swojej rodziny. To pięknie brzmi w opowieściach, ale nie zapisuje się równie doniośle w pamięci.

Słowa uformowały się na końcu mojego języka, ale nim zdążyłam pozwolić im wybrzmieć,

ciszę rozdarł dzwonek telefonu. Niechętnie grzebałam w torebce, zastanawiając się, kto chce jeszcze dołożyć swoją cegielkę do mojego stosiku nieszczęść.

Nieznany numer. Oczywiście.

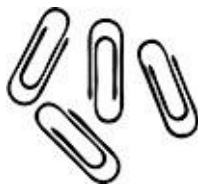
Przyłożyłam ucho do słuchawki.

– Ina Mazurek. Słucham.

Zachrypiły głos. Jedno słowo zjadające drugie. Ktoś mówił tak szybko, że czułam jego ślinę w uchu.

Prezes.

Rozdział 9



Nie no, zero presji. Czym ty się w ogóle przejmujesz, Ina, głupolko? Tym, że twoje marne życie wisi na spalonym trwałą ondulacją włosów? Pracą marzeń, którą za moment bezpowrotnie stracisz? Przełożonym, który się z gołębiem na rozum zamienił? Chylącą się ku upadkowi restauracją swojej ulubionej i notabene jedynej matki? Czy tym, że przyszło kolejne wezwanie do zapłaty od zakładu energetycznego?

A może po prostu spotkaniem z najbardziej przerażającym człowiekiem na tej planecie?

Nie przespałam godziny. Zasnęłam nad ranem i obudziłam się piętnaście minut później, gdy radosne ptaszki rozpoczęły swój koncert, który normalnie prawdopodobnie by mnie zachwycił, ale tym razem doprowadził do szewskiej pasji, wgrzyzienia się w poduszkę i wielu epitetów zaadresowanych do tych pięknych, bogu ducha winnych skrzydlatych stworzeń.

Zwlekłam się z łóżka i w pierwszej kolejności spojrzałam w swoje przekrwione oczy w lustrze. Wymusiłam uśmiech. Nie, to tylko pogorszyło sprawę. Po prostu ubiorę się i wyjdę. Zmierzę się z tym zwolnieniem. Na tym polega życie. Sądzisz, że czegoś nie przeżyjesz, a potem ledwie się obejrzysz, a okazuje się, że twój największy lęk jest już za tobą, więc spokojnie możesz sobie szukać innych zmartwień. Taki też miałam zamiar.

Nie zdziwiłam się deficytem ubrań. Rozczarowałam – tak, ale nie zdziwiłam. Od dwóch tygodni nikt nie robił prania, a ja wczoraj wrzuciłam do kosza na brudy ostatnie wyjściowe spodnie. Trudno, spodnie nie będą mi wyznaczać początku i końca świata.

Wybrałam dzinsy z wysokim stanem, wcisnęłam w nie białą przewiewną bluzkę z odkrytymi ramionami i pokiwałam do siebie głową. To w ogóle nie wyglądało profesjonalnie.

Włosy. Incydent z załamaniem nerwowym z dnia poprzedniego uniemożliwił mi ich umycie, i całe szczęście, bo gdybym miała jeszcze przez godzinę je później suszyć, bo zachciało mi się czupryny jak u Roszpunki, to bym chyba w amoku ogoliła się na łyso. Dużo łatwiej związać włosy w kitkę i udawać, że nie jestem wrakiem człowieka.

Najgorzej, gdy nie wiadomo, co nas czeka. Prezes wskazał mi restaurację, w której chciał się spotkać, ale słowem nie zająknął się po co. Jak to po co? Pewnie, żeby wywalić nieudolną asystentkę swojego syna na zbity pysk. Ale to aż musiał osobiście? Aż tak zalażłam mu za skórę? Mimo chaosu, w który się przeobraziłam, dotarłam we wskazane miejsce przed czasem. Usiadłam przy stoliku na zewnątrz i zamówiłam kawę, prosząc o dodatkowy cukier. Tak, dużo cukru. Tylko on jeszcze trzymał mnie przy życiu.

Nerwowo machałam stopą, uderzając o nogę stołu, dopóki kobieta siedząca obok nie posłała mi nienawistnego spojrzenia. Uspokoilałam ciało, ale wewnątrz cała dygotałam. Mogłam nie przychodzić. Dlaczego zgodziłam się na spotkanie poza pracą z prezesem, który nie raczył mi nawet nic wytłumaczyć? Gdybym szanowała siebie oraz swój czas, domagałabym się wyjaśnień. Powiedziałabym, że nie życzę sobie telefonów po godzinach pracy, a porozmawiać, owszem, możemy, ale w firmie. Była nawet chwila, milisekunda, w której mój język już gotował się do piruetu i tej precudownej wiązanki, ale

wtedy trzasnęły drzwi, a do kuchni wróciła mama. I było po zawodach.

Kelner przyniósł kawę. Wzięłam uspokajający łyk słodkiego latte, a ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłam się gwałtownie i zamarłam. Bartosz Tomczak. Albo chłopak gazem awansował, albo prezes umówił się ze mną na spotkanie, na które ostatecznie przysłał swojego asystenta.

– Dzień dobry – powiedział Tomczak, siadając. – Widzę, że punktualność to kolejna pani zaleta. Kolejna zaleta? Dobrze zaczynasz, chłopie, tę mowę pożegnalną.

– Prezes się spóźni? – spytałam głupkowato, jakbym jeszcze nie zajarzyła, że nigdy się nie pojawi.

Mężczyzna zrobił minę, która sugerowała, że musi natychmiast iść do toalety. Albo po prostu wierzył, że nadal się łudzę i sędzę, że ktoś jeszcze się tutaj ze mną liczy. Raju, kiedy robiłam się taka zgorzkniała? Jak to zatrzymać?

– Bardzo mi przykro, ale niestety prezes nie mógł się pojawić – wyznał z bólem w głosie. – Zatrzymały go nagłe sprawy w firmie.

Ostatkiem sił powstrzymałam jedną brew od uniesienia się wyżej.

– A że jest to sprawa niecierpiąca zwłoki... – ciągnął, grzebiąc w aktówce. – No to przysłał mnie.

Ach, zatem to zwolnienie było sprawą niecierpiącą zwłoki. A tam, po co te cyrki? Równie dobrze mogliby wysłać mi wiadomość tekstową albo list. – Zaimponowała mi pani – wyrzucił z siebie, liżąc palec, którym przekładał kartki.

Nie, żaden komplement tak naprawdę nie działał. Miło, że próbował załagodzić tę paskudną sytuację. Wszystkie emocje, jakich doświadcza normalny, zdrowy na duszy człowiek, spakowały się w małą różową walizeczkę i wyniosły z mojego organizmu. Zostawiły tylko permanentny lęk, znużenie i jeszcze więcej lęku.

– Czym? – spytałam.

Odłożył plik kartek na kupkę.

– Pani prezentacja była bardzo przyzwoita. – Zajrzał mi głęboko w oczy. Ależ miał zielone tęczówki. Jak trawa przed kawiarnią. – Może nie idealna, ale nie spodziewałem się czegoś podobnego po kimś, kto przecież dopiero co skończył szkołę i ma zaledwie miesiąc doświadczenia. Chociaż... – Zdjął okulary. – Może trochę się spodziewałem.

Zamiast się rozpląnąć nad komplementami, skwasiłam się, bo znów przetaił zaczerwienione oko.

– Pan poczeka... – Chwyciłam torebkę i wyjęłam z niej białe plastikowe opakowanie kropli do oczu. – Nawilżające. Proszę wziąć, mam w domu jeszcze z trzy takie.

Podstawiłam Tomczakowi kropelki pod sam nos. Sięgnął po nie z rezerwą i podziękował zakłopotany. Na koniec uśmiechnął się z wdzięcznością. Nie jakbym dała mu produkt z apteki za dychę, tylko co najmniej wyznała, że zapisałam mu w spadku willę we Włoszech.

– Prezentacja poszłaby lepiej, gdybym nie wyłożyła się na obliczeniach już na samym początku – powiedziałam, próbując przerwać niezręczną ciszę.

– Oj tam, obliczenia. – Zaśmiał się i schował krople do teczki. – Stawiam, że dyrektor nie czytał pani notatek, skoro nie wiedziała pani o błędzie? On wyłapuje takie rzeczy.

Może wyłapałby, gdyby chciał. Ale Kubiak mało co chce.

– Tak, to... – wydukałam i utkwiałam wzrok w blacie. A zatem, skoro przechodzimy do Kubiaka, zbliżamy się do końca tej przygody. Może to i dobrze? – Przeczytał i zauważył błędy. Po prostu nie wpadł na to, żeby podzielić się swoimi spostrzeżeniami w odpowiednim czasie. Bartosz uniósł brwi tak wysoko, że jeszcze trochę i połączyłyby się z linią włosów.

– Przeczytał? – powtórzył z niedowierzaniem.

Przytaknęłam sztywno.

– I właściwie usłyszałam podobne stwierdzenie: że nie można oczekiwać ode mnie zbyt wiele, ale prezentacja nie jest najgorsza... – Uśmiechnęłam się krzywo do mężczyzny. – A potem wyszedł i nie zdążył na zebranie.

– Czyli tak czy siak zasłużył na ochrzan – skwitował.

Zaczęłam się kręcić w krześle. Chwila moment. O czym my aktualnie rozmawialiśmy?

– Przepraszam... – Przymknęłam powieki i pokręciłam głową. – Ochrzan?

Chyba nie miał na myśli tej drobnej wymiany zdań pomiędzy mną i Kubiakiem po zakończonym zebraniu? Nie mógł przecież o tym wiedzieć, chyba że... kamery! Pełny monitoring! Widzieli, jak krzyczałam na Kubiaka, mieli to na taśmach i chcieli mnie zamknąć w więzieniu. Albo szantażować. A skoro widzieli to, to wiedzą też, że wyniosłam do domu kolorowe spinacze! Skąd ja wezmę prawnika? Jak mu zapłacić?!

– Już pani wszystko tłumaczę – podjął. – Po zebraniu prezes, jak zawsze zresztą, był wściekły i chciał rozprawić się z Kubą, ale jednocześnie nie dawało mu spokoju pani wystąpienie, więc postanowił w pierwszej kolejności nawrzeszczyć na syna, a potem pogratulować pani odwagi... Tylko że ktoś go ubiegł.

Zakryłam usta dłonią. Nie tam żadne kamery, tylko widowisko na żywo. Nie musiałam jej widzieć, by mieć pewność, że moja twarz zmieniała właśnie ubarwienie na purpurę. Prezes był świadkiem mojego pęknięcia. Nawtykania Kubiakowi, choć moim skromnym zdaniem, i tak zbyt łagodnego. Na pewno istnieją prawnicy, którzy pomagają swoim klientom z litości.

– Podobno dała mu pani do myślenia. – Zaśmiał się głośniej, ale natychmiast przywołał się do porządku. – I prezes doszedł do prostego wniosku, że to jest właśnie to, czego potrzebuje.

– Czyli czego dokładnie? – spytałam.

Zszarganych nerwów? Wrzodów na moim żołądku? Niekontrolowanych wybuchów agresji?

– Uważa, że ma pani wpływ na Kubę.

Mało brakowało, a oplułabym go kawą, której się akurat napiłam. Ja i wpływ na Kubiaka? Dawno nie słyszałam lepszego żartu.

Zaraz. Czyli nie będzie więzienia?

Tomczak w tym miejscu się nie zatrzymał. Mówił dalej, z obłąkańczą pasją w oczach. Przypominał szalonego naukowca, kiedy tak tłumaczył mi wielki zamysł jego oraz prezesa. Mocno gestykulował, uśmiechał się i zaraz poważniał.

Wreszcie podsunął mi dokumenty, a ja uświadomiłam sobie, że nie żartował. Naprawdę we współpracy z prezesem opracował plan dotyczący tego, jak wychować Kubiaka. Nie odważyłam się powiedzieć nic na temat tego, że wychowywać to można próbować dzieci do pewnego wieku, a nie prawie trzydziestoletniego faceta. A oni zaplanowali... zemstę? I jeszcze otwarcie zachęcali obcą babkę do udziału w całym „projekcie”, jak nazwali pieszczotliwie to szaleństwo.

Nie no, naprawdę? Wcześniejsze czerwone flagi zignorowałam, ale to przechodziło ludzkie pojęcie. Przecież takie rzeczy nie dzieją się w normalnym życiu!

Czytałam dokument, nie wierząc własnym oczom.

– Ale... – wydusiłam z siebie, po czym zamknęłam w połowie przeczytaną umowę i podsunęłam ją Tomczakowi. – Przecież to się wyda. Dyrektor się domyśli.

– Nie domyśli się – tłumaczył spokojnie. – Wie o tym tylko nasza trójka. Ja, pani i prezes.

Wpatrywałam się w niego bez słowa. To na bank ukryta kamera. Nie mogło przecież chodzić o prawdziwych ludzi w prawdziwej firmie.

– Waha się pani – zauważył przenikliwie.

Waham się? Lepiej byłoby chyba powiedzieć, że zastanawiam się, kiedy wyciągnie dwie tabletki, każe mi wybierać pomiędzy czerwoną i niebieską, a potem zarzuci mi na nos okulary i każe latać po matrixie.

– To mało powiedziane – przyznałam zgodnie z prawdą.

Odetchnęłam, gdy zabrał umowę i schował ją z pozostałymi dokumentami do aktówki. Czyli zrozumiał, że nie chcę brać w tym udziału. Czy w takim razie stracę posadę? Jeszcze się zastanawiam? Zawaliłam prezentację, opieprzyłam Kubiaka, nie podpisałam szemranej umowy. Jak nic wylecę na zbity pysk.

Asystent prezesa poprosił kelnerkę o rachunek, po czym opłacił go, nie pozwalając mi nawet wyciągnąć portfela z torebki. Chciał jak najszybciej skończyć to spotkanie, czemu wcale się nie dziwiłam.

– Co powie pani na zmianę lokalu? – rzucił, gdy podniosłam się, gotowa do wyjścia.

Stałam przed nim i gapiłam się, nie mogąc wydusić słowa. Zgodzić się i dać dalej namawiać? Odmówić i pożegnać się na zawsze z tą pracą? Praca... Potrzebowałam jej.

Kiwnęłam głową. Pozwoliłam zaprowadzić się na parking i bez zająknięcia wskoczyłam do jego czyściutkiego białego auta. Pochwaliłam wewnątrz i nawet pozwoliłam Tomczakowi zachwycać się muzyką rozbrzmiewającą w samochodzie, chociaż nie przepadałam za rockiem. Wolałam takich wykonawców jak ABBA, Cher... i tylko w skrajnych przypadkach Britney Spears – gdy nikt nie mógł tego usłyszeć i mnie ocenić.

Pierwszy głos rozsądku rozbrzmiał, gdy trzasnęłam drzwiami skody i spojrzałam na niski, trochę zapuszczony budynek. Pisnął drugi raz, gdy Bartosz otworzył przede mną ciężkie blaszane drzwi, a ja weszłam w ciemny korytarz. Wrzasnął, kiedy schodziliśmy w tym mroku schodami. A ja nic, ignorowałam każdy sygnał.

Całe szczęście, że nie trafiłam do obskurnej piwnicy, w której Tomczak mógłby trzymać bezbronne ofiary. Zamiast tego powitała nas całkiem ciekawie urządzona knajpa.

Pierwszy raz gościłam w tym miejscu. Lokal był elegancki, lecz nie onieśmielał. Przytłumione ciepłe światło dawało poczucie prywatności, zresztą całe pomieszczenie przypominało labirynt pełen zakamarków, w których można się ukryć. Jazzowa muzyka, niezbyt głośna, działała uspokajająco. Czasem tak jest – niektóre miejsca, tak jak i niektórych ludzi, po prostu czujemy. Jakby od zawsze w jakiś sposób byli nasi. Usiedliśmy pod ścianą. Zmierzyłam spojrzeniem wielki plakat przedstawiający przedwojenną Warszawę i udałam, że nic się nie wydarzyło, kiedy walnęłam czołem o wiszącą nad stołem lampę. Bartosz pospieszył do baru i zamówił dla nas drinki. Jasne, wszyscy piją drinki z rana. Niech jeszcze powie, że wraca samochodem do pracy i generalnie to zawsze tu bywa przed wstąpieniem do firmy. To zupełnie normalne.

Podobnie jak plan zemsty zawarty w umowie. Matko, po co ja tu przyjechałam?

Mężczyzna wrócił, zanim zdążyłam uciec, i postawił przede mną głęboki kielich z soczyscie pomarańczowym płynem.

– Bezalkoholowe – powiedział, zanim upił łyk swojego, jadowicie niebieskiego.

Z moich ust wyrwało się coś pomiędzy rozczarowaniem i sygnałem: *och, no tak, to ma sens.*

– Wybrał pan świetnie. – Oblizawałam usta. – Bardzo dobre.

– Skończmy z tym. Żaden ze mnie pan. – Tomczak wyciągnął dłoń. – Wystarczy Bartosz.

Czyli Bartosz, nie Bartek. Barti. Bartuś. Niech będzie.

Ile mógł mieć lat? Trzydzieści? Dwadzieścia siedem? Pięćdziesiąt osiem, ale dobrze się trzymał?

– Posłuchaj... – szepnął konspiracyjnie. – Wiem, jak wygląda ta umowa. Jak czysta manipulacja.

Pokiwałam głową na boki. Bardziej skłaniałabym się ku placowi zabaw na tyłach przedszkola, ale przecież mu o tym nie powiem.

– Ale pracujesz u nas raczej krótko i nie wiesz, jak przez te wszystkie lata Kuba dał nam się we znaki – ciągnął.

W to akurat wierzyłam. Znałam Kubiaka zaledwie od miesiąca, a już zdążyłam przeczytać książkę *Śmierć na tysiąc sposobów*, i oznaczyłam kolorowymi zakładkami, co by mi do niego najbardziej pasowało.

– Nie no, zauważyłam, że nie jest łatwo z nim współpracować – stwierdziłam i odsunęłam od siebie kieliszek. – Zachowuje się jak rozpuszczony dzieciak. – Ciśnienie mi się podniosło na samą myśl. – Myśli, że wszystko może ugrać czarującym uśmiechem. Jest niepoważny. Lekkomysłny... – Tak – przerwał mi, a szkoda, bo dopiero się rozkręcałam. – Po prostu pozwól, że streszczę ci kilka lat pracy z tym człowiekiem. Może to na ciebie wpłynie.

No i streścił. Dowiedziałam się sporo o swoich poprzedniczkach oraz o tym, że z każdą sypiał, a potem zwalniał. Jedna była przekonana, że jest ojcem jej dziecka, ale uratowały go testy DNA. Czy nauczył się czegoś na swoich błędach? Broń Boże. W dalszym ciągu zmieniał kobiety częściej niż skarpetki, obiecując im dozonną miłość. A potem oczywiście zniknął o poranku.

Kubiak nie rekompensował swojej kochliwości pracowitością. Obowiązki po mistrzowsku

ignorował lub zwał na innych. Nie pojawiał się na zebraniach, tym samym wystawiając własnego ojca na pośmiewisko. Prezes chciał pomóc swojemu jedynemu synowi i od razu po studiach zatrudnił go w swojej firmie, pragnął mieć u boku kogoś zaufanego, lecz okazało się, że równie dobrze mógłby wyjść przed budynek i spytać przechodniów, czy ktoś nie ma chętki na ciepłą i dobrze płatną posadkę.

Po wielu latach płacenia synowi za bezczynność, prezes znudził się czekaniem. Ostatnia kropelka cierpliwości wyschła i – podobno – wtedy pojawiłam się ja. Nadzieja na lepsze jutro.

Ja pierdzielę, następni. Ludzie muszą przestać przypinać mi siłą tę pelerynę superbohaterki. Nie chcę jej. Nie lubię. Nie pasuje mi i się o nią potykam.

Bartosz skończył swoją mowę i przypatrywał mi się wyczekująco. Czy ja naprawdę chciałam brać udział w tym zamieszaniu? Pragnęłam zachować posadę, zdobyć doświadczenie, mieć pewne źródło dochodu, ale to przechodziło ludzkie pojęcie.

Takie rzeczy nie kończą się dobrze. Manipulacje, intrygi... Praca z Kubiakiem dostarczała wystarczająco dużo wrażeń, a jakby dodać do tego jeszcze kręcenie... Nie ma mowy. Nawet moja chorobliwa ambicja w którymś miejscu się kończy.

– Posłuchaj... – zaczęłam ostrożnie. – Wiem, że Kubiak to leń śmierdzący i na pewno daje się wszystkim we znaki, ale aplikując do pracy w Adeline, nie pisałam się na coś takiego. Chciałam po prostu spełniać się, zarabiać...

– Ach, no tak! Zapomniałbym o najważniejszym. – Bartosz klepnął się w czoło. – Zerknij tu.

Swoją niespracowaną, idealnie wypielęgnowaną dłoń wskazał drobny druk u dołu strony. Zmarszczyłam nos i przysunęłam do siebie kartkę, ponieważ w tym wątpliwym świetle może i cera wyglądała świetnie, ale czytać się nie dało.

Wyprostowałam się.

Zarobki. Zajebicie wysoka premia. Pieniądze.

Odetchnęłam głębiej i otrząsnęłam się z dreszczu. Trudno było oderwać wzrok od tej kwoty. Miesiąc udawania i tyle uporządkowanych spraw.

Przywołałam w pamięci zmęczoną twarz mamy. Zmartwioną Alinę.

Ta umowa... to katastrofa. Niemożliwe, żeby coś takiego skończyło się dobrze. Będę tego żałować.

Ale też nie wybaczę sobie, jeśli znów nie pomogę mamie.

Odgarnęłam długie włosy do tyłu i powiedziałam spokojnym tonem:

– No cóż. Przyda mu się. – Wyciągnęłam długopis z torebki. – Gdzie podpisać?

Rozdział 10



Czułam się nieswojo, przekraczając próg firmy. Miałam wrażenie, że każdy już wie o tym, że ochrzaniłam Kubiaka. Tak samo jak i o podpisaniu szemranej umowy w jakiejś eleganckiej piwnicy. Ale to przecież niemożliwe, Ina, paranoiczko. Niby zdrowy rozsądek gnieździł się jeszcze gdzieś pomiędzy zwojami mózgu, a i tak zamknęłam się jak najszybciej w swojej klitce i dopiero tam zdołałam uspokoić oddech. Wyciągnęłam z torebki kopertę, którą przekazał mi Bartosz. Gapiłam się na nią, nie potrafiąc się w sobie zebrać.

Dlaczego się na to zgodziłam? Nieważne. Czas na wycofanie się minął. Teraz mogłam tylko działać. I to najlepiej od razu. Zapukałam, a następnie pewnie przekroczyłam próg biura Kubiaka. Ten siedział z nogami opartymi o biurko, z pilotem w ręku i obsługiwał wiszący na ścianie telewizor. Jak zwykle wielce zapracowany.

– O, i nadal pani tutaj jest? – spytał na mój widok.

Zerknął na mnie przelotnie, żeby za sekundę wrócić wzrokiem i zmierzyć od stóp do głów. Uniósł bezczelnie kącik ust. Co to niby miało być? Raz założyłam coś mniej formalnego i oczywiście musiał zwrócić na to uwagę?

– Mogłabym zadać panu to samo pytanie – odparłam ze słodkim uśmiechem.

Kubiak zaśmiał się i wyjrzał za mnie, ponieważ zaśłaniałam mu program dokumentalny o delfinach.

O delfinach? Obejrzałam się za siebie, upewniając, że na pewno akurat to ogląda. No proszę, jakie zaskoczenie. Nie pracował, ale przynajmniej zgłębiał wiedzę o naszych podwodnych przyjaciółach.

– Jasne, że jestem – mówił bezmyślnie z wlepionym w ekran wzrokiem. – I zawsze będę. Nawet gdy pani już tutaj nie będzie.

Dwie minuty w jego obecności i wszystkie wyrzuty sumienia zniknęły. Wchłonęły się, rozpuściły, przepadły. Poczucie winy ustąpiło miejsca satysfakcji.

– Prezes prosił, żebym to panu przekazała – wytłumaczyłam, podając mu list.

Nieświadom katastrofy, jaka go czekała, wyciągnął dłoń po kopertę. Otworzył ją, wciąż nie odrywając spojrzenia od telewizora. Z trudem wy dostał ze środka kartkę i uśmiechnął się półgębkiem.

– Pismo ojca – powiedział pod nosem, a lektor właśnie wspominał coś na temat tego, że brane do niewoli delfiny nierzadko umierają już po kilku dniach.

Po usłyszeniu tego sama się odwróciłam i z gulą w gardle śledziłam morskie stworzenia, szczęśliwie pływające na wolności, już widząc oczyma wyobraźni te wykorzystywane dla czystego zysku. Czemu człowiek musi siać zniszczenie wszędzie, gdzie się pojawi?

– Nie... To jakiś żart.

Głos Kubiaka zadziałał otrzeźwiająco. Nie zdążyłam się odezwać, bo zerwał się z miejsca i wybiegł z gabinetu. Postąpiłam tam jeszcze chwilę, ważąc wszystkie za i przeciw, po czym pobiegłam za nim, wołając teatralnie:

– Panie dyrektorze, czy dobrze się pan czuje?

Trudno, spałę się w piekle.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co to jest?! – wrzasnął dyrektor.

Zajrzałam przez niedomknięte drzwi biura prezesa, starając się pozostać niezauważona. Kubiak uderzył o biurko dłonią, w której trzymał list. Jego ojciec powoli oderwał wzrok od monitora i przeniósł go na ziewającego wściekłością syna. Westchnął i rzucił mi przelotne spojrzenie. Cofnęłam się, chowając, ale na to chyba już za późno.

O dziwo prezes przypominał oazę spokoju. Jak to możliwe, skoro ten człowiek to wulkan? Krzyczy i w ułamku sekundy robi się czerwony jak pomidor. A teraz? Wyjrzałam ponownie.

– To, mój najdroższy synu, jest decyzja, którą ci ostatnio obiecałem – rzekł spokojnie prezes. – Czemu cię to tak dziwi?

Kubiak wyprostował się i zaśmiał kpiąco.

– Jakim prawem? – syknął.

Jego ojciec oparł łokcie na biurku i wlepił w niego beznamienne spojrzenie.

– A takim, że jesteś moim pracownikiem. Płacę ci pensję, odprowadzam podatki. Wiesz, co robi pracownik? – Jego głos nabrał siły, ale szybko go uspokoił. – Pracuje. Ty natomiast nawet nie udajesz. Miałaś jedno zadanie: pojawić się na zebraniu. Sekretarka pisze za ciebie prezentacje, a ty nawet nie potrafisz ich przeczytać.

Och, a zatem nie jestem już asystentką, tylko sekretarką. Szkoda, to nie brzmi równie dostojnie.

– Coś ci się nie podoba w nowym stanowisku? – dopytywał syna prezes, a potem się uśmiechnął. Dziwny obrazek. W ogóle mi to do niego nie pasowało. To jakby zobaczyć hienę wcinającą sałatkę.

Przeniosłam wzrok na Kubiaka. Oddychał ciężko, bliski wybuchu. Nic dziwnego – był w kropce. Z jednej strony nie zgadzał się z decyzją ojca, a z drugiej guzik mógł zrobić. No chyba że spróbowałby błagać o wybaczenie i drugą szansę... Otworzyłam szerzej oczy na samą myśl. Będzie błagać?

– Jeśli coś ci nie odpowiada, to nie więzienie – kontynuował prezes. – Zawsze możesz odejść. Nie widzę żadnego problemu.

Kubiak nawet nie drgnął. Stał nieruchomo z zaciśniętym w dłoni skrawkiem papieru, który wywrócił jego życie do góry nogami.

– Mam być jej asystentem? – wycedził.

Otrząsnęłam się z kolejnych dreszczy. Rzeczywiście, możliwe, że umowa przewidywała drobną zamianę ról. A to oznaczało, że...

– Tak jak powiedziałem, nie musisz akceptować mojej oferty. – Prezes wzruszył niewinnie ramionami. – Złóż wypowiedzenie – dodał, po czym uniósł palec wskazujący i uderzył nim kilkakrotnie w swoją skroń. – Zanim to jednak zrobisz, pamiętaj o tym, że za twój apartament w centrum, drogie wakacje oraz kolacje płaci się pieniędzmi, które z kolei się zarabia. Pracując. W chwili utraty pracy, traci się dochód – słowa wypowiadał powoli, jakby kierował je do dziecka. – Czyli pieniądze właśnie. No chyba że masz jakieś oszczędności... Nie no, zarabiałeś krocie. Na pewno masz jakieś oszczędności!

Cisza wżerała się w skórę i sprawiała, że swędziało mnie już całe ciało, ale nie miałam odwagi się podrapać. Po kiego pieruna ja tu przyszłam? Ciekawość to naprawdę pierwszy stopień do piekła. Na drugim człowiek się poślizgnie i nim się obejrzy, wylądjuje na dnie mrocznych czeluści. Kubiak milczał. Czy to naprawdę oznaczało, że prezes miał rację? Nie zaoszczędził nawet grosza?

– Tak, chcę złożyć wypowiedzenie – powiedział wreszcie.

Nic dziwnego. Zrobiłabym na jego miejscu to samo. Posiadał wieloletnie doświadczenie na kierowniczym stanowisku. Chyba również dość niezłe wykształcenie. Szansa, że inna firma przyjmie go do pracy, była całkiem spora.

– Świetnie! – Prezes klasnął w dłonie i wyciągnął z szuflady gotowe wypowiedzenie. – Tylko podpisz.

Kubiak prychnął pod nosem.

– Przewidziałeś to.

– Synu... Nigdy nie podejrzewałbym cię o to, że zechcesz uczciwie pracować. Ach! – Prezes

klepnął się w czoło i przesunął kartkę z wypowiedzeniem znów do siebie, gdy Kubiak już miał ją podpisać. – Zapomniałbym. Nie fatyguj się z wizytami u konkurencji. Możliwe, że ktoś już z nimi rozmawiał i wyperswadował im różne głupie pomysły. Takie jak na przykład zatrudnianie cię.

O raju. Robiło się coraz goręcej. Co sobie wyobrażałam? Naprawdę sądziłam, że cała sprawa rozejdzie się po kościach, a Kubiak z uśmiechem na ustach wprowadzi się do mojej klitki?

Cała reszta działała się jak w przyspieszonym tempie. Kubiak rzucił ojcu nienawistne spojrzenie, przeklął pod nosem i ruszył w stronę wyjścia. Gdybym w porę się nie usunęła, z pewnością by mnie staranował. Nie podpisał wypowiedzenia, a to oznaczało...

– Synu? – Głowa prezesa pojawiła się w szparze drzwi. Patrzył na mężczyznę z satysfakcją.

Kubiak zatrzymał się, już w korytarzu, i zacisnął pięści.

– Pamiętaj, że to ja opłacam twój czynsz? – spytał niewinnie prezes. – Poważny błąd wychowawczy, a błędy trzeba naprawiać. Nie zapłacę więc ani za ten miesiąc, ani za żaden następny. Opłacisz je sam, z ostatniej pensji, którą dostaniesz jeszcze za pracę na stanowisku dyrektora.

I taka ojcowska rada: poszukaj czegoś tańszego.

I już. Kubiak odszedł, a ja jeszcze tam stałam, nie wiedząc do końca, co ze sobą zrobić. Dopiero gdy prezes rzucił mi spojrzenie spod uniesionych brwi, zerwałam się do biegu. W co ja się najlepszego wpakowałam? Jak mogłam chociaż przez chwilę pomyśleć, że to dobry pomysł i powinnam wziąć w tym udział? Już nawet myślenie o mamie nie pomagało.

Stałam przed otwartymi na oścież drzwiami do gabinetu Kubiaka i przekląłam bezdźwięcznie. Żeby dostać się do klitki, musiałam najpierw przejść obok. A tam, nie zauważy.

Zrobiłam krok.

– Może powinienem pani pogratulować? Awans w tak krótkim czasie! – rozebrzmiał ociekający jadem głos.

Mogłam się tego spodziewać. A zatem oto moment konfrontacji.

Wściekły mężczyzna pakował swoje rzeczy, wrzucając je do papierowych pudeł. Przywłaszczył sobie te, które od kilku dni stały przy innych drzwiach i byłam pewna, że nie należały do niego. Trudno, po sprawie.

Jakaś częśćka mnie, pewnie wielkości małego palca u stopy, mu współczuła. Sama znalazłam się w o niebo lepszej pozycji – właśnie awansowałam i przydzielono mi gabinet z OKNEM. Nie wspominając już nawet o tym, że osoba wykonująca obowiązki dyrektora generalnego zarabia adekwatnie do stanowiska. Jakby tego było mało, dostanę sporą premię za tę zamianę ról. Jeśli coś mogłoby wynagrodzić mi ten stres, to tylko pieniądze. – Ja tylko... – podjęłam, ale na widok jego wścieklej miny zamknęłam usta.

Kubiak wyprostował się i stanął przede mną z założonymi na piersi rękoma. Patrzył z czymś na kształt... wyzwania?

– No i co? – burknął. – Tylko tyle, pani dyrektor? Nie ma pani już nic więcej do powiedzenia?

Dreszcz przemaszerował po moim kręgosłupie. Nie, nie ze względu na szpile, które Kubiak starał się wbić. Pani dyrektor. Dobrze to brzmiało. Chwila. Skoro ja miałam być teraz dyrektorką, a on moim asystentem... To oznaczało nieuniknioną współpracę.

Ja z kolei wyglądałam na mało zdziwioną całym zajściem. Dziw się, Ina!

– A co ja mogę powiedzieć? – Nie machaj tak rękami, kobieto. – Może jeszcze myśli pan, że to ukartowałam? Może podpisałam jakąś szemraną umowę, byleby tylko panu dopiec?! – Zły pomysł. Zamknij się. Zmień kierunek. – Po co w ogóle się produkować, skoro do pana i tak nic nie dociera? Prosiłam pana. Błagałam, żeby poszedł pan ze mną na to cholerne zebranie, ale miał je pan w nosie. W nosie z obowiązkami, oczekiwaniami ojca i moją pracą. I co, teraz chce się pan wyżyć na niewinnych? Niedoczekanie.

Dobrze to rozegrałam. No, może poza początkiem. Z nutą rozczarowania i toną zwaleni całej winy na niego.

– I co? Już? – Nachylił się nade mną.

Zabiję go. Zamorduję, jak mamę kocham, zakopię gdzieś w lesie, rzucę psom na pożarcie. On naprawdę zaśmiał się, pokręcił z niedowierzaniem głową i wrócił do pakowania.

Ożeż ty. Już ja ci powiem!

– Jest pan nieodpowiedzialny, nie wywiązuje się pan ze swoich obowiązków... – Wyliczałam na palcach. – Nie interesuje się pan sprawami firmy, nie ma pojęcia, co się z nią dzieje, nie zarabia pan na siebie... Już ja jako kompletny żółtodziób poradzę sobie lepiej, wie pan dlaczego? Bo będę robić cokolwiek, a to zawsze będzie lepsze niż nic. *Zero. Null.*

W Kubiaka wstąpiło jakieś zimne opanowanie, natomiast mój język magicznie się rozwiązał i nie umiałam go już powstrzymać.

– I bardzo dobrze, że przyjełam tę posadę! – monologowałam. – Nie żał mi pana. Zasłużył pan sobie na to wszystko. Na każdy gniew prezesa, na to, że pana wreszcie wyrzucił na ten pana zbity... – Urwałam w odpowiednim momencie i posłałam Kubiakowi niezręczny uśmiech.

Dyrektor słowem się nie odezwał, a ja i tak zapragnęłam uciec. Schować się gdzieś na końcu świata i pozwolić wszystkim o sobie zapomnieć. Pewnie dlatego wybiegłam z jego biura i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Oparłam się o nie, wypuściłam powietrze z płuc i usłyszałam tylko ze środka: „stuknięta baba”.

Drogę do domu zajmowało mi rozkładanie tej sytuacji na czynniki pierwsze i zastanawianie się, czy Kubiak miał rację, że nazwał mnie stukniętą. Istniało prawdopodobieństwo, że taka właśnie byłam. Stuknięta i, na domiar złego, bez pomysłu na życie. Przez ostatnie miesiące moim celem było najpierw zdobycie tej pracy, a potem utrzymanie jej za wszelką cenę, ale w tej chwili już nie wiedziałam, czy ta posada w ogóle jeszcze była moim marzeniem. Czy naprawdę marzyłam o tym, żeby pracować z facetem, którego nie cierpiałam, i to z wzajemnością? Marzyłam o pracy w firmie, której prezes nie potrafił poradzić sobie z dorosłym synem? Marzyłam o udziale w konspiracji, która powinna wzbudzać jedynie niesmak? I wreszcie – czy będę potrafiła odczuwać jakąkolwiek satysfakcję z pełnionej funkcji, jeśli została uzyskana w taki sposób?

– Ina, poczekaj!

Zatrzymałam się jak na komendę i ujrzałam biegnącego w moją stronę Bartosza. Miło, że wreszcie nauczył się mojego imienia.

– Masz pojęcie, jak trudno cię dogonić? – Oparł dłonie nad kolanami, udając bardziej zmęczonego, niż był w rzeczywistości. Mało śmieszne.

Nawet nie spróbowałam udawać, że było inaczej. – O czym tak rozmyślasz, że zapominasz o całym pięknym świecie?

O patologicznej firmie i jej nienormalnych pracownikach. O swoim niezdecydowaniu i utraconej tożsamości. O spojrzeniu, którym Kubiak wbił mnie mocniej w ziemię. O delfinach branych do niewoli.

– O niczym... – bąknęłam.

Bartosz wyprostował się i posłał mi pokrzepiający uśmiech.

– Jak się czujesz po tym wszystkim? – spytał. – Domyślałam się, że nie było przyjemnie.

Przymknął oczy i zmarszczył gęste czarne brwi. Skupiałam się na jego twarzy, żeby nie odpowiadać na pytanie, ale chyba nie miałam wyjścia. Przewróciłam oczami. Stały trik, który stosowałam, ilekroć czułam, że zaraz wybuchnę płaczem. Kobiety sukcesu nie płaczą. Kobiety sukcesu kąpią się w basenach wypełnionych łzami ich przeciwników.

– Nie było – przyznałam zdawkowo, gapiąc się na pęknięcie w płycie chodnikowej.

– Może masz ochotę na drinka? – zaproponował. – Tym razem już z alkoholem?

Natychmiast pokręciłam głową.

– Przykro mi. To chyba nie mój dzień.

– Już wiem! – Pstryknął mi palcami przed nosem. – Wiesz, co najlepiej pomaga na kiepski humor?

Czułam się jak dziecko, któremu zadało się banalnie prostą zagadkę i czekało na jego odpowiedź. Nie byłam zbyt błyskotliwym szkrabem.

– Jedzenie! – odpowiedział wreszcie sam sobie, skoro moje szare komórki tego nie ogarnęły. – Zapraszam cię na obiad.

Daleko było mi do radości z tego pomysłu, ale jego dobre chęci rozczulały. W domu czekał odmrożony buraczany kotlet, a do tego ryż, jeśli jeszcze jakiś zalegał w szafce, więc niewiele miałam do stracenia. Pozwoliłam Bartkowi poprowadzić się do pobliskiej restauracji, którą zachwalał pod niebiosa. Tuptałam za nim, pozwalając mu mówić i wtrącając wyczerpujące pomrukiwanie w odpowiednich momentach.

A potem znów musiałam przewracać oczami przez wzruszenie, gdy okazało się, że tą restauracją była pizzeria. Matko, ten facet uratował mi życie. Jeśli coś mogło poprawić mi humor, podnieść na duchu, wyciągnąć z tej przepaści, do której wpadłam... to tylko pizza.

Gdy kilkanaście minut później bezgraniczne szczęście upchane w drożdżowe ciasto pojawiło się na naszym stole, znałam już wszystkie zabawne historyjki związane z tym lokalem. Podobno Adeline często organizowała tu spotkania integracyjne dla pracowników. Dowiedziałam się, że ktoś kiedyś tańczył na stole, a inny ktoś wyszedł stąd bez butów. Szkoda, że wielkość Warzywniaka nie pozwalała na organizację imprez. To świetna okazja do zarobku.

Rozejrzałam się ukradkiem po lokalu. Niemal wszystkie stoliki zajęte. Jak to jest, że jedni świetnie prosperują, a inni muszą walczyć o życie? Oderwałam się od przygnębiających myśli i przytaknęłam na coś, o czym akurat opowiadał Bartosz. Buzia mu się nie zamykała. Zastanawiałam się nawet, czy żuchwa go trochę nie boli.

– Mam pytanie – rzucił niespodziewanie, gdy pierwszy kawałek pizzy był w połowie drogi do moich ust. – Nie zastanawiasz się, czemu akurat ty wskoczyłaś na stanowisko dyrektorki generalnej, mimo że masz zerowe doświadczenie i tak krótko pracujesz w firmie?

Dzięki, Bartek. Teraz już nic nie przełknę.

Powoli odłożyłam pizzę na talerz.

– Bo jestem wykształcona, pokazałam profesjonalizm podczas prezentacji, jestem pracowita, ambitna...

– Tak – przerwał mi beczelnie. – Jasne, że tak, ale nie wydaje ci się, że to i tak trochę za mało?

Lubiłam, gdy ludzie sprowadzali mnie na ziemię. Najfajniej, gdy robili to za jednym zamachem, szybko i boleśnie. Wyciąganie piasku spomiędzy zębów po spotkaniu z gruntem to zabawa na miarę chłosty. Coś fantastycznego.

– Masz rację – przyznałam cicho po krótkim, ale intensywnym namyśle. – Wmawiam sobie to wszystko, ale tak naprawdę chyba po prostu muszę w to wierzyć, żeby nie uciec z firmy z krzykiem. Odpowiedzialność jest przytłaczająca. Wykształcenie, którym się tak obnoszę? – Zaśmiałam się gorzko. – Studia świetnie pokazują, jak bardzo teoria różni się od praktyki.

Wow. Samą siebie zaskoczyłam tą wylewnością. Bartosz

jednak nie zamierzał się chyba nad tematem pochylać. Mruknął coś pod nosem z ustami wypchanymi ciastem jak chomik i połał kolejny kawałek sosem czosnkowym. Przełknął.

– Sam na początku zastanawiałem się, co do tego doprowadziło, bo prezes był bardzo tajemniczy – stwierdził. – Z początku sądziłem, że chodziło tylko o ochrzan, ale przecież w życiu Kubiaka już wiele osób na niego krzyczało. Nie robi to na nim większego wrażenia. No i w końcu poznałem prawdę.

Nic z tego, co mówił, nie miało sensu.

– Nie rozumiem – mruknęłam przez przekonania. – Przecież mówiłeś, że prezes po prostu ucieszył się, że nakrzyczałam na jego syna.

– No tak – odparł Bartek. – Ale mówiłem też, że prezes uważa, że masz wpływ na Kubę, a nawet nie spytałaś, skąd takie wnioski. Nie jesteś ciekawa?

Zamrugałam w konsternacji. No rzeczywiście coś takiego było.

– Ja mam na niego wpływ? – powtórzyłam z powątpiewaniem.

– Na to wychodzi. – Bartosz rozłożył w powietrzu ręce. – Skoro po tym, jak nawtykałaś mu po zebraniu, poszedł do swojego ojca i poprosił, żeby cię nie zwalniał, to chyba coś jest na rzeczy?

Zaklęłam tak siarczyście, że jakaś wzburzona matka ze stolika obok zakryła swojej kilkuletniej córce uszy. Kubiak się za mną wstawił? On za mną?

I Bartek dopiero teraz mi to mówił? TERAZ?! Dlaczego nie zrobił tego rano? Wtedy na bank

nie zwymyślałabym ponownie Kubiaka. Znosiłabym wszystko w milczeniu.

– Mnie też ciężko było w to uwierzyć. – Bartek siorbnął łyk soku jabłkowego. – Ale tak właśnie było. Dlatego to ty musisz być przełożoną Kuby. Bo w końcu czyjeś wrzaski robią na nim wrażenie.

Uśmiechnęłam się do niego krzywo, po czym odsunęłam swój talerz na bok i walnęłam głową o blat stołu. Jeśli miałam na Kubiaka jakikolwiek wpływ, to po dzisiejszym dniu możemy już o tym spokojnie zapomnieć.

– Wszystko w porządku? – spytał Bartek.

– Tak. – Wymusiłam uśmiech. – Po prostu właśnie uświadomiłam sobie, że jestem okropnym człowiekiem.

Nie dość, że zaangażowałam się w spisek, to jeszcze skopałam leżącego.

Bartek chyba wreszcie zaczął słuchać, ponieważ w jego oczach zauważyłam nieme zapytanie. Po tych rewelacjach mój apetyt już na pewno nie wróci. Przez kolejne trzy lata.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej, bo wiesz... – jęknęłam. – Strasznie mu dzisiaj nawtykałam.

– Znowu?

Ukryłam twarz w dłoniach. Zniknąć. Przepaść. Jakbym nigdy nie istniała i nie zdążyła spieprzyć tylu spraw.

– A skąd mogłam wiedzieć, że nagle odnalazł w sobie pozostałości altruizmu? – stękałam. – Myślałam, że liczy się dla niego tylko jego własne dobro i interes, a on...

– Daj spokój. – Bartosz machnął ręką. – Nadal jest zapatrzonym w siebie dzieciakiem. Ludzie nie zmieniają się na pstryknięcie palcami. Przyznałam mu w duchu rację. Ludzie nie zmieniają się z dnia na dzień. Nie przez jedną kłótnię czy kilka słów wypowiedzianych przez jakąś tam asystentkę. Ludzie nie zmieniają się... I tu postawmy kropkę. Ludzie się nie zmieniają.

Nie tknęłam już pizzy, ale za to obserwowałam, jak zostaje pochłonięta przez Bartosza. Rany boskie, facet chyba nie jadł z tydzień. Ciekawsze jednak było to, że zaczął mówić o czymś innym niż praca. Paplał jak opętany o swojej rodzinie, o tym, że dopiero co wrócił z urlopu, który u niej spędzał. O górach, gdzie się wychował, robieniu oscypków i nieprzejezdnych zimą drogach. Śmiałam się z anegdotek dotyczących turystów, z którymi zetknęli się jego rodzice przez wszystkie lata prowadzenia pensjonatu i nagle, ku własnemu zdziwieniu, ujrzałam w nim człowieka. Nie asystenta prezesa. Nie pracoholika. Nie kogoś, przez kogo zostałam nakłoniona do podpisania szemranej umowy, ale wrażliwego i rodzinnego mężczyznę z poczuciem humoru. Zadziwiające.

– Niech pan albo sprawdzi jeszcze raz, albo natychmiast wezwie kierownika.

Obydwoje zamilkliśmy na brzmienie znajomego głosu. Skupiliśmy uwagę na mężczyźnie awanturującego się przy barze podczas płacenia rachunku. Na siłę wciskał kelnerowi kartę płatniczą, a tamten bardzo uprzejmie starał mu się wytłumaczyć, że nie ma na niej środków.

Kubiak. Ten człowiek mnie prześladował. Nie pozwalał żyć w pracy, a teraz jeszcze musiałam go oglądać poza murami Adeline. I nie miał czym zapłacić. Czyżby prezes już zdążył odciąć go od wszystkich środków? Tak szybko? A co z gotówką, jej też nie posiadał?

– Sprawdziłem już trzy razy. – Pracownik silił się na spokojny ton, ale Kubiak gromił go wzrokiem. – Może ma pan inną kartę? Lub gotówkę? Gołym okiem było widać, że sytuacja przewyższała byłego dyrektora. Tracił kontrolę nad sytuacją. Z odległości kilku metrów widziałam, że pocił się jak mysz. Odetchnęłam, starając się uporządkować myśli. Kogo chciałam oszukać? Wyrzuty sumienia za bardzo dawały mi się we znaki, żebym mogła przejść obok tego obojętnie.

Kubiak się za mną wstawił. Ten świat stanął na głowie.

Podeszłam do baru, przy którym stał dyrektor, i wręczyłam kelnerowi swoją kartę, modląc się w duchu, żeby wysokość rachunku nie doprowadziła do niczyjej śmierci. Na przykład mojej. Przez zawał.

– Zapłacę – powiedziałam, nie patrząc byłemu przełożonemu w oczy. – Odda mi pan przy okazji.

Ten nieprzewidziany wydatek bolał, zwłaszcza że cholerny burzuj nawet na pizzę potrafił wydać krocie, ale zacisnęłam zęby i nie pisnęłam słowa.

Kubiak wciągnął głośno powietrze i natychmiast wykrzyknął do pracownika:

– Niech pan natychmiast odda tej pani kartę! Nie potrzebuję jałmużny...

Przewróciłam oczami i poleciłam kelnerowi dokończyć transakcję. On zaś wolał klienta z gotówką od tego bez niej.

Odważyłam się wreszcie odwzajemnić spojrzenie, które dyrektor wbijał w moją czaszkę, odkąd do niego podeszłam. Mężczyzna poczerwieniał nawet na szyi. Cholera, naprawdę można go było w tych okolicznościach żałować.

– To nie jałmużna, tylko pożyczka. – Odebrałam kartę od kelnera wraz z paragonem, który wyciągnęłam w stronę Kubiaka. – Sponsorowanie pana jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę.

Zmrużył powieki i wziął kwit z mojej dłoni.

– Najpierw pozbawia mnie pani pracy, później wyzywa, a na sam koniec ratuje?

Parsknęłam. Powinien dziękować losowi, że znajdowałam się tak daleko, bo już zbierałby ślinę z policzków.

– Pozbawiłam pana pracy? – Zaśmiałam się gorzko. – Akurat za to może pan podziękować tylko i wyłącznie sobie! – Szybko zapanowałam nad szalejącymi nerwami, zanim przejęły kontrolę. – Ale nie powinnam na pana krzyżeć. Trochę dałam się ponieść.

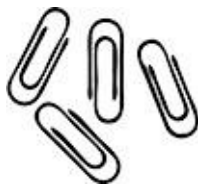
Gniew w jego oczach rozpląnął się momentalnie, jak burzowe chmury na niebie, pozostawiając po sobie czysty błękit.

– Czy to przeprosiny? – spytał z niedowierzaniem.

Nie zamierzałam odpowiadać. Odwróciłam się na pięcie. Odeszłam od niego, trochę jak wtedy na przystanku, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Dopiero przy stoliku obejrzałam się, by przekonać się, że tym razem nie odszedł. Stał ciągle w tym samym miejscu i odprowadzał mnie wzrokiem.

Rozdział 11



Nie zdążyłam jeszcze wejść do nowego biura, a Bartosz już czekał pod drzwiami, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Zerknęłam na zegarek – przyszłam piętnaście minut przed czasem. Nie trzeba szóstego zmysłu, żeby zrozumieć, że ten dzień nie będzie łaskaw.

– Dobrze, że jesteś – wyrzucił z siebie jak z karabinu, gdy tylko dotarłam do drzwi. – Musimy porozmawiać.

Dzień dobry. Ciebie też miło widzieć. Tak, czuję się znakomicie. No dobra, masz rację. Faktycznie trochę się stresuję. Dziękuję, że pytasz.

– Coś się stało? – spytałam, otwierając drzwi.

Wpuściłam go do środka, on zaś w odpowiedzi położył na moim biurku górę dokumentów. Poczułam powiew grozy na karku. Od wczoraj byłam cała w skowronkach. Napięcie odpuściło, a ja starałam się rozkoszować tym, że przez jakiś czas będę dyrektorką i nawet jeśli to tylko jedno wielkie kłamstwo, zamierzałam wycisnąć z niego maksimum.

Zwłaszcza że dobrych wieści było więcej. Ja pochwaliłam się mamie awansem, a ona obwieściła mi, że zamierza wreszcie przedstawić Joasienieńkę! Do tej pory nie poznawałam jej partnerkę, prawdopodobnie przez fakt potencjalnego rozstania, który według niej mógł wpłynąć negatywnie na stan psychiczny jej córki. Argument, że dawno już skończyłam dwadzieścia lat i nie jestem dzieckiem nijak nie działał. Skoro więc zdecydowała się na ten krok, Joasienieńka zapewne zagrzeje miejsce na dłużej. Wiadomo? Może i na zawsze.

Ale zanim będę mogła rzucić się w wir szczęśliwego rodzinnego życia, najpierw muszę przetrwać kolejny dzień w tej cudownej, wymarzonej, idealnej firmie. Wróciłam więc myślami do rzeczywistości i stojącego przede mną Bartka.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że postaramy się zająć najważniejszymi obowiązkami, żebyś nie musiała robić nic, na co nie jesteś przygotowana? – wyrzucił. – Żadnych skoków na głęboką wodę i grania dyrektorki przed masami?

Oczywiście, że pamiętałam. Wnerwiłam się, ponieważ chciałam się uczyć, a nie tylko siedzieć i oglądać dokumenty na Discovery.

– Pamiętam – oznajmiłam. – Mówiłam, że to niepotrzebne.

Błagam, niech powie, że jest tutaj, ponieważ kroi się jakieś skakanie na głęboką wodę i granie dyrektorki przed masami!

– Mamy dzisiaj niezapowiedzianą wizytę – powiedział. – Przyjeżdża kilka osób z oddziału naszej firmy w Czechach. Nic wielkiego, ale...

– Ale?

Ha, a jednak!

– Ale prezes chce, żebyś zajęła się tym osobiście i wykorzystała do tego Kubę – dokończył. – Zawsze to on się nimi zajmował.

Pokiwałam głową, kompletnie nie rozumiejąc, w czym tkwił problem.

– No dobrze. – Odłożyłam wreszcie torebkę na biurko. – Tak zrobimy. Tylko powiedz mi wszystko, co powinnam wiedzieć.

Widocznie zaskoczył go mój spokój, ale szybko się otrząsnął i wziął w garść. O pomoc poprosiłam go o ósmej, a gadać skończył dopiero o trzynastej. No i teraz, po tylu godzinach wykładu, mogłam wreszcie z czystym sumieniem powiedzieć, że cokolwiek o tej firmie wiedziałam. Bartosz najwyraźniej oczekiwał jakiegoś stresu lub strachu z mojej strony, ale na nic podobnego się nie zanosilo. Potrzebowałam tego wyzwania. Albo potrzebowałam zajęcia. Czegoś, czym mogłabym zająć myśli, żeby nie skupiać się na Warzywniaku i spisku. A jeśli to mogło jeszcze przy okazji polećtać moje ego, które chciałoby, żeby wreszcie coś mi się udało, nie mogłabym być bardziej gotowa.

Jedynym problemem był Kubiak.

Podziękowałam Bartoszowi i ruszyłam na spotkanie z moim najdroższym asystentem. Nie dotarłam jednak na miejsce, gdyż ledwie przekroczyłam próg swojego biura, poczułam dotyk na ramieniu i napotkałam ładne spojrzenie zielonych oczu Bartosza.

– Coś jeszcze? – spytałam.

– Tak. To znaczy nie. Znaczy... – Skwasił się. – Nie poszłabyś ze mną na kolację?

Wrosłam w ziemię. Na policzki wpełzły wypieki. Kolacja? Ładna sukienka i świece? Skrzypce? Randka?!

– Czekaj... – Za wszelką cenę unikałam kontaktu wzrokowego. – Masz na myśli, że... No...

– To nie randka – odparł szybko. – Tylko takie koleżeńskie spotkanie.

Muzyka w tle przestała grać, świece zgasły, a ja uderzyłam z łomotem o ziemię. Oczywiście, że nie randka. Dlaczego miałabym iść z nim na randkę? Przecież nie szukam relacji. One nigdy się dobrze nie kończą.

– Oczywiście – wydusiłam z siebie. – Kolacja. Nie randka.

Uśmiechnął się szeroko. Z takim ładnym uzębieniem mógłby spokojnie reklamować pasty do zębów.

– Mogę być o dziewiętnastej? – spytał. – Tylko wyślij mi adres esemesem.

– Dziś? – wyplułam.

Bartek zaczął bawić się dłońmi niczym mały chłopiec.

– Jeśli nie możesz...

– Nie! – Omal nie rzuciłam się w jego stronę. – Dziś mam wolny wieczór.

Posłał mi zadowolone spojrzenie i się oddalił, a zapach jego wody kolońskiej rozgościł się w moich nozdrzach. Pachniał naprawdę ładnie. Miętą? Niepewna tego, co się właśnie wydarzyło, zesłam piętro niżej, żeby odnieść na miejsce dokumenty, które pokazywał mi Bartek. Poproszę o ich przyniesienie Kubiaka. Tak, to wyjątkowo głupi sposób angażowania go w działanie, ale na nic lepszego jeszcze nie wpadłam.

Dlaczego Bartek zaproponował kolację? To dobrze, że nie nazwał tego randką, ale... Kolacja brzmi poważnie. Dlaczego nie lunch? Dlaczego się zgodziłam?

Och, to akurat proste. Bartosz był aktualnie moim najbliższym znajomym, a ja zmęczyłam się już samotnością. To smutne.

Wróciłam na piętro i już miałam zapukać do drzwi klitki Kubiaka, ale powstrzymałam się na centymetr przed uderzeniem. Czy Kubiak kiedykolwiek pukał? Odpowiedziałam sobie na to pytanie, przekręcając bez uprzedzenia gałkę i wparowując od razu do środka. Nie spodziewałam się ujrzeć w tym miejscu kobiety, siedzącej zuchwale na biurku, oraz rozanielonego Kubiaka w fotelu. Na mój widok mężczyzna zerwał się z miejsca jak poparzony.

– Myśli pani, że może sobie tu wchodzić jak do siebie?! – wydarł się.

Kilka wniosków: po pierwsze, miło, że mimo wszystko przyszedł do pracy. Spodziewałam się natknąć na zamknięte drzwi.

Po drugie: jakie musiałam mieć szczęście, że mnie ochrona chciała zgarnąć i wyrzucić z budynku pierwszego dnia, a ta kobieta siedziała sobie tutaj w najlepszej.

I po trzecie: czemu wpatrywała się we mnie z niechęcią? Rozumiem, że im przerwałam, ale bez przesady. Kubiak jest w pracy.

– Musimy porozmawiać – powiedziałam, starając się brzmieć rzeczowo.

Dyrektor ewidentnie nie wiedział, co ze sobą zrobić. Otwierał i zamykał usta.

– Kto to? – spytała kobieta, zupełnie ignorując moją obecność.

Przeniosłam wzrok z jego bezmyślnej twarzy na nieznaną i również zmierzyłam ją od stóp do głów. Zatrzymałam na dłużej spojrzenie na jej butach. Czytałam kiedyś w gazecie, że jeśli chcemy, żeby ktoś poczuł się niekomfortowo, wystarczy wlepić wzrok w jego buty. Musiało zadziałać, bo się podniosła.

– Nazywam się Ina Mazurek – przedstawiłam się. – Jestem...

– Jedną z naszych najlepszych pracownic – wtrącił natychmiast Kubiak, a mi prawie głowa wybuchła. Podeszedł i stanął obok. Odsunęłam się, a on znów się przybliżył. – Obecnie pracujemy przy wspólnym projekcie.

Zmrużyłam powieki i już otworzyłam usta, żeby ukrócić te jego kłamstwa, ale kobieta przytaknęła bez większego wzruszenia, pożegnała się z nami i wyszła, nie drażąc tematu.

Och, ale nie to powinno dziwić najbardziej. Kubiak patrzył za nią tęsknym wzrokiem, a gdy już zamknęła drzwi, trwał tak jeszcze kilka chwil, niczym przekłety bohater romansu. Dziwne. Sądziłam, że to raczej on był manipulatorem i zmieniał kobiety jak rękawiczki. W końcu pan Waldek i te historie Bartosza... Co, jeśli było zupełnie inaczej? Co, jeśli tak naprawdę Kubiak tylko szukał miłości, a to te wszystkie kobiety nieustannie go wykorzystywały i odrzucały?

W sumie jak im się dziwić?

– Jestem najlepszą pracownicą, pracujemy razem przy wspólnym projekcie, a jak wytłumaczył pan to, że siedzi w klitce, a nie w swoim gabinecie? – spytałam.

– Remontem – rzucił przez ramię, kierując się do fotela, w którym rozsiadł się jak król. – Czego pani chce?

Przełknęłam jego protekcyjny ton.

– Mamy dzisiaj ważne spotkanie – oświadczyłam. – Przyjeżdżają ludzie z Czech. Podobno zna ich pan całkiem dobrze.

Kubiak podrzucił nad głową niewielką żółtą piłeczkę.

– Znam – powiedział krótko. – I co w związku z tym?

Odsunęłam się, kiedy się zamachnął i rzucił piłeczkę za biurko, by odbiła się od ściany i do niego wróciła. To również przełknęłam.

– W związku z tym pomoże mi pan...

– Przyjęcie ich to zadanie dyrektora generalnej – przerwał mi.

– Zgadza się. – Weszłam piłeczkę w drogę i złapałam ją, gdy zmierzała w kierunku drzwi, żeby znów się od nich odbić. – Tak się składa, że jest pan jej asystentem. Proszę przygotować wszystkie niezbędne dokumenty, chcę się z nimi zapoznać. – Zerknęłam na zegarek i odrzuciłam mu piłkę. Złapał. Niezły refleks. – Za dziesięć minut na moim biurku.

Oglądałam Diabeł ubiera się u Prady, więc wiedziałam, jak być wredną szefową. Nie byłam tylko pewna, czy on wiedział, jak być uległym podwładnym.

– Nic z tego – oświadczył. – Jestem śmiertelnie zajęty.

I znów piłeczka – bęc! Przy mojej głowie.

– Zajęty? – powtórzyłam. – Nic panu jeszcze nie zlecałam.

Kubiak ułożył ostentacyjnie nogi na biurku i uśmiechnął się wyzywająco.

– Sam potrafię się sobą zająć. – Odłożył zabawkę i splótł dłonie na karku. – Chyba musi pani sobie sama znaleźć te dokumenty. Piętro szóste. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Robił dokładnie to, czego się obawiałam – opierał się. Chciałam się temu dziwić, ale nie mogłam. Skoro jako dyrektor nie wypełniał swoich obowiązków, to dlaczego miałby zacząć to robić, kiedy go zdegradowano? Prezes kompletnie nie przemyślał tego planu.

– Panie Kubiak, zapewniam pana, że to należy do pańskich obowiązków – powiedziałam.

Mężczyzna podniósł się i podeszedł bliżej nonszalanckim krokiem. Ręce wcisnął w kieszenie szarych spodni. Znalazł się tak blisko, że wraz z powietrzem wciągnęłam do płuc słodko-gorzki zapach jego perfum. Nie umiałam rozpoznać zapachu. Kardamon? Cynamon?

– Pani Mazurek, zapewniam panią, że niestety... ale mam to gdzieś.

Zmusiłam się do spojrzenia mu w oczy. Traciłam kontrolę nad sytuacją.

– Pana ojciec...

– Mój ojciec? – wszedł mi w słowo. Znow się zbliżył, a ja oddaliłam. – Mój ojciec już zrobił, co chciał. Uważa pani, że po skardze zareaguje? Jak, skoro latami nie zrobił nic, gdy tkwiłem na stołku wyżej?

Mierzyliśmy się spojrzeniami. W ten sposób nic nie wskóram. Kubiak nie ulegnie tylko dlatego, że wydaję mu polecenia. Nie tędy droga. To nie typ człowieka, który wykonuje rozkazy. Problem jednak polegał na tym, że musiał to zrobić, żeby prezes był zadowolony.

Zadowolony prezes to wysoka premia. Wysoka premia to jedno opłacone wezwanie więcej. Żeby tylko jedno.

Zacisnęłam pięści, zignorowałam pełne wyższości zachowanie Kubiaka, wypięłam pierś do przodu i wypaliłam:

– Potrzebuję pana pomocy. Proszę.

Mało brakowało, a by się biedaczek przewrócił. Gdy byłam jego asystentką i o cokolwiek prosiłam, miał to gdzieś, ale teraz prosiłam jako jego przełożona, a to już coś zupełnie innego. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Uniósł rękę, żeby przeczesać nią jasne włosy, ale ją opuścił. Zaśmiał się, ale szybko urwał.

– Wiem, że zna pan tych ludzi i że się lubicie... Gdyby mi pan coś podpowiedział, pomogłoby mi to bardziej niż wszystkie dokumenty z szóstego piętra.

Niemożliwe, z jaką łatwością słowa przechodziły przez moje gardło. Może to przez fakt, że działały. Złośliwość w oczach dyrektora zastąpiła niepewność. Zdziwienie wyparło arogancję. W tym stanie wyglądał zupełnie niegroźnie.

– Prosi pani o pomoc?

Pokiwałam głową.

Zmienił postawę. Przestał nade mną górować, próbując zająć jak najwięcej przestrzeni. Pionowa zmarszczka zniknęła pomiędzy gęstych brwi, spojrzenie błękitnych oczu złagodniało. Opuścił gardę.

– No dobrze. – Podrapał się po czubku głowy. – Mogę pani o nich co nieco opowiedzieć.

Wyszczrzyłam się. Pomoże! Miałam ochotę mu pogratulować wspaniałej życiowej decyzji, może kupić nawet kubek z napisem: *Wreszcie trochę zmydrzałem*, ale zamiast tego ruszyłam do wyjścia.

– Zaraz mi pan wszystko opowie, skoczę tylko do gabinetu po notatnik i telefon, w razie gdyby dzwonili.

Chwyciłam za gałkę, a uśmiech natychmiast spelzł z moich ust. Kręciłam nią na wszystkie strony, ciągnęłam, kopnęłam w drzwi... a one nic. Dopełniło się. Utknęliśmy.

I teraz tu umrzemy.

Rozdział 12



Życie jest zagadką. Czasem mogłoby się wydawać, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Człowiek wstaje na dźwięk budzika, ma się w co ubrać, a nawet zdąży zjeść śniadanie. Autobus nie ucieka sprzed nosa, przystanek jest na wyciągnięcie ręki. Przed drzwiami gabinetu czeka przemiły, dość przystojny okularnik, który zaprasza na kolację... Broń Boże na randkę, więc nie ma mowy o skrzypcach i świecach, ale w sercu tli się nadzieja na piękną przyjaźń.

A potem człowiek zostaje zamknięty w klitce z debilem.

– Ale jak to się nie otwierają?! – wydarł mi się nad uchem.

Nabrałam sto hektolitrow powietrza do płuc.

– Normalnie! – odwrzasnęłam. – Przecież te drzwi od dawna ostrzegają, że zaraz wyzioną ducha! Widział je pan?!

– Specjalnie je pani popsowała! – wypluł z siebie Kubiak. – Jeszcze kopnęła!

Przymknęłam powieki. Telefon do konserwatora był już za nami, a ten ze stoickim spokojem przekazał, że owszem, pomoże nam się wydostać, jak tylko skończy walkę z pękniętą rurą w piwnicy, która jest sprawą niecierpiącą zwłoki.

Zwłoki to oni tutaj znajdują, jak nas zaraz nie wypuszczą.

– Niech pan przestanie łązić w tę i we w tę! – warknęłam do dyrektora.

Tak naprawdę obawiałam się o jego marny żywot. Oddychał niepokojąco szybko, a na czole pojawiły mu się kropelki potu.

– Chwila. Ale chyba nie ma pan klaustrofobii, co?

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna pędem ruszył do biurka, chwycił chusteczkę i przetarł nią spocone czoło.

– Trzęsie się pan – dodałam.

– A tam, zaraz trzęsie! – Wziął kurs na przeciwległą ścianę. Zajęło mu to aż trzy średniej długości kroki. – Ile to pomieszczenie może mieć długości?

Zagryzłam wargę. Jak mi zaraz wpadnie w jakiś wstrząs, to zamiast go ratować, padnę obok.

– Niech pan usiądzie! – rozkazałam. – Niechże pan posadzi tyłek na krześle!

Nie działało. Panika zaczęła przejmować nad nim władzę. Zdjął krawat, rozpiął koszulę pod szyją. Na tkaninie malowały się coraz większe plamy potu.

Wstałam, położyłam dłonie na jego ramionach i zawisłam na nim, próbując posadzić go na ziemi. Był większy i silniejszy, więc go to nie ruszyło. Przyglądał mi się tylko z niezrozumieniem.

– Co pani wyprawia? – spytał.

– Siądzie pan!

Znów napałam w dół, stękając z wysiłku.

– Na podłodze?

Puściłam go.

– Tak – odpowiedziałam.

– Dlaczego na podłodze? – Spojrzał na mnie jak na idiotkę. – Podłoga jest brudna.

Jeśli chcesz, by ktoś coś zrobił, nie rozkazuj, tylko bądź przykładem. Usiadłam po turecku i spojrzałam na niego wyczekująco. Całe szczęście, że założyłam dzisiaj spodnie. To ułatwiało życie.

– Z tej perspektywy pokój wydaje się większy – powiedziałam.

Kubiak rozejrzał się jeszcze raz i usiadł obok. Oparł plecy o ścianę i cicho odetchnął. Odgarnął mokre strąki z czoła i przymknął powieki. Nie wyglądał dobrze.

– Niech mi pan powie coś o sobie – zaproponowałam dla odwrócenia uwagi.

Zrobił taką minę, jakbym mu właśnie wyznała, że mam ochotę zatańczyć z nim tango.

– Niby po co? – wyrzucił.

Ugryzłam się w język, grzebiąc ripostę żywcem. To nie najlepszy moment na słowne przepychanki.

– No wie pan... Skoro i tak siedzimy tu już razem... – Szukałam w głowie sensownych argumentów. – Dobra, to ja pierwsza.

Wyprostowałam się i wysiliłam wszystkie szare komórki. O czym mogłam opowiedzieć koleśowi, któremu z chęcią dosypałabym cyjanku do kawy?

– Jestem wegetarianką – odezwał się w końcu. – Nie jem mięsa, odkąd pamiętam. A jako dziecko uwielbiałam jazdę konno.

Zacięłam się. Dawno tego nie wspominałam, a była to przecież jedna z tych rzeczy, które kochałam najbardziej na świecie. Potem jednak, kiedy zabrakło pieniędzy, musiałyśmy zrezygnować z fanaberii. Moja miłość do koni była jedną z nich.

I wszystkie przyjaźnie, które w tamtym czasie opierały się głównie na tym hobby. Przepadły.

– I co się stało?

Spojrzałam na Kubiaka pytająco.

– No czemu przestała pani jeździć? – uściślił.

Pokręciłam głową i zaśmiałam się z zakłopotaniem.

– Jak to co? Życie. Uszczuplił nam się budżet, nie było nas stać... – Odchrząknęłam. Po co o tym wspominałam? – No dobrze, teraz pan. Przyglądał mi się chwilę, po czym ponownie oparł się o ścianę. Obserwowałam jego pierś, badając oddech, i wmawiałam sobie, że zwolnił. W głowie mi dudniło. Powinam spytać go o ludzi z Czech, o których i tak miał mi opowiedzieć, ale to by go nie uspokoiło. Musiałam zająć go czymś przyjemniejszym.

– A co pani robi dla relaksu? – spytał.

Otworzyłam szerzej oczy. Przepraszam bardzo, to jego mieliśmy uspokajać. Nie na odwrót.

– Słucham? – wymamrotałam.

Moje pytanie zbiło go z tropu. Zaczął kręcić się w miejscu, jakby zrobiło mu się nagle wyjątkowo niewygodnie, i unikał mojego wzroku.

– No wiem, że jest pani pracoholiczką. – Znalazłam wreszcie jego oczy. – Nietrudno to zauważyć. Wszyscy są już dawno w domu, a pani wciąż jeszcze siedzi w pracy. – Chyba zarejestrował, że zachodzę w głowę, skąd to wie, bo szybko dodał: – Nieraz po coś wracałem, a u pani w gabinecie paliło się światło pomimo późnej godziny. Widać je w szparze drzwi – wytłumaczył szybko. – I kilka razy widziałem, jak wychodziła pani z biura z torbą wypchaną papierami. Ale to praca, a ja się zastanawiam, co taka osoba może robić dla relaksu? Skoro nie czyta pani książek...

– Czytam – weszłam mu w słowo. – Po prostu lubię reportaże, a nie książki przygodowe. A poza tym układam puzzle.

Kubiak uniósł jedną brew.

– Puzzle? – powtórzył, uśmiechając się po raz pierwszy, odkąd zostaliśmy tu zamknięci. – Układa pani puzzle?

Nadałam się, wywołując tym u niego ciche parsknięcie.

– Tak właśnie – bąknęłam. – To odpręża.

Odkleił się od ściany i pochylił w moją stronę.

– A woli pani układać księżniczki czy szczeniaczki?

Zacisnęłam usta, ale one i tak się rozciągnęły. Do diabła, nie śmieję się, Ina. Facet cię wyszydza!

– Chciałabym zobaczyć pana układającego Krzywą Wieżę z trzech tysięcy kawałków. Ciekawe, czy byłby pan wtedy taki mądry! – Przywołałam samą siebie do porządku. – Dobrze, teraz pan. Słucham. Co pan robi w czasie wolnym?

Zagryzł wargę. Potrząsnęłam głową. Kontakt wzrokowy, Ina. Wzrokowy.

– Trenuję wspinaczkę – wyznał.

Uniosłam pięść w zwyczajnym geście i palnęłam:

– Stąd te bary!

Przez kilka sekund tylko patrzyliśmy na siebie w konsternacji, a moje policzki zrobiły się gorące.

– B-bo wie pan... – wyjąkałam. – Wtedy na przystanku... Bary?

Wybuchł głośnym śmiechem i śmiał się nieprzerwanie z pół minuty, kręcąc głową z niedowierzaniem. Mój żołądek zaczął się zaciskać. Chyba przypomniało mu się, że nic jeszcze dzisiaj nie jadłam.

– Tak, tak, bardzo śmieszne. – Założyłam ręce na piersi. – Pośmiejmy się z Iny. Ha, ha. Boki zrywać.

Uspokoił się i teraz już tylko parskał co chwila pod nosem.

– Dobra, był czas wolny, to teraz ciekawostki żywieniowe – zarządziłam.

Dyrektor wpatrzył się w sufit, widocznie rozmyślając. Uniósł brwi, jakby na coś wpadł, i zerknął na mnie. Przez kilka długich sekund tylko się namyślał.

– Pani nie je mięsa, a ja owoców morza – zakomunikował i prędko dodał: – Jestem na nie uczulony.

O, dobrze wiedzieć. Gdybym jednak zdecydowała się go kiedyś zabić.

– Na coś konkretnie?

Wzruszył ramionami.

– Chyba na wszystko, sam nie wiem. – Znów błędził spojrzeniem po klitce. – Dowiedziałem się o tym, gdy byłem mały. Od tamtej pory po prostu ich unikam.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem, chociaż bynajmniej nie miałam zamiaru kończyć jeszcze tematu. Dyrektor wyglądał, jakby znów zaczął się denerwować.

– Dostał pan reakcji alergicznej czy dowiedział się przy okazji badań? – dociekałam.

Kubiak zmarszczył czoło, zastanawiając się najpewniej, na co mi takie informacje. Sama chciałabym wiedzieć. Nie wszystkie pytania zawsze mają sens. Czasem jakieś zadajemy, bo jesteśmy zwyczajnie wścibscy.

– Dostałem reakcji – odpowiedział. – I to takiej, że przyjechało pogotowie. Cała tatusiowa imprezka rozwalona. Wściekł się.

Nie dało się nie wyłapać nuty gorczy w jego głosie.

– Jakie znaczenie ma imprezka w obliczu zagrożenia życia?

– Proszę spytać mojego ojca – odpowiedział.

Zważyłam szybko w głowie za i przeciw. A niech tam. Byłam wścibska.

– Pytam pana – wypaliłam.

Nie wahał się długo. Obliznął wargi, objął kolana ramionami i przemówił:

– To było krótko po śmierci mojej mamy – zaczął, a moje serce zabiło szybciej na wiadomość o odejściu matki. – Miałem może z dziewięć lat. Wie pani, to biznesmen, zawsze taki był. Wiecznie zajęty ważnymi spotkaniami z ważnymi ludźmi. Ważniejszymi nawet od... – Łypnął na mnie i nie do końca. – Jedno z nich odbywało się w naszym domu. Dopadłem do zamówionego żarcia jak głupi.

Zamilkł na chwilę, a ja trawiłam to, co powiedział. Był w podobnym wieku, gdy jego mama zmarła, co ja w czasie rozvodu rodziców. Ojciec niby żył, ale zniknął z mojego życia. Trochę jakby jednak umarł.

Tylko że ja zostałam z kochającą mamą u boku. Przeszłyśmy swoje, ale cały czas się wspierałyśmy. Kubiak został z ojcem, który uciekł w pracę.

– Przyjechało pogotowie, ale to nie ojciec je wezwał, tylko któryś z gości – podjął znów

dyrektor. – On był zbyt zajęty napominaniem duszącego się syna... Czy ta historia panią usatysfakcjonowała?

Puściłam mimo uszu złośliwe pytanie, którym zakończył. Krew krążyła w moich żyłach jak szalona. Dlaczego mi to powiedział? Bo spytałam? Kto normalny wyznaje obcej babce coś tak osobistego? Jak miałam go nie lubić i się na niego złościć, jeśli zrobiło mi się go żal?

– Ale przecież to nie twoja wina – wyrzuciłam z siebie. – Nie mogłeś tego przewidzieć.

Uniósł jedną brew.

– Kiedy przeszliśmy na „ty”? – spytał z rozbajającym uśmiechem.

Odruchowo złapałam się za usta. Nie no, ja się naprawdę wykończę.

– Przepraszam – bąknęłam.

Zarechotał pod nosem. Mokre włosy opadły mu na czoło, ale wyglądał na zrelaksowanego. Najważniejsze, że już nie biegał i nie dyszał, szacując metraż pomieszczenia.

– Są na świecie gorsze rzeczy, pani dyrektor.

Zaakcentował dwa ostatnie słowa. Może się myliłam i ta drobna zamiana ról jednak zmieni coś na lepsze?

– Na przykład? – zagadnęłam.

Jak na komendę Kubiak wyprostował się i usiadł po turecku.

– Wiedziała pani, że delfiny wzięte do niewoli umierają już po kilku dniach?

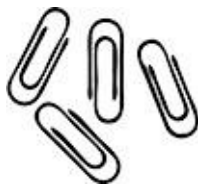
Ponownie nie powstrzymałam uśmiechu, który bez mojego pozwolenia wtargnął na usta. Nie dlatego, że mnie to śmieszyło. W tej kwestii nie było nic zabawnego. Zabawny był Kubiak, siedzący po turecku na podłodze i z przejęciem rozprawiający o delfinach. Po panice nie został ślad. Dźwięk telefonu sprawił, że obydwójce podskoczyliśmy. Spojrzeliśmy po sobie, żeby zaraz zerwać się na równe nogi i do niego dopaść. Odebrał dyrektor.

– Tak... Jest ze mną. Jasne, Bartuś. Tylko wiesz, jest mały problem: zatrzasnęliśmy się w mojej kanciapie. – Zaśmiał się ironicznie. – Nie, nie jaja. Jak chcesz to przyjdź i sobie sprawdź.

Rozłączył się i przez chwilę obawiałam się, że ciśnie telefonem o ziemię.

– Jak ten koleś mnie... – zaczął, ale wystarczyło jedno spojrzenie na moją twarz, żeby zacisnął usta. – Czesi przyjechali, a my raczej się na razie stąd nie wydostaniemy.

Rozdział 13



Pan konserwator raczej się nie spieszył. Gdy nas wypuścił, Czesi zdążyli już wyjechać, a my niemalże się z Kubiakiem nawzajem staranowaliśmy, przeciskając przez drzwi. Powiew świeżego powietrza na skórze uświadomił mi na nowo, że nie istnieje nic wspanialszego od wolności. Następnie nadziałam się na Bartosza oraz prezesa, przez co zaczęłam się zastanawiać, jak dalece prawdopodobne jest, że jeśli wrócę do klitki, drzwi ponownie się zatrzasną, a ja będę mogła uniknąć konfrontacji.

– No nie powiem, żeby wam się jakoś specjalnie spieszyło – powiedział Kubiak, poprawiając rękawy marynarki, którą pospiesznie narzucił na siebie przed wyjściem.

Już naprawdę mógłby sobie darować te komentarze i po prostu czasem zamilknąć. Ilu problemów oszczędziłby sobie i innym. Zwłaszcza że jego ojciec nie do końca radził sobie z panowaniem nad emocjami. Wczorajszy spokój zniknął za gęstą mgłą. Prezesowi drgała powieka, a i pulsująca na skroni żyła budziła niepokój. Zadrżałam na ten widok. Pierwsze zadanie na kierowniczym stanowisku, a ja je zawałam.

Nie było także już śladu po Kubiaku, który opowiadał mi o uczuleniu, wspinaczce czy delfinach. Ani śladu po człowieku, który się otworzył i na moment zdjął maskę. Kpiący uśmiezek ponownie zasiadł na jego wargach, a oczy świeciły pustką.

– To jakaś nowa metoda unikania obowiązków?! – wrzasnął niespodziewanie prezes.

Dyrektor rozłożył ręce i wrzucił ramionami, omal nie przyprawiając mnie tym o zawał. On naprawdę chciał, żebyśmy wylecieli na zbity pysk. – Oczywiście, że nie, panie prezesie. – Wystąpiłam do przodu, gotowa bronić się przed zwolnieniem rękami i nogami. – Od razu zadzwoniliśmy po pana konserwatora, ale...

– Rura pękła. – Konserwator z tego wzburzenia aż wstał od skrzynki, do której pakował narzędzia. – Nie mogłem tego zostawić. Trzech moich chłopaków wynosiło dokumenty z archiwum, a ja miałem rzucić wszystko i bawić się klamką?

Od razu poczułam się jak najpodlejsze stworzenie pod słońcem.

– Nie, przecież nie mówię, że to pana wina – wymamrotałam i rzuciłam błagalne spojrzenie Bartoszowi. Może on mógłby uspokoić prezesa? – Chodzi mi raczej o to, że...

– Mogliśmy spędzić ten cudowny czas na integracji – wszedł mi w słowo Kubiak i poprawił ostentacyjnie koszulę.

Zuchwa wypadła mi z zawiasów.

– Co to niby miało oznaczać? – Dopadłam do niego, gotowa wydrapać mu oczy.

Wyprostował się, ale nie wyraził grama skruchy.

– Niby co?

– Ten ruch z koszulą! – wyszczałam. – Co to miało być?!

Zgromił mnie spojrzeniem i wyminął bez słowa. Jak ten facet drażnił!

– Kiedy wy siedzieliście beczynnienie w tym pokoju, ja musiałem wykonywać wasze obowiązki! – krzyknął prezes.

Znalazłam się pomiędzy młotem a kowadłem. Kubiak znów zachowywał się jak krety i pogrążał nas, zamiast bronić. Jego ojciec zaś puścił mimo uszu wzmiankę o „integracji”, jakby uznał to za coś oczywistego. Jakbym naprawdę usilnie unikała robienia czegokolwiek i wolała mizdrzyć się w klitce z jego synem.

– Mówi pan w taki sposób, jakby zatrzaśnięcie się w tym pomieszczeniu było świetnie przemyślanym planem, a nie przypadkiem – powiedziałam z zaciśniętym gardłem.

Szybko przyszła im ta ocena. Zostałam zaszufładowana, nie dostając nawet szansy na wykazanie się.

Nie poddam się tak łatwo.

– Pani Mileno... – podjął prezes.

– Ino – wyrwało się Kubiakowi.

Wszyscy zgodnie zwróciliśmy spojrzenie na dyrektora opierającego się o ścianę i wpatrującego tępo w ekran telefonu. Chyba wyczuł, że się gapimy, bo przeniósł na nas nieobecny wzrok.

– No co? Ma na imię Ina. – Machnął w moim kierunku. – Od Maliny.

Wydawało mi się, że słyszę tykanie bomby. Dochodziło z czaszki prezesa. Jeszcze chwila i rozniesie swojego syna w drobny mak. Już nawet ruszył w jego stronę, ale weszłam pomiędzy nich. Co ja najlepszego robiłam? Nie ta drużyna, Ina! Nie ta!

– Panie prezesie, bardzo mi przykro, że tak wyszło, ale nikt tego nie planował – paplałam szybko. – Byłam przygotowana na to spotkanie. Przysięgam. Proszę spytać Bartosza.

Uwaga wszystkich tym razem jednomyślnie przeniosła się na wspomnianego. Nawet pan konserwator, ze spakowaną skrzynką, przyglądał mu się bacznie. Do tej pory Bartosz nie zająknął się słowem. Nie reagował na błagalne spojrzenia. No to wezwałam go do tablicy, z czego bezsprzecznie nie był zadowolony.

– To prawda – wydukał, gdy minęła wieczność. – Przygotowałem Inę do tej rozmowy.

Jaki wylewny.

– Zaraz, zaraz... – W jednej chwili Kubiak zaangażował się w naszą dyskusję. – A mówiła pani, że potrzebuje dokumentów z szóstego piętra! Skoro Bartek panią przygotował, to na bank je pani widziała!

To nie na moje biedne nerwy. Nie tak to sobie wszystko wyobrażałam. Nie tak mieli wyglądać poważni prezesi i dyrektorzy.

– Bo potrzebowałam! – odkrzyknęłam.

Kubiak szukał na języku jeszcze czegoś, czym mógłby zadać mi cios ostateczny, ale uniemożliwił mu to jego własny ojciec, który wszedł między nas. Spojrzał mi głęboko w oczy i szepnął:

– Pierwsze ostrzeżenie.

Po czym odszedł. Tak po prostu. Odprowadziliśmy go spojrzeniem, by później spojrzeć po sobie.

Gula urosła mi w gardle. Jak mam wytrzymać na tym stołku miesiąc, nie mówiąc już o dalszej karierze, skoro wymiękłam już pierwszego dnia?

Kiedy wróciłam do domu, dochodziła osiemnasta i – o dziwo – nawet mama wróciła już z pracy. Rzuciłam tylko do niej, żeby sama rozpakowała zakupy, które zrobiłam, i popędziłam do łazienki. Wzięłam ekspresowy prysznic, a potem biegałam po całym mieszkaniu owinięta samym ręcznikiem, non stop czegoś szukając i zastanawiając się jednocześnie, skąd to zdenerwowanie.

No skąd? Zatrzymałam się raptem w korytarzu i zamyśliłam. Przecież już wychodziłam z Bartoszem na jakieś spotkania. To też nie miało być randką, tylko wspólną kolacją. Nic poza tym.

Ale od tak dawna nie miałam okazji się wystroić! Wysmarować truskawkowym peelingiem, założyć wyjściowej sukienki, ułożyć włosów. Spotkać się z kimś i po prostu porozmawiać o stresującym dniu, wkurzającym szefie. Powtarzałam sobie, że jestem pustelniczką, która nie potrzebuje interakcji międzyludzkich, ale najwidoczniej również i oni muszą czasem założyć ładną kieckę.

A jeśli nie przypadnę mu do gustu? Do tej pory spotykał się ze mną służbowo, a nie koleżeńsko. Usiadłam na krześle przed toaletką. Co, jeśli go znudzę? Chwyciłam podkład. Albo gorzej – zacznę się rozpraszać i ucierpi na tym praca? Stanę się mniej wydajna...

Zaczęłam rozsmarowywać na twarzy podkład, cały czas układając w głowie najczarniejsze scenariusze. Mama stanęła w progu. Dłonie oparła na biodrach.

– Skarbie, co się dzieje? – spytała.

– Nic, nic – wysapałam, starając się teraz zrobić idealną kreskę na powiece. – Zaraz wychodzę.

Udawałam, że nie widzę w lustrzanym odbiciu jej oczu, które omal nie wyskoczyły z orbit. Weszła do pokoju, usiadła na tapczanie za mną i wyglądała, jakby miała właśnie przeprowadzić ze mną rozmowę zaczynającą się od: chłopcy i dziewczynki różnią się od siebie i w pewnym wieku... Rozmawialiśmy już o tym. Informowałam ją też, że utrata dziewictwa za mną, więc wyobraźmy sobie, od jak dawna nie wychodziłam z domu, skoro zdążyła o tym zapomnieć.

– A gdzie wychodzisz? – Wkładała nie lada wysiłek w ten stoicki ton.

– A zjeść – odparłam.

– Z koleżankami? – drażyła.

Zacisnęłam usta, doskonale wiedząc, do czego zmierza.

– Nie – wycedziłam przez zęby. – Z kolegą z pracy.

Czekałam na pisk, skoki po pokoju, ale nie nadeszły. Mama zatarła tylko ręce i spytała:

– Co robisz z włosami?

W ten sposób stworzyła na mojej głowie burzę przepięknych fal, sięgających za łopatki. Ja w tym czasie wykończyłam makijaż. Szybko wcisnęłam się w białą sukienkę w kwiaty, odciętą tuż pod biustem. Poprawiłam cienkie ramiączka, trochę za mocno wrzynające się w skórę, i wymusiłam uśmiech do swojego lustrzanego odbicia.

Tak nie wygląda laska ubrana na nie-randkę.

– Mamo! – Spotkałam ją w połowie drogi do kuchni. – Nie mogę tak wyjść. To tylko zwykłe spotkanie, a wystroiłam się jak szczur na otwarcie kanału. Co on sobie pomyśli?

Szukałam pomocy w złym miejscu. Mama zaniemówiła. Usta zasłoniła dłonią, a w jej oczach pojawiły się łzy, tak samo jak w dniu, gdy kolega ze studiów przyniósł mi książkę, której potrzebowałam do egzaminu. Daleko temu do gestu miłości – rozchorowałam się i nie mogłam sama pofatygować się do biblioteki, więc wyświadczył mi przysługę.

– Mamo, skup się. To tylko znajomy z pracy. – Tłumaczyłam to jeszcze jej, czy już sobie? – Nic więcej.

Nie docierało. Jakby moją matkę zamknęli w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Ja do niej mówiłam, a słowa idealnie omijały jej uszy, przelatowały gdzieś obok i się rozplýwały. Niby widziała, że poruszam ustami, ale tylko przytakiwała i ścisnęła mnie, udając, że wcale nie płacze ze wzruszenia.

To będzie katastrofa.

Punktualnie zeszedłam na dół, zlokalizowałam białą skodę i bez pardonu wcisnęłam się na miejsce pasażera, krzycząc gdzieś pomiędzy stęknięciem i trzaśnięciem drzwiami „cześć!”. Zapięłam pas, paplając coś o chłodzie i przemijającym lecie, a potem w ogóle o przemijaniu i śmierci, zupełnie bez sensu, i dopiero zwróciłam uwagę na siedzącego obok kierowcę.

Przez kilka chwil tylko na siebie patrzyliśmy.

– Pan nie jest Bartkiem – stwierdziłam po namyśle.

Nieznajomy starszy mężczyzna uśmiechnął się błogo.

– Mogę być kimkolwiek zechcesz.

Rozpięłam pas. Nim zamknęłam za sobą drzwi, wcisnęłam jeszcze głowę do środka.

– Przemyślę to – powiedziała, wywołując u niego pełny zadowolenie rechot. Na do widzenia jeszcze mi pomachał.

Oczywiście, że weszłam do obcego samochodu. Dlaczego miałoby być inaczej?

Odnalazłam kolejny, który mógł należeć do Bartosza, tylko tym razem upewniłam się, że to on jest w środku. Machnął do mnie, więc, chociaż nie bez pewnej rezerwy, wcisnęłam się do środka, zastanawiając, czy widział, co się wydarzyło.

– Czy ty właśnie wpakowałaś się do czyjegoś samochodu? – spytał na przywitaniu.

Jasne, że nie mogło to zostać pomiędzy mną i okrutnym losem. Zaraz z krzaków wyskoczy jeszcze Kubiak i wszyscy z radością podyskutujemy o tym, jak umiejętnie potrafię uprzykrzyć sobie

życie.

– Tamto? – Wskazałam kciukiem białą skodę. – Ach, to tylko mój sąsiad. – Majtnęłam dłonią.

– Wpadłam, żeby się przywitać.

– Serio? A ja naprawdę myślałam, że weszłaś do auta nieznanego.

Nie wierzyłam, że to kupił, i jeszcze chwilę czekałam, aż wyzna, że tylko żartuje, ale on ruszył z kopyta, wbijając mnie mocniej w fotel. Zlustrowałam jego kraciasty garnitur, srebrny zegarek na nadgarstku, zadbane dłonie. Bujał się w rytm jakiegoś rockowego kawałka i co jakiś czas uśmiechał się przyjaźnie.

A gdyby to była randka? Jeszcze raz łypnęłam na niego kątem oka. Był przystojny, wrażliwy, ambitny. Właściwie, gdy o nim myślałam, nie widziałam żadnych wad. Może poza tym, że nie łąpał moich żartów. Kogo chcę oszukać? Rzadko kto je łapie.

Mogłabym go poznać lepiej. Dowiedzieć się, że ma wady. Zaakceptowałabym je? Uwierałyby mnie? Krzyczelibyśmy na siebie i rzucali przedmiotami w czasie kłótni? Wzięlibyśmy rozwód? Czy w ogóle powiedziałabym mu tak przed urzędnikiem stanu cywilnego, no bo ołtarz odpadał...?

– Halo, ziemia do Iny! – Pstryknął mi przed oczyma palcami.

– Tak – odparłam bezmyślnie.

Nie, Ina. Tak to nie jest odpowiedź, której udzielasz ludziom, gdy nie masz pojęcia, o co cię pytali.

– Tak? – spytał szydzącym tonem. – Miło, że się na wszystko zgadzasz.

Stanęliśmy na czerwonym świetle. Odwrócił się w moją stronę na tyle, na ile pozwalały mu kierownica i pas, więc ja też zwróciłam się do niego. Trochę sztywno, z krzywym uśmiechem na ustach, bo... co się właśnie między nami działo?

– A gdybyś cię poprosił o rękę?

– To miałabym narzeczonego – wypaliłam, skupiając się jedynie na tym, żeby błyskawicznie go zripostować. Udało się, bo go zatkało i pewnie wpatrywałyby się we mnie dalej bez słowa, gdyby ktoś z tyłu na nas nie zatrąbił.

Światło się zmieniło, Romeo.

Powinnam bardziej panować nad swoimi reakcjami, bo w takim tempie jutro będziemy wybierać smak weselnego tortu.

Co to w ogóle miało oznaczać? Sprawdzał, czy się ucieszę z propozycji małżeństwa rzuconej przez człowieka, którego praktycznie nie znałam? Tego właśnie najbardziej nie lubiłam w interakcjach międzyludzkich – nie umiałam zrozumieć intencji innych osób i nadmiernie je analizowałam. Wymagano ode mnie, żebym odpowiadała na pytania, śmiała się w odpowiednich momentach i nie zanurzała we własnych przemyśleniach.

Podczas rozmowy uświadomiłam sobie, że Bartosz robił to samo. Nie skupiał się na jednym temacie zbyt długo. Ledwie coś odpowiedziałam, nie odnosił się do moich słów, tylko płynął dalej. Byłam pod wrażeniem umiejętności wymyślania wszelkiego rodzaju pytań – sama miałam z tym niemałe problemy.

Zaparkował pod całkowicie przeszkloną restauracją, tym razem nawet nie odnosząc się do mojej wypowiedzi na temat języka inkluzywnego i tego, dlaczego firma powinna go używać. Pospiesznie zgasił silnik, wybiegł z auta i otworzył moje drzwi. Ach, starał się być rycerski. No dobrze. To nawet miłe.

Przekroczyliśmy próg lokalu, a dłoń mojego kolegi, w ogóle nie randki, wylądowała na dole moich pleców. Dreszcz powędrował od karku wzdłuż kręgosłupa, a zatrzymał w miejscu, które wciąż płonęło od niespodziewanego dotyku.

Ina, skup się. A gdyby to naprawdę była randka? Jak bardzo spanikowałabyś w skali od jednego do dziesięciu?

Robiłam dobrą minę do złej gry. Onieśmielona wystawnym miejscem i mężczyzną, którego zamiarów nie rozumiałam, śmiałam się z żartów, zastanawiając, czy Bartosz wychwytuje sztywność w moim głosie. Dla rozproszenia uwagi wcisnęłam wzrok w kartę dań i zakłęłam pod nosem. Rozejrzałam się po sali, niemal dając susa w talerze gości. Takie pieniądze za tak małe porcje jedzenia?

I tak dziwnie wyglądające? A mimo to wypełniona po brzegi sala?

A my w Warzywniaku nie możemy sprzedać michy sałatki za niecałe dwie dychy?

No, ale pewnie białe obrusy i żyrandole symulujące świeczniki zobowiązywały. Na każdym stole stały świeże kwiaty, grała muzyka na żywo... To inny poziom.

– Wpadło ci coś w oko? – spytał niespodziewanie Bartosz.

Tak, ty. Spróbowałam nie zaśmiać się z żartu opowiedzianego w myślach. A może zamiast dania głównego zamówię przystawkę? Przystawki są tańsze... Albo dania dla dzieci! One są cenowo najmniej chwytające za serce, wyglądają normalnie i porcje są chyba większe. O, wielki paradoksie. Czy da się zamówić pierś pieczoną z puree z batatów i sałatką z czerwonej kapusty, ale bez piersi?

Koniec końców wybrałam coś zaproponowanego przez Bartka i zamknęłam menu, żeby już nie musieć patrzeć na ten horror. To nie na moje nerwy. – A jak poradziliście sobie z Czechami? – zagadnęłam.

Okularnik podrapał się po nosie i pokręcił głową. To chyba taki średni znak.

– Nagimnastykowałam się, bo czeski to dla mnie zmora, ale nadrabiałem angielskim – przyznał, widocznie zawstydzony.

– Nie żartuj! – Zlustrowałam liczbę sztućców. Po co mi aż tyle? – Przecież z nimi da się nawet porozumieć po polsku.

Mężczyzna napił się z kieliszka, który kelner napełnił białym winem, i mogłabym przysiąc, że dostrzegłam na jego jasnych policzkach cień rumieńca.

– Może i tak, ale za punkt honoru obrałem sobie nauczenie się tego języka, więc używanie polskiego...

– Zjadłoby twoje wielkie ego – dokończyłam.

Podrapał się po karku, wyraźnie zakłopotany. Nie załapał, że to dowcip. Niewdzięczny losie, kiedy ja wreszcie pojmę to, że nie każdy potrafi przyjmować uszczypliwości z uśmiechem na ustach jak porąbany Kubiak?

– Wiesz, że żartuję? – Nachyliłam się do niego. – Uważam, że nie jest wielkie. Co najwyżej duże. – Nie potrafię przestać. Dlaczego nie potrafię przestać? – A poza tym, to co powiedział Kubiak po naszym wyjściu z klitki...

Bartosz uniósł obydwie dłonie, więc zamilkłam.

– Nie martw się tym, wiem, że tylko starał się nas wkurzyć. Prawda jest taka, że... ze względu na jego historię z poprzednimi asystentkami... – Błądził spojrzeniem po stole i zacinał się, szukając w głowie odpowiednich słów. – Tym razem chcieliśmy zatrudnić kogoś, z kim nie wda się w romans. Wiem, że między wami do niczego nie doszło.

Wyprostowałam się i ugryzłam w język, ale to i tak nic nie dało.

– Cieszę się, że tak myślisz, ale... – Wierciłam się w miejscu, jakbym dostała robaków. Poprawiłam dekolt sukienki. – Skąd ta pewność? Kelner przyniósł nam talerze z jedzeniem. Tak szybko? Może stąd te tłumy?

Przyjrzałam się swojej sałatce. Wyglądała niegroźnie. Takie tam trzy liście roszponki, dwa rukoli, jeden masłowej, pomidor przekrojony na cztery, pięć kawałków koziego sera i dip. Najem się na tydzień.

Bartosz od razu zajął się swoją polędwicą. On w ogóle jadał regularnie? Za każdym razem rzucał się na swoją porcję, jakby od miesięcy nie widział na oczy jedzenia. Poza tym, skoro już o nim mowa, jego oczy się nie zaleczyły, pozostawały zaczerwienione, a na tylnym siedzeniu w samochodzie dojrzałam tęczkę. Czy zdążył wrócić do domu po pracy, czy też przyjechał na nasze spotkanie prosto z firmy?

W co był dzisiaj ubrany? Już zdążyłam zapomnieć?

– Jesteś piękną kobietą – wyrzucił nagle. – Ale zupełnie nie w typie Kuby.

Pogryzłam pomidorka i powoli przełknęłam. Będę jeść wolniej, może wtedy oszukam żołądek.

– Dziękuję ci bardzo – powiedziałam i dodałam: – To jaki jest jego typ?

– Modelka – nie zastanawiał się zbyt długo. – Kobieta, której każdy mu będzie zazdrościł.

Wysoka, zgrabna... Oszłamiająca.

Wpatrywałam się w niego. Czy wiedział, jak wiele szpil zdążył mi już wbić? Pojęcia nie miał. Dalej maczał mięso i ziemniaki w gęstym, brązowym sosie, pałaszując je z apetytem.

– Rozumiem – bąknęłam. – Dużo o nim wiesz, jak na asystenta jego ojca.

Oczywiście, że dużo o nim wiedział, skoro pracowali w jednej firmie, ale to było moje maksimum. Jadłam drugiego z czterech pomidorków, oświetlenie i wszechobecna biel przytłaczały jasnością, a do tego usłyszałam, że jestem niezgrabna i nieoszałamiająca. Wiedziałam, że nie jestem mistrzynią robienia zachwycającego wrażenia, ale co innego wiedzieć, a co innego to usłyszeć podczas eleganckiej kolacji.

– Kiedyś się przyjaźniliśmy – wyjaśnił Bartek.

– Och. Naprawdę? – Upiłam łyk wina. Fuj, cierpkie. – Nie wyglądacie...

Odłożył sztućce i przetarł usta serwetką.

– Studiowaliśmy razem, tak się poznaliśmy – powiedział. – Potem coś poszło nie tak. Wiesz, jak to w życiu.

Jasne, że wiem. Mnie też ciągle coś w życiu idzie nie tak.

Dobrze trafiłam, ponieważ rozmowa o studiach go nakręciła. Opowiadał mi o Uniwersytecie Jagiellońskim, o wykładowcach, najzabawniejszych anegdotkach. Podobnie jak w dniu, w którym byliśmy na pizzy, a on rozprawiał o firmowych spotkaniach. Nie przeszkadzało mi to, gdyż sama nie wykrzesalabym z siebie wiele.

Od czasu do czasu Bartek zadawał mi jakieś pytanie, patrzył w oczy dłużej, niż powinien, przez co z miejsca się rumieniłam. Flirtował ze mną? Mimo że nie wyglądałam jak modelka?

– Zachodzę w głowę... – wymamrotałam cała czerwona, ponieważ Bartek właśnie nachylił się i odgarnął mi kosmyk włosów z czoła. Wyprostowałam się trochę, ale nie za bardzo, żeby nie robić mu przykrości. – Ile wy macie lat?

Tak, z wyskakiwaniem jak filip z konopi z pytaniami nie na miejscu radziłam sobie całkiem nieźle.

– Spróbuj, jest obłądny – usłyszałam, ale nie zdążyłam przetworzyć. Bartosz bez ostrzeżenia wcisnął mi do ust łyżeczkę ze swoim deserem. Byłam na to kompletnie nieprzygotowana.

Zaczęłam przeżuwać kawałek tego jego bloku czekoladowego i uśmiechnęłam się krzywo, próbując dać do zrozumienia, że jest przepyszny. Wzajemne karmienie chyba nie będzie moją ulubioną randkową atrakcją.

– Skończyłem dwadzieścia dziewięć – powiedział zadowolony.

Może i nie słuchał, co się do niego mówiło, ale odgarniał włosy z twarzy, utrzymywał kontakt wzrokowy i karmił słodkościami. Może jednak flirtował? Co ja mogłam o tym wiedzieć? Nigdy nie byłam na randce, nie miałam chłopaka, a dziewictwo straciłam z kolegą ze studiów, bo obydwójce byliśmy zmęczeni tą niepewnością, którą niósł za sobą pierwszy raz. Potem jakoś kontakt nam się urwał.

Ciekawe czemu...

– A Kubiak? – spytałam.

Uniósł brwi i wskazał brodą mój deser lodowy. Nabrałam trochę malinowego sorbetu i podałam mu. To najbardziej niekomfortowa sytuacja w moim życiu. Chyba nawet bardziej niż ten fałszywy bąk na rozmowie kwalifikacyjnej.

Ale skoro jedliśmy już deser, to chyba znaczyło, że zmierzaliśmy ku końcowi? Niech cię, Ina. Facet jest idealny, a ty jesteś sama jak palec. Mama ma Joasienieńkę, Alina randkuje, a ty?

– Jest rok ode mnie młodszy – powiedział. – W życiu nie jadłem tak dobrych lodów!

Obserwowałam go i próbowałam rozgryźć. Mrużył oczy, kiedy wydawało mu się, że mówi coś zabawnego. Zmieniał ton głosu, gdy zadawał pytania. Zniżał go i posyłał mi wówczas ciepły uśmiech.

Randka jak w mordę strzelił.

– No proszę, co za spotkanie!

Oderwałam spojrzenie od Bartosza i skierowałam na człowieka stojącego nade mną. Właściwie dwoje ludzi. Kubiak zmierzył bezwstydnie mój dekolt i uśmiechnął się uradowany.

– A podobno w wolnym czasie układa pani puzzle – dodał.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie, ale wtedy nacięłam się na jeszcze jedną parę oczu.

Ciemnych, niemal czarnych. Momentalnie przypomniałam sobie, co Bartosz mówił o guście Kubiaka. Tak, ta kobieta nadawałaby się na modelkę – z tymi prostymi ciemnymi włosami, kończącymi się równiutko nad obojczykami, twarzą porcelanowej lalki i zgrabnym ciałem, podkreślonym błękitną sukienką z falbanką za kolanem i odkrytymi ramionami. Wyglądała jak księżniczka. W głowie zahuczało to słowo – *oszałamiająco*.

I przecież już ją widziałam. Tego poranka, zanim utknęłam z Kubiakiem w klitce. Teraz też przyglądała mi się z zaciekawieniem, jednak wymieszanym z wyższością. Jakby chciała mi pokazać, kto jest górą.

O co to halo? O Kubiaka? O to martwić się nie musiała. Jeszcze bym jej dopłaciła, żeby wywozła go gdzieś na drugi kraniec Polski. Albo świata.

– No, kto by pomyślał – odezwał się Bartosz – że spotka nas ta wątpliwa przyjemność.

Atmosfera zgęstniała. Mój towarzysz wyprostował się i widocznie spał. Nic dziwnego. Nie pałał sympatią do Kubiaka, a ten jeszcze przyszedł i przerwał nam... spotkanie.

– Niech pan sobie idzie – bąknęłam do dyrektora.

Ten w odpowiedzi uniósł kącik ust, a jego dłoń poszybowała prosto do talii kobiety. Przysunął do siebie towarzyszkę i szepnął coś do ucha, na co ona parsknęła cicho. Zaciśnęłam dłonie na materiale sukienki. Stałam się pośmiewiskiem.

– Nigdy nie spodziewałam się po panu oznak dobrego wychowania, ale przerwanie czyjejs kolacji bez wyraźnego powodu to za dużo nawet jak na pana – wycedziłam.

Ręka zniknęła z talii. Kubiak skupił całą uwagę na mojej osobie.

– Ojej, chyba ktoś tu się złości – zakpił. – Czyżbym przerwał wam randkę?

– A od kiedy musimy ci się tłumaczyć ze swojego życia prywatnego? – odpowiedział mu Bartosz.

Odetchnęłam, wdzięczna Bartoszowi za to, że wkroczył do akcji. Co takiego Kubiak chciał osiągnąć bezczelnym zachowaniem? Nie spuszczał mnie z oka. Widziałam, jak mieli w ustach językiem, szukając słów, którymi może sprawić mi przykrość. W jakim celu?

– Jak może się pan dziwić mojej złości, skoro bardzo ciężko pracuje pan na to, żeby ją wywołać?

Kobieta wycofała się ledwie zauważalnie, kiedy dyrektor odwrócił się w moją stronę. Poglaskał lśniący materiał grafitowej marynarki i zlustrował nasze talerze, widocznie powstrzymując się przed śmiechem. Jak długo nas obserwował? Czy widział tę szopkę z karmieniem?

Oczywiście, że tak. Ogniki w jego oczach mówiły same za siebie. Nachylił się, a nasze twarze znalazły się na jednej wysokości.

– Lepsza złość niż dyskomfort – szepnął, bym tylko ja słyszała.

Otworzyłam usta, ale nie wydostały się z nich słowa. Kubiak z powrotem się wyprostował i zaśmiał kpiąco.

– Dość tego. – Bartek się podniósł. Stańli twarzą w twarz. – Lubisz uprzykrzać ludziom życie, co?

– Nie wyobrażasz sobie – odparował dyrektor.

Byli podobnego wzrostu, oddaleni od siebie może o oddech. Zerwałam się, wężąc kłopoty, i dopadłam pierwszego kelnera, który się nawinał, prosząc go o rachunek. Następnie stanęłam przed nimi i... zatkało mnie. Co robić?

– Idziemy? – spytałam Bartosza.

Kelner błyskawicznie pojawił się z paragonem i terminalem. Sięgnęłam po portfel, ale Bartosz znów był pierwszy. Opuściłam sobie tę sprzeczkę, postanawiając, że oddam mu pieniądze później. Czulałam oddech Kubiaka na czubku swojej głowy i wzrok jego dziewczyny na plecach. Tak bardzo chciałam stamtąd wyjść.

Bartek schował portfel i z zaciśniętymi ustami ruszył do wyjścia. Popędziłam za nim. Odwróciłam się tylko raz, gdy zamknęłam szklane drzwi. Kubiak nadal patrzył w naszą stronę.

Niech cię.

Bartosz jeszcze raz spojrział przez szybę na Kubiaka, po czym chwycił moją dłoń i pociągnął w stronę parkingu. Żołądek zawiązał mi się w ciasny supeł, kiedy jego palce zamknęły się kurczowo

na moich.

– Przepraszam cię – powiedział, kiedy tylko dotarliśmy do auta i mnie puścił.

Zacisnęłam kilka razy dłoń w pięść i rozluźniłam. Co tam się, do diaska, wydarzyło?

– Daj spokój – wykrztusiłam, uświadamiając sobie, że powinnam się odezwać. – To przecież nie twoja wina, że Kubiak...

– Tak. – Walnął otwartą dłonią w samochód. – Kubiak jest jak pieprzony wrzód. Zawsze wyskakuje w najmniej odpowiednim momencie.

W głowie mi huczało. Myślałam nad czymś sensownym, ale tak naprawdę pragnęłam tylko wreszcie zamknąć się w swoim pokoju i odetchnąć.

– Ciągłe na niego wpadamy – spróbowałam zażartować. – Tyle was dzieli, ale chyba lubicie te same knajpy, co?

Bartek bynajmniej nie wyglądał na rozbawionego. Opierał się o samochód i wpatrywał przed siebie. Chyba liczył w myślach do miliona, żeby się uspokoić.

– Normalnie pewnie bym mu się nie dał... – wyrwało mu się.

Normalnie? Przesząpiłam z nogi na nogę. Czyli... gdyby nie był tam ze mną? To jednak była randka?

A czego byś chciała, Ina? Jednak randki? Weź się zdecyduj.

– A co się stało? – zagadnęłam, świadoma, że jego odpowiedź może rozwiązać mój dylemat. Gdyby pokazał, że mu zależy... Co miałabym do stracenia? Okularnik przetarł twarz i rzucił mi zbolące spojrzenie.

– Nie miałem pojęcia, że widuje się z moją narzeczoną – wyznał.

Szlag. Tego się nie spodziewałam.

Rozdział 14



Nie mam sobie nic do zarzucenia. Nic. Na pewno wiele osób ma podobnie jak ja: ich szef jest cholerykiem; przełożony został zdegradowany, a prywatnie jest wrzodem na tyłku; facet, który okazał zainteresowanie, zaprosił na kolację, karmił deserem i odgarniał włosy z twarzy, ma narzeczoną. To CIĄGLE komuś się przytrafia. Nie jestem wyjątkiem, odstępstwem od reguły.

Mogłam spytać. Wiem, że mogłam. Ba, powinnam spytać! Ale zamiast to sobie wyjaśnić, całą drogę powrotną milczeliśmy. Bartosz tak pogrążył się w myślach, że nawet nie włączył radia, nie wspominając już o tym, że zapomniał o mojej obecności i omal nie pojechał prosto do swojego domu. Chciałam zagaić, czemu się ze mną umówił, ale każdorazowo przy otwieraniu ust wracała myśl, że przecież to nic nieznaczące koleżeńskie spotkanie. Może wszystkie koleżanki karmi czekoladą przy melodii skrzypiec?

Zakreśliłam się na obrotowym krześle. Kurde, naprawdę nie wyglądał na kogoś, kto bawi się uczuciami. Był taki miły... Już nawet chciałam tej randki!

Powiedział o tej narzeczonej tak zwyczajnie... Cholera, Ina, nie obgryzaj paznokci! Powinnam z nim porozmawiać. Przynajmniej spróbować zrozumieć, co się wydarzyło. Jeśli to rzeczywiście była jego narzeczoną, zachowywali się co najmniej dziwacznie. Spytam. Należą mi się przecież jakieś wyjaśnienia.

Co zaś tyczyło się Kubiaka... Tego toksycznego stworzenia nie pozbędę się łatwo, ale na pewno zamierzam unikać w miarę możliwości i nie dać wplątać się w te jego dziecinne gierki. Prawie dałam się nabrać na historię o wrednym ojcu i niekochanym Kubusiu, ale dość tego! Zero taryfy ulgowej.

Powinnam pierwsza zadzwonić do Bartka? Otworzyłam dokument tekstowy. Rozmyślałam nad randką, zamiast pracować. Tego właśnie się obawiałam – rozpraszaczy! Jedno spotkanie i już zaniedbywałam obowiązki.

Nienawidziłam, gdy niepewność wisiała w powietrzu. Dlaczego ktoś nie mógł otworzyć okna, przewietrzyć tego syfu? Czy tak trudno Bartkowi sięgnąć po telefon, przeprosić za zaistniałą sytuację? Ja bym wtedy wspaniałomyślnie powiedziała, że nic się nie stało i że nadal możemy być kolegami w pracy. I już! Ale nie, ludzie nie potrafią ze sobą rozmawiać. Problemy komunikacyjne zabiły Romea i Julię, a kiedyś doprowadzą do zagłady nas wszystkich.

Czemu pomyślałam akurat o najślawniejszych kochankach świata?

Czekałam na telefon od Bartosza. Czekałam w swoim gabinecie, podczas tworzenia sprawozdania ze spotkania z Czechami na podstawie notatek okularnika, które podrzucił mi poprzedniego dnia. Czekałam, dopijając szósty kubek zielonej herbaty.

A jeśli źle usłyszałam? Może on wcale nie powiedział „narzeczoną”, tylko na przykład... Aldoną? „Nie wiedziałem, że widuje się z Aldoną”. To miało sens!

– Malina?

Krzyknęłam krótko, oderwałam się od biurka i niemal wywaliłam razem z krzesłem. Dopiero w chwili, w której moje serce przestało się dławić, dostrzegłam kształty. Wysoka i szczupła sylwetka, szerokie ramiona, pomarańczowy żakiet, krótkie rude włosy i czerwona szminka. Wróc do włosów. Skądś je kojarzyłam.

– Nie wierzę. Co ty tutaj robisz? – spytała nieznajoma.

Stojąca przede mną kobieta ewidentnie się z czegoś cieszyła, więc również się uśmiechnęłam, acz nie ruszyłam z miejsca. Przez jej twarz przeszedł cień.

– Nie poznajesz mnie?

Robiłam, co mogłam, ale nie udało mi się przyporządkować tej twarzy do żadnego wspomnienia. Jak więc przystało na dojrzałego emocjonalnie człowieka, dalej gapiłam się na nią bez słowa, nic nie mówiąc.

– Julia Kruk – powiedziała z pretensją. – Gimnazjum świętego Huberta. Coś świta?

Julia! Jak na zawołanie przez moją głowę przefrunęły dziesiątki wspomnień, niczym klucz ptaków. Rude włosy, piegi, szare oczy, cięty język. Ta dziewczyna ukradła mi w pierwszej klasie piórnik. Co prawda oddała, ale choć wybaczyłam, niesmak pozostał do dziś.

– Julia! Oczywiście, że pamiętam! – Zaśmiałam się głupkowato i podniosłam z krzesła. – Jak miło cię widzieć!

Usiadła w fotelu naprzeciw biurka i założyła nogę na nogę. Ta to wyglądała jak prawdziwy rekin biznesu. Moje pozorujące elegancję ubrania nie mogły równać się z jej: jaskrawymi kolorami, krojem podkreślającym każdy walor kobiecej sylwetki. Kogoś takiego nie mija się obojętnie w tłumie i zapomina. A do tego jeszcze... pachniała obłądnie. Jaśminem.

– Miło, niemiło, mniejsza z tym – stwierdziła Julia. – Właśnie przyszedłem przedstawić dyrektorowi kilka szczegółów dotyczących naszej ostatniej sprawy, a znajduję cię. – Wyciągnęła z torebki elektrycznego papierosa i zastygła w miejscu. – Spotykasz się z Kubą?

Wzdrygnęłam się na dźwięk jego imienia. Jakoś nazwisko łatwiej przechodziło mi przez gardło. Po chwili jednak dotarło do mnie, co powiedziała. Wybuchłam głośnym śmiechem.

Doskonały refleks. Szachistki.

– W życiu! Ja i on?! – Oplułam się wręcz, lecz jej zdziwione spojrzenie sprawiło, że natychmiast się opanowałam i kontynuowałam najpoważniej, jak potrafiłam: – Absolutnie nie. Obecnie ja wypełniam obowiązki dyrektora generalnego, więc... o jakiej sprawie mówimy?

Oczy kobiety zrobiły się tak wielkie, że przestraszyłam się, że coś jej się stało. I to jest to! Gdybym miała znajomych, dokładnie taką minę robiliby na wieść o tym, że pracuję w Adeline. Jak dobrze, że wreszcie ktoś się napatoczył.

– Jak to ty? – wyrzuciła z siebie. – A Kuba?

Oparłam się i rozluźniłam.

– Jest moim asystentem – oświadczyłam z dziką satysfakcją.

Jeszcze trochę i Julia musiałaby zbierać szczękę z podłogi. Tak, oczywiście, że to zaledwie marny fotomontaż. I tak, zawsze jest ktoś, kto odkrywa oryginalne zdjęcie i prawda wychodzi na jaw, jednak to kłamstwo smakowało tak dobrze, że ani myślałam zastanawiać się nad konsekwencjami.

Jeszcze nie.

Julia nie była jednak głupia. Nie uwierzyła od razu. Obiegła wzrokiem gabinet, najwyraźniej szukając śladów Kubiaka. A ich zabrakło.

Na półkach, do tej pory wypełnionych jego książkami, teraz znajdowało się... nic. Jakoś nie znalazłam niczego ciekawego, co mogłabym na nich postawić.

Jako że nic nie wskazywało na to, że kłamię, kobieta niepewnie wyciągnęła z białej teczki plik papierów i podsunęła mi pod nos. Chwyciłam je i już po chwili odłożyłam gwałtownie na blat.

– Ktoś nas pozwał? – wyplułam.

Julia włączyła papierosa. Nieśmiała mgiełka otoczyła jej postać, a zapach truskawki przypomniał, że znów przez pośpiech nie zjadłam śniadania. – Zdarza się regularnie, nic poważnego – stwierdziła obojętnie. – Dlatego zwracam tym głowę Kubie, a nie prezesowi.

Odłożyłam dokumenty.

– Zapoznam się z pozwem jeszcze dzisiaj – zapewniłam.

Odchyliła głowę do tyłu, jakby zanosiła się śmiechem, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Daj spokój, to nie jest sprawa niecierpiąca zwłoki. Chodzi raczej o to, żebyś w ogóle wiedziała, niekoniecznie coś robiła. Zajmiemy się tym. – Wpatrywała się we mnie, widocznie nad czymś dumając. – Ale kto by pomyślał, że nasza mała Malinka wylądowała na stołeczku dyrektora.

– Ina – poprawiłam ją szybko.

Tyle lat minęło, a ja nadal nienawidziłam własnego imienia, oryginalnego pomysłu ojca. Zawsze nazywał mnie Malinką.

Szkoda, że wciąż nie istnieją miejsca, w których można wymazać sobie pamięć.

Już miałam zagadnąć Julię o pozew, gdy rozbrzmiał dzwonek telefonu. Moja gościni przekleła cicho i zaczęła przeszukiwać torebkę wielkości książki. Jak można zrobić bałagan w tak małej przestrzeni?

Wreszcie jej się udało. Przycisnęła telefon do ucha i jednocześnie zaciągnęła się papierosowym dymem.

– Pali się? – wyrzuciła pretensjonalnie. – Chyba mówiłam, że idę ze sprawą Skrzypczaka do dyrektora? – Uśmiechnęła się lekko. – Tak, wiem. Zauważyłam. No, cholera, Kaśka! Pięć minut i będę.

Po czym rozłączyła się i schowała papierosa do torebki.

– Wybacz, dział prawny nie potrafi beze mnie żyć. – Westchnęła teatralnie. – Ej! Ale zadzwoń do mnie, co? – Położyła na biurku czarną wizytówkę ze złotym napisem i uśmiechnęła się czarująco, a białe zęby i krwistoczerwona szminka utworzyły imponujący kontrast. – Fajnie byłoby wyjść na drinka i poplotkować o starych dobrych czasach.

Przytaknęłam z zapalem, myśląc, że to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Te stare dobre czasy były wypełnione wspomnieniami bardzo chudych lat. Wolałabym o nich zapomnieć.

Odprowadziłam Julię wzrokiem. Dźwięk uderzających o podłogę cienkich czarnych szpilek wypełnił pomieszczenie.

Zamurowało mnie, gdy kobieta otworzyła drzwi i w progu minęła się z Bartoszem.

Sporo tej socjalizacji jak na jeden dzień.

– Cześć. – Uśmiechnął się blade i zamknął za Julią drzwi. – Jak tam idzie sprawozdanie?

Wspaniale. Zamiast je pisać, układałam w głowie mowy przeprosinowe, które powinienem wygłosić pod moim adresem.

– Jak krew z nosa – odpowiedziałam z umiarkowanym entuzjazmem i poruszyłam myszką, żeby komputer się obudził, ukazując dwa napisane zdania. – Ale jak się porządnie zepnę, to może do końca miesiąca zdążyć. – Zaśmiałam się z własnego żartu. – Masz coś dla mnie?

Świetnie to rozegrałam. Obojętnie, wskazując na typowo służbowy charakter jego wizyty. I jeszcze ten rzeczowy ton i mina niepozostawiająca złudzeń.

Dlaczego to robiłam? Przecież chciałam, żeby się tłumaczył!

Bartosz spoczął w fotelu, w którym jeszcze chwilę wcześniej siedziała Julia. Poprawił błękitną koszulę. Jakoś dziwnie wyglądał... Ach, nie miał na sobie marynarki!

– Ina, jeśli chodzi o wczoraj...

– Daj spokój! – Strzeliłam dłońmi o blat. – Nie musisz nic mówić. Byliśmy na koleżeńskim spotkaniu, trafiliśmy na twoją narzeczoną, której z kolei towarzyszył Kubiak... Zdarza się każdemu.

Żeby dobitniej pokazać, jak jestem wyluzowana sytuacją, sięgnęłam po kubek. Herbata pociekła mi po brodzie i wylądowała na czarnej koszuli. To kara za głupotę. W jakim celu go powstrzymywałam i udawałam, że wszystko jest w porządku?

– Chociaż w sumie to wcale nie – rzekłam zmyślnie, wycierając szyję. – Zachowywałeś się... – jęknęłam. – Kurczę, nie jak ktoś, kto ma narzeczoną.

– Tak, wiem. – Poprawił okulary. – To wszystko tak wytrąciło mnie z równowagi... Kuba... Magda nie jest moją narzeczoną. Znaczący, już nie jest. Od jakiegoś czasu. Powinienem był powiedzieć ci to wczoraj, za co przepraszam.

Gapiałam się na niego bez słowa. Liczyłam właśnie na takie wytłumaczenie, ale naprawdę aż tak trudno było wczoraj nazwać ją „byłą narzeczoną”? Korona by mu z głowy spadła, gdyby w samochodzie wypowiedział to jedno zdanie?

– Mogę ci to wszystko wytłumaczyć? – spytał.

Zamrugałam. Oczywiście, że powinien to wytłumaczyć. I to w podskokach.

– Przecież właśnie to zrobiłeś – rzekłam wspaniałomyślnie, w ogóle nie słuchając intuicji.

Bartek podniósł się i przysunął fotel bliżej biurka, zmniejszając dystans pomiędzy nami. Niby dalej oddzielał nas szeroki blat, jednak bałam się, że zaraz na niego wskoczy.

– Chciałbym wytłumaczyć się, bo... – wydukał. – Wiesz...

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– A gdybym zaproponował ci czasem wyjście na mniej koleżeńskie spotkanie?

Krew zastygła mi w żyłach. Palce zacisnęły się na podłokietnikach.

– Mniej koleżeńskie? – powtórzyłam, starając się zyskać na czasie.

O, mam. Podniósł się. Na domiar złego obszedł biurko, odwrócił fotel do siebie i kucnął przede mną. W jaki sposób znaleźliśmy się w tym miejscu? Nie byłam na to gotowa.

– Bartek...

– Nie chcę, żebyś poczuła się osaczona, czy coś... – Oparł się o podłokietnik fotela, sprawnie mnie osaczając. – Po prostu... Od naszego wczorajszego spotkania nie potrafię przestać o tobie myśleć.

Przełknęłam głośno ślinę. Naprawdę? W takim razie ja już w ogóle nie ogarniam relacji damsko-męskich. Może mój światopogląd został spaczony przez komedie romantyczne, ale mogłabym przysiąc, że człowiek zainteresowany drugim człowiekiem poświęca mu swój czas i uwagę. A Bartosz... może też nie wiedział o tym zbyt wiele i gubił się w temacie dokładnie tak samo jak ja?

– To bardzo miłe... – Cofnęłam się i podniosłam, wreszcie odzyskując kontrolę nad sytuacją. – Ale nie uważasz, że to kiepski pomysł? Pracujemy razem.

Ktoś kiedyś powiedział, że piekło jest wyścielone wszystkimi szansami, których nie wykorzystaliśmy. Ze strachu, uprzedzenia, głupoty. Czy ktoś zdawał sobie sprawę, ile hektarów prawdopodobnie liczyło moje?

Oparłam się chęci walnięcia głową o szybę. Pragnęłam tej szansy. Przed pojawieniem się Kubiaka na kolacji wszystko szło wyśmienicie. Bartek był idealnym materiałem na partnera. Czemu więc wpadłam w popłoch?

– Tak, to prawda. – powiedział okularnik. Również się podniósł i podszedł do mnie. Wpatrywałam się w widok za oknem i oplótłam się ramionami, żeby zasugerować mu utrzymanie odstepu. – Jednak raz się żyje, czyż nie?

Przeniosłam na niego pełne niedowierzania spojrzenie. „Raz się żyje”? To jest argument, który przedstawia mi dojrzały mężczyzna, znający powagę sytuacji?

– Wybacz, ale... – Odeszłam i stanęłam po drugiej stronie biurka, bliżej drzwi. Oparłam się o blat. – Może wytłumaczysz mi najpierw, o co chodziło z tą narzeczoną?

Tonący brzytwy się chwyta. Trudno, niech opowiada. Przyzwoity człowiek nie zgadza się na randki z kimś, kto wspomina o istnieniu narzeczonej. A ja przynajmniej próbowałam być przyzwoita.

Bartek usiadł w moim fotelu i westchnął. Wyglądało to na długą historię.

– Ta kobieta z restauracji to Magda. Poznałem ją i Kubę na studiach, zaprzyjaźniliśmy się, a ja szybko się w niej zakochałem – tłumaczył. – Mimo że ona i Kuba przyjaźnili się od szkoły średniej, a on już wtedy się w niej kochał, to mnie wybrała.

Nie ruszyłam się na krok. Słuchałam uważnie, myśląc tylko o tym, że Kubiak kochał tę kobietę od liceum. On!

Czy nadal coś do niej czuł? Niemożliwe. Za dużo w jego życiu przygodnego seksu, żeby można było mówić o jakiegokolwiek miłości. Ten osobnik nie wygląda na kogoś, kto potrafi kochać.

– Nie udało nam się jednak wytrwać, nasz związek się rozpadł – dodał Bartek. – Ja chciałem skupić się na karierze, Magda marzyła o rodzinie. Rozeszliśmy się każde w swoją stronę. Nie spodziewałem się, że wróciła ze Stanów, ani tym bardziej, że wciąż utrzymują z Kubą kontakt. Musisz mi uwierzyć, że między nami nie ma nic poza sentymentem.

Trybiki zaczęły łączyć fakty. Ona chciała go usidlić, a dla niego priorytet stanowiła praca, nie rodzina. I bęc! Dlatego coś ciągnęło go do Iny Mazurek – ambitnego pracusia, który zamiast zrobić awanturę za zbyt późny powrót partnera do domu, również wraca późno. Nie zaciągnęłabym go do ołtarza, bo sama się go bałam. Stanowiłam bezpieczny wariant. Mało zobowiązujący.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – Wyprostowałam się. – To wiele tłumaczy. Myślisz... – Zawahałam się. – Myślisz, że Kubiak nadal coś czuje do... Magdy?

Po kiego grzyba o to spytałam? Najwyraźniej Bartek zastanawiał się nad tym samym, gdyż zanim odpowiedział, długo mi się przyglądał. – Myślę, że na pewno – stwierdził po namyśle. – Nigdy o niej nie zapomniał.

– Ale on skacze z kwiatka na kwiatek – niemal krzyknęłam. – Zakochani ludzie tak nie robią.

Bartek poprawił się w miejscu i zdjął okulary. Pobawił się nimi, krzywiąc przy tym, jakbym mu zaserwowała cytrynę.

– Kuba kochał Magdę całe swoje życie. – Mężczyzna założył okulary z powrotem na nos. – Ale po naszym rozstaniu ona wyjechała do Stanów. Tam czekała ją przynajmniej kariera. Kuba chciał jechać za nią, ale definitywnie dała mu do zrozumienia, że do niczego między nimi nie dojdzie – mówił takim tonem, jakbym wyciągała z niego te informacje torturami. – Nie było jej kilka lat, on odbijał sobie skakaniem z kwiatka na kwiatek. – Nakreślił cudzysłów w powietrzu. – Ale gdy wróciła, całkiem niedawno zresztą, odpuścił romanse. Wątpię, żeby kiedykolwiek dał sobie z nią spokój. Żadna inna kobieta nie jest w jego oczach warta uwagi.

Gapiałam się na Bartka z rozdziawionymi ustami. Złożyło mi się to. Dzień zebrania i wycieczka Kubiaka na lotnisko. Jechał odebrać Magdę? Dlatego się spóźnił?

– To co, wszystko już jasne? – Okularnik podniósł się i podszedł do mnie. – Spróbujemy?

Opuściłam głowę i skupiałam się na brązowych sandałach. Należały do mamy. Tej samej, która kazała mi szaleć, być spontaniczną i się zakochać. Stał przede mną ideał z krwi i kości i pytał, czy nie chciałabym spróbować z nim romantycznej relacji. Nawet nic nie musiałam robić. Wczoraj umawialiśmy się na koleżeńską kolację, dzisiaj już pojawiły się jakieś decyzje...

Podniosłam wzrok na łagodną twarz Bartosza. Idealnie ogoloną, z życzliwym uśmiechem i ciepłym spojrzeniem trochę przekrwionych zielonych oczu. Wzięłam dwa głębokie wdechy.

Przecież relacje nie zawsze muszą zaczynać się fajerwerkami i kończyć krzywdą. Czasem ludzie po prostu się odnajdą i są razem szczęśliwi. W niektóre noce moje łóżko wydawało się za duże. Skóra bolała od niedotykania. A nieraz, w środku dnia, pojawiała się palące pragnienie drugiego człowieka.

Tylko co, jeśli przyzwyczaję się do jego obecności, a on postanowi odejść?

– Metoda małych kroczków jest świetna – powiedziałam, zaskakując nawet i siebie. – Nie nastawiamy się na nic, ale... czasem możemy się spotkać, prawda?

Tak bez presji i oczekiwań. Bez przywiązywania się i bólu, gdyby ktoś jednak się rozmyślił.

– Tak, myślę, że tak. – Bartosz uśmiechnął się z ulgą. – Cudownie. Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

Podszedł bliżej. Chyba chciał zostawić mi całusa na policzku, ale stchórzył. Wybrał przyjacielskie poklepanie po ramieniu. I wyszedł.

Naprawdę to jest sposób, w jaki ludzie dobierają się w pary? Trzeba się najpierw tak namęczyć, żeby na koniec się zakochać? Popukałam się w głowę. Wiesz, dziewczyno, że nie. Tylko ty masz jak zwykle pod górkę, bo kombinujesz. Za dużo analizujesz. Nie pozwalasz się ponieść chwili. Ruszyłam do okna, licząc na rozproszenie uwagi. Panorama miasta. Pałac Kultury i Nauki. Samochody tłoczące się u moich stóp, ludzie przebiegający na czerwonym świetle, jacyś młodzi i gniewni tańczący na głowach. Że też ich od tego nie mdli.

A wśród nich facet w lawendowym garniturze.

Wyostrzyłam wzrok i przyglądałam się, jak Kubiak podchodzi do młodziaków i schyla się, najwidoczniej wrzucając coś do czapki, do której zbierali pieniądze. Stanął na chwilę, zagadnął ich, a oni stłoczyli się wokół niego, poklepywali go po plecach. Nie trwało to dłużej niż minutę, ponieważ zaraz pożegnał się z tancerzami i w pośpiechu przebiegł przez ulicę. Minął przystanek, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy, i zniknął gdzieś pomiędzy budynkami. Albo tam mieszkał, albo parkował samochód.

Dlaczego nie był w pracy? Popędziłam do torebki, znalazłam specjalny telefon i wybrałam numer dyrektora. Odebrał po dwóch ciągnących się w nieskończoność sygnałach. W słuchawce trząsał gwar.

– Gdzie się pan podziewa? – Nie dałam mu dojść do słowa. – Stoję pod pana gabinetem, a pana nie ma – paplałam, szukając go wzrokiem. – Gdzie pan jest?

Odpowiedziało mi krótkie sapnięcie.

– Musiałem na moment wyjść, cholernie ważna sprawa. Wrócę, to będę.

I się rozłączył. Rozłączył się! Co za... Wyłączyłam telefon. Zobaczmy teraz, cwaniaku, co zrobisz, jak będziesz potrzebował się połączyć. Wcisnęłam komórkę na dno torebki i wydobyłam z niej prywatną. Odczytałam wiadomość od mamy:

Skarbie, dzisiaj na kolacji pojawi się specjalny gość.

Wróc wcześniej z pracy.

Musiałam usiąść z wrażenia. Czyli to naprawdę się działo. Nareszcie poznam Joasienieńkę, a to... dobra wiadomość. Jakaś dobra wiadomość!

Uśmiechnęłam się do siebie, zastanawiając, jak wygląda. Czy jest równie uduchowiona jak mama? Też nosi warkoczyki na głowie? A może jest wręcz odwrotnie i ma krótkie jasne włosy, a nie długie i ciemne? Czy będą mi wspólnie opowiadać o astrologii?

Na tym świecie istniała tylko jedna rzecz, która z głuchym łomotem miażdżyła wszystkie inne – szczęście mamy. To na nim postanowiłam się skupić i udało mi się. Napisałam sprawozdanie i wysłałam z firmy o czasie, bardzo z siebie zadowolona. Punktualnie, choć tradycyjnie z worem spraw do przejrzania w weekend. Bez niego czułam się jakaś pusta.

Po powrocie do domu od razu zaproponowałam mamie pomoc, lecz kategorycznie zabroniła mi wchodzić do kuchni. Wręcz mnie stamtąd wyprowadziła. Szkoda, z przyjemnością zajęłabym czymś myśli. Z braku laku zamknęłam się w swojej sypialni, przebrałam w luźną sukienkę sięgającą kostek, i położyłam się do łóżka, przykrywając po nos. Rozłożyłam wokół siebie dokumenty.

Miękkie łóżko działało jednak zbyt rozluźniająco. Sama nie wiedziałam, kiedy zwałam kartki i segregatory na ziemię i wtuliłam się w poduszkę.

Raptem podniosłam powieki i zaraz z powrotem je zamknęłam. Oślepiająca jasność naparła na mnie, niemal odbierając mi oddech. Pozwoliłam oczom przyzwyczaić się do niej i odkryłam, że nie znajduję się już w swoim łóżku, lecz w tunelu.

Podejrzane.

Ostrożnie stawiałam krok za krokiem, próbując stąpać jak najciszej. Nic się jednak nie działo. Przyspieszyłam, aż wreszcie zaczęłam biec. Uciekałam, ale... przed czym?

Odpowiedź przyszła sama. A raczej przybiegła. Zerknęłam przez ramię, by przekonać się, że za mną podąża Bartosz z naręczem róż w ramionach. Przyspieszyłam, ignorując jego nawoływania i prośbę o chwilę rozmowy. Z lawiny słów wyłapałam: „randka”, „dokumenty” i „Kubiak”.

Zacisnęłam zęby i włożyłam cały wysiłek w to, żeby dopaść drzwi, które magicznie pojawiły się na końcu tunelu. Udało się. Drżącymi dłońmi przekręciłam złoty klucz w zamku i stanęłam twarzą w twarz z dyrektorem.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Pokręciłam głową. Nie było w porządku. Nic nie było w porządku.

– Skarbie, to tylko sen – wybrzmiał głos mamy.

Zerwałam się do siadu, niemal uderzając mamę swoją głową. Rozejrzałam się po pokoju.

– Jesteś cała rozpalona. – Rodzicielka odgarnęła mi włosy z oczu. – Co ci się śniło?

Miałam ochotę rzucić jej się w ramiona i rozplakać, ale oparłam się pokusie.

– Praca – szepnęłam.

Chyba bardziej spodziewała się usłyszeć, że śniłam o mordercach, końcu świata, potworach

spod łóżka. Ale nie. Śniła mi się moja codzienność. To ona konsekwentnie doprowadzała mnie na skraj wytrzymałości.

– Ten awans tak daje ci w kość? – spytała z troską.

No tak, awans. Ta kolacja była ważna nie tylko ze względu na poznanie Joasienieńki – mama chciała też uczcić mój sukces zawodowy. A ja... nie powiedziałam jej, że to wszystko to tylko szemrana umowa, która skończy się za miesiąc. Nie wspomniałam o poszkodowanym Kubiaku, bo na pewno by go żałowała. Jak miałam jej to wszystko wyznać, skoro na wspomnienie tego sukcesu zmęczone oczy rozjaśniły się nadzieją?

– Mam durnego podwładnego – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Strasznie uprzykrza mi życie.

Mama zaśmiała się i ścisnęła moją dłoń. Odwzajemniłam uścisk.

– Mamo?

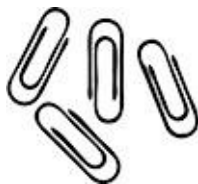
Uśmiechała się do mnie, ale i tak dostrzegłam w niej zrezygnowanie. Nie chciała polegać na mojej pracy i pieniądzach, ale nie miała wyjścia. Gdyby sama poszła do pracy, w Warzywniaku zostałyby tylko Alina.

– Poradzimy sobie. – Cmoknęłam jej rękę. – Znajdę sposób na to, żeby uratować Warzywniak. Obiecuję.

Mama pokręciła głową i zamrugała szybko, żeby odgonić łzy, po czym przyciągnęła mnie do siebie i mocno przytuliła. Przycisnęła wargi do czubka mojej głowy.

– To nie ty powinnaś nas ratować, skarbie – wyszeptwała.

Rozdział 15



Gdy rozbrzmiał dzwonek do drzwi, obydwie z mamą zerwałyśmy się z miejsc. Ona zaczęła lamentować, że Joasienieńka jest za wcześnie i nie zdążyła wszystkiego przygotować, a ja biegałam za nią po mieszkaniu, błagając, żeby się uspokoiła. Obiecałam zatrzymać jej dziewczynę w drzwiach. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Wyglądziłam szary materiał sukienki, rozpuściłam włosy, wytarłam policzek z zaschniętej śliny i otworzyłam drzwi z szerokim uśmiechem na twarzy.

Który momentalnie z niej spelzł.

– Co pan tu, do diabła, robi?! – krzyknęłam na całą klatkę.

Moje spojrzenie prześlizgnęło się z Kubiaka na stojące za jego plecami walizki.

– No właśnie... – Wcisnął ręce w kieszenie szarej bluzy. – Nie przenocowałyby mnie pani?

Wgryzłam się w swoje przedramię. Najwidoczniej się jeszcze nie obudziłam, skoro ten potwór znalazł się przed moim drzwiami. To tylko zły sen. Tylko zły sen...

– Co pani wyprawia?

Oddaliłam rękę od ust. Za nic nie szło się z tego wybudzić. A jeśli to nie koszmar, tylko rzeczywistość? Co strasznego zrobiłam w poprzednich wcieleniach?

– Wykluczone! – Zdecydowałam i zawróciłam do mieszkania, chcąc zamknąć drzwi, ale pojawiła się w nich jego wielka łapa. Rzuciłam mężczyźnie spojrzenie pełne niedowierzenia. Czy on aby nie przesadzał?!

Doszedł chyba do podobnych wniosków, bo zaraz zmienił postawę. Zgarbił się, schował głowę pomiędzy ramionami i utkwiał wzrok w butach. Próbował wzbudzić litość. Niedoczekanie. Mógłby paść na kolana, a i tak nie było nawet mowy o przenocowaniu Kubiaka w domu. Ani on, ani jego białe markowe adidasy, ani srebrne walizki, ani potargane przez wiatr włosy... nie wejdą do tego mieszkania. To moje terytorium i zamierzałam bronić go jak dzikie zwierzę.

– To tylko jedna noc... – bąknął.

– To absolutne nadużycie! – wyplułam mu w twarz i znów wyszłam do niego na klatkę. – Pracujemy razem, jest... był pan moim przełożonym, pana ojciec jest moim szefem... – Złapałam się obiema rękami za głowę. – To nie może być prawda. To żart, tak? Żartuje pan?

Niechże ta cisza udzieli odpowiedzi!

– Niby dlaczego nie może pan spać w swoim mieszkaniu? – przerwałam ją w końcu, zirytowana. Wydał policzki.

– Nastąpiła taka sytuacja...

– Nastąpiła sytuacja? – powtórzyłam.

– Lubi pani przerywać, co? – wycedził.

– Skarbie, wszystko w porządku?

Rzuciłam się do drzwi, niemalże uderzając nimi mamę. Zostawiłam jedynie pięciocentymetrową szparę.

– Tak, to tylko taki wariat z pracy – wytłumaczyłam szeptem. – Zaraz go spławię.

– A może byś go wpuściła? – zaproponowała.

Grunt usunął mi się spod stóp. Ten koszmar się nie skończy.

– Co ty, mammo... Wariata? – Rozłożyłam ręce. – Pierwsza zasada przetrwania w miejskiej dżungli brzmi: nie wpuszczaj do domu świrów. Nie wierzę, że muszę ci to przypominać.

Mama nie była w nastroju do żartów. Jej oczy wbijały szpile zniecierpliwienia. Czemu wyczuwałam ogromną katastrofę?

– Bo wiesz... – Zrobiła znaczącą minę, a ja spróbowałam zrobić podobną. Mama jednak w tym miejscu skończyła wyjaśnienia, więc nic z tego nie rozumiałam.

– No nie wiem – mruknęłam.

Pchnęła trochę drzwi, by chwycić mnie za ramię, i ścisnęła tak mocno, że przestraszyłam się, że zwykle wyciszoną matkę porwali kosmici i zastąpili ją krwiożerczym potworem.

– Joanna właśnie podjechała pod blok. Zaraz tu będzie. – Puściła. – Błagam, nie stójcie tak na tej klatce. Nawet będąc w kuchni, wyczuwam waszą wrogość. Najlepiej, jak wszyscy razem usiądziemy do posiłku.

Jakbym dostała obuchem w twarz. Kubiak miałby brać udział w rodzinnej kolacji, podczas której poznam wreszcie partnerkę mojej mamy? W tak ważnym dniu? On?

– Mammo, to jest absolutnie niemożliwe...

– Skarbie – weszła mi w słowo. Znów brzmiała jak morderczyni. – Bez dyskusji. Rzadko cię o cokolwiek proszę, ale dzisiaj mówię jasno i wyraźnie: żadnych kłótni z wariatami podczas kolacji!

Zamknęła drzwi, prawie przycinając mi w nich nos. To tyle, jeśli chodziło o obronę terytorium.

Odwróciłam się do widocznie zadowolonego z siebie Kubiaka. Już miałam mu coś powiedzieć, kiedy usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych. Joasienieńka zbliżała się do nas wielkimi krokami. I ten dupek doskonale o tym wiedział, bo uśmiechnął się szeroko.

Bez słowa wskazałam mu drzwi, a on w podskokach wszedł do mieszkania, zostawiając walizki na zewnątrz. Ugryzłam się w język. To dzień mamy. Dzień mamy... Wtargałam je i zamknęłam w swoim pokoju.

Kubiak zdejmował buty, rozglądając się po wnętrzu. Nie było czego podziwiać. Stara boazeria od dawna prosiła o remont, ale nieprędko będzie mogła na takowy liczyć. Na ścianach wisiały malunki różnej maści, wykonane przez tatuatorów mojej mamy. Miała jakiś dziwny dar zaprzyjaźniania się z ludźmi. Ja szłam do fryzjera, pozwalałam obciąć końcówki i wychodziłam. Ona rozmawiała o życiu, śmiała się i nawiązywała więź. Tej przydatnej umiejętności również nie otrzymałam w genach.

Zamknęłam się w swojej sypialni i zmieniłam sukienkę na mniej pogniecioną. Wyrwałam z szafy pierwszą lepszą – białą za kolano z kieszeniami. Będzie w porządku.

To nie do uwierzenia, że Kubiak pojawił się w moim mieszkaniu. Spojrzałam sobie w oczy w lustrze. Jakim prawem? I jak ja będę siedzieć z nim przy jednym stole? Przecież zniszczy mamie ten dzień. Jest nieokrzesany, złośliwy...

Zanim Joasienieńka wdrapała się na czwarte piętro, zdążyłam jeszcze wbiec do pokoju gościnnego, w którym Kubiak siedział już przy stole z brodą opartą na dłoniach. On się w końcu doczeka...

Rozległo się pukanie. Mama pognała, żeby wpuścić gościa, a ja poczułam ścisk w dołku. Jeszcze raz poprawiłam sukienkę i włosy w lustrze wiszącym na ścianie. Gdy napotkałam spojrzenie Kubiaka, pokazałam mu język.

O matko, jak nisko upadłam.

– Dzień dobry – usłyszałam zdecydowany i dziwnie znajomy głos.

Odwróciłam się powoli i stanęłam jak wryta.

Nie zapanowałam nad ustami, które otworzyły się szeroko. Stałam tam i gapiłam się na naszą gościńnię z wytrzeszczonymi oczami, a serce chyba mi się zatrzymało. Wzrok popędził jak strzała – kwadratowa szczęka, jasne, ciasno związane w kitkę włosy, szerokie ramiona, a na nich żakiet. Jak nie kombinowałam, wynik tego równania za każdym razem był ten sam.

Spojrzałam na mamę z nutką przerażenia i niezrozumienia.

– Skarbie, to właśnie Joanna – oświadczyła uroczystym tonem. – Joasiu, to moja córa, Ina.

Miłość mamy podeszła pewnym krokiem i wyciągnęła dłoń.

– Joanna Firląg – przedstawiła się.

– W-wiem... pani p-profesor – wyjąkałam.

Otrząsnęłam się z szoku i odwzajemniłam uścisk. Mama odetchnęła z ulgą.

– Tyle wam o sobie nawzajem opowiadałam! Nie wiecie, jak się cieszę, że wreszcie mam was tu razem. – Pocałowała mnie w policzek. – Szczególnie, że już się znacie... Pierwsze koty za płoty.

Zaśmiała się leciusięko i poleciała do kuchni jak na skrzydłach, a Joasienieńka pogramoliła się za nią. Poruszała się niezgrabnie i ociężale. Jakim cudem one się zeszyły?

Usiadłam z wrażenia. Uniosłam oczy do nieba, a raczej do zapelnionego pożółkłymi kasetonami sufitu. Losie, jak długo jeszcze będziesz mnie sprawdzać?

Przecież ta kobieta to jeszcze gorsze stworzenie od Kubiaka, który, swoją drogą, właśnie wybierał z miski z sałatką pomidorki. Pacnęłam go po łapach. Jak to się stało, że największa dręczycielka niewiniątek z najgorszego przedmiotu, na jaki uczęszczałam na zarządzaniu marketingowym, randkowała z moją matką? Szczególnie że Firląg wyjątkowo dała mi się we znaki podczas studiów, mimo tego że zawsze byłam obecna na wykładach, a na egzaminy przychodziłam przygotowana. Co tu dużo mówić? To wstrętne babsko lubiło wyzywać się na niczemu winnych studentach. Mama wkroczyła do pokoju z półmiskiem klusków śląskich, a Joasienieńka za nią, z misą pełną sosu pieczarkowego. Przyjrzałam się jej jeszcze raz. Była dość niska, lecz tęga. Może przez szerokie ramiona wydawała się cały czas stać na baczność. Proste czarne spodnie i żakiet w tym samym kolorze kontrastowały z różową spódnicą mamy. Czemu mama wybrała akurat ją? Przecież ona aż kipi energią, kolorami, tą swoją aurą... Tymczasem aura jej wybranki krzyczy: Zapraszam na poprawkę we wrześniu.

Czy Joanna wiedziała, że moja mama to moja mama? Znaczy, wróć. Czy połączyła fakty? Miała świadomość, że umawia się z matką swojej byłej studentki? Bo że mama nie wiedziała o moich traumatycznych wspomnieniach z nią związanych, było pewne. Przebąkiwałam jej czasem coś o upierdliwych wykładowcach, ale bez nazwisk, do których i tak nie miała pamięci. Brak reakcji na słowo „profesor” świadczył o tym, że Joasienieńka coś jej wspomniała, ale rozanielony stan wcale tego nie potwierdzał.

Usiadłam obok Kubiaka i od razu poczułam kopnięcie. Spojrzałam na niego nieprzytomna.

– W porządku? – spytał bezgłośnie.

Kiwnęłam głową. Muszę wziąć się w garść. Nie wolno mi zniszczyć szczęścia mamy. Wymusiłam uśmiech, próbując w ten sposób zabić strach, i nałożyłam sobie dwie kluski na talerz.

Wtedy zabrzmiał dzwonek. Alina już jest!

Omiał nie wybiłam zębów w drodze do drzwi, a gdy zobaczyłam za nimi babcię, rzuciłam się jej na szyję.

– Katastrofa. Katastrofa... – powtarzałam, dopóki się od niej nie oderwałam.

Na głowie zamiast wysokiej kitki miała burzę niewielkich białych sprężynek.

– Jaka katastrofa? – spytała szeptem.

– Masz piękną sukienkę – wyjęczałam, pociągając nosem. – Śliczny kolor. Uwielbiam łośosiowy.

– Ina! – upomniała mnie.

Ton jej głosu świadczył o tym, że od szaleństwa dzielił mnie zaledwie krok.

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o tej brzytwie, która chciała zniszczyć mi życie na studiach? – wyplułam.

Alina zmarszczyła brwi i się zamyśliła. Włożyła w to wszystkie siły, ale wreszcie pokiwała głową.

– Ta z takim trochę niemieckim nazwiskiem? – spytała.

– Firląg – wyrzuciłam z siebie z obrzydzeniem. – To teraz słuchaj. To jest właśnie Joasienieńka.

Babcia zasłoniła usta i oparła się o drzwi.

– Żartujesz – szepnęła.

Pokręciłam głową. Żółć podeszła mi do gardła.

– Nie żartuję. Ale to nie koniec. Mam w pracy takiego faceta... – Jak żałowałam, że ostatnio zabrakło nam czasu na ploteczki i nie mogłam jej opowiedzieć o Kubiaku wcześniej. To by wiele ułatwiło. – To kompletny debil. Leń, egoista, ignorant... – Wylizyłam na palcach. – To jego asystentką byłam.

Babcia wyglądała, jakby zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby obrócić się na pięcie i wrócić do spokojnego domu, wypić lampkę wina i zasnąć przed telewizorem.

– Aha... – stęknęła.

– Ale potem, jego ojciec, który jest prezesem firmy, chciał dać mu nauczkę za lenistwo i go zdegradował do stanowiska asystenta, a mnie awansował na dyrektorkę generalną – wyrzuciłam z siebie, zanim zdążyłam się rozmyśleć. – Dlatego awansowałam.

– Co?!

Zasłoniłam jej usta, ale i tak wszystko już przepadło.

– Skarbie, to Alina? Idziecie do nas? – zawołała mama.

Nakazałam Alinie zostać w tym samym miejscu, a sama wściubiłam głowę do pokoju gościnnego i zaśmiałam się sztywno.

– Powiedziałam jej, że na obiad są kluski śląskie. – Wyszczrzyłam się nieszczerze. – Co zrobić, szaleje na ich punkcie. Już zaraz przychodzimy.

Dopałam z powrotem do babci. To moja ostatnia sojuszniczka.

– Teraz ja jestem dyrektorką, ale on jest dupkiem tak samo, jak był wcześniej – dokończyłam historię. – Tylko na stołku niżej. A dzisiaj, zaraz przed pojawieniem się Joanny, przyszedł do naszego mieszkania, prosząc, żebym go przenocowała, a mama kazała go wypuścić.

Widziałam po oczach, że gdyby tylko mogła, babcia znów by coś wykrzyknęła. A już na pewno rzuciła jakimś przekleństwem. Trudno jej się dziwić. – Tylko że mama nic o tym nie wie. O niczym. Ani o Joannie, ani o Kubiaku, więc błagam cię... Ani słowa.

Nie dałam Alinie czasu na przetrwanie tego, czego się dowiedziała. Pociągnęłam ją siłą do pokoju i badałam reakcje. Ale babcia, w przeciwieństwie do mnie, umiała w ludzi. Wyrwała się z mojego żelaznego uścisku i uśmiechnęła. Szybkie pogłaskanie po plecach miało dać mi do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze. Oby.

– Przepraszam, że tyle to trwało, ale zepsuł mi się zamek w sandałach. – Zaśmiała się, a wszyscy jej zawtórowali. – Na szczęście Ina mnie uratowała. Jak zawsze.

Podeszła do stołu i podała dłoń Joasienieńce.

– Bardzo mi miło. Alina – przedstawiła się. – Przyjaciółka rodziny.

Joasienieńka zerwała się z miejsca, uderzając o stół. Naczynia zagrzechotały, ale misja została zakończona sukcesem. Alina wymieniła niezbędne uprzejmości, po czym przeniosła wzrok na Kubiaka, uświadamiając mi tym samym, że nawet nikomu go nie przedstawiłam.

– Alina – powiedziała krótko i udała, że nie zauważyła wyciągniętej dłoni Kubiaka, po czym usiadła na swoim miejscu.

Ach, grała ostro. Tak ostro, że aż zrobiło mi się żal dyrektora.

– Jakub – powiedział sobie pod nosem, chowając rękę pod stół.

Zrobiło się niezręcznie cicho. Mama posłała Joannie zakłopotany uśmiech, Joanna wlepiła wzrok w talerz, Alina mierzyła oceniająco Kubiaka, a ten wpatrywał się w sufit, jakby ktoś tam wyświetlił jakiś wciągający film.

– Właśnie – odezwała się Alina znienacka. – Dobrze się spotkać i posiedzieć w rodzinnym... – Zatrzymała wzrok na Kubiaku i się zacięła. – Jeszcze raz, jak panu na imię?

Odwrócił się do niej, a ja, korzystając z jego nieuwagi, kręciłam głową, patrząc Alinie prosto w oczy. Niech go aż tak nie tyra! Ale wtedy dyrektor znów wrócił do mnie.

– Czy ty kręciłaś głową? – spytał.

– Po co miałabym to robić? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Mama odchrząknęła znacząco, więc wymusiłam uśmiech i zachwyciłam się obiadem, którego jeszcze nie zdążyłam spróbować. A więc w ten sposób przeszliśmy z Kubiakiem na „ty”. Ta relacja

rozwijają się w zawrotnym tempie. Jeszcze chwila, a kupimy sobie bransoletki przyjaźni. Kubiak odwrócił się do Aliny.

– Mam na imię Kuba – przedstawił się.

Alina wyglądała na zagubioną, ale jako że bezgłośnie powiedziałam jej, żeby nie przesadzała, mrozący krew w żyłach wzrok złagodniał. Przytaknęła z obojętną miną.

– I czym się pan... – zaczęła, ale znów napotkała moje spanikowane spojrzenie. Miała nie poruszać kwestii pracy. Otworzyła szerzej oczy, orientując się, co powiedziała. – ...zajmuje w wolnym czasie?

– Wspina się – odpowiedziałam za Kubiaka.

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę. To okropne, że siedzieliśmy obok siebie.

– Mogę mówić za siebie – stwierdził, patrząc na mnie z niezrozumieniem.

– A czym się pan zajmuje? – zagadnęła mama. – Bo rozumiem, że znacie się z Iną z pracy?

Widelec, na który zdążyłam nabić kluskę, spadł z grzechotem na talerz.

– Skarbie, wszystko w porządku? – zaniepokoiła się moja rodzicielka.

– Strasznie pobladłaś – zauważył Kubiak.

– A może pani nam coś opowie o sobie? – wcięła się Alina, wskazując Joannę. – Co pani robi... w wolnym czasie?

Skoro ta sytuacja przewyższała nawet Alinę, to naprawdę nie było dobrze.

– Wystarczy Joanna. – Profesorka posłała babci niepewny uśmiech. – W zasadzie moja praca jest też moją pasją.

O nie.

– Systemy ubezpieczeń? – wypaliłam, byleby tylko rozmowa nie zoczyła konkretnie na studia.

– Czy nauczanie w ogóle?

Chwała niebiosom, że z tego wybrnęłam. Joanna pasjonowała się nauczaniem? Jej wykłady były najnudniejsze pod słońcem. Ludzie na tyłach auli grali w makao, inni spali, jeszcze inni oglądali na tabletach filmy. Ja, jak to oczywiście ja, siedziałam w pierwszym rzędzie i spisywałam wszystko z prezentacji, żeby potem wrzucić na grupowy czat.

– I to, i to – stwierdziła. – Chyba nawet jakoś mi to wychodziło, bo zawsze siedziałam w pierwszym rzędzie i notowałam każde moje słowo. Kubiak prychnął pod nosem.

– Co w tym takiego śmiesznego? – skierowałam całą złość na niego.

Jego widelec zawisł nad moim nosem.

– Byłaś typowym nadgorliwcem. – Zaśmiał mi się w twarz. – Dokładnie jak teraz.

– Oj, tak – zawtórowała Joanna, zanim zdążyłam wpaść na jakąś ciętą ripostę. – Jako jedyna cieszyła się z wejściówek.

A zatem moja ambicja śmieszyła Joannę, kobietę, której nie śmieszy nic. Ja ją śmieszę.

– Ina jest po prostu ambitna – obroniła mnie Alina.

– To prawda – podchwyciła mama. – Bardzo się stara. Dlatego czasem zdarzy jej się... przesadzić.

Posłała mi pocieszający uśmiech. Dobrze, że chociaż moje kobiety stały za mną murem, bo cała reszta niezmiennie sobie grabiła.

– Oj, tak. – Joanna magicznie postanowiła się otworzyć. – Jak zadawałam jakieś prace pisemne i wszyscy, jak jeden mąż, szli po najniższej linii oporu, Malina pisała elaboraty...

– Ina... – poprawiłam ją.

– I wyobraźcie sobie ich miny, kiedy dowiadywali się, że ona oddała pracę na piętnaście stron, kiedy oni ledwie wydukali coś na dwie – dokończyła.

Alina i mama popatrzyły po sobie zmieszane, a Kubiak parsknął uradowany.

– Dlatego ojciec wcisnął cię na moje miejsce – powiedział uchachany. – Wiedział, że sama w sobie będziesz największą karą.

– Na twoje miejsce? – podłapała mama. – Co to znaczy?

Straciłam kontrolę nad sytuacją. Joasienieńkę bawiłam, Kubiak zaraz wyjawi mamie prawdę... Jak go zatrzymać? Co zrobić, żeby zapobiec...

– No tak – stwierdził. – Ojciec mnie zdegradował za karę, a Ina zamieniła się ze mną stołkiem. Nie mówiła?

Nastała cisza, przerywana jedynie jeżdżącym po talerzu nożem, bo chyba tylko Joanna nie wyłapała, że wydarzyło się coś ważnego i w najlepsze krociła kluskę.

– Zdegradowali cię, żeby Ina mogła awansować? – wydusiła z siebie moja rodzicielka. – To straszne.

Ależ jestem kłamczuchą. Weszłam na stanowisko, na które nie zasłużyłam. Szłam do celu po trupach. Byłam okropną...

– Czy ja wiem? Zasłużyłem – odparł Kubiak z rozbrajającą szczerością, a mnie aż wbiło w krzesło. – Ina pracuje w Adeline tylko od miesiąca, a już wykonała tytaniczną pracę. Pewnie większą niż ja zrobiłem przez ostatni rok.

I wcisnął do ust kluskę. Wpatrywałam się w jego profil, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Naprawdę tak myślał? Czy po prostu mną manipulował, żebym go przenocowała?

Jeśli grał, to szło mu naprawdę dobrze. Działo.

Rozmowa się rozkręciła. Kubiak zagadnął Alinę o pracę, a ta odpowiadała z rezerwą. Mama szczebiotała o czymś Joannie, tylko ja siedziałam pośrodku, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zerknęłam na Joasienieńkę i się wzdrygnęłam. Nie będę się dołączać do ich flirciarskich pogawędek. Jedno spojrzenie na Kubiaka – nie, on też odpadał.

Zerwałam się z miejsca i zakomunikowałam, że idę się przewietrzyć. A że balkon nie przypadł nam w udziale, wypadłam na klatkę. Zapaliłam światło i usiadłam na schodach.

Zza zamkniętych drzwi dobiegał śmiech mamy. Dobrze, że przynajmniej nikt nie zepsuł jej tego wieczoru. Wybrzmiał podniesiony głos Kubiaka, a potem salwa śmiechu. On naprawdę błyszczał w towarzystwie. Choćbym chciała, nie mogłabym mu tego odmówić.

Światło na klatce zgasło, ale nie podniosłam się, żeby je zapalić. Ciemność położyła na mnie łapska, najwyraźniej próbując przestraszyć.

Przylgnęła do odzieży, tuliła, aż przymknęłam powieki.

Nie cieszyłam się długo spokojem. W momencie zerwałam się z miejsca, słysząc kroki w mieszkaniu. Kubiak? A ten tu czego szuka?

– Dlaczego siedzisz tu sama po ciemku? – spytał z wyrzutem.

Znalazł włącznik światła. Po chwili przyglądaliśmy się sobie wzajemnie w migoczącym ciepłym świetle żarówki zwisającej z pojedynczego kabla nad naszymi głowami.

– Czego pan chce? – przystąpiłam do ataku.

– Daj już spokój z tym panem. – Kubiak się skrzywił. – Wyglądałaś, jakbyś miała zaraz zemdleć. Alina prawie odgryzła mi głowę, jak powiedziałem, że idę sprawdzić, co z tobą. – Podrapał się po karku. – Chyba za mną nie przepada.

Ponownie posadziłam tyłek na zimnych schodach.

– A jednak tu jesteś – powiedziałam.

Usiadł obok. Jego kolano dotknęło mojego, czego zdawał się nie zauważać. W przeciwieństwie do mnie. Przybliżyłam się do przeciwległej ściany. Gdyby zaistniała taka możliwość, wtopiłabym się w nią.

– Twoja mama kazała jej się uspokoić. – Rzucił mi pełne rozbawienia spojrzenie. – To jak będzie? Mogę zostać? A więc o to chodziło. Jak mogło mi chociaż przez myśl przejść, że rzeczywiście przyszedł sprawdzić, czy nie postanowiłam rzucić się ze schodów?

– Dlaczego? – wyrzuciłam płaczliwie. – Przecież masz jakieś mieszkanie, prawda? O co chodzi? Zagryzł wargę i zaczął nerwowo poruszać jedną nogą.

– Wyszedłem dzisiaj z pracy, ponieważ przypomniało mi się, że kończy mi się umowa wynajmu – mówił bezbarwnym tonem. – Kiedy jednak spotkałem się z właścicielem, poinformował mnie, że nie ma mowy o jakimkolwiek przedłużeniu. Od słowa do słowa, chociaż początkowo chciał dać mi kilka dni na poszukanie czegoś, ostatecznie się pokłóciliśmy i powiedział, że mam się natychmiast wynieść.

Potrząsnęłam głową. To brzmiało jak wyjątkowo kiepska wymówka.

– Takie sprawy załatwia się przeci

eż wcześniej – zauważyłam. Przylepiłam plecy do ściany i odwróciłam się do dyrektora. – Żaden najemca nie czeka do ostatniego dnia... Zamknęłam usta. Chyba że ktoś go o to poprosił. Na przykład prezes dużej firmy, a tym samym człowiek, który do tej pory wszystko opłacał za syna.

– Po twojej minie widzę, że i ty wszystko poskładałaś w całość – stwierdził Kubiak.

Chłód ściany ziębił moją skórę, ale nie miałam w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby się od niej oddalić. Kubiak nadal znajdował się zbyt blisko. Ten jego profil – prosty nos, wąska górna warga i dolna, pełniejsza. Te ręce, jak na mój gust trochę zbyt żylaste, ale naznaczone letnim słońcem.

Co ja właśnie robiłam?

– Nie masz przyjaciół? – wypaliłam.

W głowie brzmiało to mniej wrednie. Mężczyzna musiał pomyśleć o tym samym, bo pokręcił głową i wycedził:

– Ty chyba też nie masz wielu, co?

– Posłuchaj no... – Zapowietrzyłam się, gotowa na kontratak.

– Cała Ina Mazurek. – Zbliżył się, sprawiając, że momentalnie zamilkłam. – Kieszenie po brzegi wypchane dystansem.

Znów się odsunął.

– Dzwoniłem do kilku kumpli, ale każdy ma swoje zajęcia – przyznał niechętnie. – Poza tym... jakoś mi to nie przeszło przez gardło.

– To, że jesteś bezdomny?

Sądziłam, że wbiję mu szpilę, a on się roześmiał. Przeczesał dłonią włosy i pokiwał głową. Złapałam się za brzuch, kiedy wszystkie wnętrzości wywróciły mi się na lewą stronę. To niewiarygodne, ale... miękłam. Szukałam w sobie oznak dawnej niechęci, a one, choć rzeczywiście zostały poupychane po kątach mojej duszy, milczały, podczas gdy cała reszta myślała o tym, że to przyjemne, gdy ktoś rozumie twoje poczucie humoru. A nawet przytyki pod swoim adresem.

– To, że jestem bezdomny – przyznał.

– A twoja dziewczyna? – palnęłam.

Czemu to powiedziałam? Przecież doskonale wiedziałam, że ukrywał przed nią utratę stanowiska. Logiczne, że nie powiedziałaby jej również o tym, że stracił dach nad głową. Ale przenocować by już u niej mógł, czyż nie?

– Nie mam dziewczyny – odpowiedział po namyśle.

Złapałam się na tym, że nerwowo przeczesywałam włosy palcami. Opuściłam ręce.

– Nie? – Patrzyłam wszędzie, tylko nie na niego. Przez wąskie okno, za którym jaskółki przecinały co jakiś czas niebo. Na ściany pomalowane na paskudny odcień zieleni, nierówne schodki. – Przesiaduje w twoim gabinecie, chodźcie na kolacje, wygląda jak modelka...

– A Bartek to twój chłopak? – Kubiak założył ręce na piersi. – Przesiaduje w twoim gabinecie, chodźcie razem na kolacje...

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęłam.

Nie? Już sama nie wiedziałam, na czym stoję.

– Gdybym miał gdzie pójść, poszedłbym tam. – Starłam się nie słyszeć zrezygnowania w jego głosie, ale ono tam było i głaskało moją złość, stopniowo ją łagodząc. – Zasób mojej gotówki dość mocno się uszczuplił. Na kartach płatniczych mam niewiele, a muszę poważnie pomyśleć nad mieszkaniem. Jeśli znajdę mieszkanie, to i kaucję będę musiał wpłacić, a do wypłaty jeszcze niecały tydzień. Zdaję sobie sprawę z tego, że proszę o wiele, ale...

Urwał i rzucił mi błagalne spojrzenie. I co ja miałam zrobić? Co miałam zrobić?

Zgodziłam się.

Przez resztę wieczoru niewiele się odzywałam. Dom wypełnił się energią, jakiej chyba jeszcze nigdy w nim nie czułam. Zażarte rozmowy, krzyki, wybuchy śmiechu, skrzące oczy mamy, głośny śmiech Joasienieńki, Alina i jej życiowe filozofie oraz Kubiak, skupiający całą uwagę na sobie, a jednocześnie z mistrzowską precyzją zarządzający nią w taki sposób, żeby nikt nie czuł się pominięty. Nawet ja.

Alina podniosła się pierwsza, komunikując otwarcie, że ucieka, ponieważ umówiła się jeszcze przez internet na szybki numer. Joasienieńka, słysząc to, prawie zakrztusiła się wodą z cytryną. Ja natomiast zabrałam się za sprzątanie, przy czym dzielnie towarzyszył mi Kubiak. Mama i Joanna zniknęły w sypialni, a że nie chciałam zostawać z dyrektorem sama, szybko się uwinęłam, na koniec ścieląc mu w salonie, i zamknęłam się u siebie, nie dając nawet szansy na otwarcie ust.

Rozpaczliwie pragnęłam samotności. Przyłożyłam głowę do poduszki i pociągnęłam nosem. Ile jeszcze będzie tych plag egipskich?

Paskudny spisek i szemrane umowy, na myśl o których dostawałam mdłości.

Bartosz i jego próba budowania ze mną relacji.

Profesorka randkująca z moją matką... i do tego kociołka różności dochodził jeszcze Kubiak nocujący w moim mieszkaniu. Jedyne miejsce, które jeszcze się przed nim jakoś broniło.

Ciekawe, czy on byłby tak wielkoduszny, gdyby role się odwróciły i to ja potrzebowałabym pomocy? Już raz go o nią prosiłam – w dniu zebrania. Czy posłuchał? Właśnie.

Chociaż planowałam jeszcze się nad sobą poużalać, zmęczenie zrobiło swoje. Starłam się utrzymać otwarte powieki, ułożyć w głowie jakiś plan działania, ale sen mnie zmógł.

Ktoś wołał moje imię z oddali. Ścisnął moje ramię. Uniosłam powoli ciężkie powieki i wyteżyłam wzrok.

Mama?

Nie... Pociągnęłam nosem, czując obcy, a jednocześnie znajomy zapach. Miły... Kto tak pachnie?

Otworzyłam oczy, zupełnie się rozbudzając. To zdecydowanie nie była mama.

Tuż przy mojej twarzy widniała twarz Kubiaka. Wydałam z siebie zduszony okrzyk i naciągnęłam na siebie kołdrę. Mężczyzna położył sobie palec na ustach, chcąc mnie uciszyć. Uciszyć! Zamachnęłam się, bez zawahania wymierzając zbrojeńcowi cios prosto w facjatę.

– Uspokój się! – jęknął, łapiąc się za nos. – Nie mogłem spać...

Trzeba było uderzyć mocniej. Zbyt szybko doszedł do siebie.

– Masz pięć lat? Zrobić ci kakao na dobranoc? – wyrzuciłam.

Dyrektor opadł na łóżko i znów nachylił się w moją stronę. Odruchowo się cofnęłam. Czy ten facet kiedykolwiek słyszał o czymś takim jak przestrzeń osobista?

– Sprawa jest delikatna – powiedział tajemniczo.

Sięgnęłam po budzik i stłumiłam krzyk.

– Jest w pół do drugiej! – wycodziłam. – Jak myślisz, jak bardzo w skali od jednego do dziesięciu mam ochotę słuchać twojego owijania w bawełnę?

Milczał. Albo szukał wymówi, albo ważył słowa. Emocje zaczęły opadać, a wraz z nimi moje powieki. Jeszcze chwila i zasnęłabym na siedząco w jego obecności.

– Jak mówiłem, sprawa jest delikatna. – Otworzyłam oczy, gdy przemówił. – Nie mogę zasnąć przez... pewną niedogodność.

No cudownie! Kubiak na ziarnku grochu. Nie odpowiada mu kanapa w salonie? Może kołdra za ciężka? Brakuje jedwabnej opaski na oczy?

– Chodzi o to... – mówił, przeciągając sylaby. – Że coś słyszę.

Wyprostowałam się i momentalnie rozbudziłam.

– Co słyszysz?

No to mogiła. Będę musiała wezwać jakąś wróżkę. Wiedziałam, że z tymi murami coś jest nie tak, tylko to wypierałam. A może stąd to fatum? To tłumaczyłoby dzisiejszy wieczór...

W ciemności zobaczyłam rękę, którą dyrektor potarł kark.

– No więc – dukał. – Te odgłosy... dochodzą z sypialni twojej mamy.

Wciągnęłam głośno powietrze. Duch jest w sypialni mamy? Na bank przyszedł za Joasienieńką. Jej totalnie przydałby się jakiś egzorcyzm. – No i... – mówił, jakby sprawiało mu to nieznośny ból. – Albo jest z przyjaciółką bliżej, niż sądziłem, albo strasznie ją coś boli i dlatego jęczy.

Ukryłam się za poduszką. Nie było żadnego ducha. W tym momencie mury bloku wypełniały się jedynie moim zażenowaniem.

Chyba czas na rozmowę o pszczołkach.

– Wiesz, co to miłość? – spytałam go, tak jak piętnaście lat temu mama spytała mnie.

– Ty się jeszcze nie obudziłaś? – odparł Kubiak.

– Kochać mogą się pan i pani – kontynuowałam z na wpół przymkniętymi powiekami. – Ale też pan z panem i pani z panią. Nie ma lepszej i gorszej miłości. Czaisz?

Otworzyłam oczy i ujrzałam w ciemności zarys jego sylwetki.

– Tak myślałem – stwierdził. – Tylko wiesz, twoja mama i Joanna... Są jak dwa bieguny, więc to wykluczyłem.

Westchnęłam. Mi tego nie mów, chłopie.

– Przeciwności lubią się przyciągać – rzekłam tonem mędrzyni.

– Chociaż w sumie... – Kubiak pstryknął palcami. – Jak tak sobie je teraz wyobraziłem, to ładnie razem wyglądają.

– Serio? – bąknęłam z powątpiewaniem.

– Czy w takim razie mogę spać u ciebie na podłodze? – spytał, ignorując moje pytanie. – Pewnie gdybym nie spytał, obudziłabyś się w najmniej odpowiednim momencie i zwyzywała mnie od zboczeńców, a na koniec wezwała policję.

Otworzyłam usta. Znał mnie lepiej, niż mogłabym przypuszczać.

– Dobrze... Jasne – zgodziłam się, zadziwiając samą siebie. – Potrzebujesz czegoś? Kołdry? Koca?

Niczego nie chciał. Położył się przy łóżku, podłożył pod głowę poduszkę przyniesioną z salonu i nakrył się kocem. Ja zaś leżałam sztywno na plecach, bojąc się ruszyć. Jego obecność sprawiała, że czułam się... dziwnie dobrze. W mojej głowie zrobiło się ciszej, a w domu jakby bezpieczniej. Wsłuchałam się w jego miarowy oddech.

Tak to wygląda, gdy ktoś jest obok? Powietrze nasycy się spokojem?

Przymknęłam powieki. Niedobrze. Bardzo niedobrze, że to aż tak przyjemne.

Rozdział 16



Obudził mnie chłód przedostający się przez otwarte okno. Niechętnie otworzyłam oczy i zerknęłam na zegarek – za pięć dziesiąta. Odwróciłam się z powrotem do ściany, mrużąc do samej siebie pod nosem, że w sobotę można sobie pospać dłużej, i nakryłam głowę kołdrą. W tej samej chwili przypomniałam sobie o intruzie śpiącym w moim pokoju. W ślimaczym tempie wychyliłam się za łóżko, robiąc wszystko, co w mojej mocy, żeby pozostać niezauważoną.

Zamiast wyciągniętego męskiego ciała, ujrzałam złożony w kosteczkę koc, a na nim poduszkę. Ani śladu testosteronu. Usiadłam, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. Czemu Kubiak zniknął?

Narzuciłam na siebie szlafrok i przeszukałam mieszkanie. Nie znalazłam ani dyrektora, ani jego walizek. A więc naprawdę dotrzymał obietnicy i wyniósł się skoro świt? Bez słowa? Bez głupiej karteczki, że przeprasza i dziękuje? Przejrzałam jeden telefon, drugi, trzeci... Żadnej wiadomości. To takie typowe – wykorzystał i porzucił.

Parzyłam sobie kawę, cały czas zastanawiając się, dlaczego nic nie powiedział. Może zgorzzyła go sytuacja z nocy? Patrzcie go, jaki delikatny. Ale mógł mieć też jakieś plany na sobotę. Na przykład randkę z tą swoją Magdą. Albo po prostu był dupkiem, który z nikim się nie liczył i martwił się jedynie o swoje potrzeby. Warknęłam głośno, dając upust złości.

– Dzień dobry, wyspałeś się?

Zachłysnęłam się kawą, która jakimś cudem z przełyku dostała się do nosa i nim wystrzebiła. Krztusiłam się dobrą minutę, zaś Kubiak rzucił na ziemię obydwie torby z zakupami i walił w moje plecy z większym zaangażowaniem, niż pracował w firmie. Gdy w końcu wyplułam z siebie ostatnią kropelkę, obydwoje patrzyliśmy na siebie z przerażeniem.

– Ale jak to? – Rozłożyłam ręce. – Przecież... Ale walizki... Nikogo nie było...

Sięgnął po ręcznik papierowy i zaczął wycierać brązową plamę z płytek. Przetarłam oczy. Jakub Kubiak, dyrektor generalny Adeline, klęczał przede mną i wycierał z podłogi kałużę kawy, którą z siebie wyplułam. Czy to jednak matrix?

– Kupiłem świeże bułeczki – oświadczył radośnie, wyrzucając ręcznik do śmieci. Wskazał papierową torbę. – I dżem, masło... Jak to jest? – Spojrzał na mnie z niezrozumieniem. – Wegetarianie jedzą masło, prawda?

Chciałam na niego napaść, spytać, o jakich bułeczkach mówi. Wrzeszczeć coś o wyprowadzce, jednej nocy i nadużyciu, ale stał tam, z dżemem porzeczkowym w jednej ręce i masłem w drugiej, i patrzył na mnie w taki sposób, że powiedziałam tylko:

– Mama nie je, ale ja tak.

To mu wystarczyło. Uśmiechnął się zadowolony pod nosem i wyciągnął z torby brzoskwinie, napój ryżowy, tofu...

– Czemu zrobiłeś zakupy? – spytałam.

Dyrektor tkwił dalej z twarzą w torbie: ostre papryczki, sok pomarańczowy, drożdże, mąka, ser

mozzarella...

– Tak sobie pomyślałem, że możemy zrobić na obiad pizzę – odparł.

I tu coś mi zgrzytnęło.

– Na obiad? – powtórzyłam. – My?

Westchnął i się wyprostował. Błękitna koszula napięła mu się na barkach i piersi, ale nie to zwróciło moją uwagę. Ktoś tu jadł po drodze lody, a jego garderoba stanowiła tego niezbitą dowód.

– Dobra, może pomyślałem sobie...

– Aha... – przerwałam mu.

Już chciał coś chlapnąć, ale się powstrzymał. Oparł dłonie na biodrach.

– Bo wiesz... – dukał. – Chodzi o to, że to nie takie proste znaleźć mieszkanie z dnia na dzień.

– No co ty nie powiesz? Funkcjonują hotele. To... – zakręciłam dłonią szybkie koło dookoła siebie – nie jest jeden z nich.

Zgromił mnie spojrzeniem. Trudno! Liczba problemów na głowie mamy i mojej już nas satysfakcjonowała, nie potrzebowałyśmy więcej. Ten pasożyt cwano kombinował, ale nie ze mną te numery. Nie zagnieździ się tutaj.

– Tak, wiem. – Mężczyzna opuścił ręce w akcie rezygnacji. – Ale przemyśl to. Mógłbym dokładać się do opłat.

Już otworzyłam usta, żeby ukrócić tę dyskusję, lecz szybko je zamknęłam. Zlustrowałam zakupy, które zrobił. Dwie torby jedzenia. Doskonale wiedział, że lodówka nie pęka w szwach. Zostały tylko resztki z wczoraj.

Spojrzałam na białą, wysłużoną maszynę, a tuż obok niej... piętrzące się wezwania do zapłaty. Przepchnęłam się obok Kubiaka i je zebrałam.

Na pewno nie zwrócił na nie uwagi. A jeśli je widział? Wie, że jesteśmy w dołku finansowym i dlatego proponuje pieniądze?

– Dlaczego sądzisz, że chciałabym mieć cię na głowie? – próbowałam brzmieć jak ostatnia zmija, ale drżący głos mnie wydał.

Zabrakło mi odwagi, żeby się odwrócić. Stałam z tymi wszystkimi ponagleniami w dłoniach. Jeszcze tylko kilka dni do wypłaty. Pieniądze wpłyną na moje konto, a ja spłacę to, co dam radę. Gdyby jednak ktoś pomógł...

– Jak na głowie? – usłyszałam zza swoich pleców. – Mieszkałbym i płacił. To chyba sprawiedliwy układ. Nie musielibyśmy wchodzić sobie w drogę. Schowałam listy do szuflady i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie szukamy współlokatorów – wycedziłam.

– Ale jak to nie? – dobiegło z korytarza. – Właśnie, że szukamy!

Mama wleciała do kuchni jak na skrzydełkach. Biała bluzka odsłaniała jej śniade ramiona. Aż trudno uwierzyć, że ja opalam się na czerwono. Gdzie te wspaniałe geny?

Warkoczyki spięte wysoko na głowie sprawiały, że mama wyglądała na wyższą. Podbiegła do Kubiaka rozpromieniona.

– Trzeba sobie pomagać – oznajmiła. – Możesz na nas liczyć.

Ten dupek chwycił jej dłoń i pocałował.

– Ma pani złote serce – wyrzucił z siebie, a ja prawie puściłam pawia.

Wstrętny, okropny, przebiegły manipulant!

Weszłam pomiędzy nich, zwrócona przodem do mamy.

– Nie porozmawiamy o tym? – spytałam przez zęby.

Mama w odpowiedzi odgarnęła mi warkocz na plecy i poklepała mnie po ramionach.

– Pozbawiłaś biedaka pracy – stęknęła, dalej się uśmiechając. – Trzeba mu pomóc.

– Sam się jej pozbawił! – wykrzyknęłam.

Rodzicielka rzuciła mi piorunujące spojrzenie. No przecież wiedziałam, że tak będzie. Dlatego nie mówiłam jej o degradacji Kubiaka.

Wiedziałam, że będzie się litować!

– Skarbie, nie wychowałam cię na człowieka bez serca – zbesztła mnie. – I muszę też przyznać,

że trochę sobie poczytałam o tobie w internecie. – Wskazała Kubiaka. – Na stronie waszej firmy, ale nie tylko. – Zachichotała. Strach myśleć, co tam znalazła. Usiadła na krześle i podciągnęła kolana pod brodę. – Zdawałeś maturę międzynarodową, skończyłeś trzy kierunki studiów na licencjacie, to nawet o jeden więcej niż Ina.

Prawa powieka drgnęła mi mimowolnie. Złapałam się za oko. Do czego zmierzała?

– I to na Uniwersytecie Jagiellońskim! – dodała.

– Joanna wróciła już do domu? – spytałam, próbując rozbić ten kącik adoracji.

– I tak sobie pomyślałam... – Mama oparła brodę na dłoni, dając mi do zrozumienia, że ma mnie teraz w głębokim poważaniu. – Bo jeśli dobrze pisali, to dużo wiesz o marketingu, prawda? Ta akcja z miesiącem dumy to podobno twoja sprawka?

Kolana się pode mną prawie ugięły. Jak mogło mi to umknąć? Jak mogłam nie wiedzieć, że to on był odpowiedzialny za kampanię, którą śledziłam z zapartym tchem? Na pewno jakaś nieszczęsna asystentka na wszystko wpadła, rozpisala, napracowała się... No bo chyba nie on sam. Praca nie była jego mocnym punktem, to już ustaliliśmy.

Kubiak przytaknął i usiadł naprzeciwko mamy. Oparłam się tyłem o blat, zakładając ręce na piersi. Nie no, zachowywałam się jak nadęty bajor. Potrzebowałam zajęcia, więc wstawiłam wodę na herbatę.

– Słuchaj, mam małą restaurację. Wegańską – ciągnęła mama. Wyłączyłam kran i nasłuchiwałam. Jej głos ociekał podekscytowaniem. – Powoli umieramy, ale może... może da się z tym coś jeszcze zrobić? Oferta jest taka. – Uderzyła pięścią w stół. – Spróbujesz nam pomóc, a w zamian mieszkas u nas za darmo.

Otworzyłam usta, żeby zaproponować, ale machnęła na mnie ręką, nawet na mnie nie zerkając.

Wpatrywałam się w jej napiętą w oczekiwaniu twarz. Naprawdę miała nadzieję, że Kubiak jej pomoże. Jej własna córka nie podołała, więc może... – Nie mogę obiecać... – zaczął cicho dyrektor.

– Zdaję sobie z tego sprawę – weszła mu w słowo. – Chcę po prostu wiedzieć, że zrobiłam wszystko, co mogłam.

Wyciągnęła do niego dłoń. Kubiak przyjrzał jej się, a potem przelotnie zerknął na szufladę, w której schowałam ponaglenia. Nie wiedziałam tylko, czy to przypadek, czy...

– To nie jest dobry pomysł – stęknął. – Wątpię, żebym był w stanie pomóc.

Serce dudniło mi w piersi jak dzwon. Postawiłam czajnik na gazie, jednak nie włączyłam palnika.

– Jesteś trudnym zawodnikiem. – Mama zaśmiała się smutno. – A jeśli pokażę ci naszą stronę internetową, zdjęcia lokalu...

Pokręcił głową. Zerkał w moją stronę, jakby liczył, że wybawię go z opresji, ale źle trafił. Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Przyniosę – zdecydowała mama, nieplanująca się poddać. – Tylko daj mi chwilę, bo zdjęcia mam gdzieś na pendrivie... A pendrive? Kto to wie? Zaśmiała się lekko, jak miała w zwyczaju, i wyszła z kuchni. Podeszłam do drzwi i zamknęłam je za nią, a potem odwróciłam się do Kubiaka.

Na widok mojej poważnej miny aż podniósł się z krzesła.

Ja nie potrafiłam pomóc Warzywniakowi. Ale może ktoś... ktoś z zewnątrz, kto spojrzałby na sprawę obiektywnie, znalazłby rozwiązanie?

– Zgódź się – powiedziałam ze wzrokiem wbitym w jego pierś.

Kubiak nie odezwał się ani nie ruszył, więc wreszcie przesunęłam spojrzenie na jego twarz. Wpatrywał się we mnie.

– Żartujesz teraz, tak?

Zaprzeczyłam. Sama w to nie wierzyłam, ale właśnie namawiałam go, żeby z nami zamieszkał i pomógł uratować to, co było dla nas tak cenne. To idealnie oddawało poziom mojej desperacji.

– Nie lubisz mnie – wypalił. – I uważasz za śmierzącego lenia, który nic nie potrafi i bawi się tylko za hajs ojca. Nie uwierzę, że naprawdę myślisz, że potrafiłbym wam pomóc.

Mierzyliśmy się spojrzeniami. Ważyłam w myślach możliwości. Nie było ich wiele. Mama chciała spróbować, a ja... A ja owszem, wkrótce otrzymam wypłatę. Uregulujemy część zobowiązań,

ale to nie rozwiąże problemu. To jak wylewać wiaderem wodę z tonącej łódki, zamiast załatać dziurę.

Czy Kubiak pokona swoje lenistwo i zaangażuje się w coś prawdziwie? Do tej pory nie dał mi nawet jednego powodu, żebym mogła w to wierzyć... Ale tym razem czegoś potrzebował. Coś za coś.

– To dobry układ – wydukałam. – Każdy coś zyska. A my naprawdę... jesteśmy w kropce.

Założył ręce na piersi i przestąpił z nogi na nogę. Z jego ust wyrwało się krótkie westchnięcie.

– Jesteś świetną marketerką – powiedział. – Dlaczego sama się tym nie zajmiesz?

Przeklęłam pod nosem, bo gdy tylko wypowiedział te słowa, łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugałam, żeby je odgonić, ale efekt był odwrotny od zamierzonego – spłynęły po policzkach. Wytarłam je szybko i wymusiłam uśmiech.

– Dziękuję za komplement. – Zaśmiałam się i pociągnęłam nosem. Jak wyłączyć tę fontannę?!

– Ale nie jestem zbyt skuteczna, jeśli chodzi o własne podwórko. Gdybyś zechciał zerknąć na sytuację...

– Naprawdę wierzysz, że coś zdziałam? – powtórzył.

Zrobił krok w moją stronę, ale zaraz rozejrzał się po kuchni i chwycił ręcznik papierowy. Urwał kawałek i przycisnął mi go do twarzy. No mistrz subtelności.

Parsknęłam. On naprawdę był głuptakiem.

Wytarłam nos i oczy, po czym, nadal się podśmiewując, pokiwałam głową.

– Myślę, że tak – odpowiedziałam. – Będę wdzięczna, jeśli chociaż spróbujesz.

– Mam! – Mama wpadła do kuchni ze swoim starym laptopem i szerokim uśmiechem na ustach.

– I co, Kubuś, zerkniesz?

Kubiak się zapowietrzył. Przeczesał włosy i... nasze spojrzenia się skrzyżowały. Zagryzł wargę i ledwie zauważalnie pokręcił głową.

– Niech pani pokaże, co tam ma – powiedział w końcu. – Zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Nie umiałam poukładać sobie tego w głowie. Leżało mi to na żołądku jak skórka z pomidora i powodowało mdłości. Perspektywa mieszkania z Kubiakiem była abstrakcją. W ogóle nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Będzie równie wkurzający w domu, jak w pracy? Nie, przecież na kolacji zachowywał się całkiem przyzwoicie. W takim razie które z jego obliczy było prawdziwe?

I czy uda mu się pomóc nam z Warzywniakiem? Potrzebowałam z kimś porozmawiać. Najlepiej z kimś spoza rodziny. Telefon do Bartosza sygnalizowałby otwarcie bram. Pchnęłabym skrzydło przyjaźni z całych sił, otworzyła na oścież i zaprosiła go, aby wszedł, rozgościł się i generalnie został na dłużej. Pytanie tylko, czy tego chciałam.

Mogłam chcieć. Powinnam chcieć. Istniała przecież szansa, że wszystko zmierzało w końcu w lepszym kierunku. Praca marzeń, pomoc przy Warzywniaku... i może... miłość?

Chwyciłam telefon i wybrałam numer Bartosza. To idealny materiał na chłopaka. Ciepły, inteligentny, zabawny. Przystojny.

No i chyba zainteresowany znajomością. Czego jeszcze mogłabym chcieć?

Zaprosiłam go więc na kawę. Na już. Kułam żelazo, póki gorące. Byleby tylko nie stchórzyć.

– Przepraszam, już jestem. Długo czekałaś?

Bartosz pojawił się znikąd, zziąjany, jakby naprawdę biegł. Tym razem to ja wybrałam miejsce naszego spotkania. Małą kawiarenkę z domowymi ciastami i pastelowymi akcentami. W powietrzu unosił się zapach wypieków, a kelnerka właśnie przyniosła mi do stolika ciasto kokosowe z promocji. Spróbowałam słodkiej czekoladowej masy z wierzchu i uśmiechnęłam się do swojego towarzysza, który zajął miejsce naprzeciwko. Cholera! Kubiak nadal nie oddał mi pieniędzy za pizzę! No i proszę, jak tylko spojrzę na niego łaskawiej, i tak znajdzie się jakiś powód, żeby jednak się na niego wkurzać.

– Lepiej późno niż później – powiedziałam, zwracając znów uwagę na zdyszanego mężczyznę.

Przyjrzałam mu się. Jak oni dziwnie wyglądali bez tych swoich garniturów. Bartosz w szarej koszulce i dżinsowych spodenkach? Nie mogłam przestać się gapić.

Rozejrzał się, zatrzymując wzrok na czerwonych pelargoniach, stojących na parapecie.

– Coś ty taki nieoficjalny? – zagaiłam. – Jak nie ty.

Zaśmiałam się. Tylko ja. On najwidoczniej nie zrozumiał żartu. Cóż, i tak nie należał do najlepszych. Wskazałam jego ubiór i dopiero to podziałało. Wyglądał, jakby nad jego głową zapaliła się żarówka.

– Ach, no tak. Sama rozumiesz... sobota – wytłumaczył.

Kelnerka z uprzejmym uśmiechem podała mi kartę deserów. Nawet jej nie przejrzałam, zamówił od razu espresso. Sprawdziłam ceny herbat... Dwanaście złotych za wodę z fusami?! Nie, dziękuję. Obędę się.

Nie dysponowałam wystarczającą ilością cierpliwości, żeby bawić się w owijanie czegośkolwiek w bawełnę. Opisałam więc Bartkowi wydarzenia poprzedniego wieczora i tego poranka, acz niezbyt dokładnie, świadomie omijając niektóre wydarzenia. Jak na przykład to, że poprosiłam Kubiaka o pomoc.

Najpierw na twarzy asystenta pojawiło się niezrozumienie, potem starał się poskładać wszystkie fragmenty tej układanki w całość, a na koniec historia spotkała się z szokiem i ubawem po pachy. Ostatni etap mocno podziałał mi na nerwy.

Właśnie dowiedział się, że syna prezesa wyrzucono z mieszkania i ten został zmuszony do mieszkania z... kobietą, z którą Bartek chciał się spotykać. Liczyłam na jakieś podenerwowanie. Zazdrość? Pogłaskanie po główce i powtarzanie czegoś w stylu: *Ojej, biedna Ina?* Znow się przeliczyłam.

– No i z czego się... – Ugryzłam się w język i przetarłam brwi palcami. – Co w tym takiego zabawnego? Bartkowi uśmiech nie schodził z ust. Cieszył jak dziecko, odkąd tylko usłyszał, że Kubiak został bezdomny. Reszta w ogóle się nie liczyła.

– To ciekawy obrót sprawy – skwitował.

Moje życie, mieszkanie i matka nie są jakąś tam „sprawą”! To ich cholerny plan i jego konsekwencje, które spadły na moje barki.

– Może dla ciebie to ciekawe, bo nie ty z nim mieszkasz i nie twoja rodzicielka...

Bartosz uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Spokojnie. Rozumiem, że to trudna sytuacja, ale nie wiem, czego oczekujesz.

Ledwo zdążył wypowiedzieć te słowa, a już wykrzywił twarz. Pożałował tego, co powiedział. Szkoda tylko, że po fakcie.

– Niczego nie oczekuję – powiedziałam stanowczo. – Po prostu nie jest to najbardziej komfortowa sytuacja pod słońcem.

Nie, nie. Oczekiwałam zrozumienia. Tego, że ktoś mnie wysłucha, a nie ucieszy się z mojego nieszczęścia. Ale, jak widać, nic z tego.

Delikwent przysunął krzesło bliżej stolika.

– Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować – szepnął.

– Nie przepraszaj, bo mnie nie zdenerwowałeś – odparowałam. – Rozczarowałeś, może i tak, ale nie zdenerwowałeś!

Pewnie trudno było w to uwierzyć, biorąc pod uwagę podniesiony ton mojego głosu. Oparłam się o wiklinowy fotel i potarłam gołe ramiona, dodając samej sobie otuchy. Lato leniwie sunęło w stronę jesieni, a czas tak bardzo umykał mi pomiędzy palcami, że nawet tego nie zauważyłam. Uświadomiła mi to dopiero chłodna skóra i stojące na baczność włoski.

– Jestem pewien, że znajdziemy jakieś wyjście z tej sytuacji – dodał Bartek.

Nie chciałam wyjścia. Chciałam, żeby spróbował mnie zrozumieć, ale przecież nie mogę oczekiwać od ludzi, że będą spełniać moje oczekiwania. To niczyje zadanie.

– Ina?

Uniosłam wzrok. Bartosz opierał się o stół i patrzył na mnie z łagodnością. Te zielone oczy. Z takimi to musi być człowiekowi lżej w życiu. Wszystkich przeciągną na swoją stronę.

– Wybacz mi, ale muszę uciekać – powiedział.

Nabrałam powietrza do płuc. Wypełniłam je do granic możliwości. Uciekać? Najpierw mydli mi oczy, plecie bajki o jakimś randkowaniu, a kiedy ja pokonuję opory, zapraszam go na kawę i opowiadam o tym, co mnie dotknęło... on zwiewa? O, nie. To nie będzie relacja na zasadzie: lubię cię,

gdy mam na to ochotę, a gdy nie mam, to dla mnie możesz nie istnieć.

– Nie no, jasne – wymamrotałam. – Idź.

Otworzył szerzej oczy.

– Nie, to nie tak, ja po prostu jestem umówiony – tłumaczył się. – Mam trening.

Prześlizgnęłam się spojrzeniem na torbę, którą ze sobą przyniósł.

– Trenuję boks – uściślił. – Trening zaczyna się za kwadrans. Nie spodziewałem się, że zadzwonisz...

Przełknęłam wyrzuty sumienia i uśmiechnęłam się przeproszająco. Rzeczywiście zadzwoniłam z zaskoczenia i domagałam się niemal natychmiastowego spotkania. Ludzie mają prawo do swojego życia i własnych planów. Co mi ostatnio odbija?

Zapewniłam go o tym, że absolutnie nie mam mu za złe tego, że wychodzi, oraz wierzę, że wrócimy do tej rozmowy. Czy wierzyłam? Z jednej strony wyrzucałam sobie to, że z przytupem wcisnęłam mu się w grafik, a potem jeszcze stroiłam fochy, a z drugiej... Czy jego pierwsza reakcja nie powinna dać mi do myślenia? Nie wiem. Kompletnie nie potrafię w relacje. I coraz dobitniej uświadamiam sobie, że problem w najmniejszym stopniu nie tkwi w innych, tylko we mnie.

Zapłaciłam i wolnym krokiem skierowałam się do domu, klnąc po drodze na kocie łby – wroga publicznego numer jeden dla moich sandałek na obcasie. I być może dotarłabym tam bez większych komplikacji i dodatkowych przygód, gdybym na parkingu w pobliżu naszego bloku nie usłyszała znajomego głosu.

Niczym tajna agentka, chowając się za zaparkowanymi przy chodniku autami, zbliżyłam się do dwójki podejrzanych osób, które właśnie opuściły włoską restaurację i ruszyły do zaparkowanego nieopodal białego samochodu, na który, jak tak dalej pójdzie, nigdy nie będzie mnie stać.

Magda poprawiła cienkie ramiączko żółtej sukienki i zdjęła okulary przeciwsłoneczne, do tej pory zasłaniające jej połowę twarzy. Uśmiechnęła się słodko. Przechyliłam głowę na bok, przyglądając się uważnie towarzyszącemu jej mężczyźnie. Ten głab nie zmienił koszuli! Paradował po mieście z płamą po lodach.

– Pojedziemy do mnie? – spytała.

Kubiak przechylił głowę na jedną stronę, dokładnie tak samo jak ja, i schował kosmyk jej włosów za ucho. W brzuchu zaczęło mi burczeć. Pewnie odzywało się to ciasto z promocji.

– Do ciebie? – powtórzył po niej.

Kobieta przytaknęła ochoczo.

– A co, postanowiłaś zmienić zdanie? – dopytywał.

Nastrój zmienił się momentalnie. Czarny obcas odbił się z trzaskiem od płyty chodnikowej, kiedy Magda tupnęła. Kubiak natomiast wypuścił najwyraźniej długo wstrzymywane powietrze.

– Więc nie jadę – oświadczył.

– Ale Kuba... – marudziła jak małe dziecko. – Dlaczego nie możesz potraktować tego jak zabawy?

Nadal się uśmiechał, ale jego oczy... Złapałam się za żołądek.

– Powiedziałem ci już, co o tym myślę. – Podeszedł do niej i ujął jej twarz. – Nie chcę zabawy. Chcę ciebie.

Odrząciła jego dłonie i zaczęła grzebać w torebce. W końcu wyciągnęła z niej kluczki i otworzyła samochód.

– Mówiłam ci, że nie jestem gotowa na nic poważnego.

– A ja ci mówiłem, że poczekam. Miesiąc, rok, dekadę... Ale mam warunek. Nie traktuj mnie jak chłopca na telefon.

Magda ruszyła do drzwi kierowcy, akcentując każdym uderzeniem obcasów o bruk, jak bardzo oburzyły ją jego słowa. Mimo to Kubiak nie próbował jej zatrzymać. Tylko patrzył na nią z łagodnym uśmiechem i ten uśmiech oznaczał jedno – naprawdę będzie na nią czekać. Nawet jeśli ona miała zamiar tupać ze złością jeszcze bardzo długo.

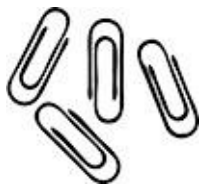
Odpaliła silnik i odjechała. Został tam sam jak palec, wpatrzony w oddalający się samochód,

z rękoma założonymi na piersi. Brakowało mu tylko strug deszczu i skrzypka, grającego na balkonie jakąś dramatyczną melodię.

Kucnęłam, chowając się już zupełnie za jednym z aut. Przyłożyłam kciuk do nadgarstka, przekonując się o tym, że serce waliło mi jak szalone.

Kubiak naprawdę kochał kogoś poza samym sobą. A ten ktoś regularnie łamał mu serce.

Rozdział 17



Trzasnęłam drzwiami, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że wróciłam do domu. Furia krążyła w moich żyłach zamiast krwi, powodowała swędzenie nosa i sprawiała, że dosłownie co pięć minut wzdychałam gardłowo.

No i nie pojawiła się bez powodu.

Aż gotowałam się na myśl o tym, że tak popaprana jednostka jak Kubiak zakochała się i pozostawała wierna swojej wielkiej namiętności. Jak on na nią patrzył! Na mnie nikt nigdy tak nie spojrział! Nawet przelotnie! Tak, wiem, co o tym mówiłam. Że nie potrzebuję miłości. Sterta kłamstw! Właśnie, że potrzebowałam. Rozpaczliwie i natychmiast. Problem leżał jednak w tym, że nie byłam zła ani na tych potencjalnych ukochanych, którzy jakoś nie raczyli ustawić się przed drzwiami z pierścionkami zaręczynowymi, ani na Bartosza, ani nawet Kubiaka.

Wściekałam się na siebie.

Bo ilekroć w moim życiu pojawiała się szansa na zakochanie, od razu się dystansowałam. Udawałam, że jej nie widzę. Uciekałam.

Czy mogłam się dziwić Bartoszowi, że postanowił uciec po tym, jak zaproponował mi spotkanie się, a ja zgasiłam jego zapal? Oczywiście, że wymówił się treningiem. Byłam tylko wstrętną hipokrytką, która zaklinała się na wszystkie religie, że nie potrzebuje związku, a teraz żałowała, że nie wykorzystała swojej szansy.

Och, losie. Jeśli zlitujesz się nade mną i dasz mi jeszcze jedną, wykorzystam ją. Obiecuję, że ją wykorzystam.

Przebrałam się i usiadłam w salonie. Zaczęłam nerwowo przeskakiwać po kanałach w telewizorze w celu znalezienia czegokolwiek, co odwróciłoby moją uwagę i pozwoliło się opanować, ale trafiałam na same programy, w których panny młode wybierały suknie ślubne, pseudo-seriale naszpikowane zdradami oraz komedie romantyczne. Te ostatnie uruchamiały tiki nerwowe. Wrzasnęłam, próbując znaleźć ujście irytacji. Czy naprawdę nie ma innych tematów poza tą durną miłością?!

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Przemierzałam korytarz gniewnym krokiem, ubrana tylko w dresowe spodenki i luźną koszulkę, i klęłam na czym świat stoi tego, kto przerwał moje oglądanie programu o sukniach ślubnych. Już pod skórą przeczuwałam, że to na pewno Kubiak, bo to on jeszcze nie ma kluczy i wszystko niszczy.

A po drugiej stronie drzwi stał Bartosz.

Wyglądał, jakby przybiegł prosto z tego swojego treningu, a w dłoni dzierżył bukiet róż. Zaniemówiłam. Czy komedie romantyczne mają szansę przydarzyć się w prawdziwym życiu? Czy amerykańscy naukowcy badali już tę sprawę?

– Skąd miałeś mój adres? – bąknęłam, zamiast się przywitać.

Och, to cię teraz najbardziej interesuje, Ina? Skąd miał twój adres?

– Z firmy – odpowiedział.

Oczywiście, że z firmy. To zupełnie legalne, takie zaglądnienie sobie do akt, teczek, czy gdzie oni

to trzymają, i wpadanie na herbatkę bez uprzedzenia.

Albo po prostu zajrzał do CV, które sama mu przesałaś, gamoni.

– Ina... – Bartek zrobił zdecydowany krok w moją stronę. – Chciałem cię bardzo przeprosić.

Czekaj, skup się. Przyniósł kwiaty. Czerwone róże. Znalazł adres i przyjechał, żeby błagać o wybaczenie. Czy nie tego właśnie chciałaś?

To czego się nie cieszysz? Złożyłaś losowi obietnicę, do cholery! Nie spieprz tego teraz.

– Zachowałem się jak dupek – kontynuował, skoro ja konsekwentnie milczałam. – Jakbym nie był zainteresowany tym, co mówiłaś. A to nieprawda.

Nie?

– I uciekłem jak ostatni tchórz – dodał.

AHA! Wiedziałam! Szkoda tylko, że wciąż nie miałam nic składnego do powiedzenia. Moje ciało zamieniło się w kłodę, a język postanowił udać się na drzemkę. Nie miałam nawet pewności, czy dalej był w moich ustach. Musiałam to sprawdzić.

– Chcesz wejść? – wydukałam.

– Nie. Zabieram cię do siebie. Co ty na to?

Ale jak do siebie? Po co? Pokazać kolekcję motyli?

Przeprosiłam go na sekundę, wzięłam kwiaty i zamknęłam się w łazience. Oparłam się o umywalkę i spjrzałam sobie w oczy. Nie ma niczego gorszego od dostania tego, czego się pragnęło. Jeszcze pięć minut temu dopraszałam się o kolejną szansę, a teraz miałam ochotę podziękować Bartkowi za fatygę i zamknąć mu drzwi przed nosem. Co było ze mną nie tak? Dlaczego nie potrafiłam się przemóc, spróbować? Przecież nawet taki Kubiak potrafił kochać. Jeśli on potrafił, to ja też.

Przebrałam się w dzinsy i zwykłą białą koszulkę, zbiegłam ze schodów i pozwoliłam się odtransportować do mieszkania Bartosza. Cały czas powtarzałam sobie jak mantrę, że jak los człowieka wysłuchuje, to wypadaloby mu się odwdziaczyć i przyjąć prezent. To przecież moja szansa. Wszyscy dookoła się zakochują, dlaczego ja nie miałabym spróbować? Zwłaszcza gdy w moje życie wkroczył chodzący ideał.

Na co czekać?

Weszłam do mieszkania okularnika i powoli zdjęłam buty. Bartek zaprosił mnie do środka i zniknął z widoku, a ja przystanąłam przy obrazie wiszącym w przedpokoju. Wyglądał, jakby namalował go czterolatek. Kształt gór i wielka czarna plama w prawym górnym rogu. Co autor miał na myśli? Czasem chyba lepiej nie wiedzieć.

Powolnym krokiem skierowałam się do salonu i usiadłam na czarnej skórzanej kanapie. Biel ścian i czerń mebli kontrastowały ze sobą. Wystrój wydawał mi się wręcz surowy, ale może to przez to, że nasze mieszkanie kipiało kolorami, wszędzie wisiały obrazki, makramy, łapacze snów. Tutaj ściany pozostawały gołe. Jedyne telewizor i wieża świadczyły o tym, że to podstawowo umeblowane mieszkanie ktoś zajmował. Skupiłam z powrotem uwagę na Bartoszu. Włączył muzykę i zabrał się za przygotowanie dla nas drinków. Machał shakerem jak zawodowiec, który kupił dyplom ukończenia kursu na nadmorskim bazarku, ale na weselach daje sobie świetnie radę.

To całkiem urocze.

– Naprawdę trenujesz boks? – spytałam, gdy usiadł obok.

Zamiast odpowiedzieć, zerwał się z miejsca, przyjął bokerską postawę (jak zwał, tak zwał) i wymierzył cios w powietrze. Nadal urocze.

– Od ośmiu lat – powiedział. – Jeśli chcesz, mogę cię czegoś nauczyć.

Tak, akurat. Ja i sport. Ostatni raz miałam z jakimkolwiek styczność na pierwszej lekcji wychowania fizycznego w szkole średniej, gdy wyrznęłam na oczach połowy szkoły i złamałam rękę.

Pewnie dlatego zaśmiałam się tylko, mając nadzieję, że Bartek żartuje. On jednak nie odpuszczał. Siłą podniósł mnie z kanapy i odwrócił tyłem do siebie. Stał tuż za mną. Jego dłonie najpierw znalazły się na moich biodrach, potem na ramionach. Manipulując moimi ruchami, przykładał policzki do moich włosów. Jego oddech omiatał moją skroń.

Coś się zmieniło. Wszystkie zmysły skupiły się na miejscach, w których stykały się nasze ciała. Na ciepłe. Bliskości. Zapachu.

Kiedy się odsunął, targnął mną bolesny niedosyt. Usiadłam w tym samym miejscu, co wcześniej, lecz już nie w tym samym nastroju. Chyba nawet nie taka sama. Sięgnęłam po drinka i zapytałam o pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy:

– Dlaczego boks?

Bartek zmoczył usta w napoju i uśmiechnął się tajemniczo.

– Szczerze?

Wyrzuciłam z głowy sarkastyczną odpowiedź i przytaknęłam, jak normalny człowiek.

– Gdy przeprowadziłem się do Warszawy, na początku mieszkałem w nieciekawej dzielnicy. Trochę obawiałem się wychodzić po zmroku na zewnątrz. – Rumieńce całkowicie przejęły panowanie nad jego policzkami. – Więc zacząłem trenować. Najlepsze jest to, że mieszkałem tam trzy lata i ani razu nikt mnie nawet nie zaczepił. Ale boks został.

Opowiadał o swoim trenerze, o spacerach po górach, starszym bracie, który jest pilotem, i o przeźroczystej wodzie na Karaibach. Rozłożyłam się wygodniej i zadawałam mu pytania, mogąc niemalże zobaczyć kolejne warstwy, pod które się wślizgiwałam.

Sama wybrałam samotne życie. Umykałam z relacji szybciotko, świadoma, że i tak niewiele do nich wnoszę. Tylko raz zdobyłam dobrego kolegę – na pierwszym roku studiów. Szybko się pojawił i szybko odszedł. Nie kryła się nawet za tym jakaś wzruszająca historia. Kontakt umarł po obronieniu tytułów, a żadne z nas zbyt nie walczyło o to, żeby było inaczej. Palcem nie kiwnęłam, by go zatrzymać.

Jednak siedząc w tym jasnym pokoju, rozłożona jak u siebie, i przysłuchując się opowieściom Bartosza, przeszło mi przez myśl, że poznawanie ludzi mogło być piękne. Ten przeblysł, w którym ktoś przestaje być tylko znajomym, a staje się lokatorem domku w górach, bratem pilota, synem matki uwielbiającej dokarmiać każdego, kto się napatoczy, bokserem, ofiarą oparzeń słonecznych na zagranicznych wakacjach i ciepłymi dłońmi.

Z ilu warstw składa się człowiek? Przecież to tak właśnie trzeba – przyjść, otworzyć pierwszą, ugłaskać drugą, poświęcić uwagę trzeciej. Przy którejś się rozplakać. Inną przytulić do serca. Zajrzeć do wszystkich zakamarków duszy, choć nie do wszystkich od razu się da i nie do wszystkich można. Nie, nie jesteśmy tylko przelotnym spojrzeniem, koszulką, którą zakładamy w pośpiechu i kilkoma wypowiedzianymi w windzie zdaniem.

Może dlatego nie uciekłam, zauważywszy, że Bartosz przyglądał się moim ustom. Oblizałam tylko wargi i byłam gotowa na wszystko. No, prawie wszystko.

– Gadam i gadam. – Zaśmiał się. – A może teraz ty mi coś o sobie opowiesz? Co najlepiej wspominasz ze swojego dzieciństwa?

Nie zastanawiałam się długo. Wpiłam się w jego usta z prędkością światła. Tak, ludzie mają wiele warstw i należy odkrywać ich powoli, cierpliwie i z wyczuciem. Ale nie dotrzemy do żadnej z nich, dopóki nas do siebie nie dopuszczą. Tych drzwi nie da się otworzyć samodzielnie.

– Co ty na to, żebyśmy coś zjedli? – spytałam natychmiast po oderwaniu się niego.

– Teraz myślisz o jedzeniu? – wydusił.

Wzruszyłam niewinnie ramionami i sięgnęłam po telefon, nie patrząc mu w oczy. Włączyłam aplikację i udawałam całkowicie rozluźnioną. Nic się nie wydarzyło. Tylko go pocałowałam, a teraz tylko udaję, że wcale nie.

– Zjemy i uciekam – zaświergotałam. – Zajęłam ci i tak już wystarczająco dużo czasu.

Cóż, niektóre drzwi nie otwierają się nigdy.

Rozdział 18



Przymknęłam drzwi najciszej, jak potrafiłam, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Dochodziła już północ, a ja nie odebrałam ani jednego telefonu od mamy. Wysłałam jej jedynie zdawkową wiadomość o tym, że wrócę później. Rozmowy, śmiechy chichy, drinki, śmieciowe jedzenie, jakiś film, którego w ogóle nie zapamiętałam, ponieważ Bartek położył ramię za moją głowę i mogłam skupić się wyłącznie na jego obecności...

Okazało się, że czas bynajmniej nie zwalnia, gdy dzieje się coś przyjemnego, co lubi robić, gdy dostajemy w kość. Zanim dotarłam do domu autobusem, doszłam do bloku z przystanku... Marzyłam tylko o tym, żeby przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć.

– Proszę, proszę! Kogo my tu mamy!

Światło zapaliło się zniecacka. Przymknęłam oczy przez tę nagłą jasność, a że akurat zdejmowałam trampka, to w tym szoku runęłam na dywanik w tureckie wzory.

Stali nade mną we dwójkę: Kubiak ze ściągniętymi brwiami i założonymi na piersi rękoma, i mama z dłońmi ułożonymi na biodrach.

Dyrektor obszedł mnie, jakbym była muzealnym eksponatem, a na koniec nachylił się i skrzywił.

– Piła – rzucił oskarżycielskim tonem.

Szok nie pozwolił mi na przypomnienie mu, że mam dwadzieścia cztery lata i mogę robić wszystko, na co mam ochotę. Jak będę miała widzimisię, to polecę w kosmos w kartonie. No dobrze, może to średni przykład odpowiedzialnego i dojrzałego działania, ale miałam prawo do postępowania po swojemu, popełniania błędów i wracania do domu o północy.

– Skarbie... – Mama za to brzmiała tak, jakby całe życie czekała na ten moment. – To do ciebie takie niepodobne...

Widziałam po jej oczach ogromne zaciekawienie – liczyła na dokładną relację z tajemniczego spotkania. Ignorowała wszędybylskiego Kubiaka, który odgrywał rolę ojca w tym kabarecie. Ja również go olałam. Dźwignęłam się na nogi i zdjęłam drugi but, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Chciałam powiedzieć mamie coś więcej, ale przecież nie przy tym głupku.

– Widziałem, jak odjeżdżałaś z Bartkiem. To z nim byłaś? – Kubiak postanowił przeprowadzić przesłuchanie. Odwróciłam się do niego, stając z nim twarzą w twarz, i zmierzyłam go wzrokiem. Ubrał się już w piżamę? I co, czekali, aż ściągnę do domu, zamiast iść spać?

– Czemu jeszcze nie śpisz? – spytałam, ignorując dyrektora.

– Oglądaliśmy Władcę Pierścieni – powiedziała mama. – Wiesz, że to nawet ciekawe?

Kubiak najpierw się rozpromienił, a potem skupił znów uwagę na mnie i spochmurniał.

– Unikasz trudnych tematów – zagrzmał.

A mógł iść z prądem. Zapomnielibyśmy o jego wtykaniu nosa w nie swoje sprawy i wszyscy byliby zadowoleni. – Nie rozumiem, skąd to nagłe zainteresowanie moim życiem prywatnym – starałam

się brzmieć stanowczo. – Ja cię nie rozliczam ze schadzek.

Jego brwi nadal próbowały się połączyć, tak mocno się marszczył.

– Nie chodzi o twoje życie prywatne, tylko o to, że Bartek nie jest facetem dla ciebie – oświadczył.

No to teraz mnie trzymajcie!

– A kim jesteś, by mi zabraniać jakichkolwiek relacji z innymi ludźmi, włączając w to Bartosza?

Mama wepchnęła się pomiędzy nas, jakby obawiała się, że zaraz rozpętam bójkę. Na jakiej podstawie Kubiak sądził, że może dyktować mi, jak mam żyć? To po prostu niewiarygodne. Ledwie się wprowadził, a już miałam go po dziurki w nosie!

– Skarbie, nie denerwuj się – mówiła mama. – Kuba chce dobrze...

– Dobrze? – A zatem i ona obrała ostatecznie jego stronę. Zrobiła to już na wczorajszej kolacji, gdy okazało się, że go zdegradowali! – Dla kogo? Dlaczego zamiast zaufać swojej córce, stoisz po stronie koleśka, którego znasz dwa dni?

Położyła dłonie na moich ramionach.

– Absolutnie nie stoję po niczyjej stronie! Po prostu nie chcę, żebyście się pogryźli.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech. Wypuściłam go i bez słowa skierowałam się do łazienki. Nie będę brać udziału w przesłuchaniu. Za stara na to jestem.

Dopiero w ciasnej łazience usiadłam na rancie wanny i spróbowałam opanować targające mną emocje. Gdyby nie sytuacja sprzed chwili, uznałabym ten dzień za udany. Bartosz uświadomił mi, jak bardzo łaknęłam bliskości. Na każdy przelotny dotyk reagowałam jak narkoman na działkę. Gdyby tylko nie ten lęk... Jakbym cały czas tylko czekała na to, aż zmieni zdanie i się wycofa.

Myślałam o tym pod prysznicem. Zmywałam z ciała pot, a razem z nim wszystko, co się tego dnia wydarzyło. Gdyby to było takie proste... O ile łatwiej żyłoby nam się w tym świecie, gdyby wystarczyło skierować strumień wody na strach chowający się w porach skóry i po prostu go wypłukać.

Prześlizgnęłam się do swojej sypialni niezauważenie, ale na nic moje starania. Mama już czekała. Leżała pod kołdrą, a na szafce przy łóżku stały dwa kubki z kakao. Wcisnęłam się obok niej i sięgnęłam po ręcznie malowany garnuszek. Przyjrzałam mu się z nostalgią. Wykonałam go wiele lat temu na warsztatach, na które poszłyśmy z mamą w ramach mojego prezentu urodzinowego. Namalowałam na nim zachód słońca, morze i latające w oddali ptaki.

Jako mała dziewczynka kochałam jeździć nad morze... Kiedy ostatnio gdziekolwiek byłam? Lata temu. Ciągłe tylko praca, praca i praca.

– Skarbie...

Odstawiłam napój, dając mamie nieme przyzwolenie na maglowanie. Zmęczenie tak bardzo dawało mi się we znaki, że zrobiłabym chyba wszystko, byleby tylko wreszcie odpocząć.

– Co się dzieje? – spytała.

I już? Myślałam, że będzie wypytywać o niesamowitą randkę, o to, czy już otworzyłam się na miłość. A ona chciała tylko wiedzieć, co się dzieje?

– A co miałyby się dziać? Powiedz lepiej, jak restauracja – odparłam wymijająco. – Czy coś...

– O to chodzi? O restaurację? – Podniosła się do siadu. – Martwisz się o to?

Również usiadłam, lecz w nogach łóżka, po turecku.

– Jak mam się nie martwić? – jęknęłam. – Odliczam dni do wypłaty, żeby tylko uregulować przynajmniej część długów. Gdybyś nie ukrywała tego przede mną tyle czasu...

Mama westchnęła i przetarła zmęczone oczy. Miała nadzieję na ploteczki, a znów wróciłyśmy do źródła naszych wszystkich problemów. Jak bumerangi.

– Stresowałaś się egzaminami, pisaniem pracy dyplomowej... – tłumaczyła. – Nie chciałam dokładać ci zmartwień. Postanowiłam, że sama się uporam z restauracją.

– Praca mogła poczekać! – powiedziałam głośniej, niż planowałam. – Wszystko mogło poczekać. Złapałabym się czegoś...

– Nie, Ina – powiedziała stanowczo. – Już tyle razy zawiodłam cię jako matka, że kolejny złamałby mi serce. Miałaś skończyć te studia i aplikować do pracy marzeń. Tylko to się dla mnie liczyło i liczy, rozumiesz? – Wypłatała się z kołdry i stanęła nade mną. – Nie możesz bawić się

w odpowiedzialnego rodzica. Już raz musiałaś to robić, wystarczy.

Wiedziałaś, o czym mówi.

Do pandemii Warzywniak prosperował całkiem nieźle. Spłaciłyśmy większość zadłużeń, cieszyłyśmy się normalnością. Potem wszystko runęło. Jedyne pocieszeniem było to, że nie tylko nam. Kiedy znów otworzono gastronomię, klientów było niewiele. Tak niewiele, że zrozumialiśmy, iż nie utrzymamy dłużej dużego lokalu. Przeniosłyśmy się więc do mniejszego, ale i to niezbyt pomogło.

Potem zaczęły się podwyżki cen, o których nawet nie myślałam wiele, bo skupiłam się na ukończeniu studiów. Mama miesiącami skrzętnie ukrywała przede mną problemy finansowe. Ratowała się szybkimi pożyczkami, które aktualnie robiły nam jeszcze większą krzywdę. O wszystkim dowiedziałam się przypadkiem, gdy znalazłam w szufladzie ponaglenia, na kilka dni przed rozmową kwalifikacyjną w Adeline. Moja motywacja do załapania się na to stanowisko wzrosła o kilkaset procent. Nie chodziło już jedynie o ambicje, ale i o przetrwanie.

Od razu przypomniały mi się wydarzenia sprzed lat, kiedy również stałyśmy na krawędzi. Ostatnia klasa gimnazjum i tak wielkie długi, że nie mogłam spać po nocach przez bezskutecznie tłumiony płacz mamy, dolatujący zza ściany. Wzięłam wtedy sprawy w swoje ręce. Umówiłam się z właścicielką osiedlowego sklepiku, że będę jej pomagać. Wykładałam towar na półki, robiłam porządki w magazynie. Na początku pracy nie brakowało, ale kiedy uporałam się z największym bałaganem, nie miałam po co przychodzić codziennie. Wystarczyło od czasu do czasu.

Dostałam się więc do chińskiej restauracji na zmywak. Lekcje odrabiałam po nocy, wakacje zaś spędzałam na zbiorach owoców. Nie zarabiałam kroci, lecz dzięki temu miałyśmy co włożyć do garnka. W szkole średniej nieustannie łapałam się wszelkich dorywczych prac, odetchnęłam dopiero na studiach. Jak widać, sielanka nie mogła trwać zbyt długo.

– Z mojej wypłaty spłacimy część długów – postanowiłam. – Kolejna będzie lepsza. Musimy też zacząć płacić Alinie.

Mama padła na krzesło, które zatrzęszczało.

– To było bardzo nierozsądne... – zaczęłam, choć od razu tego pożałowałam. – Proponowanie Kubiakowi mieszkania za darmo. Wiem, że... Wiem, że ja nie potrafię nam pomóc, ale nie stać nas na darmozjada. Wyglądała tak, jakby doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Wiem, że nas nie stać – odparła cicho. – Ale jeśli on rzeczywiście coś zdziała, będzie to warte więcej niż kilka stów dołożone miesięcznie do rachunków. Ina, zastanów się. – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Ile czasu Kuba tu pomieszka? Miesiąc? Zdziwię się, jeśli dwa. To łebski chłopak, szybko od nas ucieknie... Pieniądze pomogłyby doraźnie, a działania promocyjne mogą uratować nas na długo.

Przytaknęłam, ponownie przełykając własną porażkę. Oby Kubiak jej nie zawiódł. Widziałam go już pracującego. Widziałam, jak umykał od obowiązków, wysługiwał się innymi. Nie umiałam wyobrazić go sobie przykładającego się do czegokolwiek. Nie wierzyłam, że na czymś może mu zależeć. Może na wspinaczce. Na własnych przyjemnościach.

I Magdzie.

– Poczekaj, coś ci pokażę – dodała mama.

Wybiegła z pokoju i po chwili wróciła z laptopem. Usiadła obok i pokazała projekt w jakimś darmowym programie. Nowa ulotka. Zielone kolory, zabawne grafiki, delikatnie podniesione ceny...

– Niebrzydka. – Uśmiechnęłam się do ekranu.

– Kuba ją zrobił – szepnęła. – I zobacz, będą u nas *Happy Hours*. To taki czas, kiedy wszystko będzie można kupić w niższej cenie.

– Wiem, co to *Happy Hours* – powiedziałam. – Mówiłam ci, żebyście to ogłosiły... – Ale oczywiście tego nie przypilnowałam. – Sam ją zrobił?

Przytaknęła skwapliwie.

Wpatrywałam się w uśmiechniętą marchewkę, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa. Dzisiaj rano obiecał pomoc i pomimo randki z Magdą, soboty, tego, że mógł sobie bezkarnie odpoczywać... on już coś zorganizował?

– Jutro idziemy na oględziny restauracji. – Mama zamknęła laptopa z trzaskiem. – A w poniedziałek wydrukuję ulotki. Pochodzimy trochę z Kubą i je poroznosimy po blokach.

Powiedział, że zostawi kilka w Adeline.

Tego akurat próbowałam, zanim jeszcze zostałam dyrektorką. Pytałam pana Waldka, pytałam w bufecie, czy mogę powiesić plakat, zostawić ulotki, ale wszyscy mi odmówili. Ci w bufecie wyjątkowo nieprzyjemnie, jakbym co najmniej spytała, czy mogę sobie odprawić czarną mszę na którymś ze stołów.

No ale syn prezesa nie musi pytać.

– Czekaj... – ocknęłam się. – Pochodzicie z Kubą? Razem?

Spojrzała mi głęboko w oczy.

– Sam się zaoferował – szepnęła. – Naprawdę się stara. Wiesz, można by pomyśleć, że to taki czarus, Piotruś Pan...

– No mi tego nie mów – weszłam jej w słowo.

– Tak. – Zaśmiała się. – Ale jest w nim tyle niepewności... On w ogóle w siebie nie wierzy, wiesz?

Wystarczy go trochę pochwalić, zachęcić, a angażuje się nie na sto, ale na dwieście procent.

Niepewny siebie Kubiak? Łaknący pochwały? Ile twarzy miał ten człowiek i która z nich była prawdziwa? Nie powinnam się nad nim rozczulać. Przecież minął tylko jeden dzień. Nie ma co się nakręcać. Zobaczmy, czy dotrzyma obietnic, które tak chętnie składał.

– Wasze stosunki są dość napięte – kontynuowała mama, korzystając z tego, że mnie przytknęło.

– Ale gdy cię nie ma obok, wypowiada się o tobie naprawdę dobrze. Co jest dość dziwne, bo ludzie działają raczej na odwrót.

Łypnęłam na nią z powątpiewaniem. Za dużo tych niemożliwych spraw jak na jeden dzień.

– I naprawdę zdenerwował się, jak zobaczył cię z tym Bartkiem – ciągnęła. – Jesteś pewna, że to dobry wybór? Jaki on jest?

Odsunęłam się od niej i przycisnęłam plecy do ściany. Niczego nie byłam pewna.

– Jest bardzo inteligentny i ambitny – mówiłam z namysłem. – To nas łączy. Też bierze pracę na poważnie, ale... ma też swoje pasje. Boks na przykład. Tak, trenuje boks. No i... – Mama słuchała uważnie, a i tak odnosiłam wrażenie, że mówię bzdury. Zrobiło mi się gorąco. – I jest zabawny. Co prawda nie zawsze rozumie moje żarty, ale wiesz, że je czasem trudno zrozumieć...

– A jest... – Rodzicielka uniosła cienkie brwi. – To coś?

– Coś? – powtórzyłam z powątpiewaniem.

Przyjęłam kubek z kakao, gdy mi go podała. Zamoczyłam usta w słodkim napoju, a ona zrobiła dokładnie to samo. Odetchnęła.

– Będiesz wiedziała – rzekła tajemniczo. – Jak przyjdzie coś, to poczujesz... że możesz być całkowicie sobą, bo po drugiej stronie czeka miłość. Możesz być szczerą, bo spotka cię zrozumienie. Możesz popełniać błędy, bo znajdujesz się w bezpiecznym miejscu. – Zerknęła na mnie. – To wielka rzecz, skarbie. Móc być przy kimś sobą i nie bać się oceny.

Być sobą... Opowiadała o tym, jakby tu nie chodziło o proces. Nie da się spotkać człowieka i od razu czuć się przy nim swobodnie, nie pilnować się i mówić, co ślina na język przyniesie. Jeśli nam zależy, to się pilnujemy, bo chcemy, żeby nas kochano.

Nikt nie lubi odrzucenia.

– Bartek jest w porządku – odezwałam się po chwili namysłu.

– Lubisz go? – spytała mama.

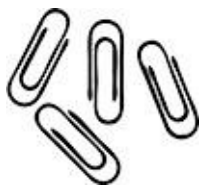
Bawiłam się palcami. To najtrudniejsza rozmowa pod słońcem. Wołałabym rozmawiać o globalnym ociepleniu. – Tak... – stęknęłam. – To fajny facet.

Objęła mnie mocno i pocałowała w skroń. Nie marnowała słów na niepotrzebne ostrzeżenia. Zamiast tego kazała iść za głosem serca. Nie mogła wiedzieć, że to durne serce zamykało się każdorazowo, gdy powinno się otworzyć. Nie wspomniałam jej o tym.

Tak samo jak i o tym, że nie odsłoniłam choć odrobiny siebie w obecności Bartka. Nie wydusiłam nawet dwóch słów, które mogłyby nas zbliżyć. Przecież im więcej dajemy z siebie drugiemu człowiekowi, tym większy kawał naszej duszy odrywa, gdy odchodzi.

Ale może on nie był jak wszyscy? Dzisiaj czułam się dobrze w jego obecności. Wyjątkowo... Od czegoś trzeba zacząć.

Rozdział 19



Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, świat nie wywrócił się do góry nogami po tym, jak zamieszkał z nami Kuba.

Radziliśmy sobie całkiem nieźle, poza tym że: raz użył mojej szczoteczki zamiast swojej, bo obydwie były niebieskie i się biedakowi pomyliło; pokłóciliśmy się w pierwszym tygodniu przynajmniej pięć razy o łazienkę i o to, kto spędza w niej za dużo czasu; Kubiak otwierał na cały dzień okna i wpuszczał do domu ciepło i... Tak, poza tym radziliśmy sobie całkiem nieźle.

Chodziłam do pracy, dni mijały mi na tonach papierkowych spraw, które niewiele wносиły do mojego życia, a jednak zawsze wracały ze mną do domu. Ciało zaczęło reagować motylami szalejącymi w podbrzuszu i bezmyślnym uśmiechem na widok Bartosza, który, choć nienatoczywie, to wytrwale okazywał mi zainteresowanie. Codziennie rano na biurku znajdowałam dokładnie taką kawę, jaką uwielbiam najbardziej – przesłodzone latte. Okularnik zaglądał, choćby w biegu, żeby przywitać się i spytać, jak się miewam. Niby nic wielkiego nie robił, jednak w tak słodkiej atmosferze dojrzywałam do opowiedzenia mu o sobie czegoś więcej. Potrzebowałam na to jeszcze chwilki.

Jakby los wreszcie stwierdził, że wystarczy już tego okładania Iny Mazurek piętami. Może dla odmiany zrobić dla niej coś miłego.

Dowód na to stanowiły również działania Kuby w restauracji mojej mamy. Odkopał i zajął się zapuszczonym profilem w social mediach, którego prowadzenia mama odmówiła. A jakby tego było mało odświeżył też wnętrze restauracji – zupełnie za darmo. Kiedy z otwartym dziobem przyglądałam się, jak wynosił ze swojego błyszczącego czarnego auta puszki farb, kwiaty i obrazy, rzucił tylko:

– Zdziwiłabyś się, ile rzeczy ludzie trzymają tylko dlatego, że szkoda im je wyrzucić. Wystarczy popytać. W firmie zaś wykonywał wszystkie moje polecenia. Z początku wydawałam je bardzo ostrożnie i zazwyczaj dotyczyły drobnych spraw, ale jego produktywność zachęcała.

Mimo że mieszkaliśmy i pracowaliśmy w tych samych miejscach, niewiele czasu spędziliśmy razem. Kuba nie przychodził do mojego biura, jeśli nie było to konieczne, a nawet gdy do niego zajrzał, to tylko służbowo. Po pracy w Adeline jeździł do Warzywniaka, a stamtąd wracał późno. Nie żeby obudziła się we mnie jakaś nagła chęć przyjaźni z nim, ale teraz byłam bardziej skłonna się nad nią zastanowić niż jeszcze dwa tygodnie temu. Ilekroć ta myśl pojawiała się w mojej głowie, wyrzucałam ją bez ceregieli, powtarzając sobie, że to tylko człowiek, z którym pracuję i mieszkam. Nikt więcej.

Losie, to nie brzmiało dobrze.

Zanurkowałam w tabelę z ramowym grafikiem zarządu. Pomimo tego, że prezes zawęził zakres moich zadań, niektóre wyszarpałam, zaklinając się, że ze wszystkim sobie poradzę. W końcu, po skończeniu tej maskarady, wrócę do swoich obowiązków asystentki. No, chyba że dostanę awans... Przecież gdybym wykazała się jako dyrektorka, nic nie stałoby na przeszkodzie, prawda?

Dlatego uparłam się, że sama odnajdę się w planach wszystkich ważniaków na najbliższe dwa tygodnie i zorganizuję zebrania w terminie, który nie będzie kolidował z ich zajęciami. Niestety, kiedy okazało się, że w jednym miejscu dyrektor do spraw kadr miał lukę, to dyrektor marketingu występował jako gość na konferencji naukowej w szkole wyższej. Jak dokonać niemożliwego?

Pukanie do drzwi sprawiło, że podskoczyłam w miejscu. Motyle przygotowały się do lotu,

a usta nastawiły na błogi uśmiech, ale mina mi zrzęda, gdy do pokoju wszedł Kuba z kubkiem kawy w rękę i jakąś kartką, w którą wlepiął wzrok.

– Wybacz, nie zdążyłem rano – powiedział beznamiętnie, stawiając kubek na moim biurku i nawet na mnie nie patrząc. – Umrzesz, jeśli będziesz wsypywać do kawy tyle cukru.

Usiadł ciężko w fotelu. Ja natomiast wpatrywałam się w brązowy kubek, zastanawiając, skąd wezmę pistolet, żeby strzelić sobie w ten głupi łeb.

– To ty codziennie przynosisz mi kawę? – spytałam.

Odłożył kartkę i skrzyżował ręce na piersi.

– A myślałaś, że kto? – odburknął.

– Nikt – odpowiedziałam szybko. – Co to?

Sięgnęłam po purpurowy papier i przejechałam palcami po wypukłym srebrnym napisie.

– Zaproszenie – mruknął. – Myślałaś, że to Bartuś przynosi ci kawę?

Odchrząknęłam, udając, że wyczytuję się gorliwie w treść zaproszenia.

– Piętnastolecie firmy – powiedziałam z nadmiernym entuzjazmem. – Będzie imprezka. Nie cieszysz się? Lubisz imprezki.

Uniósł jedną brew i pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

– Nie jest to typ imprezki, która rozgrzewa moje serduszko i napawa ekscytacją. – Papugował mój ton. – Poza tym sądzę, że jeśli jeszcze raz powiesz słowo „imprezka”, mogę próbować strzelić sobie w główkę. O, no to tutaj moglibyśmy się zgrać. Ja chciałam się zastrzelić, on chciał... Coś nas w końcu połączyło. – Czemu mi się tak przyglądasz? – Skrzywił się.

Wzruszyłam ramionami, ale szybko zmieniłam zdanie. Nie powiem mu przecież, że ta kawa miała być uroczym miłosnym gestem, a on wszystko zniszczył. Skąd wiedział, jaką pijam? Strzel się w główkę, Ina. Mieszka z tobą.

– Bo kompletnie mi to do ciebie nie pasuje – stwierdziłam. – Wykonujesz moje polecenia, twoja pomoc w restauracji jest nieoceniona, przynosisz mi kawę i nie chcesz iść na imprezkę? – Kubiak ułożył palce w taki sposób, że symulowały pistolet, i przyłożył je sobie do skroni. – Na pewno dobrze się ostatnio czujesz? Gdzie ten Kubiak, którego ratowałam w klubie przez paparazzi?

– O czym ty...

– Mniejsza z klubem – uciełam temat. – Kiedy to przyjęcie?

– W piątek.

– Co? – Zerknęłam na stojący na biurku kalendarz. – W ten piątek? Tak szybko?

Dyrektor przekrzywił głowę, po czym nią pokręcił. Wyglądał na bardzo zmęczonego moją osobą. Jakbyśmy spędzili razem całe życie, każdą minutę, ja zaś w tym czasie nieustannie śpiewałam hymn Unii Europejskiej, nie zamykając się nawet na sekundę. O, taki rodzaj wyczerpania zaobserwowałam w jego oczach.

– Informacja o tym wisi na tablicy ogłoszeń na każdym piętrze od miesiąca, ale ty się przecież stąd nie ruszasz – rzucił z pretensją.

Zacisnęłam usta. To by się mogło nawet zgadzać.

– Muszę sobie kupić jakąś sukienkę...

– Dobrze się składa. – Zerknął na zegarek. – Właśnie jest pora lunchu. Mamy czterdzieści minut.

Pomożesz mi, a ja tobie.

Nie przypominałam sobie, że bym w którymkolwiek momencie prosiła go o pomoc, a i tak jakimś cudem znalazłam się u jubilera i z nosem na kwintę przeglądałam biżuterię, która bynajmniej nie miała zostać kupiona dla mnie. Staralam się zachowywać jak dojrzała osoba, ale niechęć do Magdy okazała się silniejsza, więc pokazywałam Kubiakowi najbrzydsze wisioriki i kolczyki, jakie tylko zdołałam znaleźć, na co on się krzywił i trąbił, że nie wie, po co w ogóle mnie ze sobą zabrał. No właśnie. W końcu chyba znał miłość swojego życia, co nie? Po co mu jeszcze wsparcie?

– Wyjaśnij mi coś – szepnęłam, podążając za nim i powtarzając, że wszystko, co pokazuje, jest brzydkie, chociaż tak naprawdę połowa z tych rzeczy była do przełknięcia. – Jakim cudem masz kasę na drogi prezent, skoro w restauracji nie przyjęli twojej karty i byłeś, biedaczku, taki zdziadziały, że nie mogłeś iść do hotelu, a zamiast tego zważyłeś się na głowie mi i mojej mamie?

Mężczyzna zatrzymał się tak gwałtownie, że na niego wpadłam i nadepnęłam na te jego białe adidaski. – Tamta karta to karta... – Podrapał się po nosie. – To przeszłość. Nie do końca należała do mnie.

Nie powiedziałam tego na głos, ale szybko załapałam, że synalek dysponował nieswoimi pieniędzmi. Jak prezes mógł zachowywać się tak bezmyślnie i oczekiwać, że ten smarkacz dorośnie?

– A na prezent zaoszczędziłem. – Wysunął dumnie podbródek. – Na mieszkanie u ciebie zapracowałem. Jeszcze jakieś pytania?

Zacisnęłam dłoń w pięść. Nie zamierzałam tego komentować, więc zwróciłam znużony wzrok na gablotkę i pokazałam przypadkowy złoty łańcuszek z zawieszka w kształcie łezki.

– A ten?

Zbliżyłam się, chcąc sprawdzić cenę. Psia mać! Czy ona śpiewa i tańczy?

– Nie, nie, nie... – Kubiak rozglądał się po sklepie, coraz bardziej podminowany. – Skup się. Trzeba czegoś bardziej eleganckiego. Nie jak dla ciebie. Jak dla kobiety z klasą.

Już miałam się odgryźć, kiedy spojrzałam na niego i odkryłam, że przygląda mi się, ledwie powstrzymując od śmiechu. Umyślnie robił mi na złość.

– Dupek – syknęłam, ale on już odwrócił się, chichocząc pod nosem.

Ekspedientka rozpaczliwie pragnęła nam pomóc, lecz Kuba nieustannie odsuwał ją od sprawy. Patrzyła na nas z bólem w oczach, więc gdy obok przechodziłam, posyłałam jej przeproszący uśmiech, żeby podnieść kobietę na duchu.

Zatrzymałam się raptownie i niemal przycisnęłam nos do jednej z gablotek. Westchnienie samo wyrwało się z mojej piersi. Choć ciche, wystarczające, by Kuba je usłyszał i podszedł. Teraz obydwójce przyglądaliśmy się złotej ważce o szmaragdowych oczach, niewiele większych od łebka szpilki. Skrzydła przechodziły stopniowo z żółtego złota do białego na końcach.

To miłość od pierwszego wejrzenia.

– Tak, poproszę tę zawieszka – usłyszałam jego głos nad uchem. – I od razu łańcuszek do kompletu. Moje serce zamarło w piersi, a gorąco buchnęło w twarz na myśl o tym, że moja zawieszka wylądowała u tej jego przekłetej Magdy. Ważka symbolizowała zmiany na lepsze. Coś złego się kończy, robiąc miejsce dobremu. Może to znak?

Na pewno nie zakupowy, bo żeby trafiła w moje ręce, musiałaby najpierw ulec dziewięćdziesięcioprocentowejniżce.

– Niech pani poczeka. – Kubiak prawie krzyknął na ekspedientkę, która sięgała wisiorek, a ta zastygła w bezruchu. – Chyba że ty ją chcesz, to wybiorę coś innego.

To było kilka sekund. Patrzyliśmy sobie bez słowa w oczy, a mój wzrok, kompletnie wbrew wszystkiemu, w co wierzyłam, przesunął się na jego usta.

Poczułam się jak przestępca. Odsunęłam się i zaśmiałam nerwowo. Głośno. Zbyt głośno.

– Coś ty! To przecież prezent dla kobiety z klasą i taka powinna go dostać – wypaliłam i przebaknęłam coś o toalecie.

A potem uciekłam. Musiałam uciec przynajmniej na moment. Zamknąć się w kabinie i spróbować wydrapać sobie oczy. Dlaczego to zrobiłam? Przecież to widział. Na pewno zanotował i teraz pomyśli sobie, że zgłupiałam. Uwielbiałam te momenty w swoim życiu, kiedy robiłam coś durnego, a potem trzy kolejne tygodnie się za to samobiczowałam.

Wyszłam z toalety, odnalazłam dyrektora i udawałam, że nic się nie wydarzyło. Wróciliśmy do firmy, ponieważ uparłam się, że nie mam ochoty na dalsze zakupy, a potem błyskawicznie zamknęłam się u siebie i zaczęłam chodzić w kółko. O co mi chodziło?

Ktoś pociągnął za klamkę i już stałam ponownie twarzą w twarz z Kubą. Czy ten dzień się nie skończy?

– Wybacz, przeszło mi przez myśl, że zachowałem się jak ostatnia świnia – powiedział, nadal stojąc w progu. – Może chcesz iść na te zakupy po pracy? Wciąż nie masz sukienki.

– Nie! – krzyknęłam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. – Nie trzeba. Poradzę sobie.

Nigdzie nie chciałam z nim iść. Nie potrzebowałam spędzać z nim czasu. Co to za problem

wyjść do sklepu i kupić sobie sukienkę? Bez przesady.

Pokiwał głową i odwrócił się, zapewne zamierzając wyjść, ale zrezygnował. Oho. To nie był wzrok, który wskazywałby na coś miłego. Coś chodziło mu po głowie i toczył ze sobą wewnętrzną walkę – nawciskać Inie czy może jednak sobie odpuścić i iść do klitki?

– Nie chcesz ze mną iść na zakupy, bo mnie nie lubisz, czy jest jakiś inny powód? – wypalił.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Czyli jednak nawciskanie.

– O czym ty mówisz? Ja ciebie nie lubię? – Położyłam sobie dłoń na sercu. – To ty mnie unikasz.

– Unikam cię? – Zaśmiał się gorzko. – Codziennie rano drałuję po kawusie dla ciebie! A ty udajesz w domu, że nie istnieję. Sama sobie gotujesz, nawet jeśli poczęstuję cię obiadem. Odzywasz się wyłącznie z pretensjami! Nawet twoja mama...

Zamknął się, gdy wyrzuciłam ręce do sufitu. Z mamą mi wyskakuje? Mamę to on mi ukradł! Oglądają sobie razem filmy, jedzą obiadki, a ja...

A ja się dąsam. Cholera jasna, miał rację. Nie dawałam mu chyba zbyt wielu dowodów sympatii. Ale to dlatego... Do diabła! To dlatego, że do tej pory nie wyobrażałam sobie, że jego można lubić. A można. To najbardziej niepokojące.

– Masz rację, nie jem z wami obiadów i nie oglądam filmów – odparłam. – Ale to nie dlatego, że cię nie lubię, dobra? Nieważne, zapomnij. Po prostu lubię samotne zakupy. To nie ma nic wspólnego z tobą. Kubiak zdjął marynarkę i odwiesił ją na oparciu fotela. Stał przede mną, a ja wlepiłam spojrzenie w ciemny pyłek, który odznaczał się na białej koszuli. Byleby tylko nie spojrzeć mu znów na usta. Gapienie się tępo w jego pierś było mniej ryzykowne.

– Zawsze to robisz? – spytał. – Coś idzie nie tak, więc zamiast to rozwiązać, wycofujesz się? Uciekasz do toalety?

Więc też to zauważył. Wiedziałam.

Uniosłam oczy. Jasne włosy opadły mu na pomarszczone w złości czoło. Przez skórę na policzkach przedzierał się ledwie widoczny zarost.

– Posłuchaj... – stęknęłam. – Nie chcę się kłócić. Przecież nic się nie stało...

– O, ale ja chcę – powiedział stanowczo. – Ja chcę, bo... – Zapowietrzył się. – Nie wiem, jakos strasznie mnie wkurzasz.

Zamrugałam. Spodziewałam się tego, że działał mu na nerwy, ale założyłam, że będzie raczej unikać konfrontacji. On jednak... Wyżywałam się na nim w domu, a on pomagał mamie, przynosił mi kawę, wykonywał polecenia...

– Przepraszam – bąknęłam. – Masz rację, zachowuję się paskudnie.

Warknął i przeczesał włosy palcami. Wpatrzył się w widok za oknem.

A ja w niego.

– Nie miałaś przepraszać, tylko się kłócić – mruknął, ale opuścił ramiona i przestał ściągać brwi. – Nie, to ja przepraszam. Chyba po prostu mam ciężki dzień i chciałem się wyżyć. Pomyślałem, że z tobą łatwo będzie się pokłócić. Dobra w tym jesteś.

Pacnęłam go w pierś, ale od razu tego pożałowałam i schowałam rękę za plecami. Akurat kłótnie faktycznie zazwyczaj wychodziły nam dobrze.

– Czemu ciężki? – podpytałam.

Kuba rzucił mi krótkie spojrzenie, żeby zaraz wrócić do mnie wzrokiem i nie opuszczać go na tyle długo, że speszona odwróciłam swój.

– Dziś jest... – Odchrząknął. – Rocznicą śmierci mojej mamy. I zawsze jakoś tak... Nie wiem. To zawsze dziwny dzień.

Zrobiłam krok w jego stronę, ale się zatrzymałam. Nie podchodź, Ina. Zachowaj bezpieczny dystans, bo w przeciwnym razie zarazisz się kubiakożą.

– Tak mi przykro... – szepnęłam.

Co jeszcze mogłabym dodać?

Nie zdziwiłam się, że Kubiak w odpowiedzi zaśmiał się bez grama rozbawienia. Oparł się tyłem o biurko, a ja stanęłam przed nim, lecz w bezpiecznej odległości. Żadnego więcej analizowania zbłąkanych kosmyków i porów w skórze.

– Zmarła dawno, byłem jeszcze gówniarzem, ale... nie znałem czulszego człowieka. Miała w sobie coś takiego... – Wzburzenie w jego oczach się rozplynęło. Uśmiechnął się do siebie półgębkiem. – Twoja mama trochę mi ją przypomina. W niej też jest takie ciepło. Gdyby mogła, przygarnełaby każdą znajdę.

Poddałam się. Podeszłam do biurka i oparłam się o nie w taki sam sposób jak on. Nasze ramiona się ze sobą stykały, ale to nic. Kontakt fizyczny nie zawsze musi mieć podtekst, prawda? Czasami dotyk jest po prostu dotykiem, i niczym więcej.

– Zawsze tego dnia mnie nosi – ciągnął. – Rok w rok. Jest mi jakoś tak nieswojo...

Kiedy tak staliśmy obok siebie, napięcie, które nie odstępowało mnie od tygodni na krok, zniecka odpuściło. Słowo samo ukształtowało się na moim języku:

– Chorowała?

Czy nie przekroczyłam granicy? Powinam pewnie sobie odpuścić drażnienie tematu i prawdopodobnie Kuba myślał o tym samym, bo opuścił głowę i bez słowa przyglądał się swoim dłoniom.

Aż wreszcie przeniósł wzrok na moją twarz.

– Tak. Na serce – powiedział cicho. – Pewnej nocy po prostu położyła się do łóżka i już się nie obudziła. To wkurzające. – Zaśmiał się gorzko. – Nie miałem okazji nawet się z nią pożegnać. Przygotować się na to... Jednego dnia była, a drugiego zostałem sam jak palec.

Zacisnęłam mocniej ręce na blacie biurka, gdy serce ścisnęło mi się w piersi. Sam jak palec. Ojciec nie wspierał syna w żałobie. Dowodziła o tym sytuacja z alergią. Coraz mniej dziwiłam się Kubie, że dawał się tak prezesowi we znaki.

– Jak miałam osiem lat, tata od nas odszedł – podjęłam. – Był dla mnie wszystkim. Łaziłam za nim krok w krok. Na ryby, grzyby, godzinami słuchałam jego gry na gitarze... Sam pisał piosenki. – Przewróciłam oczyma, żeby pozbyć się nagromadzonych w nich łez. – A potem zniknął. Tak po prostu, bez pożegnania. Jednego dnia był w moim życiu, a drugiego już nie. Nie słyszałam kłótni, nawet nie wiem, kiedy spakował walizki. – Zacisnęłam powieki i zamalowała mi się pod nimi postawna sylwetka ojca. Był niewiele wyższy od mamy. Bardzo głośno się śmiał. To zapamiętałam. – Nie wysyłał kartek na urodziny, nie składał życzeń na święta. I chociaż minęło już tyle lat, to zawsze w ważnych chwilach czuję się, jakby czegoś brakowało. Jakbym nie mogła się w pełni czymś cieszyć, bo nie wolno mi powiedzieć mu, że obroniłam pracę magisterską, dostałam wymarzoną pracę... – Przełknęłam gulę w gardle. – I myślę sobie, że to głupie. Durne. Przecież nie ma go od tylu lat. Nawet nie wiem, czy poznałabym go, gdybym minęła go na ulicy. A mimo wszystko czuję, co czuję. Więc rozumiem.

Przetarłam policzki z łez, mając nadzieję, że Kuba żadnej nie zauważył. On stanął jednak przede mną, więc uśmiechnęłam się słabo.

I wtedy stało się coś, czego się kompletnie nie spodziewałam.

Postawił mnie do pionu i schował w swoich ramionach. Mój policzek przylepił się do jego piersi, dzięki czemu czułam spokojny oddech Kuby i bijące szybko serce. Nie mogłam powstrzymać rąk, które sięgnęły jego pleców. Przyłgnęłam do niego jak tonący do ostatniej deski ratunku, lecz gdy tylko uświadomiłam sobie, co robię, natychmiast się od niego oderwałam.

Nie pozwolił mi jednak uciec na drugą stronę pomieszczenia. Trzymał mnie na odległość swoich rąk.

– Co, przestraszyłaś się, że zarazisz się trądem? – spytał z przekąsem.

Ledwie go słyszałam przez wałce w piersi serce. Jego dudnienie roznosiło się po całej mojej czaszce.

– Albo jakąś chorobą weneryczną – dodałam.

Jego mina warta była wszystkiego.

– A więc takie masz o mnie mniemanie – droczył się. – Dobrze, że przynajmniej otwarcie o tym mówisz, ale chyba nikt nie wytłumaczył ci, jak można się taką chorobą zarazić.

Wydałam okrzyk obrzydzenia, a on zarechotał donośnie. Rozbawienie jednak zostało prędko zastąpione skrępowaniem, kiedy po pomieszczeniu rozległo się ostentacyjne odkaszlnięcie. Oskoczyliśmy od siebie jak poparzeni.

Od postaci stojącej w drzwiach zionęła wściekłość.

– Chciałam ci powiedzieć, że będę twarzą waszej marki, ale jak widać... – Magda zmierzyła mnie od stóp do głów. – Masz lepsze zajęcia na głowie.

Po czym odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Kuba zerwał się z miejsca i popędził za nią.

Rozdział 20



Popełniłam błąd. Gdyby nie zachciało mi się zwierzać Kubiakowi z dziecięcych traum, wyrzuty sumienia nie dziobałyby mnie teraz w potylicę. Jednakże gorsze od samego faktu opowiedzenia mu o moim ojcu było tylko to, z jaką łatwością mi to przyszło. Jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Nie obawiałam się oceny, wyśmiania... Dlaczego nie, skoro tak często mi dogryzał i nieraz już zawiódł? W jaki sposób działała moja intuicja, jeżeli zaciskała krtań w obecności Bartosza, a otwierała ją przy Kubie?

Tego dnia nie odnalazłam luki w grafiku zarządu i musiałam powiedzieć Bartkowi, że pracę wykonałam jedynie połowicznie. Wiadomość tę przyjął z uśmiechem, polecił nawet, żebym się nie martwiła. Czekałam, aż zapyta, co się stało. Przecież do tej pory ani razu nie opuściłam firmy, nie wykonawszy wszystkich zadań. Nie spytał.

To nic, pani marudna. Bartek nie potrafi przecież czytać w myślach.

Kuba wrócił do domu dopiero po północy. Leżałam w łóżku, starając się zasnąć, kiedy przytłumione pomarańczowe światło wdarło się bez pardonu przez szybę w moich drzwiach, odganiając sen na dobre. Usiadłam na skraju łóżka i spróbowałam zmusić samą siebie do ponownego ułożenia się w pościeli. Liczyłam na siłę swojej woli, ale wygrała słabość.

Na paluszkach podeszłam do drzwi, nacisnęłam klamkę. Zakradłam się do pokoju gościnnego, w którym Kuba sypiał, i zastałam go siedzącego na kanapie, wpatrującego się bezmyślnie w ścianę.

Tym razem poważnie nie wyszło. Obraziła się na niego za to, co zobaczyła w gabinecie? Przecież i tak nie chciała z nim być. – Czemu nie śpisz? – spytał, tkwiąc w tej samej pozycji.

Dopiero potem zwrócił na mnie oczy i uśmiechnął się pod nosem. Obciągnęłam krótkie spodenki w stokrotki i prędko wcisnęłam się w stary welurowy fotel, upolowany przez mamę na pchlim targu. Nie mogłam znaleźć sobie wygodnej pozycji, więc koniec końców przyciągnęłam kolana pod brodę, zamieniając się tym sposobem w kulę zmartwień.

– Jak poszło? – wydukałam, ignorując jego pytanie.

Mój głos podszyty był niepewnością. Bardziej przypominał szept. Istniała szansa, że wcale nie chciałam wiedzieć. Nie chciałam, żeby Kuba udowodnił, że ilekroć kapryśna Magda go odtrąci, on i tak do niej wróci. W pamięci nieustannie odtwarzałam scenę sprzed restauracji, gdy zapewnił ją, że będzie na nią czekać. Za każdym razem mocniej zaciskała mój żołądek.

Kubiak przetarł twarz, zatrzymując się na dłuższą chwilę na oczach, i się odwrócił. Wyglądał na wyczerpanego.

– Czasem trudno mi to ogarnąć. – Westchnął. – „I nie chcę cię, i zostań”.

Zdjął marynarkę i cisnął ją obok siebie, by zaraz rozpiąć kilka pierwszych guzików koszuli.

– Co... – zaczęłam, ale od razu poczułam, że to błąd.

– Co? – podłapał.

Pokręciłam głową, dając mu do zrozumienia, że to nic, czym jeszcze bardziej podsyciłam jego ciekawość. Przysunął się bliżej i oczekiwał kontynuacji wątku.

– No daj spokój, mów – polecił.

– Co w niej takiego jest? – wyrzuciłam z siebie szybko, żeby tylko się nie rozmyślić. – Czemu przez tyle lat z niej nie zrezygnowałaś?

Ja dostrzegałam w niej tylko wyższość. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Spotkałam ją trzykrotnie i jakoś nie wzbudziła we mnie pozytywnych odczuć. Ale z jakiego powodu miałyby próbować to zrobić?

– To dobre pytanie. – Oczy Kuby rozbłysły. – Ona jest... Bywa trudna. Życie nauczyło ją, że musi być twarda, żeby cokolwiek osiągnąć. Modeling wydaje się prostą drogą wyłącznie tym, którzy nie mają o nim zielonego pojęcia. To dlatego może wydawać się... gruboskórna?

Próbował ją tłumaczyć? Jeśli liczył, że również się zakocham i będziemy wieczorami wspólnie do niej wzdychać, a na komodzie urządzimy jej ołtarzyk, to chyba powinien przemyśleć tę kwestię jeszcze raz.

– Ale znam ją od lat i wiem, że to tylko powierzchowna warstwa, a pod nią znajduje się wrażliwa dziewczyna, kochająca biegać wszędzie z aparatem. – Uśmiechnął się do siebie. – Zawsze lepiej odnajdywała się po drugiej stronie obiektywu, ale teraz praca stała się całym jej światem. Pasję odrzuciła na bok.

Fantastycznie, że mogliśmy sobie wspólnie poplotkować o Magdzie, pozachwycać się i zupełnie zignorować pytanie, które mu zadałam. Chyba że... Chyba że tak właśnie brzmiała odpowiedź.

– Czasem się odkrywa – ciągnął, chociaż już nie chciałam słuchać. – Uwielbiam te momenty. Wybucho niespodziewanym śmiechem, palnie coś głupiego, zanim pomyśli...

– Autentyczność jest w cenie – burknęłam.

Przytaknął, nie wyczuwając ironii. I całe szczęście.

– Ona jest taką kobietą...

– Z klasą – weszłam mu w słowo.

Spojrzał na mnie z półuśmiechem.

– Gniewasz się za to? – Wyciągnął rękę, niemalże dotykając mojego nagiego ramienia, lecz go nie sięgnął. Zrezygnował, a ja odetchnęłam z ulgą. – To był żart.

Jasne, że żart. Szkoda tylko, że nieśmieszny. Nie przesadzę, jeśli powiem, że to wręcz jeden z moich najmniej ulubionych dowcipów. Pośmiejmy się z Iny i wychwalmy Magdę pod niebiosa. Boki zrywać!

– No, ale dokończ – ponagliłam. – Ona jest kobietą...

Patrzyłam na niego wyczekująco, wręcz rzucając mu tym spojrzeniem nieme wyzwanie. On z kolei... jakby je wyczuł.

– Jest kobietą, która nie zakochuje się na zawołanie – powiedział. – Na jej miłość trzeba zapracować, ale gdy już się ją zdobędzie...

– Aha, czyli wszystkie kobiety poza nią rzucają się na pierwszego lepszego faceta, bo w żyłach zamiast krwi krąży nam desperacja? – fuknęłam.

– Nie to powiedziałem.

Opuściłam nogi i niemal zerwałam się z miejsca. Zmusiłam się jednak do pozostania w fotelu. Jeśli wstanę, to nakręcę się już do reszty.

– Nie no, powiedziałeś. Ona jest wyjątkowa, ponieważ na jej miłość trzeba zapracować, ale to tak nie działa, Kuba. Na miłość się nie pracuje.

Jednak nie wytrzymałam. Zerwałam się i stanęłam nad nim. Odgarnęłam włosy z twarzy. Były wszędzie. Wchodziły mi do oczu i ust.

– Nie tak powinna działać miłość – drażyłam. – To nie jest jakiś cholerny konkurs talentów. Nie... – Zagryzłam wargę tak mocno, że poczułam na języku metaliczny smak krwi. – O miłość nie powinno się błagać. Nie powinno się skakać jak błazen w oczekiwaniu, aż ktoś doceni twoje przedstawienie i postanowi bić ci brawo. Bo pewnego dnia usiądziesz zmęczony na kanapie... – Machnęłam w jego stronę ręką. – I zapragniesz zdjąć maskę. Co, jeśli wtedy nie rozpozna twojej prawdziwej twarzy? Czyja to będzie wina?

To nie wszystko, co pragnęłam powiedzieć, ale w tym miejscu się zatrzymałam w oczekiwaniu na jego reakcję. Oddychałam szybko.

– Ina...

– To najpodlejsze, co może nas spotkać: błaganie o miłość – wypluwałam słowa, choć jakiś głosik z tyłu głowy kazał mi się przymknąć. – Bo można nieszczęśliwie kochać, można skończyć ze złamanym sercem, ale błagać, żeby nas kochano... To jak wziąć swoje serce i złamać je własnoręcznie na pół.

Przetarłam zaszkłone oczy. Błaganie o miłość przytrafiło mi się tylko raz i bynajmniej nie w przypadku miłości romantycznej. Nie znaczyło to jednak, że bolało mniej.

Latami błagałam mojego ojca, żeby zmienił zdanie, wrócił i znów zechciał mnie kochać. Wmawiałam sobie, że jeśli zobaczy szóstki na szkolnych świadectwach, spojrzy na mnie przychylniej. Wysyłałam listy, na które nie odpowiadał. Paczki z urodzinowymi prezentami. Nie dostałam nawet głupiego esemesa z podziękowaniem.

– Przepraszam – wyrzuciłam. – Nie powinnam mówić tego wszystkiego.

Już miałam odejść, ale Kuba zerwał się z miejsca i złapał moje ramię.

– Dlaczego? Miło dla odmiany usłyszeć prawdę, a nie kolejne piękne kłamstwo – powiedział.

Odgarnął mi włosy z twarzy i zaśmiał się, natykając na supełki.

– No i masz rację – mówił, powoli rozdzielając splątane pasma. Gdy się udało, przerzucił mi je na plecy. – Ale jeśli kochało się kogoś tak długo, człowiek w pewnym momencie nie pamięta, jak życie wyglądało bez tej miłości.

Starłam się złapać oddech. Dlaczego dotknął moich włosów?

– Rozumiem, wiem, naprawdę – powiedziałam szybko. – Po prostu uważam, że jesteś zbyt fajnym...

Zacięłam się i wyrwałam, korzystając z momentu szoku. Atmosfera w pokoju zmieniła się w mgnieniu oka. Kuba pogroził mi palcem i uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego oczy rozbłysnęły, jakby zapłonął w nich ogień. Ten facet to idealny przykład kompletnego braku stabilności emocjonalnej.

– Dokończ to. Natychmiast – rozkazał.

Poprawiłam szarą męską koszulkę, która służyła mi za piżamę, i odwróciłam się na pięcie.

– Dobranoc – powiedziałam wyniośle.

Zaszedł mi drogę.

– Dokończ. Skończyłaś na „fajnym”.

Uśmiechnęłam się przekornie i zrobiłam krok w bok, starając się go wyminąć, ale nie odpuszczała. Zrobiłam to ponownie, aż w końcu wycofałam się i puściłam biegiem dookoła kanapy, stojącej w centrum pokoju w nadziei, że w ten sposób mu umknę i prześlizgnę w drzwiach. Jednak Kubiak szybko przejrzał mój chytry plan i tylko udał, że biegnie za mną, żeby ostatecznie przeskoczyć po sofie i dopaść mnie w drodze. Rozpoczął dzikie laskotki, a ja wierzyłam, próbując się uwolnić i tylko wrzeszcząc między oddechami coś o tym, że jest stary, a głupi.

Wreszcie przestał i szepnął mi ostrzegawczo do ucha:

– Jeśli nie dokończysz, powtórzymy to.

Nie mogłam przestać się śmiać.

– Nie... Nie rób tego – wysapałam.

– To mów.

Pokręciłam głową, a jego palce powędrowały do moich żeber w ostrzegawczym geście. Złapałam jego dłonie, próbując je unieruchomić, ale napał mocniej.

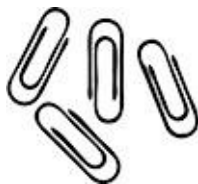
– Dobrze! – wykrzyknęłam i odwróciłam się do niego. – Jesteś zbyt fajnym facetem, żeby marnować czas na kogoś, kto tego nie dostrzega. – Wlepiłam wzrok w jego pierś. – Pomimo wielu, wielu, wielu wad.

Puścił mnie, a ja odetchnęłam. Skierowałam się do wyjścia i dotarłam do drzwi sypialni. Zanim jednak w niej zniknęłam, odwróciłam się jeszcze. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

Kuba uśmiechnął się i pomachał mi, a ja szybko zamknęłam się w pokoju.

Łatwiej mi się żyło, gdy go nie lubiłam.

Rozdział 21



Nadmiernie przejęłam się sprawą Kuby. Jego miłosne rozterki powinny być moim ostatnim zmartwieniem, zatem doszłam do wniosku, że oficjalnie kończę trapienie się nimi. Postanowiłam skupić się na pracy i tak też zrobiłam. Z samego rana przysiadłam ponownie do grafików, wyznaczyłam dzień zebrania, poinformowałam o tym wszystkich zainteresowanych, po czym zabrałam się do spisywania celów na kolejny miesiąc dla dyrektora generalnego. Mnie tu już nie będzie, ale Kuba wróci.

Za szybko przeszliśmy z fazy unikania siebie nawzajem do dogłębnego poznawania swoich życiowych problemów. A na domiar złego nazwałam go fajnym. Okropność.

Inaczej miała się sprawa z Bartoszem. Przeklełam pod nosem. Kiedy zamieniłam się w taką myślicielkę? Wcisnęłam nos w ekran monitora i zlustrowałam Excela, po czym jakoś tak nawet nie wiem kiedy kursor wylądował na ikonie, która otworzyła przede mną bramy piekieł.

Czyli wyszukiwarce internetową.

Wygooglowałam to. Skąd bowiem dowiedzieć się, że coś dzieje się pomiędzy nami i obiektem naszych westchnień, jeśli nie z sieci? No właśnie.

„Dwadzieścia znaków, że to on jest tym jedynym”, „Po czym poznać, że kocham?”. Zagłębiałam się zapalczywie w lekturę i marszczyłam nos sama do siebie. *W miłości trzeba akceptować drugą osobę taką, jaka jest.* To akurat nie stanowiło problemu. Brałam Bartosza takiego, jakim był, tak że punkt dla mnie. *Zauważać drobnostki.* Z tymi drobnostkami będzie problem. Zbyt rzadko się widywaliśmy. Kilka wspólnych wyjść, codzienne pogawędki... Niewystarczająco. *Przekładać czyjeś szczęście nad własne.* Kurczę, na tym etapie też jeszcze nie byliśmy. A na jakim byliśmy?

Trafiłam w tę złą część internetu i powinnam się z niej jak najszybciej wydostać. Lepiej zrobię, jeśli skończę pracę i skupię się na dzisiejszej imprezie. Możliwe, że na niej będę mieć wreszcie okazję na zbliżenie się do Bartosza. Spędzimy wspólnie wieczór, pobawimy się, porozmawiamy... I zaproponuję mu kolejne spotkanie. Nazwę je randką, już dla pewności. Niech wie, że traktuję go poważnie.

Podniosłam się i podeszłam do okna. Oparłam dłoń o szybę, żeby prędko je odlepić, zakląć i sięgnąć po chusteczkę. Wytarłam ślad, który zrobiłam, i zmierzyłam wzrokiem rozciągające się przede mną miasto, zatrzymując się na przystanku, z którego zawsze wracam do domu.

I na którym pewien barczysty bałwan mnie potracił.

Niewiele myśląc, walnęłam głową o okno. Skończ wspominki.

– Ina?

Oderwałam się od okna i zaśmiałam głupkowato.

– Twarda – rzuciłam, wskazując szybę, ale Bartek jedynie uniósł brew w odpowiedzi. To było słabsze niż słabe. Szanse na płomienny romans malały z każdą sekundą.

– Te cele są wykańczające – dodałam, siląc się na swobodę.

Teraz już uśmiechnął się szeroko, najwidoczniej puszczając w niepamięć zachowanie wskazujące, że pograżam się w szaleństwie. Podszedł, zachowując bezpieczny dystans. On na pewno nie

próbowałyby wyciągnąć z niewinnego człowieka czegokolwiek łaskotkami. – Nie myślałaś, żeby oddelegować to do Kubby? – spytał. – Niech on się pomęczy.

Nie, w sumie to nie myślałam. Wszystko, co uważałam za ważne, robiłam samodzielnie. To należało do moich obowiązków, nie jego. Zresztą lubiłam cały czas mieć jakieś zajęcie.

– On ma już co robić – stwierdziłam. – Zrzuciłam mu dzisiaj na głowę skrzynkę mailową, bo już nie daję rady odgrzebywać się z wiadomości. Nie jest tym zachwycony, ale robi, co może.

Spróbowałam zwrócić na siebie uwagę Bartka. Odgarnęłam włosy na plecy, odsłaniając tym samym dekolt turkusowej koszuli. On jednak krążył po pomieszczeniu.

– Nie wierzę, że on to wszystko robi – powiedział wreszcie. – Jak tego dokonałaś? Jak zmieniłaś diabła w...

– No już nie przesadzajmy z tym diabłem – wyrwałam się.

Ściągnięte brwi i uchylone wargi sugerowały zdziwienie. No tak. Jeszcze kilka tygodni temu siedzieliśmy z Bartoszem w restauracji i śmialiśmy się z tego, jak nawtykałam Kubiakowi. A przynajmniej Bartek się śmiał. Dzisiaj, dla odmiany, wystąpiłam w obronie dyrektora i nijak nie potrafiłam ustrzec się przed zawodem, który rozbłysnął w oczach okularnika.

– Egoista, narcyz, Piotruś Pan... – Wyliczałam, starając się uratować. – Ale do diabła to mu daleko. O której planujesz pojawić się na dzisiejszej imprezie?

Tak, Ina. Jeśli czujesz, że właśnie wdepnęłaś w bagno, wycofaj się z tego. Udawaj, że tematu nie było. Graj lekkoducha, który wcale nie będzie rozpamiętywał tej sytuacji w każdej wolnej chwili, wyrzucając sobie, że mogłaś zachować się zupełnie inaczej.

– Imprezie? – powtórzył.

Wyprostowałam się i zakręciłam kosmyk włosów na palcu.

– No tak, piętnastolecie. – Posłałam mu rozmarzony uśmiech, ale zaraz spoważniałam. – Bo wybierasz się tam, prawda?

Podszedł bliżej i, mimo że początkowo się zawahał, sięgnął po moją dłoń. Zaczął bawić się moimi palcami. Jak dobrze, że niedawno opłowałam paznokcie i nałożyłam odżywkę.

– Nie wiedziałem, że cię to interesuje – powiedział, lekko zakłopotany. – Sądziłem, że nie przepadasz za podobnymi spotkaniami.

Zrobił jeszcze jeden krok, a moje ciało, jak zawsze sprzyjające w każdym, nawet najtrudniejszym momencie mojego życia, znieruchomiało. Mógłby teraz próbować odrąbać mi łeb siekierą, a i tak nie ruszyłabym się z miejsca.

– Pomyślałam, że to coś ważnego i że moglibyśmy...

Wygiął brwi w łuk. Motyle nadal urządziły sobie dancing pomiędzy moimi jelitami, ale nie mogłam dłużej ignorować jego zakłopotania. Coś było na rzeczy.

– Coś nie tak? – spytałam.

Zabrałam dłoń z jego uścisku. Przystawałam myśleć, kiedy w grę wchodził dotyk, a aktualnie bardzo potrzebowałam swoich szarych komórek.

Bartek się odsunął. W powietrzu przestał unosić się zapach wanilii, drobinki brokatu nie krążyły wokół nas, kupidyńki nie ostrzyły swoich strzał.

– Strasznie mi przykro, ale... – Zdjął okulary i przetarł oczy. – Nie mogę.

Czego nie mógł? Iść na imprezę? Czy iść tam ze mną?

– Och... Rozumiem – wydukałam. – Nie musimy iść tam razem, jeśli nie chcesz...

Unióś mój podbródek ku sobie jednym subtelnym ruchem. Ach, wiedział, jak wyłączyć kobiecie myślenie.

– Wiesz, że to nie tak – szepnął. – Po prostu jestem już umówiony. Mój kolega organizuje wieczór kawalerski. Omówiłem to już z prezesem. Przepraszam, że nic o tym nie wspomniałem.

Nie wspomniał, bo nie pytałam. Nie pytałam, ponieważ nie wiedziałam nic o imprezie. Ale Bartek wiedział, skoro już zdążył ustalić wszystko z prezesem. Nie pomyślał, żeby o to spytać? Chociażby z ciekawości?

– Daj spokój. – Machnęłam lekceważąco ręką i oddaliłam się od niego. – Nie musisz mi się przecież tłumaczyć.

Staralam się brzmieć lekko, ale pokój i tak pachniał niezręcznością. Zagęściła powietrze, wypchała każdy kąt pomieszczenia i oddaliła nas od siebie. Tykanie wielkiego srebrnego zegara, wiszącego na ścianie, odbijało mi się echem w głowie. Cisza. Nastala krępująca cisza. Od ciszy to już tylko krok do niedopowiedzeń, kłamstw, kłótni...

Nie wolno mi było na to pozwolić.

Wyprostowałam się i obrałam Bartka na cel. Podeszłam do niego, przytuliłam policzek do jego piersi, zacisnęłam powieki. Skupiłam się na obecnej chwili. Ramionach, które oplotły mnie bez zawahania. Jeszcze trochę się ze sobą oswoimy, a jego dotyk będzie rozluźniał i przynosił ukojenie.

Uśmiechnęłam się do niego najszerzej, jak tylko potrafiłam.

– Czyli przenosimy spotkanie na po imprezie? – zaproponowałam. – Randka?

Delikatnie musnął moje wargi swoimi.

Brawo, Ina. Teraz tylko tego nie spieprz.

Tak, ale przecież wieczór kawalerski oznacza również ślub i wesele, na które Bartek z pewnością się wybierał. Ten temat wałkowałam już trzecią godzinę, od momentu, w którym wychodziłam z pracy. Nie zwróciłam uwagi na pana Waldka znów krzyczącego za mną coś o nadgodzinach.

Przekroczyłam próg firmy – BUM!

Bartek nie zaprosił mnie na wesele. Zatem z kim się tam wybierał? Z kimkolwiek? Może lubi chodzić na takie imprezy w pojedynkę? A jeśli tam kogoś pozna?

Lista pytań cały czas się wydłużała, chociaż starałam się zająć czymś innym. Na przykład strojeniem, na wypadek, gdyby Bartosz jednak zdecydował się przyjść na moment na imprezę firmową. Nigdy nie mów nigdy.

– O której Bartek po ciebie przyjeżdża?

Kuba wparował do mojego pokoju, gdy akurat stałam przed szafą w samych bokserkach, więc naturalnie zaczęłam się drzeć. On zrobił to samo i wypadł na korytarz, trzaskając tak mocno drzwiami, że szyba w nich pękła, a szkło rozsypało się po całym mieszkaniu.

Mama wybiegła z salonu i zastała Kubiaka z dłonią na klamce oraz mnie, w samych majtkach, zasłaniającą swoje nagie piersi, po drugiej stronie ogołoconych z szyby drzwi.

– Ja tego nie sprzątam – bąknęła tylko i uciekła z powrotem do salonu, w którym oglądała jakąś francuską komedię.

Winowajca głośno przełknął ślinę i kręcił głową we wszystkie strony, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok.

– Pójdę... Pójdę po odkurzacz – wydukał.

Narzuciłam na siebie szlafrok i pozwoliłam mu zająć się tym bałaganem. I tak miałam co robić. Staralam się wykonać imprezowy, lecz niezbyt rzucający się w oczy makijaż. Wybrałam brązowe cienie i podczas malowania powieki obiecałam samej sobie, że nie dam wyprowadzić się z równowagi. Ani Bartkowi, ani Kubie, ani nikomu. Zamienię się w ucieleśnienie spokoju, niczym gładka tafla jeziora, na której pływają różowe lilie wodne. I będę się doskonale bawić na imprezie!

– Przepraszam za tę szybę.

– Chyba za wchodzenie bez pukania. – Odwróciłam się do Kubiaka z jednym pomalowanym okiem i westchnęłam ostentacyjnie. – Jesteś jak huragan. Niszczysz wszystko, co staje na twojej drodze.

Prychnął, ale wcale się nie obraził, tylko stanął nade mną i przyglądał się, jak robię kreskę na powiece. Policzyłam w głowie do dziesięciu. Nikt nie popsuje mi dzisiaj nastroju, a ja będę się świetnie bawić.

– Wstawię ci nową szybę. – Jego oddech poruszył kosmykami moich włosów. – O której przyjeżdża po ciebie Bartuś?

Powieka mi drgnęła. I cała kreska psu w gardło! Już prawie wybuchłam, ale w porę się opamiętałam i po prostu starłam ją wacikiem. To będzie wspaniały wieczór.

– Bartek po mnie nie przyjeżdża – powiedziałam niby od niechcienia.

Kuba najpierw usiadł, a potem położył się na moim łóżku.

– Nie jedziecie tam razem? – drażył.

Panowałam nad drżeniem dłoni i powieki. Może coś jeszcze z tego makijażu będzie.

– Bartek w ogóle nie wybiera się na imprezę – wytłumaczyłam. – Idzie na wieczór kawalerski i... No co?

Kubiak już siedział i wpatrywał się we mnie intensywnie, co zaobserwowałam w lustrze.

– Skoro ty idziesz sama i ja idę sam, to może pójdziemy tam razem? – zaproponował.

Odwróciłam się w jego stronę i gapiłam się na niego kilka długich sekund bez słowa. On zamrugał, ja zamrugałam. Jeszcze jakiś czas temu na samą myśl o wyjściu z nim gdziekolwiek nabawiłabym się mdłości, ale teraz... To chyba nie taki zły pomysł.

Gdyby tylko nie...

– A Magda? Myślałam, że z nią idziesz – rzuciłam.

Oparł się na przedramionach i pokręcił głową.

– Nadal boczy się za wczoraj. – Uśmiechnął się, wielce zadowolony. Najwyraźniej wzbudzenie w Magdzie zazdrości działało na jego korzyść. Pewnie stąd i dzisiejsza propozycja. – A poza tym raczej nie jest fanką takich spotkań.

Udałam, że się zastanawiam, chociaż odpowiedź zakwitła w mojej głowie już w chwili wypowiedzenia przez niego pytania. – Dobrze. Możemy iść razem.

Odwróciłam się do lustra. Czy można uznać to za zdradę stanu, jeśli szłam na piętnastolecie z Kubą, za którym Bartosz nie przepadał? Potrząsnęłam głową, a potem uświadomiłam sobie, że prowadzę wewnątrz dialog, używając do tego pełnej mimiki i gestów. Przejechałam puchatym pędzlem po policzku, sprawiając, że delikatnie się zarumienił, i uśmiechnęłam się najpierw do swojego odbicia, a potem do Kuby.

– No i co myślisz? – spytałam.

Wciąż relaksował się na moim łóżku, tym razem z dłońmi splecionymi za głową.

– Myślę, że gdyby Bartuś cię teraz zobaczył, szybko pożałowałby, że to nie on będzie ci towarzyszyć.

Niewidzialna siła najpierw kopnęła mnie w żołądek, a następnie buchnęła mi w twarz gorącym. Podeszłam do szafy, starając się ukryć zakłopotanie. Kubiak i komplementy? Dziwne połączenie.

Skupiłam się na garderobie. Nic nie kupiłam przed imprezą, ale od czasu do czasu, gdy znalazłam w lumpeksie jakąś elegancką sukienkę, kupowałam właśnie na tego typu wypadki. Wcisnęłam się pomiędzy ciasno upchane ubrania i wygrzebałam całe naręczcie wieszaków, ale ilekroć pokazałam którąś sukienkę Kubiakowi, prosząc o radę, on się krzywił.

Wreszcie sam się podniósł i zaczął przeglądać wieszak po wieszaku.

– Nie znajdziesz tam już nic ciekawego – mruknęłam. – Musisz wybrać coś z tego, co już przerobiliśmy.

– A to? – spytał, rozkładając przede mną czerwoną sukienkę za kolano, z głębokim dekoltem.

Przyłożył ją do mnie i gwizdnął pod nosem. – Ta będzie idealna.

Wyrwałam mu ją i wepchnęłam z powrotem do szafy.

– To za dużo – mruknęłam.

Kubiak wyciągnął ją i znów wcisnął mi w rękę.

– Kto o tym decyduje? – szepnął.

Wyszedł, oznajmiając, że czas się przebrać, a ja dalej tkwiłam w tym samym miejscu. Przejechałam dłonią po gładkim materiale i zaśmiałam się sama do siebie.

Najwyraźniej naprawdę zwariowałam.

Rozdział 22



Wcisnęłam się w sukienkę, którą zaproponował Kuba, i stanęłam przed lustrem.

To istne szaleństwo. Nie mogłam wyjść tak wystrojona. Stanę się pośmiewiskiem.

Zagarnęłam długie blond fale i zrobiłam kitkę. Zostawiłam przy twarzy dwa kosmyki i poprawiłam czerwoną szminkę na ustach. Przełknęłam ślinę. Naprawdę przesadziłam. Zmierzyłam falbankę za kolanem i... Och, ależ dekolt. Zajrzałam w niego. Wow, z góry już w ogóle nieźle się prezentował. Sprawiał wrażenie takiego dużego tylko z tej perspektywy czy ludzie też tak go widzieli?

Ruszyłam z powrotem do szafy, żeby przebrać się w coś innego, kiedy Edyta Geppert zaczęła krzyczeć. Kocham tę piosenkę, ale naprawdę muszę zmienić dzwonek, a na domiar złego spytać Kubiaka, skąd ma mój prywatny numer. Czekał już pod blokiem i słusznie się niecierpliwił, a ja stałam pośrodku sypialni i patrzyłam z paniką na własne odbicie. Powinnam się przebrać, przecież ludzie...

– *Kogo interesuje, co myślą ludzie, skarbie?* – usłyszałam w głowie głos mamy. – *Oni i tak o tobie zapomną, a to ty zostaniesz z żalem, że nie przeżyłaś swojego życia tak, jak pragnęłaś, bo martwiłaś się jakimiś przypadkowymi opiniami.*

Żałowałam, że nie było jej w domu, żeby powtórzyć mi to na żywo, ale przecież słyszałam te słowa już tak wiele razy.

Podeszłam do lustra i spjrzałam sobie głęboko w oczy, które odziedziczyłam po niej.

– *Kogo obchodzą ludzie, Ina?* – szepnęłam. – *Czy nie za dużo życia już spędziłaś na przejmowaniu się tym, czego od ciebie oczekują?*

Mama przyciągała uwagę. Ilekroć przychodziła do mojej szkoły, dzieci wytykały ją palcami przez kolorowy strój, warkoczyki na głowie, tatuaże. Dorosli zaś najczęściej udawali, że jej nie widzą. Może takie czasy. Z tego powodu zazwyczaj nie mówiłam jej o występach, apelach, piknikach czy jakichkolwiek innych uroczystościach, w których brali udział rodzice. Jeżeli nie dowiedziała się o nich na zebraniu, nie przychodziła. Nie chciałam, żeby moi koledzy się z niej śmiali. Nie chciałam, żeby mówili o niej okropieństwa.

A potem o mnie.

Dlatego stałam się przeciwieństwem mojej matki. Wtapiałam się w tłum możliwie jak najumiejtniej. Kupowałam tylko szare i czarne ubrania. Wzrok wlepiałam w podłogę. Stawałam przy ścianie na przerwie pomiędzy lekcjami z nadzieją, że się z nią stopię, zniknę, przypadnę.

Ocknęłam się, kiedy telefon znów zaczął się drzeć. Uśmiechnęłam się do siebie na odchodne i popędziłam na dół. Od kilku lat marzyłam, żeby założyć tę sukienkę. Skoro nadarzyła się okazja, skorzystam z niej. Może właśnie o to chodzi w życiu? Żeby zakładać piękne kiecki, kiedy mamy na to ochotę, a nie wtedy, gdy uważamy, że wypada?

Kubiak opierał się o auto i napastował komórkę, przez co moja odzywała się wibracjami w czarnej kopertówce. Na dźwięk odbijających się od chodnika obcasów odwrócił się w moją stronę i już miał coś powiedzieć, ale jego usta pozostały uchylone. Jabłko Adama na jego szyi poruszyło się,

więc stanęłam jak wryta i zlustrowałam swoją kreację.

– Jednak przesadziłam? – spytałam płaczliwym tonem. – Czy mam coś na twarzy? Powiedz mi, bo jeśli dla żartu to przede mną zataisz... – Komu ja chciałam ufać? Wyciągnęłam z torebki telefon i włączyłam przednią kamerkę, ale po wstępnych oględzinach nic nie zauważyłam. Wyszczrzyłam nawet do niej zęby w obawie, że coś mi pomiędzy nimi utknęło. Nic. – Czyli przesadziłam?

Kuba chwycił moją rękę i zmusił do okręcenia się wokół własnej osi.

– Tak jak myślałem – powiedział.

– Co myślałeś?

Zamiast odpowiedzieć, otworzył mi drzwi i zaprosił gestem, bym wsiadła.

– Nie wejdę, dopóki nie powiesz mi, czy wszystko...

– Wszystko w porządku, terrorystko – odparł zniecierpliwiony. – Twoje włosy falują na wietrze, sukienka odbiera dech w piersi, oczy lśnią jak gwiazdy. Zadowolona?

– Jesteś beznadziejny – syknęłam i usiadłam na swoim miejscu.

Gdyby powiedział to bez maniery w głosie, byłabym skłonna mu uwierzyć. Nawet gdyby oznaczało to, że moje szare komórki wyginęły jak dinozaury. Zresztą nie umarłby, gdyby powiedział coś miłego. Każdy lubi od czasu do czasu usłyszeć jakiś komplement. Zwłaszcza gdy trzęsie się z nerwów jak osika.

Obrażę się na niego. Chociaż tyle mogę dla siebie samej zrobić.

Jechaliśmy więc w milczeniu. Kubiak tylko raz na jakiś czas rzucał mi uchachane spojrzenie, najwidoczniej świadomy tego, że się gniewam, i absolutnie tym zachwycony. Ja natomiast nieustannie zerkałam w samochodowe lustro, sprawdzając, czy wszystko było na swoim miejscu. Nie wiedziałam, co mogłoby odpaść, ale coś mogło na pewno.

Cudem znaleźliśmy miejsce przed hotelem, ponieważ na parkingu panował istny kocioł. Kuba wyskoczył z samochodu tak szybko, że nawet nie zdążyłam go spytać, czy nie lepiej wrócić do domu i pooglądać seriale. Otworzył drzwi pasażera i podał mi dłoń. – Czy terrorystka pozwoli? – spytał głupkowato.

Wyszłam sama, co wzbudziło w nim jeszcze większą radość. Po parkingu kręciło się mnóstwo elegancko ubranych ludzi. Raju, całe szczęście, że założyłam tę sukienkę. Postroili się, jakby to była co najmniej gala oscarowa. Wszystkie sukienki, które pokazywałam Kubie, wyróżniałyby się pospolitością.

Czyli jednak pomógł. Do diabła!

Chwyciłam go za ramię, poszukując wsparcia. Szliśmy w stronę wysokiego budynku równym krokiem. On – kiwając głową i uśmiechając się do wszystkich pozdrawiających go osób, i ja – czerwona z przejęcia i machająca jak wściekła tylko jednokrotnie, na widok pana Waldka.

Udawałam, że nie dostrzegam taksujących spojrzeń. Niektóre osoby kojarzyłam z widzenia, ale oni byli zainteresowani głównie tym, że pojawiliśmy się na imprezie razem z Kubą, aktualnie moim asystentem. Plotkom nie będzie końca.

Sala, w której odbywało się przyjęcie, była olbrzymia. Stoły ozdobiły białe lilie, nad naszymi głowami wisały kryształowe żyrandole. Niektórzy goście bujali się w rytm radiowej muzyki, ale tak naprawdę większość tłoczyła się przed wejściem, jakby obawiając się ostatecznego wkroczenia na teren wroga. Ci, którzy pogodzili się już ze swoim losem, wylądowali przy barze, gdzie kilku barmanów rzucało pod sufit butelkami, wywołując co chwilę okrzyki zachwyty i brawa.

Stanęliśmy przy tym tłumie, gdy Kuba zabrał swoje ramię z mojego żelaznego uścisku i powiedział, próbując przekrzyczeć hałas: – Zostawię cię tutaj na chwilę, dobrze? Muszę się trochę pouśmiechać i porobić dobrą minę do złej gry, ale obiecuję, że niedługo do ciebie wrócę. Dasz sobie radę?

Pokiwałam głową. To akurat żaden problem. Wtopię się w ścianę, nawet w tym stroju.

Odprowadziłam go spojrzeniem. Podszedł do trzech mężczyzn w średnim wieku. Jednego z nich kojarzyłam z zebrań, był dyrektorem do spraw finansów. Wyjątkowo uprzejmy i życzliwy człowiek. Jako jeden z niewielu nie ignorował mojego istnienia, a czasem zagadywał i opowiadał żarciki. Reszta wyglądała na raczej niezadowolonych, ale Kuba nachylił się do nich, coś szepnął, co doprowadziło do tego, że dwóch się zaśmiało, a na ustach jednego zatańczył cień uśmiechu. Jak on to robił?

Zerknął w moją stronę i nasze oczy się spotkały. Migiem odwróciłam wzrok i wlepiłam go w popisy barmanów. Widział, że się gapiłam. Ale z drugiej strony, co miałam robić, skoro zostałam sama? Powinnam zniknąć mu z pola widzenia. Zająć się czymś.

Tylko czym?

W tłumie mignął znajomy kolor włosów. Zaczęłam się przeciskać. Komuś nadepnęłam na palce, ktoś omal nie wylał przeze mnie drinka, aż wreszcie trafiłam na miejsce i wrzasnęłam, próbując przekrzyczeć hałas:

– Cześć!

Julia podskoczyła, prawie oblewając się zielonym drinkiem, który miał znaleźć się w jej ustach. Od razu zlustrowała moją kreację.

– Wyglądasz zajebiście – oświadczyła.

Odchrząknęłam w odpowiedzi na komplement i spałam buraka. Zaczęłam kręcić głową i marudzić coś o tym, że przesada, głupota i słabe światło. Zmierzyłam jej bogato zdobiony złoty żakiet i beżowy kombinezon, który się pod nim ukrywał. Krwistoczerwone usta zamoczyła w alkoholu.

– Ty wyglądasz jak gwiazda! – krzyknęłam, trochę zażenowana poziomem tej uwagi.

Julia jednak poprawiła włosy i rzuciła tylko krótkie:

– Wiem.

I co dalej? Uciekłam w tłum, pragnąc zniknąć z zasięgu wzroku Kuby, a teraz konsekwencje lekkomyślnych działań uderzyły we mnie całą mocą rażenia. Będę musiała z nią rozmawiać. Z wizytówki nie skorzystałam, chociaż obiecałam, że zadzwonię. Co ja sobie myślałam?

– Załatwić ci drinka? – spytała.

Podawała mi swoją szklankę i siłą precyzyjną się między ludźmi, klnąc przy tym na czym świat stoi. Wszyscy, którzy ośmielili się kazać jej wrócić do kolejki, co wnioskowałam po wystrzelających do tyłu rękach, dostawali w odpowiedzi jakąś kąśliwą uwagę, przez którą momentalnie milkli. Nie słyszałam, co Julia im mówiła, ale ich miny wystarczyły, żeby się domyślić, że to nic miłego.

W taki sam sposób wydostała się stamtąd z niebieskim drinkiem.

– Trzymaj, przyda ci się.

Złapałam się go jak koła ratunkowego.

– A co, będzie aż tak źle?

– Nie – odparła i ponownie przechyliła szklankę. – Po prostu wyglądasz, jakby to była jedna wielka wywiadówka i zaraz się wyda, że przez ostatnie pół roku wagarowałaś. – Zaśmiała się z własnego żartu. – Wyluzuj, to impreza. Masz się upić, a jutro cierpieć przez kaca.

Wymusiłam uśmiech, nie odważając się wyznać, że nie jestem zainteresowana ani jednym, ani drugim. Szczególnie drugim. Kaca doświadczyłam tylko raz, gdy mama uznała, że na osiemnastkę możemy zaszaleć. Wypiłam wtedy tyle wina, że do dzisiaj wierzę, iż spojrzałam Śmierci w oczy. Stała nad kibelem, podczas gdy ja go czule obejmowałam, i kręciła głową z dezaprobatą.

No, ale Julia mogła mieć rację. Powinnam się rozluźnić i pozwolić ponieść chwili. Dokładnie tak, jak ona.

Przyglądałam się jej, jak opróżniała szklankę i wodziła wzrokiem po sali, bujając się w rytm muzyki. I wtedy zrozumiałam – to nie był jej pierwszy drink. Może i nie drugi.

– Jestem wściekła – wyrzuciła z siebie.

Wciągnęłam duży łyk niebieskiego napoju i od razu się skrzywiłam. Sam alkohol.

– Co się stało?

Czekała, aż spytam. Zlokalizowała dwa oddalone od wszystkich miejsca i poprowadziła nas w ich stronę. Zapowiadał się ciekawy wieczór. Chyba jednak trochę się napiję. Przecież nadarzyła się okazja. Jak często człowiek świętuje piętnastolecie Adeline? Szczęśliwie zauważyłam, że na stole porostawiano butelki czerwonego wina. Sięgnęłam po jedną i zaciągnęłam się jej zapachem – winogron i nadchodzącego cierpienia. Szybko napełniłam Julii kieliszek, dopiłam drinka i nalałam również i sobie.

– Facet mnie wystawił – przyznała gdzieś pomiędzy końcówką mojego niebieskiego koktajlu i pierwszym łykiem cierpkiego wina.

– Totalnie cię rozumiem – odparłam wyczerpująco.

– Ale wiesz, co jest najgorsze w tym wszystkim?

Lekko bełkotała, więc przysunęłam się bliżej.

– Że jestem tak popaprana, że właśnie to mi się podoba. Jak jest za dobrze, koleś nie spóźnia się na spotkania i patrzy jak w święty obrazek, szybko się nudzę. – Pochwyciła palcami roladę szpinakową i wcisnęła ją sobie w całości do ust. Imponujące.

– A im bardziej mnie od siebie odsuwa, tym bardziej się nakręcam. Co jest ze mną nie tak?

– Terapia – powiedziałam i wychyliłam wino do końca.

Wyglądała, jakbym właśnie powiedziała jej, że powinna spróbować biegu przez płotki.

– No co? – Nalałam sobie kolejny kieliszek. Niedobrze. Ledwo zamieniłyśmy dwa słowa, a ja już wysyłałam ją do specjalisty. I jak ja miałam mieć przyjaciół? – Znaczy wiesz... Ja to po prostu widzę w ten sposób: jak cię bolą zęby, idziesz do dentysty. Dlaczego nie robić tego samego z głową?

Oparła łokieć na stole i popukała się w czoło.

– Bo nikt nie chce wyjść na czubka – rzekła.

Zgrzytnęłam zębami. To mój zapalny temat – gdy tylko się nawinął, nakręcałam się do granic możliwości. Po prostu chciałam, żeby ludzie dbali o swoje zdrowie psychiczne. Świat byłby piękny, gdybyśmy to robili!

– A może czubkiem jest ten, który żyje nieszczęśliwie i nic z tym nie robi? – Machnęłam kieliszkiem, omal nie wylewając jego zawartości na swoją sukienkę. – Nasza głowa ma prawo się rozchorować, pogubić, potrzebować naprowadzenia...

– Ale to słabość – przerwała mi Julia. – Wiesz, przyznać się, że chodzisz do psychiatry albo terapeuty. – Skwasiała się. – Ludzie od razu patrzą na ciebie, jakbyś miała jakiś problem.

Trzasnęłam kieliszkiem o stół. Biały obrus zarobił kilka ciemnoczerwonych plam. Siedząca obok nas para zamilkła. Na szczęście nie widziałam wyrazów ich twarzy, bo siedziałam do nich tyłem.

– Jak można nazwać słabym człowieka, który mierzy się z trudnościami? – Wyrzuciłam ręce na boki. – To jakby złościć się na ludzi za to, że zapalił im się pęcherzyk żółciowy. Jak mogli do tego dopuścić? – głądziłam. – Jak śmieli okazać słabość?! Ostatnie zdanie zostało urwane potężnym siorbnięciem, ale szybko odsunęłam od siebie kieliszek, kiedy spostrzegłam zmierzającego w naszym kierunku Kubę. Przywitał się zdawkowo z Julią i kucnął przy mnie.

– Potrzebuję jeszcze chwilki – powiedział. – Dobrze się bawisz?

Bawiłam się coraz lepiej. Bariery powoli znikwały. Mówiłam prawie wszystko, na co miałam ochotę. Filtr w głowie się wyłączył i czułam, że powinnam się tym zmartwić, ale odrzuciłam to przecucie.

– Czyli jednak coś was łączy! – krzyknęła Julia, gdy Kubiak odszedł.

Teraz to ja popukałam się w czoło.

– Chyba nienawiść – odparłam. – Nie no. Kolegujemy się.

Dopiła wino. Nabraliśmy naprawdę przyzwoitego tempa.

– Kolegujecie, aha. – Nachyliła się do mnie. – I chcesz mi powiedzieć, że nie próbował cię przelecieć?

W sumie to nie próbował. Poza kilkoma durnymi i raczej słabymi tekstami, ani razu nie wykonał ruchu w tę stronę. Nigdy. To też jej powiedziałam i okazało się, że nic tak nie połączy dwójki ludzi jak obgadywanie trzeciego. Najlepsza rozrywka, jaką tylko można sobie wyobrazić. Julia szybko podzieliła się ze mną plotkami krążącymi po firmie, a ja po kolejnym kieliszku wyznałam jej, że Kubiak jest okropny.

– Okropny? – powtórzyła wstrząśnięta. – A co robi?

Zapowietrzyłam się i mocno zamrugłam, żeby obraz ponownie stał się wyraźny. Julia prowadziła w piciu, choć starałam się jej nie ustępować. W tle coś się działo – jakieś przemowy i oklaski, ale niezbyt się tym przejmowałyśmy.

Pewnie nie tak powinnam zachowywać się na pierwszej firmowej imprezie, ale przecież nie robiłam niczego złego... Prawda?

– Przynosi mi kawę, pomaga, uśmiecha się tak... Wiesz... – Spojrzałam jej głęboko w oczy i zacisnęłam obydwie dłonie na jej kolanach. – Tak, że każda złość z ciebie ulatuje. I chcesz się wściekać

i krzyżeć na niego, ale dociera do ciebie, że nie potrafisz... i w sumie nie masz ku temu powodów.

Całkowicie to rozumiała. I to okropne zachowanie również. Od słowa do słowa przyznała mi się, że pewnej nocy jej stosunki z Kubą również się ociepliły. Podobno wydarzyło się to, gdy dopiero przyjęła się do firmy i niewiele wiedziała o jego reputacji.

– Potrafi być czarujący, jeśli chce! – Otrząsnęła się. – Wiesz, jest tym typem faceta, który przyciąga spojrzenie i fascynuje. Wydaje ci się, że możesz go zmienić na lepsze, on oczywiście udaje zmienionego, a ty dumnie sądzisz, że to twoja zasługa. Potem okazuje się, że to zasługa twojej waginy, a czar działa tylko przez jedną noc.

Zmienić... Nie wiem, czy Kubiak rzeczywiście potrzebował jakichś wielkich zmian. Chociaż pewnie, patrząc z perspektywy tych wszystkich kobiet, których naiwność wykorzystał, można na to spojrzeć w ten sposób. To zdumiewające, jak punkt widzenia zmienia się wraz z punktem siedzenia. Bartek miał rację. Ja nie byłam obiektem pożądania Kuby, więc przynajmniej uniknęłam gierek.

– Naprawdę się do ciebie nie dobierał? – drażyła Julia.

Oderwałam się od kieliszka. Czy ona serio nie widziała, że nie byłam w jego typie? Wystarczyło zrobić szybkie porównanie: Magda była drobną szatynką, a ja niedrobną blondynką. Brązowe oczy i zielone. Oliwkowa cera kontra brzoskwińowa. Modelka i marketerka od siedmiu boleści. Uciekła ze mnie cała radość. Naprawdę blado wypadałam w tym zestawieniu.

Zaprzeciłam szybkim ruchem głowy i złapałam się stołu, ponieważ świat wokół zaczął wirować.

– Niemożliwe – skomentowała. – Za ładna jesteś. Ciekawe, co siedzi w tej jego blond łepetynie.

Uśmiechnęłam się w podzięce za komplement, w który i tak nie uwierzyłam.

– Zakochał się podobno – wypaliłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

– W tobie?

Parsknęłam, opluwając wszystko wokół, łącznie z sałatką, która stała niedaleko i ktoś próbował ją sobie nałożyć. Mężczyzna ze zrezygnowaniem odłożył łyżki i usiadł z powrotem na swoim miejscu. Nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiło się wokół nas tak tłoczno.

– Chyba oszalałaś. Jestem ostatnią osobą, do której mógłby coś poczuć – odpowiedziałam. – W modelce. Wiesz, nogi do nieba, anielska twarz, biżuteria na urodziny...

– Ach, pewnie mówisz o Magdzie. – Nałożyła sobie na talerz sałatkę, którą oplułam. – Właśnie słyszałam, że wróciła. Świetna babka, ale wątpię, żeby miał na co liczyć. Zwodzi go, odkąd pamiętam.

Poczułam się zdradzona. Jakbyśmy stały razem na polu walki, a Julia nagle wbiła mi miecz prosto w brzuch. Myślałam, że się całkowicie rozumiemy, a teraz mówi, że Magda jest świetną babką?

– Nie wydała mi się zbyt miła...

– Tylko sprawia takie wrażenie, tak naprawdę ma wielkie serce – mamląła z ustami wypchanymi zieleniną. – To profesjonalistka, a przy tym nie zadziera nosa. Wydaje się może trochę wyniosła, ale...

– Trochę? – weszłam jej w słowo. – Za każdym razem patrzy na mnie, jakbym jej kogoś zabiła.

Liście i rzodkiewki chrupały pomiędzy zębami mojej towarzyszki, gdy tak przeżuwała bezmyślnie i wpatrywała się we mnie.

– No co? – spytałam.

– Zazdrosna jesteś, wydaje ci się – powiedziała spokojnie.

Dobre sobie! Zazdrosna! Ciekawe o co.

– Zazdrosna! – krzyknęłam głośniej, niż chciałam. – Bo nie podoba mi się to, że ktoś jest niemiły?

Miałam nigdy nie poznać odpowiedzi na to pytanie. Julia znienacka wyskoczyła z zupełnie innym tematem. Pozwoliłam zatem wciągnąć się w rozmowę o losach ludzi z naszej klasy gimnazjalnej. Julia z wieloma osobami utrzymywała jeszcze jakiś szczątkowy kontakt, choć od razu rzuciła, abym nie próbowała się z nimi zaprzyjaźnić, bo to banda idiotów.

Rozprawiała o historii największej klasowej mały, która chętnie uprzykrzała nam życie, gdy poczułam czyjś dotyk na ramieniu. Kuba znów kucnął i zmrużył powieki, uważnie przyglądając się mojej pijanej twarzy.

– Jesteś totalnie nawalona – powiedział, na co ja radośnie zarechotałam i poklepałam go po

policzku, a Julia oparła się na jego ramieniu i wyzionęła mu w twarz:

– To nie ja cię zmieniałam, tylko moja wagina.

Wybuchłam głośnym śmiechem, na co mężczyzna się podniósł i wyciągnął w moją stronę rękę.

– Może się przewietrzymy?

Przeniosłam wzrok na Julię.

– Idź. – Wstała i delikatnie się zachwiała. – Ja zadzwonię do dupka i powiem mu, co myślę o wystawianiu Julii Kruk. To ja jestem tą, która wystawia. Nie na odwrót.

– Terapia! – krzyknęłam jeszcze za nią i chwyciłam ciepłą dłoń Kuby. Świat zawirował, ale wtedy jego ręka znalazła się na mojej tali, dzięki czemu odzyskałam równowagę.

Świeże powietrze lekko mnie otrzeźwiło. Weszliśmy do ogrodu i skręciliśmy w alejkę otoczoną po obydwu stronach wysokim żywopłotem. Obcasy zapadały się w żwirze, ale jako że trafiliśmy na opustoszałą dróżkę, postanowiłam zdjąć szpilki.

Zignorowałam pytające spojrzenie Kubiaka i odetchnęłam głęboko. Hałas ucichł, a wokół nie zlokalizowałam ani jednej duszy. Za to pod wierzbą płaczącą stała pojedyncza ławeczka i aż prosiła się, żeby na niej usiąść. Pobiegłam do niej uradowana i wyprostowałam nogi.

– Zostawiłem cię może na pół godziny – powiedział Kubiak, siadając obok.

Otworzyłam oczy.

– Było super – oznajmiłam. – Rozmawiałyśmy sobie z Julią.

Zakaszłał, widocznie zmieszany. Poprawił brązowy krawat, który współgrał ze zgniłozielonym garniturem.

– Tak, jeśli o to chodzi...

– Wiem – przerwałam mu i poklepałam go po ramieniu. – Powiedziała mi wszystko.

– Wszystko? – upewnił się.

Zbliżyłam twarz do jego twarzy.

– Wszyścusiśienko.

Odsunęłam się i wpatrzyłam w wiszący na szarym niebie księżyc w pełni, przebijający się pomiędzy zielonymi gałązkami. Kiedy ostatni raz wpatrywałam się w niebo? Świat miał w sobie wiele piękna, na które stałam się ślepa z wyboru. Nie zachwycałam się zachodami słońca, nie uśmiechałam do kwitnących wiosną kwiatów, nie otwierałam okna, gdy zaczynał padać deszcz. Wychowałam się w domu, w którym natura była przyjacielem, ale odcięłam się od tego.

– O czym myślisz? – spytał.

– O tym, że świat jest piękny.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Naprawdę o tym myślałaś?

Oblizalam usta i przytaknęłam.

– Naprawdę jesteś... – Zawahał się. – Jesteś Maliną.

Zmarszczyłam brwi i już przygotowałam się na atak, kiedy Kuba powiedział:

– Dobra, dobra, wiem. Wystarczy Ina.

Zaśmiał się i zwrócił twarz do nieba, a ja dalej siedziałam z szeroko otwartymi ustami i oczyma, nie potrafiąc oderwać od niego wzroku. Włosy nachodziły mu na czoło, prawdopodobnie domagając się strzyżenia, a na policzku widniała niewielka ranka po goleniu.

– Dlaczego nie spróbowałaś? – spytałam.

Spojrzał na mnie z niemym zapytaniem.

– Przecież to właśnie robisz z kobietami z pracy – ciągnęłam. – Zaciągasz je do łóżka. To przez to, że nie wyglądam jak modelka?

Kubiak się zmieszał. Uciekł spojrzeniem i podrapał się po karku.

– Zdecydowanie narąbana – szepnął pod nosem, ale nie zamierzałam odpuścić.

– Bo nie wyglądam jak modelka? – Chwyciłam jego rękę i zaczęłam nią trząść. – Mów!

– Rozumiem – wydusił z siebie. – Po alkoholu stajesz się przerośniętą pięciolatką, zadającą niewygodne pytania.

Puściłam go.

– A więc o to chodzi, tak? – Założyłam ręce na piersi. – Za niska i za krępa.

Poczułam puknięcie. Kuba pstryknął mnie prosto w czoło.

– Niska i krępa? – powiedział z niedowierzaniem. – Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Zamyśliłam się, i to poważnie. W uszach słyszałam szum. Jego głos ledwie się przez niego przedostawał.

– Krawcowa tak powiedziała – wyznałam.

Schował twarz za dłońmi i nie przestawał chichotać, mimo że waliłam go po plecach, żeby się uspokoił. Śmiał się z mojego nieszczęścia!

– To nie jest śmieszne! To przykre!

Przeniósł ręce na kolana i skupił wzrok na czubku mojej głowy.

– Poczekaj, nie ruszaj się – szepnął.

Idealny sposób na to, żeby ktoś zaczął się ruszać. Szybko. W panice.

– O co chodzi? – stęknęłam. – To pajak? Zabierz go! Zabierz!

– Uspokój się i nie machaj tymi łapami – jęknął, wyciągając telefon z kieszeni. Drugą ręką unieruchomił mi dłoń.

Zrobił zdjęcie, po czym mi je pokazał. Na czubku mojej głowy siedziała sobie, jakby nigdy nic, niebieska ważka. Wyrwałam mu komórkę z ręki i zapiałam z zachwytu.

Dobrze, że mnie nie użarła.

– To na szczęście! – krzyknęłam, ale od razu spowaźniałam. – Ale i tak gniewam się za to, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Kuba wyciągnął mi telefon z dłoni i schował do kieszeni.

– Czy jeśli odpowiem, dasz już na dzisiaj spokój z winem?

Zmarszczyłam nos.

– Istnieje takie prawdopodobieństwo – odparłam.

Czy Kuba zawsze był taki przystojny? Wydawało mi się, że wyładniał w ostatnich tygodniach. Oczy, niegdyś puste i bezmyślne, nabrały jakiejś głębi. Zapach sprawiał, że czułam się bezpieczniej. A usta...

– Bo cię lubię – powiedział, sprawiając, że oderwałam spojrzenie od jego warg. – Nie próbowałem, bo cię lubię. Poza tym... – Zawahał się. – Skończyłem z tym.

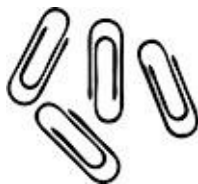
– Z czym?

– Z zaciąganiem kobiet do łóżka – uściślił. – Chcę czegoś innego.

Moja głowa opustoszała. Zrobiło się w niej cicho jak makiem zasiał. Chciał czegoś innego. Nie czegoś, tylko kogoś. Że też dopiero teraz sobie to przypomniałam.

Magda. Kuba czekał na Magdę.

Rozdział 23



Wróciliśmy na salę, a ja przytomnie oceniłam jej stan. Czułam się już bowiem absolutnie trzeźwa. Szum w uszach ustał, świat się nie kręcił, a krok stał prostszy. Mogłam zatem bezkarnie obserwować innych, a niektórzy wzięli sobie do serca szansę na wybawienie się w tę noc. Podniesione głosy, nagłe wybuchy śmiechu i szaleństwa na parkiecie zajmowały część pracowników. Część siedziała przy stołach lub podierała ściany, mierząc bawiących się nieprzychylnym spojrzeniem, a jeszcze inni udawali, że dwie pozostałe grupy nie istnieją, i prowadzili ożywione rozmowy.

W drodze do stołu znalazłam jeszcze wzrokiem Julię, zawieszoną na wysokim szatynie w czarnym smokingu. Pomachałam do niej. Facet stał tyłem. Szkoda. Bo czyżby jednak jej luby się namyślił i pojawił?

Kuba odsunął mi krzesło i natychmiast zabrał kieliszek.

– Hej! – krzyknęłam.

– Wyglądasz, jakbyś już bawiła się świetnie – powiedział. – A poza tym coś mi obiecałaś.

Zmarszczyłam czoło i przyjrzałam się naprędce potrawom rozstawionym na stole.

– Nic ci nie obiecywałam.

Kuba poprawił marynarkę i podążył za moim wzrokiem.

– Jesteś głodna? Słyszałem, że gdzieś są bezmięsne mielone. – Rozejrzał się. – Zresztą powinnaś cieszyć się, że dbam o twoją reputację.

Podniósł się i sięgnął półmisek, żeby podetknąć mi go pod nos. Nadziałam mielonego na widelec i powąchałam. No rzeczywiście bezmięsny. Zaśmiałam się jednak na myśl o tym, co Kubiak powiedział. Najpierw pod nosem, ale im dłużej odtwarzałam to sobie w głowie, tym bardziej śmiech przybierał na sile. W końcu wyłam, przyciągając uwagę wszystkich dookoła i ocierając lejące się z oczu łzy.

– Reputację – wystękałam. – Ty... moją reputację...

Dyrektor przewrócił oczyma i posłał przepaszający uśmiech do naszych sąsiadów.

– Masz szlaban na alkohol – szepnął. – Dożywotni.

Wcisnęłam do ust kawałek kotleta, wciąż nie mogąc powstrzymać rechotu. Obym się tylko nie udławiła.

– Nie będzie mi samiec mówił, co mogę, a czego mnie – wybełkotałam z pełnymi ustami.

– Czego cię? – spytał bez przekonania Kuba.

– Mnie?

Teraz to on parsknął śmiechem. Sięgnął po sałatkę, zajrzał, co jest w środku, po czym nałożył mi łyżkę na talerz, a na koniec wypełnił moją szklankę sokiem pomarańczowym.

– Jedz, kac będzie mniej bolał – polecił.

Spróbowałam wybełkotać w odpowiedzi, że żadnego kaca nie będzie, ale usta miałam po brzegi wypełnione sałata lodową i serem feta. Mój towarzysz przytaknął więc tylko, dając do zrozumienia, że guzik zrozumiał i mogę sobie mówić zdrów.

Ludzie zaczęli wstawać ze swoich miejsc i schodzić z parkietu, zgodnie tłocząc się pod sceną,

na której pojawił się elegancki jegomość z długim siwym wąsem i olbrzymią szklaną kulą. Pisnęłam, ściskając Kubę za ramię.

– Magik? – spytałam z nadzieją.

Z całych sił starał się opanować rozbawienie.

– Loteria – wydukał po dłuższej chwili. – Taka tradycja. Możesz kupić los, wpłacając na akcję charytatywną, o tam. – Wskazał mi punkt, za którym stała dwójka staruszków. – Potem następuje losowanie nagród. Mniejszych i większych. Wakacje na Zanzibarze... albo toster.

– Na Zanzibarze – powtórzyłam oczarowana. – Chciałabym kiedyś pojechać za granicę.

Wgryzłam się w kromkę chleba, która do tej pory leżała samotnie na obrusie. Trochę czerstwa, ale zjadliwa.

– Nigdy nie byłaś za granicą?

Potrząsnęłam głową. Kiedyś prawie pojechałyśmy z mamą do Chorwacji, ale skończyło się na planach. Zawsze znalazły się ważniejsze wydatki.

– O czym my mówimy? – Westchnęłam. – Kuba, ja nie pamiętam, kiedy ostatni raz odwiedziłam polskie morze. A w górach byłam, jak miałam może pięć lat.

– Zabiorę cię – wypalił.

Omiał nie spadłam z krzesła.

– Co?

Rozbrzmiały brawa. Kobieta w krótkiej rozkloszowanej sukience weszła na scenę i odebrała... toster. Czyli Kubiak nie kłamał.

– Na przykład po świętach – dodał. – W polskie góry. Nauczę cię jeździć na nartach.

Wszystko wokół ucichło. Kuba sięgnął po butelkę z sokiem, napełnił sobie szklanekę, a ja gapiłam się na niego jak sroka w gnat. *Zabiorę cię*, huczało mi w głowie. *Nauczę cię jeździć na nartach*.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo ktoś podszedł i szybkim ruchem poklepał Kubę po ramieniu. Nowo przybyły prędko zabrał rękę, jakby się sparzył. Z trudem oderwałam wzrok od dyrektora i przeniosłam go na stojącego nad nami prezesa.

– Jak się bawicie? – spytał.

Wyglądał na spiętego do granic możliwości. Przyklejony do ust uśmiech ledwie się trzymał, na czole lśniły kropelki potu. Musiał gotować się w tym smokingu.

– Świetnie, dzięki – odpowiedział mu syn.

Prezes ponownie się uśmiechnął, a przynajmniej spróbował, po czym wykonał gest – coś pomiędzy poprawieniem marynarki a zwykłym nie wiem, co zrobić z rękoma.

– Spróbujcie krewetek – powiedział, wskazując kwiecisty półmisek. – Są wyśmienite.

Krewetek? Utkwiłam wzrok w białym sosie. Proponował uczulonemu na owoce morza synowi krewetki?

Mój żołądek zacisnął się w supeł. Krewetki! Zerknęłam na bladego Kubę. Jak ojciec mógł go tak traktować? Może i dyrektor nie był wzorem cnót, ale... nie zasługiwał na to. Nie na to, żeby jego własny ojciec traktował go tak podle.

– Jest pan po brzegi wypełniony gównem – wycedziłam.

Prezes znieruchomiał, a po uśmiechu nie został ślad.

– Co pani powiedziała?

Kuba zerwał się z siedzenia i poklepał ojca po ramieniu.

– Zignoruj to, jest kompletnie pijana. Nie wie, co mówi – szepnął.

Postawił mnie na nogi i spróbował wyprowadzić, ale wyrwałam mu się.

– Doskonale wiem, co mówię! – Stałam z prezesem twarzą w twarz. – Jest pan pełen gówna. Jak jakieś szambo, z którego korzysta siedmioosobowa rodzina.

Nie ugięłam się pod jego gniewnym spojrzeniem. Sam nacisnął ten przycisk, przypominając o dniu, w którym Kuba opowiedział mi o swojej alergii na owoce morza. O tym, że dla ojca liczyło się tylko to, że zniszczył mu spotkanie. Żał mi było prawie trzydziestoletniego mężczyzny, a gdy pomyślałam sobie o tym, że był wówczas tylko dzieckiem, serce łamało się na pół. I to dzieckiem, które dopiero co straciło mamę.

– Nie życzę sobie... – zaczął prezes.

– Jak pan mógł... – Zacisnęłam pięści. Ze złości. Bezsilności. Przez tę gorycz, która paliła gardło. – Jak pan mógł przełożyć jakieś służbowe spotkanie ponad zdrowie własnego syna? Zupełnie, jakby Kuba miał nad tym jakąkolwiek władzę. Był tylko dzieckiem!

Znów aplauz. Na scenę wszedł pan Waldek, a animator wręczył mu odkurzacz.

– O czym pani mówi? – spytał wreszcie prezes, opanowując podniesiony ton głosu.

– Ina? Spójrz na mnie. – Kuba wszedł pomiędzy nas. – Daj spokój, dobrze?

Wyminęłam go.

– Jak pan mógł tak po prostu przyjść i proponować nam owoce morza, jakby nie znał pan własnego syna?!

Skoro ze mną się nie udało, teraz Kubiak dopadł do ojca.

– Tato, zignoruj to...

Jednak prezes tylko uniósł dłoń, każąc mu zamilknąć.

– To pani powiedział? – spytał, mroząc mi krew w żyłach. – Że jest uczulony na owoce morza?

Błądziłam spojrzeniem pomiędzy spanikowanym Kubą i jego uśmiechającym się smutno ojcem.

Jakby ten uśmiech mówił: *mogłem się tego spodziewać*.

– Na owoce morza? – powtórzył jeszcze raz z kpinią w głosie. – Proszę pani, zajada się nimi, jakby to były ziemniaki.

Świat zawałił mi się na głowę. Trzasnął tak dobitnie, że aż usiadłam.

– Ale... jak to? – Złapałam Kubę za marynarkę. – To prawda?

Ale żadna odpowiedź nie nadeszła. Dyrektor wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Zaszło nieporozumienie. – Podniosłam się i stanęłam nim twarzą w twarz. – Nie mówimy o tym samym, prawda? Nie skłamałbyś...

– Chyba jednak – zamiast Kubę, odezwał się prezes i... odetchnął. Stał na mojej wysokości.

– Przykro mi, ale wykorzystał pani naiwność. – Zaczął odchodzić, ale odwrócił się jeszcze i rozejrzał, czy nikt nas nie słyszał. – To się nigdy nie wydarzyło. I odszedł.

– Ina, błagam cię, wysłuchaj mnie...

Kuba złożył dłonie jak do modlitwy. Wpatrywałam się w nie zamiast w niego.

– Dobrze, słucham – odpowiedziałam. – Czy kłamałeś, gdy mówiłeś o alergii?

– Ja... Nie wiedziałem, że się zakolegujemy. Nie przewidziałem...

– Spytałam, czy kłamałeś! – wrzasnęłam.

Ludzie stojący nieopodal odwrócili się w naszą stronę i zaczęli między sobą szeptać. Dość tego. Co ja najlepszego... Dosyć. Ruszyłam do wyjścia, nawet nie zauważając, kiedy marsz przeistoczył się w bieg. Minęłam uprzejmie uśmiechających się ludzi, którzy wręczali prezenty każdej opuszczającej imprezę osobie, i wydostałam się z budynku, z całych sił opierając panice, która oplotła mi kostki i powoli wślizgiwała się po łydkach w kierunku serca.

Świeże powietrze dostało się do moich płuc. Pozwoliłam mu pobyc tam dłużej i dopiero powoli je wypuściłam. Szpilki uderzały o chodnikowe płyty, a stukot przyciągał spojrzenia nielicznych przechodniów, zaskoczonych widokiem dziewczyny w wieczorowej sukience z miną morderczyni.

– Ina! Pozwól mi wytłumaczyć!

Kuba dogonił mnie i złapał za ramię, ale wyrwałam się, nie zamierzając zatrzymywać. Miał setki szans, żeby to naprostować. Czas spędzony w klitce uważałam za przełomowy moment naszej znajomości. Poprosiłam tylko, żeby powiedział coś o sobie. Nie musiał kłamać. Mógł powiedzieć cokolwiek. Przyznać, że lubi ser żółty. On jednak postanowił zrobić ze swojej asystentki idiotkę. Zadrwić, patrząc prosto w oczy.

– Daj mi sekundę, proszę cię – mówił. – Oskarżony zawsze ma prawo do obrony!

– Nie jesteśmy na cholernej sali rozpraw! – krzyknęłam.

Zaszedł mi drogę. Och, jego szczęście, że nie nosiłam przy sobie paralizatora.

– Tylko moment – mówił. – Potem dam ci spokój.

Zagryzłam wargę. Co ja najlepszego zrobiłam? Jak mogłam powiedzieć prezesowi coś takiego? Przyszedł do nas, zagadał, starał się być miły. A ja potraktowałam go w taki sposób... No skończona

idiotka.

– Wiem, spieprzyłem sprawę – kajał się. – Wiem to. Po prostu... Awansowałeś, a ja straciłem stołek. Byłem wściekły na ojca... Chciałem ci pokazać, że nie jest tak, jak ty to widzisz.

– Ale tak jest – odpowiedziałam natychmiast. – Nie mam racji? Wszystkie zarzuty twojego ojca to prawda. Żadna z ciebie ofiara.

W jego oczach wezbrał smutek, ale tym razem nie zamierzałam dać się nabrać na kolejny aktorski popis. Chciałam go zranić. Wbić szpilę między żebra, żeby zobaczył, jakie to przyjemne. Dowalić mu, tak jak on ciągle dowalał mi.

– Tak, chyba tak – wykrztusił. – Przyznaję. Chciałem, żebyś się nade mną litowała. Wolałem widzieć w twoich oczach litość niż nienawiść.

Zbliżyłam się i wbiłam palec w jego pierś.

– Nienawiść? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Czy ty w ogóle masz pojęcie, o czym mówisz? Wkurzałam się na ciebie,

rozczarowywałam twoim zachowaniem, ale świadomie sobie na to pracowałeś! Od samego początku postawiłeś sobie za punkt honoru zniechęcić do siebie durną asystentkę! A ja i tak nigdy... – Łzy wezbrały w moich oczach, ale od razu je przegoniłam. – Jeśli ktoś cię nienawidzi, to ty sam. Dlatego nie wykorzystujesz swojego potencjału w firmie i pozwalasz sobie na ganianie za niemożliwym. Za kimś, kto nigdy cię nie pokocha. Bo nie wierzysz, że ciebie można kochać. To ty siebie nienawidzisz, Kuba. Ty.

Mogłabym dać sobie rękę uciąć, że chociaż tyle razy grał, zamiast być sobą, tym razem targnął nim najprawdziwszy żal. Bo prawda boli. Uwiera i łamie serce. Jednak jeszcze więcej cierpienia przynosi życie w kłamliwym śnie, z którego i tak w którymś momencie budzimy się bez uprzedzenia.

Powinien to potraktować jak przysługę.

– Wiesz, czego nie rozumiem? – dodałam. – Dlaczego sam sobie strzelasz w kolano? Mógłbyś mieć wszystko. Jesteś cholernie dobry w tym, co robisz. Mama jest tobą zachwycona. Pomagasz jej od niedawna, a już widać efekty... Potrafisz być czarujący, sprawiasz, że nawet ja czuję się przy tobie... – Czerwona lampka. Ina, morda w kubel. – Jakbym była ważna.

No i pięknie. Nie brnij w to. Odwróć się i zadzwoń do Bartosza. Nieważne, że jest teraz na wieczorze kawalerskim i pewnie nie odbierze. Zadzwoń do niego, ponieważ to o nim powinnaś teraz myśleć. To on powinien sprawiać, że czujesz się ważna. To on jest miły, dobrze ułożony. Idealny na partnera.

Dzwoń, do diabła.

Szłam szybko, siłując się z suwakiem torebki, aż wreszcie wydobyłam z niej komórkę i wybrałam numer okularnika. Po kilku sygnałach odezwała się poczta głosowa. Trudno, przynajmniej próbowałam, pomyślałam, ale wtedy dotarło do mnie, że Kubiak nadal za mną idzie, więc spróbowałam jeszcze raz.

– Halo? – wybrzmiało po drugiej stronie.

Odebrał. Matko i córko, odebrał. Będąc na wieczorze kawalerskim, kilka minut przed północą odebrał telefon. Powinnam go w ramki oprawić. Bartosza, nie telefon.

– Hej, nie przeszkadzam? – bąknęłam.

Po drugiej stronie nastąpiła wymowna cisza.

– Wiesz, jak to na kawalerskim... – wydusił z siebie wreszcie.

– Ach, no tak, oczywiście. – Palnęłam się w czoło. – Przepraszam, że dzwonię. Chciałam tylko powiedzieć, że ta impreza to totalna porażka. Dno. Było strasznie.

– Coś się stało? – spytał.

W gardle urosła mi gigantyczna gula. Co ja robiłam? Dlaczego przyszłam na imprezę z Kubiakiem i marnowałam na niego nerwy, jeśli tuż obok miałam dobrego człowieka, który mógł mnie uszczęśliwić?

– Stało – wydusiłam z siebie. – Strasznie narozrabiałam. Nie zdziwię się, jeśli w poniedziałek znajdę na swoim biurku wypowiedzenie. Wszystko popsułam. Tak bardzo pracowałam na to, żeby udowodnić wam swój profesjonalizm, a potem zwyzywałam swojego szefa po pijaku. I to w obronie

kłamcy.

Zaśmiałam się głucho. Po drugiej stronie jednak panowała cisza.

– Wiesz, co jest najgorsze? – kontynuowałam swój wywód. – Ja naprawdę sądziłam, że się zmienił i że w tym wszystkim, co robi, jest szczerzy. A czym skutkuje wiara w niemożliwe? – Pojedyncza łza spłynęła powoli po moim policzku. – Tym, że teraz idę z drugiego końca miasta pieszo do domu i czuję się, jakby ktoś we mnie wdepnął, a potem jeszcze przejechał walcem... Jesteś tam?

Zatrzymałam się i przycisnęłam mocniej telefon do ucha. Może nas rozłączyło.

– Halo?

– Tak, Ina, przepraszam cię, ale porozmawiamy o tym innym razem, dobrze? – Usłyszałam czyjś śmiech i kobiecy głos nawołujący jego imię. – Na pewno nie było aż tak źle. Zadzwoń później.

– Ale...

– Wracaj bezpiecznie i niczym się nie zajmuj – powiedział. – Porozmawiamy potem, obiecuję. Rozłączył się.

Kolejna łza wydostała się na zewnątrz, wyczuwając moment słabości. Nie płakałam od lat, a od kilku tygodni zachowywałam się jak zepsuty kran. Tego wieczora również się rozkleiłam. Nie dlatego, że Berek nie miał czasu na rozmowę.

To ja nie byłam wobec niego szczerą. Nie zadurzyłam się w nim. Ani w jego uśmiechu, ani w opowieściach, ani osobowości. Durzyłam się w marzeniu o byciu chcianą. Potrzebną. Dotykaną.

Kochaną.

Chciałam, żeby mnie kochał, mimo że nawet mu na to nie pozwoliłam. Zamknęłam się przed nim na wszystkie spusty. Chciałam stanąć w centrum jego wszechświata, niczym najprawdziwsze słońce, ale nie zamierzałam pozwolić mu na to samo. Godne pożalowania i skrajnie egoistyczne.

Doczłapałam do ławki i pozwoliłam sobie, żeby te wszystkie emocje, do tej pory chowane w fałdach skóry, wyszły na wolność. Pozwoliłam im płakać, trząść moimi ramionami i ziębić dłonie.

Ktoś podszedł i odgarnął mi włosy z twarzy.

– Idź do domu – wymamrotałam, odtrącając rękę Kubę. – Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie chcę na ciebie patrzeć.

– Przepraszam, Ina. Naprawdę, tak bardzo cię przepraszam...

– Wiesz, gdzie mam twoje przeprosiny? – wyplułam. – Odpowiedz sobie sam. Głęboko, głęboko, głęboko...

Spojrzał na telefon, który kurczowo przyciskałam do piersi.

– Do kogo dzwoniłaś?

Zacisnęłam usta. Nie jego zasrany interes.

– Do Bartka?

Wzruszyłam ramionami i przyjrzałam się czarnemu ekranowi telefonu.

– Co jest między wami? – wypytywał. – To... coś poważnego?

Zgromiłam go wzrokiem. Nie mogłam mu powiedzieć, że Bartosz właśnie mnie olał, niszcząc tym samym resztki nadziei na szczęśliwe zakończenie.

– A co ciebie to interesuje? – Uderzyłam otwartą dłonią o ławkę. – Wiesz, co akurat mogę ci powiedzieć o naszej relacji? Bartek nigdy nie skłamał. Nie udaje kogoś, kim nie jest...

– Ina...

– Nie przerywaj mi! Zaufałam ci, a ty sprzedałeś mi kłiwą bajeczkę. Dumny z tego byłeś? Pochwaliłeś się kolegom? – Szturchnęłam Kubę w ramię. – Zrobiłeś to tak po prostu, z taką łatwością, bez powodu. Dla zasady.

Wziął na siebie to wszystko. Nie próbował się tłumaczyć, kręcić. Przynajmniej ten jeden raz.

– Masz rację – powtarzał. – Masz stuprocentową rację.

Myślałam, że mi ulży, jeśli na niego nakrzyczę i usłyszę przeprosiny, ale tak się nie stało. Ciężar umiejscowił się na klatce piersiowej i utrudniał oddychanie. Łzy wypływały z kącików, jakby postanowiły, że czas, aby Ziemia doczekała się kolejnego potopu.

– I co mi z tej racji? – Podniosłam się i otarłam buzię. – Chociaż wiesz co? Dziękuję ci za to. Dziękuję, bo przynajmniej sprowadziłeś mnie na ziemię. Może i z hukiem, ale tego właśnie

potrzebowałam.

– O czym ty teraz mówisz? – spytał.

To mi już nie przeszło przez gardło. Wpatrywałam się w jego smutne oczy. Już przynajmniej wiedziałam, jaki miał stosunek do naszej relacji. Jak mogłam choć przez chwilę sądzić, że mam na niego jakikolwiek wpływ? Że cokolwiek z tego, co robi, robi dla mnie? Kubiak miał swój świat, swoją miłość i swoją grę.

Nic mi do tego.

Rozdział 24



Nie ma niczego wspanialszego od matki oznajmiającej z samego rana, że zaplanowała na sobotę integracyjny wypad na śniadanie ze swoją dziewczyną i córką. No chyba że dotrze do ciebie, że jesteś jedynaczką i mówi o tobie, a ty cierpisz przez własną głupotę – fizycznie oraz psychicznie.

Zaczęłam ten dzień wraz ze wschodem słońca. Na dobry poranek zwróciłam wszystko, co zjadłam w swoim życiu. Potem zmusiłam się do wypicia dwóch butelek soku pomidorowego, które – według informacji znalezionych w sieci – miały mnie uratować. Nic z tego. Popędziłam z powrotem do łazienki, pomiędzy kolejnymi spazmami przeklinając alkohol. Przysięgłam też sile wyższej, że, jeśli tylko mi odpuści, już nigdy nie tknę nawet piwa bez procentów.

Chyba mi nie uwierzyła, bo kacowa agonia ciągnęła się w nieskończoność.

Zrobiłam więc, co mogłam. Umyłam się, zmywając z siebie smród wczorajszego upokorzenia, pomalowałam, próbując nadać twarzy jakichkolwiek kolorów i ubrałam... bo to akurat był warunek konieczny.

Punkt dziesiąta mama wyfrunęła ze swojej sypialni, ubrana w błękitne kimono, i zmierzyła mój standardowy zestaw – dżinsy i białą koszulkę.

– Och, skarbie, tak bez kolorów? – jęknęła.

Zachwiałam się na nogach.

– Mamo, widziałam dzisiaj wszystkie kolory, jakie istnieją w naturze. Nie trzeba mi więcej.

Zamrugała skonsternowana, ale wtedy z kuchni wyszedł Kuba, więc spróbowałam zniknąć, wtopić się w boazerię, byleby tylko pozostać niezauważoną, co najwyraźniej się nie udało, skoro ujrzałam przed sobą termos. Podążyłam wzrokiem za ręką, która go trzymała, przez bark, szyję, a na końcu drogi spotkałam widocznie zmęczoną męską twarz – nieogoloną, z zaczerwionymi oczyma. – Rzygałeś od rana jak kot – powiedział z cieniem uśmiechu na ustach. – Więc zrobiłem ci herbatę na drogę.

Nie! Nie bierz tego. Do diaska, dlaczego moje myśli nie pokrywały się z czynami? Jaki dawałam samej sobie przykład, skoro w głowie karciałam się i nakazywałam trzymać się od gościa możliwie jak najdalej, a jednak sięgnęłam po termos i podziękowałam, nie patrząc mu w oczy?

Jeśli kłamstwo Kuby na temat alergii niewystarczająco dosadnie uświadomiło mi jego podejście do naszej znajomości, zrobił to telefon, który zaczął dzwonić, gdy po wczorajszej wymianie zdań staliśmy i bez słowa gapiliśmy się na siebie, czekając, czy drugie coś powie. Wspaniałomyślnie, dostrzegając zdjęcie Magdy na ekranie jego komórki, rzuciłam:

– No odbierz. Miłość twojego życia dzwoni.

Miał minę, jakbym wymierzyła mu policzek.

A potem odebrał.

Wykorzystałam okazję i dopadłam do postoju taksówek. Wróciłam do domu sama i przeplakałam kilka godzin. Nie no. Byłam kompletnie załana, chrapałam pewnie po dwóch minutach,

a potem, owszem, przepłakałam godziny, ale nad toaletą. Bynajmniej nie z jego powodu.

No... Może tylko kilka razy.

– Kubusiu, jesteś pewny, że nie chcesz z nami iść? – spytała go mama.

Poczułam na sobie jego wzrok, więc swój skierowałam na termos. Tak, mieszkamy już razem, pracujemy, niech jeszcze zje z nami rodzinne śniadanie. Może w ogóle go adoptujemy?

Odkręciłam butelkę i napiłam się herbaty, starając się z całych sił nie pokazać nikomu, jak dotkliwie poparzyłam sobie właśnie język i przełyk. Kiedyś umrę przez swoją głupotę.

– Dziękuję ci, ale dzień odpoczynku dobrze mi robi. – Przeciągnął się i ziewnął. – Odeśpię.

– No, wczoraj naprawdę nieźle zabalowaliście – wystękała mama, wciskając na stopy sandaalki.

– Prawda, skarbie? To takie... niepodobne do ciebie.

Siedziałam już na podłodze i w ślimaczym tempie nakładałam na stopy trampki. Zrobiłam dwie pętelki i uniosłam głowę.

– Robiłam ostatnio dużo dziwnych rzeczy – odpowiedziałam. – Ale spokojnie, zamierzam wrócić na odpowiedni tor.

Mama zmarszczyła czoło, prawdopodobnie zastanawiając się, co mam na myśli, ja zaś wykorzystałam moment zmieszania i skończyłam wiązać buty. Podniosłam się i wyszłam, nie oglądając za siebie.

Nie cierpiałam Kubiaka. Nienawidziłam. Kłamczuch. Wstrętny drań. Zakochany w tej swojej...

Mama zbiegła po schodach i szepnęła mi do ucha:

– A tak poważnie, co się stało? – Jej głos był podszyty drżącym wzburzeniem. – Przecież widzę.

Chodzi o tego Bartka?

Bartek. Bartek to temat rzeka. Taka, w której i się pierze, i kąpie... Wszystko w takiej rzece można znaleźć, a najwięcej moich porażek. Mogłabym stanąć na brzegu z wędką i tylko wyławiać kolejne do kolekcji. Potem unosiłabym je na wysokość oczu, kiwała głową z uznaniem i mówiła do siebie pod nosem: *No, no, Ina, niszczyć swoje życie to ty potrafisz bezkonkurencyjnie.*

– Nie tylko o niego – powiedziałam. Zakleszczona na moich ramionach palce dawały jasno do zrozumienia, że mama chce mi pomóc. Tylko że nie mogła. – Ale o niego też. On jest idealny, mamo. Jest idealny, tylko ja ciągle coś psuję. Popełniam błąd za błędem i on przez to się oddala. A kiedy chcę to naprawić, znów coś psuję i... I martwię się, że nie rozumie moich żartów. Naprawdę to powiedziałam? Poprzedniej nocy podczas naszej rozmowy słyszałam w słuchawce kobiecy głos, a martwiłam się żartami? Co było ze mną nie tak?

Mama była moją przyjaciółką. Jedyłą osobą, której mówiłam wszystko. Cokolwiek się nie działo, wiedziała o tym. W jej ramionach się wyplakiwałam i jej uśmiech wywoływałam, dzieląc się swoim szczęściem. Umiała wymienić wszystkie moje ulubione piosenki.

Powinna znać mnie na tyle, żeby wiedzieć, że niszczę wszystko wokół. Czemu więc wyglądała, jakbym wyznała jej, że nie jestem człowiekiem, tylko psem i marzę o tym, żeby obszczekiwać przechodniów?

– To kiepsko nie podzielać poczucia humoru – powiedziała po namyśle.

I ja się potem zastanawiam, czemu jestem dziwna! Genów nie oszukasz.

– Mamo, to nie powinno być najważniejsze – upomniałam ją.

– Skarbie, to ważne – zawyrokowała, kiedy znów ruszyliśmy w drogę. – A Kuba? Mam wrażenie, że coś między wami...

– Daj spokój – ucięłam dyskusję.

– Dlaczego? Już trochę lepiej się dogadywaliście. Śmialiście się razem... – Wyciągnęła z wielkiej płóciennej torby okulary i założyła je na nos. – Kuba chyba rozumie twoje żarty.

– Mamo – powiedziałam ostrzegawczo.

Dlaczego drażyła temat? Jeśli sugerowała, że między mną i Kubiakiem mogłoby być coś więcej, to chyba powinna porozmawiać z nim najpierw o jego preferencjach. Ani nie miałam na imię Magda, ani nie kazałam mu wokół siebie skakać, żeby zasłużył na dobre słowo. Co to dla niego za zabawa?

– Kuba to kłamczuch – dodałam z nadzieją, że ten argument zamknie tę kwestę.

– Okłamał cię? – Aż zdjęła okulary ze zdziwienia.

– Tak! – Podniosłam głos, ale zaraz się opanowałam. – Wyobrażasz to sobie? Zaraz po tym, jak zostałam dyrektorką, zatrzasnęliśmy się...

Zatrzymałam się i przeklełam siarczyście. Niech to wszyscy diabli!

To prawda, Kuba skłamał w kwestii alergii, ale co ja zrobiłam? Zaangażowałam się w spisek. Podpisałam szemraną umowę, przez którą został zdegradowany i stracił dach nad głową. Spiskowałam z jego ojcem i odwiecznym wrogiem.

Jeśli on był kłamcą, to ja byłam belzebubem.

– Skarbie, coś się stało?

– Tak – jęknęłam. – Jestem hipokrytką i potworem. Kuba skłamał, ale ja wcale nie jestem lepsza, a tak się zachowywałam. Na naszym horyzoncie pojawiła się kawiarnia, w której umówiliśmy się z Joasienieńką. Mały biały domek z ogródkiem dookoła. Wcześniej marzyłam o francuskich tostach, ale jakoś odjęło mi apetyt.

– Nic z tego nie rozumiem, skarbie – przyznała mama. – Ale jest jeszcze coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. Może lepiej to zrobić, zanim wejdziemy do lokalu.

Ton jej głosu sprawił, że od razu wyrzuciłam Kubę z głowy.

– Co jest grane?

Zdjęła okulary i westchnęła kilka razy, zanim cokolwiek powiedziała.

– Posłuchaj, chcę, żebyś wiedziała, że nie jesteś mu nic winna – wykrztusiła wreszcie.

– Komu winna? Kubie? – dopytałam. – Obawiam się, że chyba jednak trochę jestem.

W odpowiedzi mama zaczęła grzebać w torbie, aż wyciągnęła z niej niewielką kartkę.

– Nie. Nie Kubie – jęknęła. – Robertowi.

Imię ojca nie padło między nami od lat. Zastygłam i wpatrywałam się w kartkę. Jakim cudem ta pogawędka doprowadziła nas do mojego ojca?

– Zakazałam mu cię nachodzić – mówiła. – Powiedziałam, że jeśli to zrobi, zadzwonię po policję, ale wszyscy wiemy, że to czcza paplanina, nie zamykają w więzieniach za bycie skurczybykiem. A powinni. No i obiecałam, że ci to przekażę. – Wcisnęła mi w dłoń kartkę. – Ale musisz wiedzieć, że zrobiłam to tylko dlatego, że nie chciałam, żeby się do ciebie zbliżał.

Obiecałam, że powtórzę ci, że chce, abys się z nim skontaktowała. Pamiętaj, że nic nie musisz, nic nie jesteś nikomu winna...

Mój puls przyspieszył. O czym ona mówiła? Mój ojciec nie istniał. Umarł w dniu, w którym wyprowadził się z naszego mieszkania. Nie miałam ojca.

Rozłożyłam zawiniątko, po czym, nawet nie czytając tego, co zostało na nim zapisane, porwałam je na maleńkie kawałeczki i wyrzuciłam do stojącego nieopodal kosza. Wypłakałam przez niego już wystarczająco wiele łez. Wystarczająco wiele razy błagałam, żeby wrócił. Nie będę żebrać o miłość.

– Mam pytanie. – Mój głos przybrał lodowany ton. – Skąd przyszło ci do głowy, że masz prawo obiecywać mu cokolwiek? W dupie mam, czego chce i dlaczego nagle sobie przypomniał o córce. Możesz mu to przekazać.

Mama wypuściła powoli powietrze nosem i opuściła głowę. Nie zamierzała się bronić przed moją złością. To byłoby nie w jej stylu.

– Czego bym nie zrobiła i jak źle o nim nie myślała, to nadal twój ojciec...

– Ach, no tak, zapomniałam! – krzyknęłam. – To daje mu prawo do skrzywdzenia własnej córki i roszczenia sobie do niej praw piętnaście lat później? – Zignorowałam Joannę, która podeszła do nas i teraz bardzo tego żałowała. – Wybacz, nie pomyślałam, że więzy krwi do czegośkolwiek zobowiązują. Wiadomość z ostatniej chwili: nie jest tak. A akurat ty powinnaś o tym wiedzieć najlepiej.

Odeszłam pospiesznie, pragnąc uciec od niej jak najdalej. Pędziłam przed siebie. W głowie mi się to nie mieściło. Jak mogła obrać jego stronę? Powinna stać murem za swoją córką.

Weszłam pomiędzy krzewy, dostając się tym sposobem do parku i dopiero tam, w cieniu soczyście zielonych konarów, rozłożonych nade mną niczym parasole, wśród ludzi niespiesznie spacerujących ze swoimi psami i krzyku dzieci biegających wokół fontanny, odetchnęłam. Dobrze mi ostatnio wychodziły kłótnie. Jak tak dalej pójdzie, nie będę miała do kogo gęby otworzyć.

Nie należałyśmy z mamą do najbardziej rodzinnych osób pod słońcem. Praktycznie nie znałam

swojej rodziny, ani od strony mamy, ani tym bardziej ojca. Skoro on odciął się ode mnie, nie odbierał telefonów i nie odpisywał na listy, trudno, żeby jego rodzina zabiegała o jakikolwiek kontakt. Swojego czasu wysłałam mu masę paczek. Płakałam nad listami, w których opisywałam mu, że jestem już zmęczona pracą i szkołą, że za nim tęsknię, a papier gwałcił się w miejscu każdej łzy, którą wchłonął. Miał wiele szans na to, żeby się odezwać. Przestałam do niego pisać w przeddzień swoich osiemnastych urodzin. I tak długo wytrzymałam.

Nie wierzyłam w więzy krwi. W to, że komukolwiek cokolwiek należy się wyłącznie dlatego, że jest ojcem, dziadkiem, ciotką czy kuzynką. Rodzina to ludzie, ludzie zaś mają swoje charaktery. Mówią i działają, i te działania decydują o tym, czy gdzieś przynależą, czy nie. Mój ojciec dawno temu przedstawił swoje stanowisko w tej sprawie, a ja się z tym pogodziłam.

– Mogę się przysiąść?

Uniosłam wzrok i aż podskoczyłam w miejscu na widok Joasienieńki. A podobno leżące się nie kopie. Zerknęłam na miejsce obok siebie, które pozostawało puste, i przytaknęłam pojedynczym skinieniem głowy. Joanna rozsiadła się i wlepiła spojrzenie w tańczące strugi wody w fontannie.

– Mama panią tu przysłała? – zagadnęłam.

Przecież sama by tu nie przyszła. Znałam swoją rodzicielkę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że zapewne doszła do wniosku, iż nie chcę z nią teraz rozmawiać, skoro się gniewam. Przy okazji upiekłaby dwie pieczenie na jednym ogniu, gdyby udało nam się z Joanną zaprzyjaźnić w tej jakże trudnej chwili. Joasienieńka jednak nie należała do rozmownych osób. Trwała obok bez słowa. Znów przyszła w tym swoim żakiecie. Co ona z tymi żakietami? Ile ich posiada i jakim cudem wszystkie miały taki sam krój?

Z czasem cisza przestała przeszkadzać. Zyskała na naturalności. Zmieniała kształt, zapach i formę. Schowała kolce, przestając kłuć.

Zerknęłam na wybrankę mamy. Zaciskała wąskie usta tak, że były ledwo widoczne. Jasne niewielkie oczy pozostawały zmrużone. Podążyłam za jej spojrzeniem i natknęłam się na grupkę młodych ludzi, którzy wskazywali nas co jakiś czas palcem i wybuchiali śmiechem.

Musiała spostrzec, że również ich zauważyłam, ponieważ odezwała się wreszcie:

– Niełatwy los nauczycielki.

– Niełatwy los ucznia – odparowałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. – Uczy pani w liceum?

– Przedsiębiorczości – powiedziała.

Współczułam jej uczniom. W końcu Joasienieńka swojego czasu napsuła mi krwi. Staralam się. Robiłam wszystko, żeby mi odpuściła, a ona, zamiast dokuczać ludziom, którzy mieli jej przedmiot w głębokim poważaniu, wyżywała się na najpilniejszej studentce. Ignorowała, gdy chciałam coś powiedzieć. Zadawała pytania z kosmosu, nie dotyczące tematu i przedmiotu, żeby tylko udowodnić mi, że czegoś nie wiem. Docinała. Wbijała szpile. Nazywała „panną błyskotliwą”, co szybko podłapali inni.

– Chyba niezbyt lubiłaś moje zajęcia, co? – spytała.

Pewnie powinnam skłamać, ale gdy odwróciłam się do niej i spojrzałam jej w oczy, lśniło w nich coś, co dodało mi odwagi.

– Nienawidziłam ich, co nie powinno w sumie nikogo dziwić. Zamieniła pani moje życie w piekło.

– Mów mi po imieniu – zaproponowała.

Teraz? Teraz chce się zaprzyjaźnić, gdy akurat porównałam ją do diabła?

– To nie takie proste – odpowiedziałam i znów wcisnęłam plecy w oparcie. – Miną lata, zanim się przestawię. Nie można tak po prostu zmieniać niektórych przyzwyczajajeń. To jak w tych sytuacjach, w których wymaga się od człowieka, że po ślubie będzie nazywać swoich teściów rodzicami. Koszmar.

Kątem oka dostrzegłam, że się wyprostowała.

– Co ja tam mogę wiedzieć? – mruknęła. – Ten problem akurat nigdy nie będzie mnie dotyczyć.

Próbowała zażartować, ale na marne.

– A powinien – stęknęłam rozdrażniona. – Powinien dotyczyć każdego, kto tylko ma ochotę na ślub. Poza tym, istnieje jeszcze coś takiego, jak normalny świat poza Polską – Zacisnęłam mocniej pięści.

– To kolejna rzecz, której nienawidzę w tym kraju. Nie podoba mi się dzielenie miłości na lepszą i gorszą. Świat jest wystarczająco wstrętny. Zamiast rozliczać ludzi z tego, że kochają, powinniśmy zająć się wreszcie tymi, którzy krzywdzą. Może wtedy coś rzeczywiście by się zmieniło.

Tych krzywdzących wsadzić do kicia. Albo wystawić na publiczną chłostę. Gdyby ktoś chciał rozważyć ten pomysł, mogłam zrobić nawet listę ochotników, którzy powinni dostać batem po łbie. Na szczycie tej tego chwalebego spisu znalazłby się osobnik o nazwisku na literkę K.

A potem ja sama. Chociaż może najpierw?

Posłałam Joannie słaby uśmiech, trochę zawstydzona tym myśleniem na głos.

– Dlaczego mnie pani aż tak nienawidziła? – wyrzuciłam z siebie.

Kobieta przebaknęła coś o tym, że miałam jej mówić po imieniu, i westchnęła.

– Byłaś nadgorliwa.

Uniosłam wysoko brwi.

– To źle?

Zaczęła kręcić się w miejscu. Ważyła w głowie słowa.

– Tam, gdzie ja powiedziałam dwa słowa, ty jeszcze dodałaś trzy od siebie – przemówiła. –

Sądziłam, że jak cię trochę utemperuję, to spuścisz z tonu, ale ty się tylko bardziej nakręcałaś.

Więc to tak. Po prostu byłam upierdliwa.

– Staralam się – próbowałam się bronić. – Przygotowywałam się do zajęć, słuchałam tego, co miała pani do powiedzenia, traktowałam to wszystko poważnie...

– Zbyt poważnie – przerwała mi. – Owszem, ambicja to wielki dar. Nie każdy może się takim pochwalić, ale ty słuchałaś tylko pozornie. Tak naprawdę tylko czekałaś, aż będziesz mogła dodać coś od siebie. Nie próbowałaś się uczyć, tylko pokazać, że jesteś ponad. Że wiesz lepiej.

Tego się nie spodziewałam. Zamknęła mi usta.

– Brakowało ci pokory – kontynuowała. – Strasznie mnie wkurzałaś, przyznaję.

Powinni otworzyć klub. Klub ludzi, których drażniłam. Może dostaliby zniżki na basen?

Przycisnęłam plecy do oparcia. Naprawdę nie słuchałam? To tłumaczyłoby niechęć nauczycieli w pozostałych szkołach, nie wspominając o rówieśnikach. Mamy też nie wysłuchałam. Od razu uniosłam się złością i uciekłam. A przecież mówiła, że chciała pomóc. Nie słuchałam.

– Przepraszam – wydukałam.

Joanna była pierwszą osobą, która usłyszała przeprosiny, ale na pewno nie jedyną, której się należały.

Tyle niedokończonych spraw krążyło wokół mnie, ciągnęło za uszy, domagając się uwagi i reakcji. Najpierw mama, która oberwała niezasłużenie. Potem Bartek. Nie powinnam go niepokoić na imprezie. Nie powinnam również wyzywać prezesa... Tej wpadki nie odkręcę już tak łatwo.

I co z Kubą? Skłamał w kwestii alergii, ale ja zachowałam się po stokroć gorzej. Zaangażowałam się w spisek i obiecałam milczenie. Ale popełniłam największy możliwy błąd – polubiłam go. Bardziej niżbym chciała.

– Nie gniewaj się na mamę – powiedziała Joanna, wrywając mnie z zadumy. – Ona naprawdę długo walczyła z twoim ojcem. Wolała sama wręczyć ci numer, dać wybór, niż pozwolić, abyś ty musiała się z nim mierzyć.

Żeby to wszystko było tak proste i nieskomplikowane.

A jeśli właśnie takie było? Gdyby się nad tym zastanović, sami komplikujemy. Połowa kłód, które spadają nam pod nogi, to sabotaż. O tym, jakie jest nasze życie, nie decyduje przecież tylko to, co nam się przytrafia, ale również, o ile nie przede wszystkim – to, jak na to reagujemy.

Jak ja reagowałam? Ucieczką. Każdorazowo ucieczką. Ucieczką przed mamą, Bartkiem... Kubą. Czyli ojciec jednak czegoś mnie nauczył.

– Nie zadzwonię do Roberta – postanowiłam. – Nie chcę i niech nie prosi. Przekaż jej to, dobrze?

– Dlaczego sama tego nie zrobisz? – Usłyszałam głos zza pleców.

Naprawdę wykazałam się naiwnością, jeśli sądziłam, że Joasienieńka wyruszyła w samotną wyprawę w nieznaną za niezbyt lubianą córką swojej partnerki. Już widziałam oczyma wyobraźni, jak mama ciągnie ją za sobą za włosy, a potem wypycha zza krzaków, nakazując usiąść na ławce. Biedna

profesorka. Nie będzie miała z nią łatwo.

Ale jak nie jest łatwo, to może przynajmniej warto?

Podniosłam się, stanęłam przed mamą i nabrałam dużo powietrza w płuca.

– Nie chcę mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. Nie zasługuje na mój czas, nerwy i uwagę
– mówiłam spokojnie. – A twoja dziewczyna nie cierpiała mnie podczas studiów, z wzajemnością. To też powinnaś wiedzieć.

Mama pokazała chyba wszystkie zęby w uśmiechu.

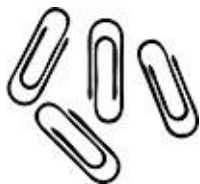
– Wiem – przyznała. – Od samego początku.

– Wiedziałaś?! – wykrzyknęłam tak głośno, że dzieci bawiące się przy fontannie zamarły. –
Wiedziałaś i nie pomyślałaś, żeby jakoś o tym wspomnieć przed naszym pierwszym spotkaniem?

Wzruszyła niewinnie ramionami i wyszczerzyła się do Joanny.

– Nie. Co ma się ułożyć, układa się. – Machnęła ręką. – Wystarczy trochę chęci. I dużo, naprawdę dużo miłości. A tej mi akurat nie brakuje.

Rozdział 25



Kto by pomyślał, że to rozmowa z Joanną da początek intensywnym przemyśleniom. Przez kolejne godziny, nawet podczas wspólnego śniadania z mamą i jej dziewczyną, rozkładałam swoją sytuację na czynniki pierwsze. Bartosz był chodzącym ideałem i flirt w pracy urozmaicał naszą codzienność, ale raczej nie wychodziliśmy z tym poza budynek Adeline. Od dnia, w którym odwiedziłam go w mieszkaniu, nie zaproponował randki. Ja też tego nie zrobiłam.

Czemu? Przecież lubiłam te momenty, w których wpadał, opowiadał mi coś o firmie, podpowiadał, jak... Potrząsnęłam głową i rozciągnęłam się w łóżku. Słońce schowało się już za wysokimi blokami, a ja w końcu po tylu godzinach zrozumiałam, że ta relacja od początku zmierzała donikąd. Z mojej winy, a jakże. Bartek opowiadał mi o oscypkach i rodzinie. Ja z kolei powtarzałam sobie, że potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby się przed nim otworzyć...

Nikt nie chce czekać w nieskończoność. Nic dziwnego, że jemu też się znudziło.

Drgnęłam przez głośny dźwięk dostarczonej wiadomości. Zerknęłam na leżący obok telefon. Na ekranie widniała wiadomość od Kuby: *A może frytki?*

Zacisnęłam usta, ale i tak rozciągnęły się w uśmiechu. Cały dzień go unikałam przez wyrzuty sumienia, a on pewnie myślał, że boczę się za kłamstwo o alergii. Za to też się wściekałam. Czekala mnie bardzo poważna i nieprzyjemna rozmowa z prezesem. O ile w ogóle zechce wysłuchać jakichkolwiek wyjaśnień.

Frytki na zgodę? Od razu wystukałam odpowiedź: *Przeprosinowe?*

Wlepiłam spojrzenie w ekran smartfona. Dobrze, że napisał. Nie chciałam się z nim kłócić. On najwyraźniej też nie.

Telefon zawibrował: *Daj mi piętnaście minut i poczekaj pod blokiem.*

Co on kombinował? Zerwałam się do siadu, kiedy drzwi wejściowe trzasnęły. Wyszedł? Gdzie?

Niewiele myśląc, założyłam w biegu trampki i wyszłam przed blok. Wyglądałam czarnego terenowego samochodu Kuby, który znalazłam zaparkowany niedaleko naszej klatki. Dziwne.

Otrząsnęłam się z dreszczu. Noce bez krztyny wyrzutów sumienia dawały po nosie tym, którzy zatrzymali się w czasie letnim, zapominając o nadchodzącej jesieni. Spacerowałam po parking, obserwując księżyc wschodzący na szarym niebie, i obejmowałam się ramionami, starając ogrzać. Bluzka z krótkim rękawem i przewiewne lniane spodnie sprawdzały się w ciepłe dni. Teraz sprawiały, że drżałam z zimna. I po co od razu wybiegałam z mieszkania, skoro Kubiak kazał odczekać kwadrans?

Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały z parking. Rodziny gramoliły się do bloków z naręczami toreb i ciężkimi wózkami. Dochodzący z placu zabaw pisk dzieci rozdzierał myśli, a chodzące samopas pieski zostawiały po sobie niespodzianki wśród trawników, pod tabliczkami z głupkowatymi napisami, jak chociażby: *Zakaz wyprowadzania zwierząt na trawnik.*

W pierwszej chwili nie zwróciłam na niego uwagi. W drugiej wróciłam do męskiej sylwetki wzrokiem, ale zaraz pomyślałam, że to niemożliwe. Dopiero za trzecim razem, po dwukrotnym przetarciu powiek, zrozumiałam – nie wydawało mi się. Kuba zaparkował przede mną z miną, która

przywoływała na myśl zwycięstwo.

– Co to? – jęknęłam.

Zeskoczył i oparł jeden z rowerów na nóżce, żeby zaraz to samo zrobić z drugim.

– Rowery miejskie – odparł beztrząsliwie i rzucił w moją stronę szarą bluzę. – Tak czułem, że się nieodpowiednio ubierzesz.

– Bo nic nie mówiłeś o rowerach!

Stanął obok i przyglądał im się z błyskiem w oczach.

– Gdybym ci powiedział, nie byłoby niespodzianki. Ale... – Mina mu zredła. – Umiesz jeździć na rowerze, prawda?

– Rychło w czas to pytanie – burknęłam, ukrywając uśmiech, i wciągnęłam przez głowę bluzę, a następnie wskoczyłam na rower i poprawiłam siodełko. – Prowadzisz?

To nieprawdopodobne, że wpadł na pomysł z rowerami. I jeszcze przyprowadził jeden dla mnie. Gdybym spróbowała czegoś podobnego, pewnie wywaliłabym się po drodze. Tymczasem... Wciągnęłam do płuc zapach jego bluzy. Rowery, frytki, ciepła i pachnąca bluza. Naprawdę poprawił mi humor, a nie sądziłam, że to możliwe.

Mknęliśmy ścieżkami rowerowymi przez miasto, wymijając zbłąkanych pieszych i uśmiechając się do siebie co jakiś czas. Droga prowadziła nas przed siebie, a ja pozwalałam jej na to, niewiele myśląc. Wiatr muskał policzki, dostał się pomiędzy włosy, bluza opatuląca przyjemnym ciepłem, a napięcie stopniowo uciekało z ciała.

Tego spokoju nie zakłóciło nawet dwudziestominutowe oczekiwanie na frytki. Warto było. Gdy wcisnęłam pierwszą do ust, jęknęłam z rozkoszą.

– Uwielbiam, gdy je przesalają – westchnęłam.

Kuba pokręcił do siebie głową i wskazał ławkę ukrytą pod rozłożystym kasztanowcem. Dopadłam do niej, rozprostowałam nogi i przymknęłam powieki.

Kiedy ostatnio myślałam o niczym poza chwilą obecną? Bez obowiązków wiszących nad głową i zmartwieniem, że jeszcze coś powinnam zrobić? Że daję z siebie za mało?

Wlepiłam spojrzenie w Kubę. Włożył na siebie bluzę niemal identyczną jak ta, którą mi pożyczył, tylko w innym odcieniu szarości. Wiecznie nieulożone jasne włosy podrygiwały, trącane przez wczesnojesienny wiatr.

Odwrócił się z przymkniętym okiem, jakby raziło go słońce, chociaż już dawno zaszło, ustępując miejsca nocy.

– Lubię cię taką – powiedział i natychmiast odwrócił wzrok. – Taką... wyluzowaną.

Wybuchnęłam śmiechem, niemal krztusząc się frytką.

– To się nie zdarza często, no nie? Zazwyczaj mam kij w tyłku.

– Ty to powiedziałaś – odpowiedział ze śmiechem. – Ale wiesz, to też znaczy, że na wielu sprawach ci po prostu zależy. – Zagryzł ostatnie słowo ziemniakiem. – We wszystko wchodzisz całą sobą, dajesz z siebie sto procent. No, nie ma u ciebie miejsca na pomyłki. To bywa wkurzające, ale z drugiej strony, pewnie powinienem się od ciebie uczyć.

Uniosłam wysoko brwi. Przecież to nieprawda. On też potrafił dać z siebie sto procent. Robił to w Warzywniaku. Musiał tylko chcieć.

– Nie musisz się niczego ode mnie uczyć – powiedziałam. – Ty przynajmniej nie marnujesz energii tam, gdzie nie trzeba tego robić. Wkładasz serce w to, w co chcesz, a resztę olewasz. Tak trzeba żyć.

Skrzywił się, jakbym zamiast komplementów, wylała mu na głowę wiadro z pomyjami.

– Przepraszam, Ina – wyrzucił z siebie. – Nie powinien być cię okłamywać. Nie wiem, co mi przyszło... Nie no, wiem. Chciałem ci dopiec. Tobie i ojcu. Ale to było zanim...

Spojrzałam na niego, żeby odkryć, iż wpatruje się we mnie. Uciekłam wzrokiem i od razu wcisnęłam kilka frytek do ust. Zdażyły ostygnąć.

– Powiedzmy, że ci wybaczam – bąknęłam z pełnymi ustami, starając się zagłuszyć niezręczną ciszę. Czy on też wybaczy mi to, co zrobiłam? – Spróbuję to odkręcić. Mam nadzieję, że się uda... Musi się udać. – Pobudziłam się i odwróciłam do niego.

Usiadłam po turecku. – Dziękuję ci. Za wszystko, co zrobiłeś dla Warzywniaka, dla mamy... dla mnie. Jeszcze nigdy... – Zaśmiałam się i wbiłam spojrzenie w swoje buty. – Jeszcze nigdy tak bardzo nie pomyliłam się w ocenie kogoś.

Gdyby kilka tygodni temu ktoś powiedział mi, że będę cieszyć się z każdej minuty spędzonej w towarzystwie Jakuba Kubiaka, pewnie umarłabym ze śmiechu.

– Jednak nie jestem dupkiem? – Zaśmiał się. – Daj spokój, wcale się aż tak nie pomyliłaś. Jestem dokładnie tym samym gnojkiem, który psuje wszystko, czego się dotknie. Nic się nie zmieniło.

Potrząsnęłam głową. On naprawdę tak o sobie myślał?

– Nie – odparłam. – Owszem, zdarzały ci się słabsze akcje, jak na przykład łamanie danego słowa, lenistwo, kłamstwa... ale jednak te dobre przechyliły szalę na twoją korzyść. Nie chcę już nigdy słyszeć, że cokolwiek psujesz. Uratowałeś nas, Kuba. – Zniżyłam drżący głos. – To nie jest nic. Ja nie potrafiłam pomóc, a ty tego dokonałeś.

Wyglądał, jakby nie dosłyszał moich słów. Albo jakby chciał, bym powtórzyła.

– Więc wbij sobie do głowy – kontynuowałam, a przez jego intensywne spojrzenie coś ścisnęło mnie w dołku. Chwyciłam go za ramię. – Jesteś wspaniałym facetem. I potrafisz dokonać wspaniałych rzeczy, jeśli tylko chcesz. Już nigdy w ciebie nie zwątpię.

Puściłam go, a Kuba odwrócił się i przetarł twarz. Złożył pudełko po zjedzonych frytkach i podniósł się, żeby je wyrzucić. Chyba się zawstydził. A może powiedziałam coś nie tak? Przesadziłam z tym uzewnętrznianiem się?

– Naprawdę tak myślisz? – spytał.

Serce zadudniło głucho w mojej piersi, gdy się odwrócił.

I nagle doznałam oświecenia.

Problem nie leżał w tym, że Bartek nie rozumiał moich żartów. Problemem było to, że Kuba rozumiał je doskonale. To, że w obecności Bartka pilnowałam mimiki, każdego ruchu i wypowiedzanego słowa. Przy Kubie nie musiałam tego robić.

W mojej głowie wybrzmiał głos mamy: *Jak przyjdzie to coś, to poczujesz... że możesz być całkowicie sobą, bo po drugiej stronie czeka miłość. Możesz być szczerą, bo spotka cię zrozumienie. Możesz popełniać błędy, bo znajdujesz się w bezpiecznym miejscu.*

– Nie myślę – powiedziałam cicho. – Wiem to. Kuba ja...

Zacisnęłam usta. Co się wydarzy, gdy dowie się prawdy o umowie? Wybaczy mi?

– Co jest? – Uśmiechnął się niepewnie. – Wyglądasz, jakbyś żałowała tego, co powiedziałaś. – Zatrzymał się, choć jeszcze przed chwilą przestępował z nogi na nogę, i zbliżył się. – Żałujesz?

– Nie. – Zesłam z ławki i wyrzuciłam swoje opakowanie po frytkach do kosza. – Nie chodzi o to. Chodzi o to, że ja...

A jeśli stracę pracę przez to, że powiedziałam mu prawdę? Zwyzywałam już prezesa na imprezie. Co robi, jeśli jeszcze dowie się, że zniszczyłam cały spiszek? Przecież pragnęłam tej pracy. Potrzebowałam jej. Warzywniak się powoli rozkręcał, ale to nadal za mało, żeby mówić o jakimkolwiek bezpieczeństwie finansowym.

Stałam z Kubą twarzą w twarz. Do diabła, byłam mu to winna.

– Jest coś... – stęknęłam. – Coś, o czym ci nie mówiłam.

Co się stanie, gdy dowie się o umowie? Rozpęta ojcu awanturę? I co ja wtedy zrobię?

– Chodzi o mój awans – wykrztusiłam wreszcie. – Nie dostałam tego stołka w sprawiedliwej walce.

– A daj z tym spokój. – Kubiak szturchnął mnie delikatnie. – Niech gierki mojego ojca zostaną jego gierkami. Nie ma sensu strzępić języka.

Otwierałam usta i zamykałam. Aż wreszcie pokiwałam głową, przyznając mu rację. Zaśmiałam się sztywno i zaproponowałam powrót do domu. Oddychałam głęboko, żeby nie wybuchnąć płaczem. Co ja najlepszego wyprawiałam? Dlaczego zgodziłam się na ten parszywy układ? Dlaczego nie powiedziałam o tym wszystkim Kubie wcześniej?

Pod naszym blokiem podziękowałam Kubiakowi za wieczór i wyznałam, że wybieram się jeszcze odwiedzić Julię. Zadzwoiłam do niej jednak, dopiero gdy zniknął za drzwiami, i wyblagałam

spotkanie. Rozpaczliwie potrzebowałam sprowadzenia na ziemię. Niepewnie zapukałam do drzwi. Serce waliło mi jak oszalałe, a na dźwięk przekręcanego w zamku klucza niemal rzuciłam się z powrotem w stronę klatki schodowej. Moją odwagę można by zmieścić do naparstka.

– Patrz, a zakładałam, że jednak nie przyjdiesz.

Julia uniosła cienkie brwi w wyrazie zdumienia i oparła się o futrynę, najwidoczniej nie zamierzając wpuścić mnie do mieszkania. Zmierzyłam jej krótką satynową piżamkę i opadający z ramion szlafrok w pięknym fiołkowym kolorze. Spory kontrast w porównaniu do moich rozciągniętych dresowych spodenek i męskiej koszulki, w których sypiałam. Twarz miała nieumalowaną, a gdyby jej fryzurze chciano nadać imię, zwałaby się Chaos.

Wyszczerzyłam zęby w nieszczerym uśmiechu.

– Przecież dzwoniłam...

– Tak, tak. Srutututu, majtki z drutu. – Weszła w głąb mieszkania, pozostawiając otwarte drzwi.

– Miałaś też wyjść ze mną na drinka, a nie skorzystałaś z wizytówki. Jesteś niewiarygodna.

Przekroczyłam próg i zamknęłam za sobą drzwi. Badałam pomieszczenie – minęłam niewielki okrągły stolik, wyglądający na żywcem wyciągnięty z targu staroci, i potarłam liść stojącej na nim paprotki, który pokruszył mi się w dłoniach.

Głowa Julii pojawiła się niespodziewanie w drzwiach.

– Czemu nie wchodzisz?

Zdjęłam w pośpiechu trampki, szybko spojrzałam w lustro tylko po to, żeby się skrzywić, po czym poszłam za nią do, jak sądziłam, salonu. Pani domu usiadła po turecku na ślicznej musztardowej sofie i uderzyła w klawisze laptopa.

– Siadaj. – Kiwnęła głową w stronę fotela, nawet na mnie nie patrząc. – Wyślę jedną wiadomość i już jestem cała twoja. Posłusznie usadowiłam się w fotelu w kwiatki, który w najmniejszym stopniu nie pasował do tej wspaniałej sofie, i gapiłam się na nią, podczas gdy ona znęcała się nad klawiaturą i głośno gryzła paluszki.

Spróbowałam skupić się na wystroju, zamiast na własnych zszarganych nerwach. Niska ława stała na beżowym dywaniku, o ścianę opierały się dwie komody i jedna witryna, a nad nimi wisiało kilka obrazów. Och, a na parapecie, w ręcznie malowanych doniczkach, tkwiło mnóstwo martwych roślinek. I tak, dokładnie – znajdowały się wśród nich równie martwe kaktusy.

Nie zamierzałam mówić jej o szemranej umowie, ale... czy Kuba mógłby... Bartek wspomniał, że nie jestem w typie Kubiaka.

I to z pewnością się zgadzało. Nie onieśmiewałam, tylko strzelałam gafy i wkurzałam wszystkich dookoła.

Potrzebowałam usłyszeć o jego typie. O Magdzie.

– Ci ludzie są niemożliwi – mówiła Julia pod nosem. – Robiłaś coś z kolorem?

Rozejrzałam się, niepewna, do kogo się zwraca.

– Mówię o włosach – uściśliła, dostrzegając niezrozumienie na mojej twarzy. – Kiedyś były żółte jak jajeczko.

Odruchowo sięgnęłam po długie blond pasma i przejechałam pomiędzy nimi palcami.

– Same ściemniały – powiedziałam.

– I dobrze – skwitowała. – Tak jest ci dużo lepiej.

Jeszcze dwa razy coś kliknęła i zamknęła komputer z trzaskiem. Zwróciła się do mnie, a ja doszukałam się w niej mieszaniny ekscytacji i nieufności.

– Co cię sprowadza w moje skromne progi? – spytała.

Wzruszyłam ramionami, siląc się na nonszalancję, ale obawiałam się, że to nie do końca wyszło. Aktorstwo nie było moją mocną stroną.

– Chciałam sprawdzić, jak się czujesz po wczoraj – bąknęłam.

Najpierw się skwasiła, dając wyraz temu, jak bardzo mi nie wierzy, a potem teatralnie położyła dłoń na czole.

– Tragicznie. Obudziłam się ze strasznym bólem głowy, nie wyobrażasz sobie. – Polemizowałabym. – Ale przeszło jak ręką odjął, gdy zadzwoniłaś. – Zmrużyła powieki. – Może to jakieś

kosmiczne połączenie?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydawała się zainteresowana tym, co mogłoby z nich wypłynąć. Podeszła do komody i wyciągnęła z niej dwie szklanki, żeby napełnić obydwie wodą z karafki stojącej na ławie.

Jeśli moja pewność siebie istniała, to kompletnie wymiękała przy tej dziewczynie. Emanowała niezrozumiałym przyciąganiem, lecz jednocześnie trzymała ludzi na dystans. Nie potrafiłam się w tym odnaleźć.

– Udało ci się? No wiesz, z tym gościem z wczoraj? – zagaiłam.

Julia zmrużyła powieki i przyjrzała mi się badawczo.

– Naprawdę dużo wczoraj wypiliśmy. Co ci jeszcze powiedziałam?

Odłożyłam swoją torbę na odrapany parkiet i podkurczyłam pod siebie nogi.

– Że cię wystawił, a ciebie się nie wystawia – wyliczałam powoli. – Że ludzie z naszej klasy gimnazjalnej to banda idiotów. Że spędziłaś kiedyś noc z Kubiakiem, i na koniec obiecałaś opowiedzieć coś więcej o tej jego Magdzie, w której się kocha do nieprzytomności, ale nam to umknęło. Możesz śmiało mówić teraz.

No dobra, może trochę podkoloryzowałam. Ale przecież nikt od tego nie umrze! To niewinne kłamstewko, a ja przynajmniej dowiem się czegoś więcej. Może zmańdrzęję.

Nachyliłam się w stronę Julii jak dziecko oczekujące bajki, jednak nastrój kompletnie jej się nie udzielił. Wyglądała, jakby raczej przeglądała w myślach album wspomnień całego swojego życia, próbując dopasować odpowiednie do wczorajszego wieczora. – Kubiak... – mamrotała pod nosem. Jej twarz się rozjaśniła. Pstryknęła palcami. – Już mam! Byłaś z Kubiakiem. Matko, już wszystko pamiętam, dzięki! – Uśmiech znikł z jej ust. – Właśnie, byłaś tam z Kubiakiem. Rozum ci odjęło?

Wyprostowałam się i starałam wydusić z siebie coś konstruktywnego, ale skończyło się jękaniem i wydobywaniem półsłówek zamiast sensownych zdań, jak to na dorosłą kobietę przystało.

– Kuba nie jest materiałem na szczęśliwe zakończenie. – Pogroziła mi palcem. – Bywa czarujący, ale nie obchodzi go nikt poza Magdą. Wszyscy to wiedzą. Błagam, powiedz, że się na to nie nabrałaś. – Położyła sobie znów rękę na czole. – Kogo ja chcę oszukać? Przecież to widać gołym okiem.

To był kiepski pomysł. Po co przychodziłam? Przecież to droga ku pograżeniu!

Utkwiłam wzrok w wiszącym nad jej głową plakacie, który celebrował kobiecość. Zmierzyłam piersi namalowane cienką kreską i doceniłam w duchu dobór kolorów. Nie tylko róż, ale również zieleń i czerwień, ponieważ zamiast głowy z szyi wyrastały tulipany.

– Świetny plakat – spróbowałam zmienić temat. – Gdzie kupiłaś?

Odwróciła się do niego.

– Wyślę ci link... Czy mogłabyś nie zmieniać tematu?

A więc za późno. No cóż, w końcu po to tutaj przyszedłam. Ktoś miał mi wybić Kubę z głowy. Julii szło świetnie.

– A ta Magda... – podjęłam. – To modelka, prawda? Ma być podobno twarzą naszej najnowszej kolekcji. Słyszałaś?

Kobieta wypuściła powoli powietrze nosem i przyjrzała mi się z politowaniem. W jej oczach lśniło współczucie. Przyjęłam je z pokorą, nie próbując nawet się tłumaczyć.

– Nie słyszałam, ale nie powinno nas to dziwić – stwierdziła. – Może dlatego wróciła ze Stanów. Kawał czasu jej nie było, ale odkąd wróciła, Kuba się w końcu wyciszył... – Odgarnęła ogniste kosmyki z czoła. – Mogę ci wszystko opowiedzieć ze szczegółami, tylko zastanów się, chcesz sobie to robić?

– Co robić? – spytałam głupkowato.

Zamlaskała z niezadowolaniem. Granie idiotki chyba jeszcze nikomu w niczym nie pomogło. Chociaż jak tak czasem patrzę na ludzi... Pytanie: czy oni grają?

– Dobra, posłuchaj – odpuściłam. – Ja... Nie jestem ani głupia, ani ślepa. Wiem, że nie jestem w typie Kuby. I wiem, że on kocha Magdę. – Opuściłam nogi. Nacisnęłam stopą na deski, które zaskrzeczały w proteście. – Naprawdę nie oszalałam. Nie zamierzam z nią konkurować. I tak bym nie wygrała. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że nie mam szans w tym starciu. Ona jest jak róża, a ja... Ja...

– Jesteś Maliną.

Dwuznaczność tego stwierdzenia tak mnie uderzyła, że aż zatopiłam się z powrotem w fotelu. Oparłam plecy i zsunęłam się w dół, tracąc władzę nad własnym ciałem. Nie tak wyobrażałam sobie tę rozmowę. I w ogóle swoje życie, ale nad tym poubolewam już w samotności. W domku. Pod kołdrą. Z czekoladą.

– Mówiłaś o niej tak, jakbyś ją znała – dodałam cicho. – Chciałam tylko... podpytać.

– Ina... – Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu głos Julii złagodniał. – Zrób samej sobie przysługę i ewakuuj się z tego pierdolnika. I to pędem, bo z tego, co widzę, to już nie jest dobrze.

Przemilczałam ostatnią uwagę i podniosłam się z miejsca, mając nadzieję, że zażenowanie zostanie w fotelu. Wyjrzałam za okno i stałam tak w nim, uśmiechając się na widok bawiących się na placu zabaw dzieci, dopóki na oko dziesięcioletni chłopiec nie nawiązał ze mną kontaktu wzrokowego i nie pokazał mi środkowego palca.

– A to gnojek... – mruknęłam do siebie.

– Magda przyjaźni się z dziewczyną z mojego działu. – Podskoczyłam, uświadomiwszy sobie, że Julia stoi obok z obydwoma środkowymi palcami w górze i jeszcze pokazuje dzieciakowi język. – Czasem do nas wpada. Z tego, co ostatnio zrozumiałam, zaczyna wymiękać i poważnie zastanawia się nad związkiem z Kubą. Jeśli już trafi w jego ręce... on jej nie odpuści.

Miałam nadzieję, że nie usłyszała, jak pękło mi serce. Serca mają w zwyczaju pękać w najmniej odpowiednich momentach. I przez najmniej odpowiednie osoby.

– No to cudownie! – Klasnęłam w dłonie i zaczęłam intensywnie mrugać, żeby odgonić łzy. – Chodził, chodził i wychodził.

Fajnie. Dobrze. Bardzo dobrze. Będą sobie zakochani i szczęśliwi, no nie?

Julia rzuciła mi spojrzenie spod ściągniętych brwi.

– W porządku? – spytała.

Szłam przodem do niej, cofając się w stronę wyjścia, ale nagle się zatrzymałam. Za szybą witryny stało kilka książek, szklane kule przedstawiające wielkie zagraniczne miasta i ramki ze zdjęciami. Podeszłam bliżej.

– Tak. A jak poszło ci z tym twoim dupkiem? – zagadnęłam, próbując odwrócić uwagę nas obu od głównego tematu dyskusji. Mruganie nie pomagało, więc odwróciłam się, żeby Julia nie widziała mojej zbolalej miny. – Pokazałaś mu, że ciebie się nie wystawia?

Pani domu otworzyła okno i sięgnęła po leżące na parapecie pudełko papierosów.

– Nie cierpię tego – powiedziała, zapalając jednego. – Możesz być silna, niezależna, ale czasem i tak trafi cię tak mocno, że wszystkie zasady psu w gardło. Nie cierpię tego... Czuję się wtedy taka...

– Słaba? – odpowiedziałam jej.

Zaciągnęła się, a ja przyjrzałam bliżej fotografii, z której uśmiechała się Julia. Ledwie ją rozpoznałam, ponieważ jej twarz okalała wielka futrzana czapka. A w objęciach trzymał ją...

Nie. To niemożliwe.

– Głupia – dopowiedziała.

Oj, głupia, powtórzyłam w myślach.

Rozdział 26



Przeplakałam całą noc, a niedzielę spędziłam pod kocem, użalając się nad sobą. Okłamałam mamę i Kubę, że dostałam migreny, dzięki czemu dali mi święty spokój. Tylko co jakiś czas zaglądali, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Po każdej wizycie Kuby wpadałam w kolejny szloch, aż wreszcie głowa rzeczywiście zaczęła promieniować bólem i już żadne kłamstwa nie były potrzebne.

W poniedziałek jednak obudziłam się w bojowym nastroju. To dzień załatwiania trudnych spraw, dlatego postanowiłam porozmawiać z prezesem oraz Bartkiem. Z Kubą nie. Aż tak odważna nie byłam.

Na studiach marzyłam o pewnej i dobrze płatnej posadzie, w której będę się spełniać. O pracy, dzięki której każdego dnia czegoś się nauczę i zmienię świat na lepsze. To nie musiały być od razu przysłowiowe góry. Wystarczyły nizinne pagórki. Ta praca mieściła się w siedzibie marki, którą podziwiałam. Stworzyłam w głowie setki szczęśliwych scenariuszy i nawet przez myśl mi nie przeszło, że to wyobrażenia, które mogą odbiegać od rzeczywistości. Marzenia bowiem mają tendencję do malowania się innymi kolorami niż te, które sami zapragnęlibyśmy im przydzielić. Nie wiem, czy są lepsze, czy gorsze. Zazwyczaj chyba po prostu inne.

Jednak to nie powód do rezygnowania. Mogłam jeszcze wiele z siebie dać. Nie wolno się poddawać.

Zapukałam do drzwi biura Bartosza.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Wparowałam do jego gabinetu jak do swojego. Na mój widok mężczyzna zerwał się na równe nogi, a ja cichutko domknęłam drzwi i uśmiechnęłam się do niego promiennie.

Tak uśmiecha się do człowieka słońce, zanim go spali.

– Oczywiście... – wydukał i wskazał fotel, w którym siedziałam na rozmowie kwalifikacyjnej.
– Jeśli chodzi o imprezę, to wybacz, że nie oddzwoniłem, ale...

Rzeczywiście nie oddzwonił. Gnojek do kwadratu.

Usiadłam i założyłam nogę na nogę.

– Nie chodzi o imprezę. – Ukryłam jedną dłoń w drugiej, żeby nie zauważył ich drżenia. – Ty powiesz Julii o tym, że się spotykaliśmy, czy ja mam to zrobić?

Z satysfakcją obserwowałam, jak jego szczęka opada z hukiem na biurko. Wyglądał jak mały chłopiec, który za moment ma się rozpłakać, bo ktoś zabrał mu lizaka. Oto kręcił z dwiema kobietami i nagle okazało się, że z kręcenia nici.

Czy jakikolwiek wieczór kawalerski istniał? Czy może chcąc uniknąć konfrontacji z kobietami, którym robił płonne nadzieje, spędził noc z jeszcze inną? Ile nas było? Liczył, że stworzy z nas w tajemnicy harem?

– Mogę spytać, po co to wszystko? – wyplułam. – Po jaką cholere zawracałeś mi głowę?

Przypomniałam sobie mężczyznę z piętnastolecia, z którym widziałam później Julię. Gdyby się

nad tym zastanowić, wzrostem i posturą przypominał Bartka. I to jego zdziwienie na wieść o tym, że wybieram się na tę imprezę!

Oraz zdjęcie w mieszkaniu Julii, a na nim Bartek we własnej osobie – obejmujący Julię na tle zaśnieżonych gór. To mi wszystko ułożyło w okrutną całość.

– I proszę cię, daruj sobie wymówki – dodałam. – Byłam u Julii, widziałam wasze zdjęcie. Masz obok siebie wspaniałą, mądrą i piękną kobietę. Po co te wygłupy? Szopka z pocałunkiem...

– To nie ja pierwszy cię pocałowałem – wypalił.

Och, kopnijcie mnie, bo inaczej nie obudzę się z tego koszmaru. A gdybym bardziej zaangażowała się w tę relację? Gdybym coś do niego poczuła? Och, co tam ja! Przecież z tego, co mówiła Julia, ona była w nim totalnie zakochana! Zakochana w oszuście!

– Jasne, a ty przybiegłeś pod moje mieszkanie z kwiatami, organizowałeś wspólne wypadki na drinka i kolacje, tłumaczyłeś z życiowych perypetii... – Odetchnęłam, żeby się uspokoić. – A w tym czasie mydliłeś oczy Julii. Jej na was zależy. Potrafisz sobie wyobrazić, jaką wyrządziłeś jej krzywdę?

Zaschło mi w ustach. Powiedziałam już wystarczająco wiele. Zamiast mówić dalej, wlepiłam w niego spojrzenie. Badałam spanikowane zielone oczy, drżące wargi, smukłe palce, z którymi nie wiedział, co zrobić. Udawałam spokojną, ale daleko mi było do spokoju. Z moich ust, zamiast dwutlenku węgla, przy każdym oddechu wydobywał się gniew.

– Ja... – Pokiwał sam do siebie głową, jakby przekonując się do czegoś w myślach. – Wybacz, nie chciałem. Pogubiłem się.

– Proszę cię. – Podniosłam się. – Gdzie się zgubiłeś? W drodze z mieszkania Julii do mojego?

Bartosz również się podniósł. Bardzo powoli, jakby jeden nieostrożny ruch decydował o wybuchu bomby. Przykro mi, kochanieńki, już żeś wdepnął na minę.

Oparłam się o biurko.

– I ty śmiałeś mieszać Kubę z błotem – wycedziłam. – Jak możesz spać po nocach? Z jednej strony udajesz świętego, wytykasz innym potknięcia, a z drugiej sam robisz dokładnie to samo!

Jego milczenie tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że żaden z niego zawodnik. Nie spodziewałam się konfrontacji. No jak to życie potrafi człowieka zaskoczyć.

– Ty jej powiesz czy ja mam to zrobić? – powtórzyłam. – Bo nie pozwolę, żeby przez ciebie cierpiała jeszcze bardziej.

– Powiem jej – odparł szybko. – Pozwól, że zrobię to sam, dobrze?

Wyprostowałam się. Pozwolić mu na to? Nie no, może i lepiej, żeby on jej o tym powiedział. Niech ponosi konsekwencje swoich czynów. Przynajmniej Julia będzie miała okazję powiedzieć mu, co o nim myśli.

Z gabinetu Bartka od razu wyruszyłam do kolejnego. Trudno cieszyć się z załatwionej sprawy, jeśli wiązała się z czymś złamanym sercem. Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Dopiero co traktowałam Bartka jak potencjalnego partnera. Jeszcze w piątek chciałam się na niego otworzyć, dać temu szansę. Jakim cudem to wszystko skomplikowało się w tak zawrotnym tempie? Stałam przed drzwiami do gabinetu prezesa i najpierw oparłam o nie czoło. To dopiero wyzwanie. Iść do faceta, którego nazwało się szambem i prosić go, żeby nas nie zwalniał. Więcej – przeniósł na inne stanowisko. Nie wyobrażałam sobie pracować obok Bartosza, a po zakończeniu umowy znów być asystentką Kubę. Nie mogłabym spędzać z nim czasu, rozmawiać, śmiać się... i oglądać go z Magdą. Dlatego zamierzałam poprosić prezesa o przeniesienie.

Ależ miałam tupet. Prosić go o cokolwiek po tym, co zrobiłam. Jednak zrezygnowanie z pracy nie wchodziło w rachubę. Przecież zawsze chciałam pracować w Adeline. Dostać tutaj posadę to nie byle sprawa. I nie byle pieniądze. Zamierzałam walczyć do końca.

Zapukałam. Prezes pożre mnie żywcem. Bez dwóch zdań.

– Dzień dobry, czy mogę zająć panu chwilę? – spytałam z głową wciśniętą między futrynę a drzwi.

Prezes uniósł wzrok znad wąskich okularów i odpowiedział cicho:

– Jeśli nie obawia się pani smrodu gówna, to zapraszam.

Wślizgnęłam się do środka, traktując to jak pełne entuzjazmu przywitanie. Podczas ostatniej wizyty nie rozejrzałam się po tym pomieszczeniu dokładnie, zbyt zajęta wybuchem Kuby i faktem, że awansowałam. Chociaż nie różniło się zanadto umeblowaniem od mojego obecnego gabinetu – biurko, półki na ścianach, a w kącie niewielka sofa, fotele i ława – można by było spokojnie rozegrać tu mecz siatkówki. No, może gdyby nie te kryształowe trofea porozstawiane na półkach.

Prezes usiadł na granatowej sofie i wskazał, bym spoczęła w fotelu naprzeciwko. Zrobiłam, jak polecił. Wyprostowałam się jak struna i unikałam jego wzroku.

– Cóż panią sprowadza? – spytał.

– Tak bardzo pana przepraszam – odparłam jednym tchem. – Zachowałam się w piątek jak ostatnia idiotka. Nie wiem, co mi odbiło. Zapewniam pana, że niczego nie żałuję bardziej od tego. Po prostu Kuba... Niepotrzebnie mu wtedy uwierzyłam. Zrobiło mi się go szkoda i... – Złapałam szybko oddech. – Mój błąd. Błagam, niech mnie pan nie zwalnia. Ta praca to moje marzenie. Poprawię się. Będę pracować za dziesięciu. Przysięgam.

Twarz prezesa nie wyrażała żadnych emocji – ani zdziwienia, ani złości. Trwał w niezmienionej pozycji, z dłonią podpierającą podbródek i nogą założoną na nogę. Co chodziło mu po głowie?

– Po co miałbym to robić? – przemówił po namyśle i pogładził swoją łysinę. – I tak niewiele już pani zostało. Zaledwie kilka dni... – Sięgnął po skórzany kalendarz, leżący na krańcu stołu i zajrzał do niego. – Dwa.

Czyli za dwa dni minie miesiąc od momentu, w którym nasza umowa weszła w życie. Niby tylko tyle, a mogłabym przysiąc, że minęły trzy lata.

Umowa stanowiła, że pogrzeję tę świętą posadkę przez trzydzieści dni. Miesiąc kary dla Kuby. Potem wszystko miało wrócić do starego porządku.

– Tak – wyplułam. – Ale sądziłam, że stracę pracę przez to, co powiedziałam. – Złapałam się za pierś i zaśmiałam się do siebie. – Co za ulga. Dziękuję panu. Mam jednak małą prośbę. Ja... Jest taki problem, że nie sądzę, żebym mogła pracować dłużej jako asystentka Ku... dyrektora. Czy istnieje możliwość przeniesienia mnie na inne stanowisko?

– O czym pani mówi? – wydusił z siebie, po czym nachylił się w moją stronę i powiedział: – Czytała pani umowę?

Pokiwałam żarliwie głową, ale po chwili znieruchomiałam.

– Raczej tak... Mniej więcej. – Niewidzialna obręcz ścisnęła mój żołądek. – Bartosz dość dokładnie wszystko mi wytłumaczył... Dlaczego pan pyta?

Prezes wstał i przemaszerował do minimalistycznego metalowego biurka, wyciągnął coś z szuflady i usiadł z powrotem na sofie. Przebiegał szybko wzrokiem po drobnym maczku tekstu, odkładając przejrzone strony na bok, po czym podsunął mi jedną z nich pod nos, wskazując palcem konkretny fragment.

Fragment, który mówił, że po przepracowanym miesiącu jako fałszywa dyrektorka, odejdę z firmy.

Moje serce przestało na chwilę bić.

– A-ale... – wyjąkałam. – Bartosz p-powiedział...

Cholerna gadzina! Jeśli do tej pory szufladki się nie domykały, to teraz zatrzasnęły się z hukiem. Gnojek doskonale wiedział, że po określonym przez umowę czasie zniknę jak bańka mydlana. Postanowił się więc trochę niezobowiązująco pobawić.

Gdybym tylko to uważniej przeczytała...

– Może źle go pani zrozumiała – podpowiedział prezes.

– Niewątpliwie – powiedziałam i od razu pociągnęłam nosem. – Nawet bardzo źle.

Nie będę płakać przy prezesie. Nie będę płakać przy prezesie...

– Płacze pani?

Zagryzłam wargę, żeby nie drżała, wstrzymałam powietrze i pokręciłam głową.

– Jest pani pewna?

Wybuchłam szlochem. Wydarłam się na całe biuro, i to tak donośnie, że prezes aż wbił plecy w oparcie fotela.

– A ja tak się starałam! – wyłkałam i chwyciłam chusteczkę, którą wyciągnął w moją stronę. – Czy pan ma pojęcie, ile ja przeszłam, żeby to wszystko osiągnąć?! Wie pan, ile włożyłam w to pracy? To... – Wysmarkałam głośno nos. – To było moje m-ma... ma...

Nie mogłam się uspokoić. I to wszystko moja wina! Moja cholerna pazerność! Gdybym odmówiła... albo przeczytała tę umowę... Ale nie! Zobaczyłam wysokość premii i już nic innego mnie nie interesowało. Sama byłam sobie winna. Tylko i wyłącznie sobie!

– P-przysłałam na rozmowę kwalifikacyjną, ponieważ chciałam dołożyć swoją cegiełkę do zmieniania świata na... na... na l-lepsze. – Spojrzałam prezesowi prosto w oczy i pociągnęłam głośno nosem. – Stawałam na rzesach, żeby był pan zadowolony! Zamiast się realizować, zostałam wpakowana w sam środek rodzinnych sporów. Robiłam za niańkę! Człowiek, któremu zaufałam, sprzedał mi kłamstwo. – Wskazałam umowę. Ledwie powstrzymałam się, żeby jej nie podrzeć. – I jeszcze jak ostatnia debilka zako...

Odchrząknęłam. Mało, że odchrząknęłam. Zaczęłam się dusić. Co ja właśnie próbowałam powiedzieć? Oszalałaś, Ina?!

– Wszystko dobrze? Uspokoiliłam się i zwróciłam do prezesa. Miał taką minę, jakby siedziała przed nim kosmitka. Nic dziwnego, skoro właśnie urządziłam sobie przepiękną historię. – Przepraszam, że panią w to wmieszałam – westchnął prezes.

Zamrugłam i wlepiłam w niego okrągłe jak pięć złotych oczęta.

– Słucham?

Wstał i przespacerował się do okna.

– To prawda, nie powinienem był mieszać życia prywatnego z zawodowym. Robiłem to od zawsze i niczego nie nauczyłem na błędach. Chociażby ta durna sprawa z alergią Kuby. Szukałem wtedy inwestorów. To było jedno z ważniejszych spotkań w mojej karierze, niedługo po śmierci jego matki... – Pokręcił głową. – Udawał, że coś mu się stało, ale i tak nie powinienem reagować tak ostro. Był tylko dzieckiem, które próbowało zwrócić na siebie uwagę, ale ja tego nie rozumiałem. Sam rozpacziałem po śmierci żony, więc skupiłem się na pracy, żeby jak najmniej myśleć... Zapomniałem o nim. Zostawiłem go z tym samego.

Wbiłam paznokcie w kolana. Wspaniale, że sobie teraz rozmawiamy o Kubie. Dzięki temu jeszcze trudniej będzie mi przyznać się do kłamstwa. Kocham swoje życie. Kocham swoje życie. Kocham swoje życie...

– Popeliłem wiele błędów jako rodzic. – Prezes odwrócił się w moją stronę i po raz pierwszy dostrzegłam u niego cień słabości. – Nie opiekowałem się nim tak, jak powinienem, a potem wściekałem się, że nie jest taki, jaki chciałbym, żeby był.

– On nie musi być taki, jaki pan chce, żeby był – powiedziałam. – To nie robot, tylko człowiek. A Kuba potrafi naprawdę wiele. Ma złote serce. Wystarczy mu pokazać, że się w niego wierzy. Tylko tyle i aż tyle.

Przetarłam nos i spróbowałam uspokoić drżący oddech. Właśnie znalazłam się w dupie. Za dwa dni stracę pracę. Facet, z którym coś miało mnie łączyć, grał na dwa fronty, i to z kobietą, która dopiero co została moją koleżanką. A ten, na którym mi zależało... kochał inną i prawdopodobnie wkrótce dowie się, że wraca na stanowisko dyrektora, a jego droga asystentka cały czas go oszukiwała.

Kolejne łzy wypłynęły spod moich powiek. Do diabła, nie chciałam już płakać. Pragnęłam świętego spokoju. Tylko tyle.

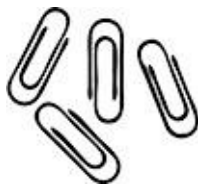
– Pani Ino... – podjął prezes, choć nie chciałam już tego słuchać. – To był głupi pomysł. Naprawdę bardzo mi przykro.

Uśmiechnęłam się do niego przez łzy.

– Nie szkodzi – wydukałam.

Choć szkodziło.

Rozdział 27



Za zgodną prezesa, który przekonał się, że moja histeria nie minie zbyt szybko, zwolniłam się wcześniej z pracy. Nie potrafiłam przestać imitować fontanny w obliczu tego, że moje życie właśnie runęło w gruzach. Napięte ciało nie chciało się rozluźnić, a natrętne myśli opuścić głowy. Potrzebowałam odetchnąć. Odciąć się od tego, co złe. Przynajmniej na moment.

Dlatego spakowałam swoje rzeczy i spytałam Alinę, czy mogę zatrzymać się u niej na kilka dni. Lada moment Kuba wróci na stanowisko dyrektora i pewnie się od nas wyprowadzi. Wtedy wrócę do mieszkania. Ale do tej pory...

Przekręciłam klucz w zamku i pchnęłam ciężkie drzwi. Torby same wypadły mi z dłoni na szarą wykładzinę, a ja stanęłam w progu i odetchnęłam. Bynajmniej nie z ulgą.

Dźwignęłam rzeczy, a potem weszłam w głąb mieszkania. Mój wzrok od razu wcisnął się do niewielkiej sypialni, gdzie w oknie wisiały pomarańczowe zasłony. Na małżeńskim łóżu przykrytym śnieżnobiałą pościelą leżała kartka z napisem:

Witaj w domu, maleńka!

Czuj się jak u siebie, tylko nie dotykaj alkoholu z barku! (Beze mnie).

Babcia Alina

Zajrzałam do kulejącej szafy, która przez kilka najbliższych dni miała w sobie mieścić skrawek mojego życia, a przynajmniej część przedmiotów najbardziej mi się z nim kojarzących.

Zakręciło mi się w głowie. Przecież to jakaś katastrofa. Nie tak to planowałam.

Podbiegłam do okna. Odgarnęłam zasłonę, która próbowała przylgnąć do mojej twarzy, otworzyłam je na oścież i zaczerpnęłam odrobiny smogu.

Jak mogłam tak bardzo pomylić się w ocenie Bartosza? Widziałam w nim ideał, podczas gdy kłamał i wodził naiwną Malinę za nos, i świetnie się przy tym bawił. Ironia losu. Tyle lat unikałam relacji, a gdy postanowiłam jednej zaufać, szybko tego pożałowałam. Może po prostu się do tego nie nadawałam?

A Kuba? Wraz z powrotem na dawne śmiecie, znajdzie sobie pewnie wypasiony apartament w centrum, do którego być może nie wprowadzi się już sam, lecz z miłością swojego życia. Szybko zapomni, jak to było mieszkać w starym bezbarwnym bloku. Zapomni małą zieloną restaurację i moją mamę, która uwierzyła w niego, gdy nie wierzył nikt.

A na koniec zapomni o swojej stukniętej asystentce. Czemu miałby pamiętać? Byłam tylko szurniętą babą, z którą musiał moment popracować. Trochę kłamał, trochę się kłócił. Czasem się śmiał. Nic więcej.

Jeśli dobrze pójdzie, ja również za jakiś czas wyrzucę go z myśli. Z dnia na dzień jego twarz będzie stawać się coraz mniej wyraźna, a za kilka lat nie przypomnę sobie, czym tak zawrócił mi w tym durnym łbie. Tak to przecież działa – ludzie, którzy nie uczestniczą w naszej codzienności, znikają z pamięci.

Gówno prawda. Nie znikają. Zostają, rozsiadają się w niej wygodnie i wracają w snach.

Rozpakowałam walizkę i położyłam się na łóżku. Wlepiłam wzrok w biały sufit i objęłam się ramionami, starając dodać sobie otuchy. Lęk obudził się w mojej głowie, wpłynął do krwiobiegu, podążając prosto do serca, ale nie pozwoliłam mu dotrzeć do celu. Wzięłam głęboki wdech, zatrzymałam powietrze w płucach i wypuściłam powoli.

To za mało. Znalazłam telefon i wybrałam numer do mamy. O tej porze obydwie z Aliną powinny być w Warzywniaku. Ogarną mnie.

– Poczekaj, skarbie, właśnie robię sałatkę – wybrzmiało po drugiej stronie. – Dam ci Asię, opowiedz jej wszystko.

Nie zdążyłam zaprotestować, Joasienieńka odezwała się swoim niskim głosem:

– Tak? Halo? Dzień dobry.

Zaśmiałam się głucho, starając nie rozplakać. Gdybym się rozplakała, niezręczność sięgnęłaby zenitu i pewnie już nigdy nie spojrzęłybyśmy sobie w oczy.

– Dzień dobry – odparłam. – Nie zajmę ci dużo czasu. Dojechałam na miejsce i się rozpakowałam. Chciałam tylko dać znać, że wszystko jest w porządku.

– A ty nie miałaś jechać do Aliny? – upewniła się.

No tak, zabrzmiało, jakbym meldowała się po zakwaterowaniu na drugim krańcu świata.

– Tak, ale wiesz... – bąknęłam. – Alina mieszka aż na Bielanach.

Roześmiałam się i wreszcie trochę uspokoiłam. Będzie dobrze. Mam przy sobie tyle życzliwych dusz, że przetrwam każdą burzę. Nawet taką, co porwie mój dach, bydło i sztachety od płotu.

– A jak te twoje... – Joanna odchrząknęła. – Iwona mówiła, że zdarzają ci się...

Serii chrząknięć nie było końca.

– Ataki paniki. Od rozwodu rodziców – wytłumaczyłam, uwalniając ją wreszcie z sideł niezręczności. – Właśnie jeden się szykował, ale, jak widać, odpędziłaś go.

Słyszałam w słuchawce, że się przemieszcza. Wreszcie do moich uszu dotarł szum ulicy. Joanna wyszła na zewnątrz.

– Jeśli czegoś potrzebujesz, a nie chcesz martwić mamy... Po prostu powiedz – szepnęła.

Wdzięczność rozlała się po całym moim ciele. Tego się kompletnie nie spodziewałam.

– Jak idzie w restauracji? – spytałam z zaciśniętym gardłem. – Czy naprawdę... Kuba pomógł?

– Sam się przesun! To chodnik, nie droga rowerowa! – wrzasnęła. – Wybacz. Tak, Kuba pomógł i to wcale niemało. Przede wszystkim tą umową z Adeline...

– Jaką umową? – podłapałam.

Nastała cisza. Zbyt długa. O czymś mi nie mówili!

– Hej, obydwie wiemy, że tam jesteś – syknęłam. – Mów natychmiast.

Joanna sapnęła krótko, a ja w tym czasie ściągnęłam spodnie i skarpety. Ułożyłam się na łóżku, a chłód przedostający się przed otwarte okno przyjemnie gładził moje ciało. Staralam się w ten sposób oszukać umysł, który wariował. Jakby huczał w nim alarm i dziesiątki czerwonych sygnalizatorów.

– Miałam nie mówić – wydukała.

– Za późno.

Zastanowiła się, ale szybko odpuściła.

– Informacja za informacją. Stoi? – spytała.

Zerwałam się do siadu. A to szczywana bestia! Pokręciłam nosem, ale przystałam na jej propozycję.

– Kuba załatwił mamie codzienny catering do Adeline. Piecze wegańskie ciasta, babeczki i tarty. Zabroniła mi jednak ci o tym mówić, bo jej zabronił Kuba. Który notabene ciągle się gdzieś tu kręci...

– Znów szum w słuchawce. – A nie, nie ma samochodu. Całe szczęście. Położyłam się z powrotem na łóżku. Nie mogłam dłużej przed tym uciekać. Wystarczająco długo okłamywałam Kubę. Zasługiwał na

prawdę. Zrobił dla nas tyle dobrego, a ja... Jak mogłam wejść w ten układ?

– Często bywa w restauracji? – Siłiłam się na lekki ton. Taki, że niby wcale mnie to nie obchodzi, a pytam, ponieważ ludzie czasem po prostu zagadują o sprawy, które ich nie interesują.

– Codziennie – powiedziała bez zastanowienia. – Wykonuje kawał dobrej roboty.

– Zarabia na utrzymanie – zauważyłam.

Ale wtedy nastąpiła pełna sugestii cisza.

– Halo?! – krzyknęłam, obawiając się, że Joanna się rozłączyła.

– Jestem, jestem – sapnęła. – To też ciekawa sprawa.

Znów usiadłam. Mało, że usiadłam. Wstałam. Zaczęłam łączyć w tę i we w tę.

– Co jest w tym ciekawego? – spytałam.

Głos Joasienieńki cały czas transformował. Ze spiętego w taki, którym mogłaby się poszczycić plotkara spod bloku. Taka, co siedzi, odpowiada z uśmiechem na dzień dobry, ale potem mówi sąsiadce, że co piątek przyprowadzasz do domu innego gacha. Od tej strony jej nie znałam.

– Nie wziął ani grosza za pracę u twojej mamy. Złamanego.

– No taka była umowa – odpowiedziałam karcąco. – Pomaga w zamian za nocleg.

– Znów skucha – niemal weszła mi w słowo. – Dołożył się do opłat. Do wszystkiego. Uparł się i nie dało mu się tego za nic wytłumaczyć. Dobra, w związku z tym moje pytanie.

Przełknęłam ślinę. Niech mówi. Już chyba nic gorszego mnie dzisiaj nie spotka.

– Wygląda na to, że naprawdę dużo by dla ciebie zrobił – powiedziała.

Teraz to ja odchrząknęłam.

– To nie pytanie.

– Ach, to prawda – zadumała się. – To w takim razie nie mam żadnego.

Świetnie. Po prostu cudownie. Co mówi się o kopaniu leżącego? Dwa ciosy prosto w żołądek. I to chyba glaniem.

– Mogę przełączyć cię na głośnomówiący? – spytała Joanna. – Mama chce pogadać.

Przytaknęłam, gotowa im to wszystko wytłumaczyć. Zbyt wiele razy mama i Joanna zasugerowały, że pomiędzy mną i Kubą mogłoby coś być. Nie znały faktów.

– Słuchajcie, Kuba nie... – Przez chwilę wydało mi się, że tego z siebie nie wyduszę: – Mylicie się. Kuba nie robi tego dla mnie. Jest pewna kobieta... – To nie powinno tak boleć. – Piękna, naprawdę piękna. Podobno wspaniała pod każdym względem. No i on ją kocha. Od zawsze. Biega za nią od szkoły średniej i chyba wreszcie wybiegał. Więc to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Och, skarbie... Tak mi przykro – westchnęła z bólem mama.

Dlaczego było jej przykro? Czy w którymkolwiek momencie dałam im do zrozumienia, że chciałabym, aby coś wydarzyło się pomiędzy mną i Kubą?

– Po pierwsze – podjęła Alina – dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedziałaś, biedaczysko? Przecież wiesz, że nie musisz przeżywać wszystkiego w samotności.

– Nic nie przeżywam – czułam się w obowiązku zaprzeczyć. Zbyt szybko zostałam przejrzana.

– Skąd w ogóle taki pomysł? Przyjaźnimy się. Kuba bardzo nam pomógł... Pracujemy razem.

– Uciekłaś przed nim z domu – odezwała się mama.

No tak, to mogło je naprowadzić na trop.

– Nie uciekłam – zaoponowałam. – Chciałam tylko... odpocząć.

Cisza. Musiało je to przewyższyć. Nabrałam powietrza, żeby przyznać, że Kuba nie był moim jedynym problemem, ale je zamknęłam. Jak miałabym wyznać mamie, że straciłam pracę? Dopiero co trochę odżyła. W jej oczach znów zaczęła płonąć nadzieja. Jak miałabym ją znowu zgasić?

– Słońce, zamykamy dziś o dwudziestej – odezwała się w końcu Alina. – Wrócę jak najszybciej i pogadamy. Nic się nie stresuj, czeka nas żarcie i babskie pogaduchy. I nie uciekaj. Rozmowa ci się przyda.

Rozłączyły się, a ja znów zostałam sama ze swoimi myślami.

Odłożyłam telefon na stół i ruszyłam do łazienki. Niemal wbiegłam pod prysznic, w pośpiechu nie zatrzasnęłam nawet do końca drzwiczek, odkręciłam kran i pozwoliłam lodowatej wodzie spływać

strugami po moim nagim ciele.

Obudź się, powtarzałam sobie.

Tylko że to nie żaden sen. To rzeczywistość, a ona ma to do siebie, że czasem sprawdza naszą wytrzymałość, każąc wisieć nad przepaścią. I trzyma nas za włosy. Nie ja pierwsza i nie ostatnia. Alina miała rację – potrzebowałam rozmowy. Ręce, w które trafiło moje serce, nie miały zielonego pojęcia, że cokolwiek trzymają. Zabiorę je więc, zanim się zorientują.

Owinęłam się puchatym szlafrokiem, pachnącym świeżym praniem, i postanowiłam się zrelaksować. Odwrócić uwagę od rzeczywistości. Włączyłam telewizor, zrobiłam herbatę i wyciągnęłam z torby puzzle, które złowiłam ostatnio w lumpeksie. Usadoviłam się przy stoliku i rozpoczęłam batalię. To pomagało odegnać wszelkie myśli, kręcące się bez celu po czaszce. Telewizor grał, bo grał. Leciał jakiś program paradokumentalny. Chciałam jedynie słyszeć coś w tle. Cisza raczej nie uspokajała.

Na dzwonek telefonu zareagowałam mechanicznie. Chwyciłam go, kliknęłam zieloną słuchawkę i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, czyje połączenie odebrałam.

– Cześć, o której będziesz? – spytał Kuba. – Właśnie zamówiłem chińszczyznę i pomyślałem, że może zjemy razem? Ryż z warzywami. Lubisz? I może włączylibyśmy jakiś film? Nawet chyba leci coś ciekawego dzisiaj w telewizji.

Fragment nieba, który akurat miałam wcisnąć na swoje miejsce, wypadł mi z ręki, odbił się od podłogi i wleciał pod łóżko. Zamiast po niego sięgnąć, podniosłam się i zaczęłam łązić w kółko.

– Nie, Kuba. Nie mogę.

Słyszałam, że robił coś w międzyczasie. Brzmiało... jakby zmywał.

– A o której będziesz? Twoja mama pewnie do dwudziestej nie wróci – paplał. – Mogę na ciebie poczekać, jedzenie odgrzejemy w mikrofalach. No i na pewno grają też inne filmy. Nie musimy oglądać akurat tego. I tak nie pamiętam tytułu.

Zacisnęłam powieki. To ten moment, Ina. Może nienajlepszy, ale zrób to w końcu. Wiesz, że w końcu do tego dojdzie. I tak zbyt długo zwlekałaś, tchórze.

– Nie. Nie wrócę – wydusiłam z siebie. – W ogóle.

Hałas ucichł. Cokolwiek Kuba robił, przestał.

– Jesteś u Bartka? – spytał.

Potrząsnęłam głową, jakby mógł mnie zobaczyć.

– Nie, nie jestem u Bartka. – Usiadłam, ale zaraz znów się podniosłam. – Jestem... u Aliny. Pomieszkałam tu jakiś czas. Dopóki...

– Jak to pomieszkaasz? – przerwał mi. – O czym ty mówisz?

Moje dłonie zrobiły się lodowate. Nie chciałam zachowywać się wobec niego niesprawiedliwie. Nie chciałam zranić go w jakikolwiek sposób. Nie chciałam, żeby pomyślał, że jestem niewdzięczna.

– Kuba, chcę, żebyś wiedział, że dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś dla mojej mamy. Bardzo ci dziękuję. Słowa nie wyrażą tego, jak wdzięczna jestem. – Mój głos się załamał. – Masz wielkie serce i cieszę się, że mogłam się przekonać o tym, że wszystko, co myślałam na twój temat na początku naszej znajomości, to stek bzdur. Ale ja... Nie miałam pojęcia, że to wszystko się tak potoczy. Gdybym wiedziała, nigdy w życiu bym się na to nie zgodziła. Przepraszam cię. Tak bardzo cię przepraszam.

– Ina – mówił powoli. – Co się stało? Natychmiast podaj mi adres. Zaraz tam będę.

– Nie – wyrzuciłam. – Nie rozumiesz? To wszystko moja wina. To, że straciłeś pracę. Że wywalili cię z mieszkania i zostałeś bez dachu nad głową. Podpisałam umowę, bo myślałam, że jesteś dupkiem. Skąd mogłam wiedzieć, że jest inaczej?

Chlipałam cicho i nie mogłam uspokoić oddechu.

– O jakiej umowie ty w ogóle mówisz? – Jego zirytowany ton dowodził, że niczego nie zrozumiał z mojej chaotycznej gadaniny. Zacisnęłam powieki i spróbowałam uspokoić oddech.

– Tego samego dnia, którego zostałeś zdegradowany, Bartosz złożył mi propozycję – tłumaczyłam. – Miesiąc zamiany ról. Powiedział mi, że prezes nie ma już do ciebie siły i chce dać ci nauzkę. Na początku się nie zgodziłam, ale... – Schowałam twarz za dłońią. – Obiecali mi gigantyczną premię. Byłabym tylko zamieniła się z tobą na miesiąc stołkiem. Zgodziłam się.

Otworzyłam oczy i oddaliłam telefon, żeby sprawdzić, czy się nie rozłączył. Połączenie jednak

wciąż trwało.

– Przepraszam cię – szepnęłam. – Tak bardzo cię przepraszam. Nie znałam cię wtedy. Nie wiedziałam, jaki jesteś.

– Wtedy nie – odparł lodowanym tonem. – Ale zdążyłaś mnie przez ten miesiąc poznać. I mówisz mi o tym teraz? Jak lada moment minie czas trwania umowy?

– Przepraszam... Gdybym wiedziała...

– Nie, Ina – przerwał mi. – Wiesz, co jest najgorsze? W dupie mam tę umowę i jakieś świstki, które podpisałaś. Ale zaprzyjaźniliśmy się! Sądziłem, że to ma dla ciebie jakieś znaczenie. Że ja jakieś mam. – Odetchnął głośno. – Ty jednak obudziłaś się chwilę przed zakończeniem waszego eksperymentu, bo i tak wiedziałaś, że się wyda. Nigdy nie chodziło o mnie czy naszą relację. Zrobiłabyś wszystko, żeby utrzymać pracę, bo tylko ona się dla ciebie liczy. Nic innego.

Rozłączył się.

Tak myślał? Że mówiłam mu o tym dopiero teraz, żeby na pewno zrealizować plan i dostać pieniądze? Bo wiedziałam, że i tak się wyda? Usiadłam i objęłam nogi ramionami. Położyłam brodę na kolanach. Wszystko spieprzyłaś, Ina. Wszystko, co tylko można spieprzyć.

Rozdział 28



Kiedy Alina wróciła do domu, leżałam na łóżku w pozycji embrionalnej, zmęczona już płaczem i użalaniem nad sobą. Niewiele widziałam przez spuchnięte oczy, ale i tak gapiłam się bez słowa przed siebie. Dopiero gdy babcia usiadła na łóżku i odgarnęła mi włosy z twarzy, przeniosłam spojrzenie na nią.

– Oszukałam Kubę – wychrypiałam. – Powiedziałam mu o tym i teraz mnie nienawidzi.

– Chodź, zjemy – powiedziała łagodnie i wcisnęła ręce pod swoją bluzkę. Wykonała jeden szybki ruch i wyciągnęła spod niej stanik. – Boże, co za ulga. Gdyby nie to, że bez nich piersi objają mi się o kolana, w ogóle bym nie wkładała tych cyckonoszy. Chodź, małeńka. Zaraz o wszystkim mi opowiesz.

Zwlekłam się niechętnie z łóżka i poczłapałam za Aliną. Biernie przyglądałam się, jak dopadła do toreb i zaczęła rozkładać naszą ucztę. Przyniosła z kuchni sok i już po chwili siedziałyśmy na zielonej kanapie, pewnie pamiętającej jeszcze komunę, i zajadałyśmy się wegańskim burrito, choć ledwie cokolwiek chciało mi przejść przez gardło.

– Co to było za kłamstwo? – spytała.

Moja żuchwa się zatrzymała. Przełknęłam i zaczęłam mówić. Szybko, byleby się jak najprędzej się tego pozbyć. Opowiedziałam jej o Bartoszu, umowie, premii. O przeprowadzce Kuby, Magdzie, sprawie z uczuleniem. O tym, że tak późno zrozumiałam, że lubię i okłamuję Kubiaka. Zbyt późno.

– No ładnie nam się porobiło. – Siorbnęła sok. – Trochę narozrabiałaś, ale nie zostawialiście sobie dłużni. Idź do niego i powiedz, co czujesz.

Przełknęłam kęs i odłożyłam resztę burrito na talerz.

– Nie mówisz poważnie – odparłam. – On jest zakochany w Magdzie. Ja miałam być jego przyjaciółką, ale go oszukałam. Ma rację. Mogłam powiedzieć mu o umowie wcześniej, a tego nie zrobiłam.

Alina otworzyła ramiona, w których od razu się schowałam. Jak dobrze, że miałam przy sobie te babeczki. Gdyby nie mama i babcia, chybabym oszalała.

– Mogłaś mu powiedzieć – powiedziała uspokajająco. – Ale tego nie zrobiłaś. Ty też masz prawo do błędów, Ina. Tobie też może się powinąć noga. Nie ma ludzi idealnych.

Bzdury. Byłam hipokrytką. Wściekałam się za kłamstwa, a sama bez przerwy łągałam. Kuba mi nie wybaczy. Sama na jego miejscu bym nie wybaczyła.

– To wcale nie jest takie przesądzone – ciągnęła. – Jak na mój gust, a mam już swoje lata, to Kuba wszystko, co robił dla Warzywniaka, robił dla ciebie. Żebyś słyszała, jak on o tobie mówił...

– Jak mówił?

Nie ma niczego gorszego od nadziei. Od leniwie tłącego się płomienia, który z każdą kolejną myślą nabiera na sile i wreszcie... spala wszystko wokół.

– Nieustannie – westchnęła babcia, symulując znużenie. – *No nie wiem, czy powinniśmy tak*

robić. Ina pewnie wolalaby coś innego... – papugowała go. – Ina lubi latte, dodajmy je może do oferty? Czy ktoś wie, czy Ina lubi chińszczyznę? Nie widziałam jeszcze faceta, który byłby tak zainteresowany preferencjami żywnościowymi przypadkowej koleżanki.

Napełniła sobie kieliszek do połowy winem, ale ja odmówiłam. Awersja do alkoholu jeszcze nie minęła.

– Ala, zastanów się. – Zabrałam jej kieliszek i odstawiłam go na stół. Zamknęłam jej dłonie w swoich. – Gdyby myślał o nas w ten sposób, nie byłoby mowy o Magdzie. A jest. On zawsze wybierze ją.

– Ina, z tego co mówisz, Kuba kochał tę dziewczynę od lat. – Wzruszyła niewinnie ramionami. – Może jemu też nie jest łatwo uwierzyć, że coś się zmienia? Ale liczą się czyny, nie słowa. Fakty mówią same za siebie: tyra po godzinach, starając się postawić na nogi restaurację twojej matki. Nic z tego nie ma. Nic poza twoim spokojem i szczęściem. Sama mówiłaś, że zmienił się i w pracy nie uprzykrza ci życia. Zabrał cię na imprezę, a mógł zabrać przecież tę swoją...

– Magda nie lubi takich imprez – rzuciłam szybko.

Alina posłała mi spojrzenie spod wykrzywionych w łuk brwi.

– Och, doprawdy? Biedaczka. – Popukała się w czoło. – Ciekawe, czy ktokolwiek jej to w ogóle zaproponował. Raz u nas była... Oj, nie patrz tak. Była. Przyszła, zjadła danie dnia, pochwaliła i poszła. Jakoś nie dostrzegłam w nim wielkiej fascynacji tą dziewczyną. Kuba zabrał Magdę do Warzywniaka? Czyli powiedział jej, że tam pomaga? Czy w takim razie wyznał jej prawdę o degradacji? To by ich zbliżyło.

Włączyłam telewizor, zamykając w ten sposób dyskusję. Alina doskonale wiedziała, że potrzebuję przerwy i pomogła mi nawet, mówiąc, że właśnie zaczyna się jej ulubiony program. Gapiłam się w ekran, nic z niego nie wyciągając.

Wreszcie podniosłam się i skierowałam do pokoju, w którym zostawiłam telefon. Niemal wypuściłam komórkę z dłoni, bo ledwie ją pochwyciłam, a zaczęła wibrować, oznajmiając przychodzące połączenie.

– Słucham?

– Ina, dobrze, że jesteś – powiedziała Joanna. – Iwona wylądowała w szpitalu.

Wypadłam z mieszkania, nic nie wspominając Alinie o mamie, żeby jej nie denerwować. Wymigałam się spacerem, i popędziłam, ile sił w nogach na ratunek swojej rodzicielce.

Już pół godziny później do moich nozdrzy dostał się nieprzyjemny szpitalny zapach. Z paniką w oczach szukałam kolejnych drogowskazów kierujących na SOR, dopóki nie ujrzałam czarnego zakietu, ciasno związanych włosów i nerwowego kroku.

– Co się stało? Gdzie ona jest? – pytałam, zaglądając we wszystkie twarze, które znalazły się na mojej drodze.

Joanna chodziła za mną, aż wreszcie dotknęła mojego ramienia. Dopiero wtedy się zatrzymałam.

– Uspokój się najpierw – poleciła.

W jej oczach tliła się stanowczość, której od razu ustąpiłam.

– Ledwo wróciliśmy do mojego mieszkania, a straciła przytomność. – Zdenerwowanie w jej głosie dowodziło temu, że wiele ją to kosztowało. – Nie mogłam jej dobudzić, więc zadzwoniłam na pogotowie. Stwierdzili, że zabiorą mamę ze sobą, to od razu w szpitalu ją przebadają.

Przebadają ją. Bardzo dobrze. Dzięki temu, jeśli coś się działo, przynajmniej od razu znajdą przyczynę.

– Jak ona się czuje?

– Jest już lepiej – powiedziała Joanna nieco spokojniej. – Odzyskała przytomność jeszcze w domu. Już zdążyła się zakolegować z sanitariuszami. Znasz ją.

Odetchnęłam, ale ulga momentalnie zmieniła się w wyrzuty sumienia.

– To wszystko moja wina – wycedziłam. – Latałam sobie do Adeline, a ją zostawiłam zupełnie samą. To ja powinnam była zapieprzać tym rowerem przez całe miasto, nie ona. Co ze mnie za córka?

Joanna zmrużyła powieki i ponownie zacisnęła palce na moim ramieniu.

– Taka, która haruje jak wół, żeby potem oddać całą wypłatę na opłaty i nie zostawić sobie nawet złotówki – szepnęła. – Myślisz, że mi nie powiedziała? Ina, mama wie, ile z siebie dajesz, i docenia to, co dla niej robisz. I nie była sama. W restauracji są z nią Alina, Kuba, czasem ja. Z niczym nie zostawiłaś jej samej.

A jednak. Świadomie uciekłam do Adeline z Warzywniaka. Ta restauracja kojarzyła mi się ze wszystkim, co najgorsze, więc gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja, odcięłam się od niej. Przestałam tam zaglądać. Doszłam do wniosku, że jeśli załatwię pieniądze, to wystarczy.

Głupia, głupia Malina.

– Zobacz, już idzie.

Pielęgniarka wywiozła mamę na wózku z sali i doprowadziła do nas. Powiedziała, że musimy poczekać na wyniki badań. Na widok bladej mamy w szpitalnym wózku wybuchłam płaczem, a ona poszła za moim przykładem, dzięki czemu zaraz obydwie chlipałyśmy. Joanna odeszła speszona, przebąkując coś o wodzie.

– Niezależnie od tego, co wyjdzie w badaniach, masz odpocząć – zawyrokowałam. – Zastąpię cię jutro w lokalu. Wezmę urlop na żądanie. – A praca? – spytała mama, sądząc, że znalazła sposób na to, żebym jednak nie wygryzła jej z restauracji.

Jak miałam jej w tych okolicznościach powiedzieć, że straciłam posadę w Adeline i nie będę mogła wspierać Warzywniaka finansowo?

– W pracy jest trochę zawirowań – odpowiedziałam wymijająco. – Ale prawo do urlopu na żądanie ma każdy. Jutro pomogę, a potem zobaczymy.

Jakaś częśćka mnie umarła na myśl o powrocie do pracy w Warzywniaku. Ale trudno. Tak trzeba.

– Joanna strasznie się przestraszyła – dodałam, zmieniając temat. – Chyba bardzo jej zależy, co?

Mama się rozpromieniła. Proszę, jak to można człowieka łatwo wyleczyć ze wszystkich dolegliwości. Wystarczy miłość.

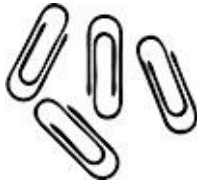
– Robi się poważnie – szepnęła, rozglądając się, czy jej wybranka jeszcze nie wróciła. – Chyba zamieszkamy razem.

Opanowałam jęk żalu, który zapragnął wyrwać mi się z piersi. Nie będziemy już razem mieszkać. Miałam ochotę zaprotestować, znaleźć milion wymówek i zatrzymać mamę przy sobie. Jednak zamiast tego uśmiechnęłam się i mocno ją do siebie przytuliłam. Najwyższy czas na to, żeby była szczęśliwa.

– Myślisz, że to jest to coś? – spytałam przekornie.

– Myślę, że tak. – Zaśmiała się.

Rozdział 29



Wmaszerowałyśmy z mamą do pustej kuchni. Zaskoczone porankiem lampy nadal się jeszcze rozpalały, a ja rozglądałam się po tak dobrze znanym mi wnętrzu, jakbym widziała je pierwszy raz. Utkwiłam spojrzenie w stosie pudełek. Zamówienia na wynos pakowałam jeszcze jako dzieciak. Ważyłam porcje, obsługiwałam kasę fiskalną i przygotowywałam niektóre potrawy.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Odwróciłam się do mamy i wymusiłam uśmiech.

– Mamo, przecież to moje miejsce. – Rozłożyłam ręce. – Znam je jak własną kieszeń. I naprawdę chcę pomóc.

Incydent z utratą przytomności wiązał się z przemęczeniem i anemią. Miesiące stresu doprowadziły do tego, że mama mało jadła, zapominała o suplementacji, kiepsko sypiała. Organizm ledwie dawał radę, a gdy wreszcie restauracja zaczęła lepiej prosperować, pracy przybyło. Jednak moja rodzicielka nie zmieniła kiepskich nawyków i nie trzeba było długo czekać na konsekwencje. Na szczęście miał się nią kto zaopiekować.

Z tym że nie zamierzała siedzieć z założonymi rękoma. Postanowiła, że będzie mi towarzyszyć. Ani ja, ani Joanna nie dałyśmy rady wyperswadować jej tego pomysłu.

– Jakie jest dziś danie dnia? – spytałam, starając się jednocześnie odnaleźć w sterylnej czystej kuchni. Znajomy zapach detergentów drażnił nozdrza. Mama z Aliną zawsze dbały o porządek, aż do przesady.

– Dzisiaj serwujemy... – mama podeszła do wiszących na lodówce karteczek – curry z tofu i groszkiem. A ja muszę zrobić bezy i ciasto marchewkowe. Dasz radę z curry?

Stałam na palcach i sięgnęłam do wiszącej nad głową półki po pudło z przepisami mamy i Aliny. Usiadłam na blacie i zaczęłam szukać odpowiedniej receptury. Moje nogi zwisały nad ziemią i obijały się o szafki, a ja przerzucałam kartki i cmokałam niezadowolona, bo nigdzie nie było tego piekielnego curry.

– Mamo, za nic nie mogę... – Zamilkłam, bo gdy podniosłam wzrok, zauważyłam, że mama przygląda mi się ze zboląłą miną. – Wszystko w porządku?

– Tak, tylko wiesz... – Pociągnęła za drzwi lodówki. Po kuchni rozszedł się zapach buraków, które stały starte w misce. Moja rodzicielka wyciągnęła naręczę marchewek i położyła je na blacie. – Jak tak usiadłaś, wyglądałaś jak ta mała Ina, która przychodziła do Warzywniaka gotować rozmaite potrawy... Ciągle powtarzała, że jak dorośnie, to będziemy prowadzić tę restaurację razem.

– Mamo...

– Nie, skarbie. Nie odbieraj tego w ten sposób. – Wyciągnęła deskę i położyła ją przed sobą, a potem sięgnęła po obieraczkę i znieruchomiła z nią w dłoni. – Nie mam żalu o to, że poszłaś swoją drogą. Nigdy nie zamierzałam spełniać swoich ambicji, zmuszając cię do czegokolwiek. – Odwróciła się w moją stronę. – Po prostu jak tak na ciebie popatrzyłam... To strasznie przykre, że to piękne marzenie zmieniło się w którymś momencie w koszmar.

Wróciłam do przeglądania przepisów, ale jak na złość, gdy teraz chciałam się czymś zająć, przepis na curry od razu trafił w moje ręce. Odłożyłam pudło na bok.

– Ale to dobrze, że w końcu się spełniasz – dodała mama. – Dostałaś pracę marzeń. Nie boisz się walczyć o to, co jest dla ciebie ważne. Jestem z ciebie dumna.

Wróciła do obierania marchewek, a ja siedziałam tam dalej i nie umiałam wydać z siebie dźwięku.

Pamiętałam dzień, w którym dowiedziałam się o istnieniu Adeline. Jedna z moich koleżanek w ostatniej klasie liceum przyszła ubrana w lnianą koszulę, niewyróżniającą się niczym szczególnym. Poza tym, jak o niej mówiła. Z wyższością opowiadała, że dostała ją w prezencie od ciotki, która pracowała w pewnej firmie. W Adeline.

Weronika, bo tak miała na imię ta dziewczyna, całą długą przerwę snuła opowieści o marce, która tamtego dnia stała się moim marzeniem. O tym, jaka jest ekologiczna i przede wszystkim, jak dobrze mówiła o pracy jej ciotka. I o tym, jak świetnie tam zarabiała.

A ja siedziałam obok nich, podsłuchując, bo nikt ze mną nie rozmawiał. Na kolanach trzymałam podręcznik do fizyki i powtarzałam w kółko te same regułki na kartkówkę, na którą nie zdążyłam nauczyć się wcześniej, ponieważ cały tydzień pracowałam w chińskiej knajpie.

Tamtego dnia postanowiłam, że to będzie Adeline. Że zrobię wszystko, żeby pracować w firmie, w której zarobię krocie i wreszcie nie będę musiała zaharowywać się po łokcie. Byleby tylko nie musieć się już martwić.

– Mamo, a co... – podjęłam. – Jak postrzegasz spełnianie się? Jak powinien czuć się człowiek, który jest dokładnie na swoim miejscu? Mama chwyciła górę obieraków i wrzuciła je do pojemnika na bioodpady.

– Tylko się nie złość i nie wywracaj oczami – zaczęła z obieraczką wycelowaną w mój nos. – Ale mimo wszystko... ja się tutaj spełniam. Dlatego nie poddałam się, kiedy wszystko waliło mi się na łeb. Czułam, że to moje miejsce i jeśli tylko jeszcze trochę poczekam... Po prostu czuję, że chcę to robić. Czasem jestem zmęczona, ale tak jak dzisiaj... – Zaśmiała się głośno. – Ty i Joanna kazałyście mi zostać w domu, ale nie mogłam, bo to tutaj odpoczywam. Nawet jeśli roboty jest od cholery.

Warzywniak? Pomimo wszystkich katastrof, które się tu wydarzyły? Łez, jakie tu wylałyśmy?

– Czasem mam to sobie za złe – kontynuowała. – Bo wiem, ile nas to kosztowało. Ile ciebie to kosztowało. Ten ciężar nigdy nie powinien spocząć na barkach nastolatki. Codziennie mam do siebie o to żal. Za każdym razem, gdy widzę, jak bardzo nie lubisz tutaj być.

– Mamo...

– Nie mamuj mi, skarbie. – Uśmiechnęła się smutno. – Przepraszam cię. To nigdy nie powinno być twoje zmartwienie. Zbyt szybko musiałaś zrezygnować z dzieciństwa. To ty byłaś moją matką, a nie na odwrót. Dość tego. – Oparła się o blat i głośno odetchnęła. – Jednak chyba tak to właśnie jest. Gdy się spełniasz, masz pewność, że jesteś na właściwym miejscu i robisz to, co należy.

Zeskoczyłam na ziemię i mocno objęłam mamę. Przycisnęłam policzek do jej pleców.

– Zawsze byliśmy i jesteśmy w tym razem. – Ścisnęłam ją mocniej, wywołując tym u niej chichot. – I zawsze możesz na mnie liczyć. Pogładziła moje dłonie, a ja wypuściłam ją z objęć. Przez chaos, który zapanował, zapomniałam, dlaczego to wszystko się zaczęło. Knajpki, sklepy, nauka, Adeline... dla mamy. Robiłam to dla niej. Żeby już nigdy nie musiała się o nic martwić.

– Poradzimy sobie – zapewniłam ją. – Już ja o to zadbam. Cokolwiek by się nie działo.

Mama pokręciła głową ze zrezygnowaniem. Zdębiałam. Sądziłam, że właśnie rozgrywa się piękna rodzina scena, ale moja rodzicielka wyglądała, jakbym właśnie bardzo ją rozczarowała.

– Właśnie o to chodzi, skarbie – przemówiła łagodnie. – Żebyś w końcu przestała o to dbać.

I wróciła do marchewek, a ja nadal stałam za nią, nie do końca rozumiejąc, o co jej chodziło. Złościła się o to, że się nami opiekowałam? Starałam się nie dopuścić do kolejnej katastrofy. Działam na pełnych obrotach, żebyśmy odzyskały równowagę. O co jej chodziło?

Zostawiłam na razie curry i wyszłam z kuchni, żeby zająć się salą restauracyjną. Zaczęłam nerwowo przestawiać przedmioty stojące na ladzie, choć tak naprawdę były na swoim miejscu. Sięgnęłam po płyn, a potem wycierałam blat z uporem maniaczki. Mało by brakowało, a zrobiłabym

w nim dziurę na wylot. Na pewno jakoś by mi się to udało.

Na co się złościłam? Na mamę? Bynajmniej. To nie jej wina, że życie cały czas jej utrudniało, zamiast ułatwiać. To może na to, że straciłam wymarzoną pracę? I to przez Bartosza – buca, który miał być wzorem cnót, chodzącym ideałem, a okazał się dupkiem. A może na Kubę, do którego nie odważyłam się nawet napisać? W końcu wyznałam mu prawdę, która podobno powinna być lepsza od najpiękniejszego łgarstwa. Niech mi ktoś w takim razie łaskawie wytłumaczy, czemu ludzkość nagminnie okłamuje samą siebie? Dlaczego w ogóle się tym przejmowałam? I tak straciłam ten stołek. Bez pracy w Adeline pewnie już nigdy nie spotkam Kubiaka. Gula usadowiła się w moim przełyku. Nie spotkam go, i co z tego? Przecież to nie tak, że nie mogę bez niego żyć. Mogę. Świetnie dam sobie bez niego radę.

Tylko czy tego chcę?

Pukanie w szybę drzwi sprawiło, że oderwałam się od pracy i skupiłam wzrok na dziewczynce stojącej za drzwiami. Mogła mieć z dwanaście lat. Na ramionach zawieszzone różowe paski plecaka, jasne włosy związane w dwa warkoczyki.

Podeszłam do drzwi.

– Wybacz, kochanie, ale jeszcze nie otworzyliśmy – powiedziałam.

Wpatrywała się we mnie okrągłymi brązowymi oczyma, aż wreszcie przeniosła je na wnętrze restauracji, a potem ponownie na moją osobę. Zaczęła dreptać w miejscu.

– Proszę pani, a czy mogłabym skorzystać z toalety? – wystękała.

Usunęłam się z przejścia i uśmiechnęłam słabo. Akurat z tego chyba katastrofy nie będzie.

Dziewczynka wkroczyła do lokalu i położyła różowy plecak na jednym z krzeseł. Rozglądała się z takim zafascynowaniem, jakby to co najmniej było muzeum zabawek.

– Bardzo tu ładnie – powiedziała cienkim głosem. – Też lubię taki kolor. – Wskazała przemalowaną przez Kubę na przygaszoną zieleń ścianę. – Moja mama obiecała, że po remoncie pomalujemy na taki kolor mój pokój. I nakleimy na ściany rośliny, żeby moja sypialnia wyglądała jak dżungla.

Zaśmiałam się pod nosem i wskazałam drzwi schowane w korytarzu prowadzącym do kuchni.

– Dżungla? To brzmi bardzo dobrze. Sama chciałabym taki pokój – dodałam. – A łazienka jest tam.

Speszona pokiwała głową, a chwilę później zniknęła w toalecie. Dobrze, że się pojawiła, przynajmniej zajęłam myśli czymś innym. Zaczęłam krążyć pomiędzy stolikami, poprawiając krzesła, uzupełniając serwetki i wycierając blaty.

– Już? – rzuciłam, gdy młoda wyszła.

– Tak, dziękuję.

Nie była zbyt wylewna. Wyglądała raczej na spłoszoną. Niewiele wiedziałam o dzieciach, zupełnie nie miałam z nimi styczności, ale w jej zachowaniu było coś niepokojącego.

– A czemu chodzisz tak sama po mieście? – Zmierzyłam plecak i jej wystraszoną twarz. – Dopiero dochodzi dziewiąta. Gdzie twoi rodzice?

– Nie, ja tylko... – Dreptała w miejscu. – Miałam tutaj niedaleko lekcje.

Żarówka rozbłysnęła nad moją głową.

– Właśnie. Czemu nie jesteś w szkole? – Założyłam ręce na biodra, ale zaraz je opuściłam. – Coś się stało? – Podeszłam bliżej i nachyliłam się, żeby nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. – Wagarujesz?

Czerwień przejęła nie tylko jej policzki, ale i szyję. Czyli bingo.

– Zadzwoń pani na policję? – spytała drżącym głosem.

Przymknęłam jedno oko. Pewnie powinnam. Ale może warto byłoby najpierw ustalić, jak to się stało, że młoda znalazła się w naszej restauracji. Co, jeśli przed czymś uciekała?

– Możemy zrobić tak... – Zawahałam się. – Ty mi powiesz, dlaczego związałaś z lekcji i spróbujemy razem znaleźć jakieś rozwiązanie. Wtedy nigdzie nie będę dzwonić. Co ty na to?

Z jej ust wyrwało się westchnienie.

– Mam na imię Oliwia. – Skłoniła się, jakbym była co najmniej królową angielską.

– A ja Malina, ale mów mi Ina. To co, siadasz?

Zajęłyśmy miejsca przy stoliku w kącie. Młoda wyciągnęła książki, przebąkując coś o ułamkach, a ja złapałam spojrzenie mamy. Szybko wytłumaczyłam jej sytuację. Pół godziny nikogo nie zbawi. Curry ogarnę, jak Oliwia już pójdzie.

Pogadałyśmy więc sobie o ułamkach i wstrętnej matematyce, która doprowadzała do tego, że młodą codziennie przed lekcjami bolał brzuch. Krok po kroku przechodziłyśmy przez zadania z zaległej pracy domowej. Całkiem nieźle dawała sobie z nimi radę. Najwyraźniej to nie matematyka stanowiła problem, tylko nauczycielka.

Cóż, przynajmniej nie chodziło o problemy rodzinne. Kamień z serca.

Mama przyniosła nam herbatę i kanapki, a Oliwia spałaszowała je, jak gdyby nie jadła od kilku dni. Potem zaś, z ustami wysmarowanymi dżemem porzeczkowym, wypaliła tylko pozornym szeptem:

– A masz narzeczonego?

Oderwałam się od równania. Jakim cudem jej umysł przeskoczył od ułamków do narzeczonego?

– Nie – odpowiedziałam krótko. – Czemu pytasz?

Młoda wzruszyła ramionami i oblizała się nieudolnie, jedynie pogarszając stan swojej brody. Wzruszyła niewinnie ramionami.

– Bo jesteś już dorosła – wytłumaczyła, a na jej policzki wpełzły rumieńce.

Odłożyłam długopis na bok. No tak. Dorosłość do czegoś zobowiązuje.

– Wiesz, nie każdy nosi w sobie potrzebę bycia w związku – rozpoczęłam swoją mowę moralizatorską. – Niektórym jest dobrze bez partnera lub partnerki.

– Bez miłości? – wyrzuciła z szeroko otwartymi oczami.

Odsunęłam podręcznik i oparłam głowę na dłoni.

– No czasem bez – odpowiedziałam. – To ma wiele plusów. Można żyć całkowicie po swojemu. Nie trzeba się nikomu tłumaczyć, szukać kompromisów. Bać zranienia... Ile ty w ogóle masz lat?

Oliwia opuściła wzrok i zaczęła bawić się błękitnym długopisem zakończonym pluszowym pomponem.

– Dziesięć – odparła. – A... To ty nikogo nie kochasz?

Potrząsnęłam głową, gdy do moich myśli wkroczył Kubiak. Ina, daj sobie spokój.

– Kocham moją mamę – wyliczałam. – Babcię...

Dziewczynka wpatrywała się z wyczekiwaniem, ale to by było na tyle.

– A tatę? – spytała.

– Ja nie mam taty – wypaliłam od razu. – Oliwko, co to w ogóle za przesłuchanie?

Westchnęła, jakby na jej szczupłych ramionach ktoś położył świat, i spojrzała na mnie z żalem.

– To nie przesłuchanie – westchnęła. – Tylko jestem ciekawa. Złościsz się?

Ułożyłam podręczniki w zgrabny stosik. Chyba jeszcze nikt jej nie mówił, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Nie złoścę – powiedziałam. – Co z tą matematyką? Wybierzesz się jutro do szkoły?

Zrobiła zbolałą minę, ale skoro nie znalazła w nikim wsparcia, przytaknęła niechętnie.

– Pójdę. Ale... Czy będę mogła jeszcze kiedyś przyjść, gdybym potrzebowała pomocy?

– Jasne. Tylko nie uciekaj z lekcji. Problem, od którego uciekamy, robi się coraz większy, nie maleje – powiedziałam jak rasowa dorosła-hipokrytka. – Trzeba się mierzyć z tym, czego się boimy.

Oliwia pokiwała głową i schowała książki do plecaka. Co jakiś czas łypała na mnie, jakby chciała o coś spytać, ale brakowało jej odwagi.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – zagadnęłam.

Od razu się wyprostowała, a jej ciemne oczy rozbłyły.

– A ty lubiłaś matematykę, gdy byłaś w moim wieku?

– Lubiłam. Czemu pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– Bez powodu. A czy jesteś teraz już szczęśliwa?

Otworzyłam ze zdziwienia usta. Jakby trzasnęła mnie kijem baseballowym w łeb.

Zerknęłam na wiszący na ścianie zegar, szukając drogi ucieczki.

– Musisz mi wybaczyć, praca wzywa – powiedziałam. – Zadzwoń do swoich rodziców i powiedz, gdzie jesteś. Powinni cię odebrać.

Napotkałam opór. Młoda pobladła i od razu rzuciła:

– Ale ja nie mam telefonu.

Wyciągnęłam swój z kieszeni.

– Ja mam. – Machnęłam jej komórką przed nosem. – Podaj tylko numer.

– Ale ja nie znam.

Dziwne. Sądziłam, że w tych czasach wszyscy rodzice dają swoim dzieciom telefony. Zwłaszcza tym większym.

– No dobra, to zmiana planów. Zamówię ci teraz taksówkę i za nią zapłacę. – Zaczęłam szukać numeru. – Pojedziesz prosto do domu, dobrze? Adres chyba znasz, co?

Młoda kręciła nosem, ale nie odpuściłam. Mowy nie było, żeby wyszła z lokalu sama i błąkała się po mieście. Wsadziłam ją do taksówki i obserwowałam, jak samochód znika za rogiem, a w mojej głowie dalej dudniło jej pytanie. Czy byłam szczęśliwa?

Zawróciłam na pięcie i skierowałam się do kuchni. Jak miałabym być, skoro nic nie układało się, jak powinno?

Rozdział 30



Nie mogłam wyjść ze zdziwienia – dzień spędzony w Warzywniaku był jak najbardziej udany. Przypomniałam sobie, dlaczego jako nastolatka marzyłam o tym, żeby prowadzić restaurację razem z mamą. W kuchni czułam się jak ryba w wodzie, a krążenie po sali i pogawędki z klientami sprawiały, że na kilka godzin przemieniłam się z pustelniczki w duszę towarzystwa. Po dwunastu godzinach na nogach, wróciłam do mieszkania Aliny tak zmęczona, że nie zdążyłam się nawet rozbeczećna myśl o Kubie, a już spałam.

Kolejny dzień jednak nie miał już upływać w atmosferze wegańskich dań i pogawędek. Powrót do Adeline na ostatni dzień pracy do końca odebrał mi chęć do życia. Jakaś częśćka zmęczonej duszy podpowiedziała mi po przebudzeniu, żebym zadzwoniła do lekarza i zasymulowała chorobę, żeby tylko nie musieć mierzyć się z Kubą, ale... Ale jakaś inna częśćka, całkiem spora, miała nadzieję go spotkać. Wszystkie te częśćki były do niczego.

Siedziałam w swoim-nieswoim biurze, kompletnie nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Próbowałam zalogować się do systemu, sprawdzić, cele i plany na ten dzień, ale zablokowano mi dostęp. Zadzwoniłam do działu technicznego, żeby dowiedzieć się, czy nie doszło do żadnej pomyłki. Prezes sam zlecił odcięcie mi dostępu do wszystkich danych.

Po co w takim razie tu przyszłam? Żebym mogła posiedzieć w tym wielkim gabinecie i uświadomić sobie, ile traciłam? To forma kary? Pokuty?

W normalnych okolicznościach zadzwoniłabym do Bartosza i spytał, czym mam się zająć, ale o normalności nie było mowy. Jeszcze nie wymyśliłam, jak rozprawię się z nim za te wszystkie kłamstwa. Rozdarta pomiędzy tym, że sama nie doczytałam umowy, oraz jego wymownym przemilczeniem niewygodnych kwestii, odsuwałam od siebie tę konfrontację jak najdalej. I nadal nie wiedziałam, czy przyznał się Julii do tego, że widywał się z nami w tym samym czasie.

Walnęłam głową o blat biurka. Uderzałam tą czaszką i uderzałam, a nic od tego nie mądrzałam.

Zerwałam się na równe nogi, gdy rozległo się pukanie i od razu z powrotem usiadłam na widok Kuby. Wszedł do gabinetu ze wzrokiem utkwionym w jakichś papierach. Położył je na moim biurku.

– Pani dyrektor, wczoraj odbyło się zebranie zarządu – mówił bezbarwnym tonem. – Okazało się, że szwalnie, z którymi współpracował poprzedni dyrektor... – Jakby nie mówił o sobie. – Są zbyt drogie. Zarząd chce, aby znalazła pani szwalnię, która będzie dla nas pracować za darmo. I to jak najszybciej.

I odwrócił się na pięcie. Miałam znaleźć tę szwalnię dzisiaj? Dobrze sobie. Przecież wiedział, że jutro wróci na swój stołek. Chciał mi dopiec? – Za darmo? – wyrzuciłam, zanim dotarł do drzwi. – Przecież to niemożliwe.

Pokój wypełnił się głośnym westchnięciem.

– W szwalni, w której do tej pory szyliśmy część ubrań, a dokładnie rzecz ujmując kurtki i spodnie... – Zawrócił i znów stanął przed biurkiem, lecz na mnie nie patrzył. – Pracuje z trzydzieści

kobiet. Wszystkie zatrudnione na umowę o pracę. Duża część z nich w wieku przedemerytalnym... – Przesząpił z nogi na nogę. – Nie są drogie. Biorą tyle, ile trzeba. Ale mój ojciec chce płacić grosze, a nie godne stawki. W dupie ma, kogo w ten sposób wspiera, więc pani zadaniem jest znaleźć kogoś, kto zrobi to za półdarmo. Nieważne kto i gdzie.

Serce tłukło mi piersi jak szalone.

– To kłóci się z wartościami firmy – wydukałam.

I wtedy jasne oczy w końcu znalazły moją twarz. Od Kuby bił gniew.

– Wie pani, kiedy wartości mają znaczenie? – spytał jadowitym tonem. – Gdy się dobrze sprzedają. Jeśli sądzisz, że ktokolwiek działa tutaj w imię większego dobra, to chyba jeszcze nie wyszłaś ze swojej banieczki.

Opuściłam głowę. A więc o to chodziło.

– Kuba...

– Pani dyrektor – przerwał mi. – Proszę kontaktować się mailowo, jeśli pojawią się jakieś problemy lub wątpliwości. Będę u siebie.

Zerwałam się na równe nogi, kiedy mężczyzna ruszył do wyjścia. Niewiele myśląc, zatrzasnęłam drzwi, zanim zdążył przez nie wyjść. Osłoniłam je własnym ciałem.

– Porozmawiajmy – poprosiłam.

Ale on nie chciał nawet na mnie patrzeć. Założył ręce na piersi. Jakby między nami wyrósł mur. Sama go wybudowałam. Ja i moje kłamstwa.

– Przepraszam cię – szepnęłam. – Naprawdę. Powinnam była ci powiedzieć, ale... To moja wina. – Uderzyłam się w pierś. – Wiem o tym. Popelniłam błąd i strasznie cię za to przepraszam. Ale nie skreślaj mnie. – Zrobiłam krok w jego stronę. – Nie przez jedną wpadkę. Kuba rozplątał ręce i również się zbliżył.

– Nie chodzi o jedną wpadkę, Ina – powiedział. – Tylko o całokształt. Można pomyśleć, że jesteś dziewczyną, która wie, czego chce. Takie sprawiasz wrażenie. Wmawiasz sobie, że tak jest. – Zniżył głos. – Sądzisz, że Ina Mazurek pragnie wielkiego sukcesu, ale to gówno prawda. Wiesz, czego chce Ina, ale nigdy nie przyzna się do tego przed sobą? Ina chce być wreszcie bezpieczna. – W oczach Kuby zapłonęła złość. – Uciekła więc z Warzywniaka do korpo...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Wbiłam palec w jego pierś. – Wszystko, co robiłam, robiłam dla mamy i jej restauracji.

Kubiak pochwycił mój nadgarstek.

– Właśnie – syknął. – Właśnie o tym mówię. Słyszałem historie o tym, jak całe życie tyrałaś, żeby zaznać odrobiny spokoju. Dlatego tutaj jesteś. Piękne wartości firmy to tylko przykrywka, w którą chcesz wierzyć, żeby zyskać we własnych oczach. Nie chodzi o to! – Wypuścił mój nadgarstek z uścisku. – Bo gdyby o to chodziło, nie zgodziłabyś wejść w tę umowę. Gdybyś chciała robić piękne rzeczy, nie zgodziłabyś się na bycie niańką! Znalazłabyś inną, normalną pracę, w której zmieniałabyś świat. Wiesz, co mi powiedziałaś przez telefon podczas ostatniej rozmowy? Co do tej pory dudni mi w uszach? – Nachylił się tak nisko, że nasze nosy prawie się spotkały. – Premia. Gigantyczna premia. To się dla ciebie liczy, Ina. Nie wartości, nie pracujące w szwalniach kobiety, bo gdyby to nie był ostatni dzień w tej pracy, nawet byś się nie zająknęła, tylko pobiegłabyś szukać tańszej oferty!

– To nieprawda – wycedziłam. – Zagalopowałeś się i doskonale o tym wiesz.

Jego gorący oddech omiół moje wargi. Nie zdołałam drgnąć. Wzrok Kuby prześlizgnął się na moje usta.

I wtedy Kubiak się odsunął.

– Nie możesz wściekać się za to, że pieniądze są dla mnie ważne – wydusiłam. – One gwarantują bezpieczeństwo. Jak bardzo nie chciałabym temu zaprzeczać, każde życiowe doświadczenie sprowadza się do tego, że bez nich nic nie ma!

– Nic?! – krzyknął, ale zaraz się zreflektował: – Przepraszam. Wiem, Ina. Wiem, że bezpieczeństwo finansowe jest ważne. Pytanie brzmi: jakim kosztem?

Jakim kosztem?

Przypomniałam sobie, z jakim entuzjazmem przyjmowałam się do Adeline. Wiedziałam o tej

firmie wszystko. Widziałam w niej nadzieję na lepsze życie dla siebie i mamy. Jednak później... wszystko się zmieniło. Umowa, Bartosz, Kuba...

Znałam odpowiedź na jego pytanie. Kosztem zawsze były relacje. Najpierw praca i pieniądze. Dopiero potem przychodziło wszystko inne. – Czy kiedykolwiek stałeś nad krawędzią, świadomy, że byle podmuch wiatru zaraz wpieprzy cię w przepaść? – spytałam cicho. – Ja tak. Masz rację, może i jestem pazerna. Ale wiesz, o czym myślałam, podpisując umowę? O tym, że wreszcie zapłacimy zaległe pieniądze Alinie. I o tym, że nie będę martwiła się kolejną kłótnią z najemcą o niezapłacony czynsz. Że mama wreszcie odsapnie. – Wlepiłam spojrzenie w swoje dłonie. – Chciałam tylko wreszcie nie musieć się martwić. Odetchnąć.

Kiedy Kuba się zbliżył, od razu uniosłam na niego wzrok.

– Rozumiem – powiedział, a w jego oczach błysnęła łagodność. – Ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nie jesteś w tym sama? Nie musisz sama dźwigać wszystkiego na plecach.

Jakby nacisnął jakiś przycisk. Schowałam się za dłońmi i zaczęłam kręcić głową.

Tak bardzo się mylił. Byłam sama. Zawsze byłam sama.

Kiedy musiałam rozbawiać zamartwiającą się mamę i udawać, że wszystko jest w porządku. Śmiałam się głośno, nie dając jej poznać, jak jestem wykończona. Machałam lekceważąco ręką, kiedy ojciec nie odpowiadał na listy, w których błagałam go o ratunek. Sama przynosiłam pieniądze do domu, decydowałam, jak je rozdysponujemy, i powtarzałam mamie, że wszystko się ułoży.

Kochała mnie najmocniej na świecie, a ja czułam jej miłość, ale wzięłam na siebie odpowiedzialność za nasze przetrwanie. Ona spędzała czas w restauracji, a ja robiłam dobrą minę do złej gry.

Sama, zawsze sama. Odsunęłam mamę od swoich problemów, żeby nie dodawać jej zmartwień. Ojciec nigdy nie odpowiadał na listy. Przyjaźnie nie miały szans przetrwać, gdy całymi popołudniami pracowałam i omijałam wszystkie spotkania, urodziny, dyskoteki...

Sama.

Silne męskie ramiona objęły mnie kurczowo.

– Jestem zmęczona, Kuba – szlochałam w jego pierś. – Jestem tak strasznie zmęczona.

Nie rozpadłam się na kawałki tylko dlatego, że Kuba trwał tuż obok. Może właśnie tak czuła się mama, kiedy wszystko znów się waliło i paliło, a ja trzymałam rękę na pulsie? Nie rozpadała się, bo stałam obok i mocno ją trzymałam.

– Wiem, że jesteś – szeptał. – Wiem. Wiem, Ina.

Gładził moje plecy i szeptał uspokajająco, dopóki moje ramiona nie przestały drżeć. Łzy wyschły, oddech się wyrównał. Mimo to nie chciałam się jeszcze od niego odrywać. Bałam się tego, co nastąpi, gdy to zrobię.

– Przepraszam – wydusiłam z siebie. – Nie nienawidź mnie. Nie gniewaj się. Proszę.

Odetchnął głęboko. Odgarnął moje włosy z pleców i przejechał opuszkami po karku.

– Nie nienawidzę cię – westchnął. – Ale bywasz naprawdę wkurzająca.

Zaśmiałam się cicho i już przygotowałam się do riposty, gdy rozebrzmiał dzwonek mojego telefonu. Niechętnie wyswobodziłam się z ramion Kuby i podażyłam do torebki. Mama miała tragiczne wycucie czasu.

– Ina, możesz się wyrwać z pracy? – spytała przejętym tonem. – Musisz natychmiast przyjechać do Warzywniaka.

Próbowałam właśnie dyskretnie wysmarkać nos, ale zamarłam. Czemu odnosiłam wrażenie, że chciała powiedzieć coś nieprzyjemnego? – Pamiętasz tę dziewczynkę, która była wczoraj u nas w restauracji?

Wyprostowałam się.

– Oliwię? Oczywiście, że pamiętam – wyplułam. – Coś się stało?

Nastała cisza. Oparłam się o biurko, żeby się nie przewrócić, i przeniosłam spojrzenie na zmartwionego Kubę.

– To... – Mama odchrząknęła, jakby słowa nie chciały jej przejść przez gardło. – Oliwia to twoja siostra. Dzwonił do mnie Robert i powiedział, że uciekła z domu, żeby się z tobą spotkać.

Rozdział 31

– A-ale przecież... – Zacisnęłam powieki i przeklełam. – Wsadziłam ją do taksówki!

– Tak, skarbie – powiedziała mama. – I wtedy podobno wróciła do domu. Powiedziała Robertowi i swojej matce, że cię widziała i chciała namówić go, żeby się z tobą spotkał, ale on...

W słuchawce nastąpiła cisza. Przestałam opierać się o biurko i podeszłam do okna. Panorama miasta. Pałac Kultury i Nauki. Widok z pięknego biura, które miało być moim marzeniem. Czym się stało?

– Odmówił – dokończyłam za mamę. – I wtedy Oliwia uciekła? Jak w ogóle dowiedziała się, że ma siostrę, skoro ojciec nie chciał wznowić kontaktu?

Chwila. Odmówił spotkania ze mną? To się w ogóle nie trzymało kupy.

– Poczekaj – podjęłam, zanim zdążyła się znów odezwać. – W takim razie o co chodziło z tym numerem? Przecież mówiłaś, że cię nachodził i chciał, żebyśmy zadzwoniła. Po co miałyby to robić, skoro później odmówił spotkania?

– Zadałam mu to samo pytanie – odparła cicho mama. – Powiedział, że... Skarbie, może się spotkamy? Wolalabym powiedzieć ci to osobiście.

– Nie – odpowiedziałam i odwróciłam się do Kuby. Wpatrywał się we mnie z wyczekiwaniem.

– Nie jestem sama. Mów.

Włączyłam głośnik w telefonie. Pokój wypełnił się napiętym głosem mamy:

– Robert powiedział, że podczas remontu Oliwia znalazła pudła... pełne listów i prezentów od ciebie.

Jakbym oberwała kopa w żołądek.

– Pisałam do mojego ojca – wytłumaczyłam Kubie. – Za kieszonkowe, a potem grosze, które zostawiałam sobie z wypłat, kupowałam kolorową papeterię. Stałam przed sklepowymi półkami tyle czasu, że ekspedientki się denerwowały, a wszystko po to, żeby wybrać papier, który mu się spodoba. Bo może wtedy wreszcie mi odpisze.

Uśmiechnęłam się, gdy Kuba posłał mi złośliwe spojrzenie, i wzruszyłam ramionami. Kiedyś to bolało. Bolało jeszcze, zanim mama zadzwoniła. Ale teraz... ból ustąpił.

– Skarbie, tak mi przykro...

– Niepotrzebnie – wypaliłam od razu. – Mów dalej.

Zawahała się, ale też wiedziała, że w tej sytuacji nie wolno zwlekać.

– Numer był właśnie po to, żeby Oliwia mogła z tobą porozmawiać, ale się nie odezwałaś. W listach pisałaś o restauracji, więc знаła nazwę i postanowiła sama cię odnaleźć. No i jej się udało. Spotkała cię. – Mama odetchnęła głęboko. – Ale jej nie chodziło tylko o kontakt z tobą. Chciała cię pogodzić z Robertem, więc gdy on odmówił, wpadła w histerię i wybiegła z domu. Sądziła, że to tylko wygłupy i wróci, jak ochłonie, jednak nie wróciła na noc. Obdzwonili wszystkie jej koleżanki, ale nigdzie jej nie znaleźli. Zadzwonił więc do mnie, a ja opowiedziałam mu to, co już wiedział od Oliwii. Że była w Warzywniaku, a ty odesłałaś ją do domu. Robert prosił... że jeśli czegokolwiek się dowiemy...

Oczywiście, że ojciec nie dzwonił ze względu na mnie. To niemądre. Jak mogłam pomyśleć, że po piętnastu latach nagle uzmysłowił sobie, iż stracił coś ważnego, wyrzucając pierworodną ze swojego życia? Całe szczęście, że zignorowałam i podarłam jego wiadomość. Chociaż... Chciałam dać prztyczka w nos jemu, a dałam dziewczynce, która pragnęła skontaktować się z siostrą.

– Zaraz przyjadę do Warzywniaka – powiedziałam. – Na pewno poinformowali policję, a jeśli nic się nie stało... – Matko, oby nic złego się nie stało. – Oliwia przyjdzie dziś do restauracji. Tak czuję.

Poczekam tam na nią.

Rozłączyłam się i wsłuchałam się we własne ciało. Nic się nie działo. Znikąd rozpaczy, wrzasku i łez. Nie chciałam płakać.

– Muszę jechać – rzuciłam do Kuby i ruszyłam do wyjścia.

– Jedziemy razem – oświadczył i otworzył przede mną drzwi. – Co?

Nie wiedziałam, na czym skupić wzrok. Na nim, biurze, drzwiach czy własnych dłoniach?

– A praca? – bąknęłam. – Jeśli teraz wyjdiesz i ktoś się dowie...

Kubiak pokazał wszystkie zęby w uśmiechu.

– Mówisz, jakbyś mnie nie znała – odparł.

W drodze opowiedziałam mu o tym, jak mama wylądowała w szpitalu oraz o wczorajszym dniu. Opisałam mu spotkanie z Oliwią, a on słuchał w ciszy. Co jakiś czas tylko jego ciepła dłoń lądowała na mojej – skostniałej z nerwów. Modliłam się w duchu, żeby Oliwia była cała i zdrowa. W jednej chwili pojęłam, dlaczego zadawała tyle pytań i wymawiała się problemami z matką, którą całkiem nieźle rozumiała. I dlaczego nie pozwoliła mi zadzwonić po swoich rodziców. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jaka teraz była zagubiona. Alina krzątała się już w kuchni, a ja pozwoliłam Kubie wziąć ją na stronę, żeby wytłumaczyć sytuację. Usiadłam przy jednym ze stołów i wpatrywałam się w napięciu w okna. Wyglądałam dziewczynki z różowym plecakiem.

Ale nie nadchodziła. Gdzie mogła być, skoro nie znaleźli jej u żadnej z koleżanek?

Nerwowo zerkałam na zegarek o kształcie pomidora. Czas mijał nieubłaganie. Sekundy zamieniały się w minuty. Minuty w godziny. Dziwne, wierzyłam, że Oliwia pojawi się o podobnej godzinie co wczoraj, tymczasem nie zanosilo się na jakiegokolwiek odwiedziny. Pewność, że przyjdzie, zaczęła ulatywać. Podniosłam się i zaczęłam łązić nerwowo po sali. Ostatnio pojawiła się przed otwarciem. Czemu jeszcze jej nie było?

Lęk rozpychał się łokciami i wiercił dziurę w brzuchu. Czy nic jej się nie stało? Mogłam od razu zadzwonić na policję... Do diabła, co by to dało? Oliwia wróciła do domu, rozmawiała z rodzicami i dopiero wtedy uciekła... Gdzie podziało się to dziecko?

Tyle lat... Tyle lat nie dostałam od ojca znaku życia, a teraz zamartwiałam się o siostrę.

Mój ojciec płacił alimenty. Nie ominął ani jednego miesiąca, więc miałam pewność, że nie zapomniał o swojej starszej córce. Niemniej chciał to zrobić. Świadczyły o tym nieprzeczytane listy i nieotwarte prezenty. I z jednej strony wściekałam się na niego za to, gryzłam policzki od środka i gotowałam się jak ten barszcz, który od zagotowania traci kolor i bezpowrotnie zmienia smak. Mogłabym na niego złorzeczyć i doszukiwać się argumentów w dorosłości i dojrzałych decyzjach o posiadaniu dziecka. Mogłabym.

Z drugiej strony... złamano mu serce. Pewnego dnia dowiedział się, że jego żona pomyliła się, wybierając go na partnera życiowego. Że kocha go, ale nie tak, jak do tej pory sądził. Każdy człowiek ma jakieś granice swojej wytrzymałości.

On poradził sobie z tym wszystkim, usuwając nas ze swojego życia. Jak mogłabym go oceniać? Nigdy nie stałam w jego butach. Przeniosłam wzrok na drzwi, które się uchyliły. Oczy zaszkliły mi się na widok jasnej czupryny i różowego plecaka. Oliwia weszła prężnym krokiem do środka, poprawiła krótką spódniczkę, po czym uśmiechnęła się niewinnie.

– Dzień dobry, mogę skorzystać z toalety? – spytała.

Dopałam do niej i zamknęłam ją w ramionach. Młodą w pierwszej chwili zmroziło, ale już po chwili odwzajemniła uścisk.

– Jak matka? – Rzuciłam zamiast przywitania i oddaliłam ją od siebie. Obejrzałam ją ze wszystkich stron. Czysta, uśmiechnięta, cała i zdrowa.

Oliwia pokazała w uśmiechu krzywe przednie ząbki. Ze stęknieniem zdjęła plecak i postawiła go na krześle obok.

– No w porządku – powiedziała, nie patrząc mi w oczy. – Wszystko już umiem i rozumiem. Przyszłam się tylko przywitać.

Skinęłam na Kubę, który wychylił się z kuchni. Ja przetrzymam tu tego diabełka, a on zadzwoni

do mamy. Taki był plan.

– Doprawdy? – Podniosłam się i usiadłam przy stole. Zaprosiłam Oliwię, a gdy zajęła miejsce obok, wypaliłam: – A wiesz, że ściemnianie kończy się skróceniem o głowę?

Wyprostowała się i przyłgnęła plecami do oparcia krzesła.

– C-co? – wyjąkała.

Założyłam ręce na piersi i zmrużyłam powieki. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co przeżyli jej rodzice, skoro sama przez tę godzinę omal nie oszalałam.

– Oliwia, masz mi natychmiast powiedzieć, gdzie spędziłaś noc. W głowie mi się nie mieści, że uciekłaś z domu!

Młoda złapała plecak i już widziałam, że szykuje się do ucieczki, więc syknęłam:

– Jeśli teraz wyjdiesz, możesz być absolutnie pewna, że to nasze ostatnie spotkanie.

Z jej ust wyrwał się jęk, kiedy z powrotem opadła na krzesło. Wielkie brązowe oczy wypełniły się łzami i za moment już cicho chlipała.

Cholera, może trochę przesadziłam. Nie ma to jak zastosować szantaż emocjonalny na dziecku, które dopiero co dowiedziało się, że ma siostrę i uciekło z domu.

Podniosłam się i klękłam przy młodej.

– Przepraszam – wydukałam. – Nie powinnam tak mówić. Ale wiesz, jakiego napędziłaś wszystkim stracha?

– Czyli już wiesz? – spytała i pociągnęła nosem. – Wiesz, kim jestem?

Wytarłam jej policzki z łez i pokiwałam głową.

– Wiem, kim jesteś – powiedziałam spokojnie. – I wiem, co próbowałaś zrobić. Chciałaś, aby twój ojciec ze mną porozmawiał.

– To nasz ojciec – zaakcentowała.

Wyprostowałam się i uśmiechnęłam. Poczułam się, jakby kilkutonowy ciężar ześlizgnął się z mojej piersi.

– Posłuchaj bardzo uważnie. – Chwyciłam jej małe dłonie. – Mój ojciec wiele lat temu zniknął z mojego życia. Nie utrzymujemy kontaktu. Przez wiele lat było mi z tego powodu smutno. Sądziłam, że jestem wybrakowana... może gorsza, skoro nie chciał ze mną rozmawiać. Ale to nieprawda. – Pochwyciłam spojrzenie Kuby. – On po prostu podjął pewne decyzje, to świadczy o nim. Skoro on nie chce niczego zmienić, ja też nie czuję takiej potrzeby. Już nie. Wolę mieć wokół siebie ludzi, którzy chcą przy mnie trwać. Takich, którzy kochają mnie za to, jaka jestem, i wybierają jako swoją rodzinę. Jak ty.

Oliwia otworzyła szerzej oczy i znów pociągnęła nosem.

– Ale przecież pisałaś...

– To było dawno temu – weszłam jej w słowo. – Dużo się od tamtej pory zmieniło. Nie potrzebuję ojca w swoim życiu, ale... będzie miło mieć siostrę. Oczywiście, jeśli twoi rodzice się zgodzą.

Czoło młodej się wygładziło. Zatrzepotała długimi czarnymi rzęsami i odetchnęła.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Założyłam jej włosy za ucho. Tym razem rozpuszczona czupryna żyła własnym życiem i sterczała we wszystkich kierunkach świata. – Masz kartkę?

Piorunem dopadła do plecaka i podała mi zeszyt w kotki oraz długopis z pomponem.

– To mój numer – powiedziałam, zapisując go na ostatniej stronie. – Możesz dzwonić, kiedy tylko chcesz. Tylko nie uciekaj już nigdy, przenigdy z domu, dobrze?

Nie mogłam przestać się uśmiechać. Tyle lat nosiłam w sobie tę ranę. Utożsamiałam ojca z jakimś bóstwem, którego zdanie było najważniejsze na świecie. Jego miłość wznosiłam nad miłość mamy, babci... Staralam się na nią zapracować. Szóstkami na świadectwach, piękną papeterią, idealnymi listami i prezentami, których nigdy nie otworzył.

Ale miłość tak nie działa. Jak mogłam oczekiwać jej od człowieka, który mnie nie znał?

– Ja tylko chciałam, żeby z tobą porozmawiał. – bąknęła Oliwia. Zamknęła zeszyt i przyłożyła go do serca. – Byłaś taka smutna w tych listach. Tyle razy prosiłaś tatę, żeby odpisał, ale kiedy go spytałam, a on powiedział, że nigdy tego nie zrobił, strasznie się wkurzyłam. Byłam taka zła, że nie mogłam na niego patrzeć.

Ktoś otworzył drzwi, a potem kobiecy głos przywołał Oliwię. Dziewczynka od razu rzuciła się w stronę przybyłych, a ja dopiero po chwili namysłu odwróciłam się, żeby ujrzyć kobietę o krótkich jasnych włosach, klęczącą na podłodze i przyciskającą do siebie córkę.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Dziękuję ci. Tak bardzo ci dziękuję – wyszeptała, przyciskając Oliwię jeszcze mocniej do siebie.

Podniosłam się i schowałam za siebie drżące dłonie.

– Nic nie zrobiłam. Sama przyszła – odparłam z cieniem uśmiechu na ustach. – Ale nie dowiedziałam się, gdzie spędziła noc. To muszą już państwo wyciągnąć od niej sami.

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów skierowałam wzrok na drugą postać. Niewysokiego mężczyznę o siwych włosach i brodzie, ubranego w czerwoną flanelową koszulę i dżinsy. Zapamiętałam go jako pewnego siebie. We wspomnieniach głośno się śmiał. Teraz błędził spojrzeniem po pomieszczeniu, widocznie zagubiony.

Kobieta odwróciła się do niego i go szturchnęła.

– Może byś coś powiedział? – wycedziła.

Pokiwał głową, jakby wyrwany z własnych myśli, i rzucił:

– Dziękuję.

Nie pamiętałam jego głosu. Przez moment starałam się wmówić samej sobie, że był znajomy, ale to mijało się z prawdą. Nie znalazłam w nim nic bliskiego.

– Tak jak mówiłam, nie ma za co. – Wzruszyłam ramionami. – Proszę mieć ją na oku. O nieszczęście nietrudno.

Kobieta nakazała zebrać córce swoje rzeczy i zaszła mi drogę, gdy próbowałam wyjść do kuchni. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się promiennie odsłaniając, dwa rzędy białych zębów. Ucisnęłam jej dłoń.

– Mam na imię Lena. – Zaczęła grzebać w torebce. – Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała... – Podała mi białą wizytówkę. – Jestem krawcową. Może kiedyś... Sama nie wiem.

– Zapamiętam – powiedziałam cicho.

Chciałam się już ukryć, ale ponownie weszła mi w paradę.

– Może... Może miałabyś ochotę wpaść do nas któregoś dnia na obiad? – Schowała jasne kosmyki za ucho. – Może w sobotę?

Zajrzałam jej głęboko w ciemne oczy i się uśmiechnęłam. Szczerze. Wydawała się naprawdę miłą, a gdy się jej przyjrzałam... Wyglądały z Oliwią jak klony.

– Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam z zaproszenia. – Schowałam wizytówkę do kieszeni spodni. – Zapisałam numer swojego telefonu w zeszycie Oliwii, bo wiem, że chciałaby się ze mną widywać. Dzwońcie, jeśli tylko będzie miała na to ochotę, ale nie przyjdę na obiad. – Pokiwałam sama do siebie głową. – Ani w sobotę, ani pewnie nigdy. To miłe, ale nie czuję takiej potrzeby.

Lena wyglądała na rozczarowaną, ale nie próbowałam nic więcej powiedzieć. Wyminęłam ją. Tym razem skutecznie.

Pierwszy raz od bardzo dawna niczego mi nie brakowało. Weszłam do kuchni, w której czekały mama, Joanna, Alina... i wybuchłam śmiechem. Śmiałam się i płakałam na przemian. Ramiona mamy i Aliny szybko mnie pochwyliły. Wciągnęłam do płuc ich zapach.

Pachniały bezpieczeństwem.

Kuba miał rację. Nie byłam sama. Nigdy nie byłam sama.

Rozdział 32

Wracaliśmy z Kubą do Adeline w ciszy, ale obydwójce uśmiechnięci od ucha do ucha. Czasem łapaliśmy kontakt wzrokowy i któreś z nas parskało pod nosem, ale nic więcej z siebie nie wykrzesaliśmy. Za dużo wydarzyło się tego poranka.

Najważniejsze jednak, że atmosfera między nami się wyczyściła. Mój drogi dyrektor nie zamierzał się dłużej bocyć, a ja złożyłam śluby niekłamania. Na razie przed samą sobą. Zatajanie prawdy i niedomówienia również odpadały. Za dużo traci się na nie nerwów. Kuba zaparkował auto na podziemnym parkingu i ruszyliśmy w stronę windy. Przez to, że się pogodziliśmy, miałam wręcz ochotę podskakiwać z radości, ale silna męska dłoń zacisnęła się na moim ramieniu i zatrzymała przed wejściem do budynku.

Odwróciłam się do Kubiaka. Wyglądał, jakby miał zaraz wygłosić orędzie do narodu. Wyprostował się, wygładził marynarkę i odchrząknął.

– Wynająłem mieszkanie – zakomunikował. – Mniejsze od poprzedniego. Dalej od centrum, więc jest tańsze. Na tyle, że mogę sobie na nie pozwolić. I pomyślałem... Nie chciałabyś wpaść? Mogę coś ugotować.

Kliknął coś w telefonie, a komórka w mojej torebce zawibrowała.

– Adres – westchnął. – Chyba że nie chcesz.

Ten facet naprawdę potrafił zaskoczyć. I to tak pozytywnie.

Już zrobiłam zdecydowany krok w jego stronę, żeby zgodzić się na wszystko, ale ktoś nas minął.

– Julia?

Julia odwróciła się z nieobecnym wzrokiem, a ja omal nie zemdlałam na widok czarnych smug ciągnących się od jej oczu po brodę.

Płakała.

Czyżby Bartek jej o nas powiedział?

– Czy wszystko – dukałam – w porządku?

Kobieta wyprostowała się i odgarnęła z twarzy rude kosmyki. Wygładziła pomięty materiał białej satynowej koszuli i skinęła głową.

– Tak – odparła wyniośle. – Czemu pytasz?

Obydwójce z Kubą popatrzyliśmy po sobie.

– Może pogadamy u mnie? – zaproponowałam.

– Nie. Nie trzeba – odpowiedziała natychmiast. Zagryzła dolną wargę, która zadrżała. – Albo wiesz co? Można pogadać. Można.

Rzuciłam Kubie przepaszające spojrzenie i poprowadziłam Julię do windy. Podążył za nami, ale usunął się w cień. Julia słowem nie odpowiedziała na żadną próbę podjęcia rozmowy. Nie dała się podejść, gdy podpytywałam o jakieś ważne rozmowy, wyznania i kłamstwa, starając się zgadnąć, czy chodziło o Bartosza. Zareagowała jedynie na pytanie o to, czemu spóźniła się do pracy.

– Wróciłam od lekarza – wyrzuciła.

Winda brzdęknęła, dając znać, że znaleźliśmy się na naszym piętrze. Kuba wymknął się z niej i udał do klatki, a ja poprowadziłam Julię do siebie. Trzymałam ją mocno za ramię w obawie, że zaraz padnie na płytki.

W głowie kłębiło mi się od myśli. Była u lekarza i wróciła zapłakana? Co tam Bartek! Mogło

się stać coś o stokroć gorszego. Weszłyśmy do gabinetu, a ja posadziłam ją w fotelu i wzięłam się za parzenie herbaty. Wstawiłam wodę w elektrycznym czajniku, wyciągnęłam z komody dwa kubki i postawiłam je na biurku.

Zamarłam z palcami zakleszczonymi na porcelanowych uchach. Nie umiałam oderwać spojrzenia od czarno-białych zdjęć, które Julia położyła na blacie.

– C-co to? – wyjąkałam.

Żeby potwierdzić moje przypuszczenia, Julia położyła jeszcze obok prostokątne białe pudełeczko. A potem drugie. I trzecie.

Moje serce zamarło w piersi. Zachwiałam się, ale w porę złapałam się biurka, omal nie tłukąc kubków. Odstawiłam je i pochyliłam się nad tymi wszystkimi „fantami”, które Julia wydobyła z torebki.

– Jesteś w ciąży?

Kobieta jęknęła i wbiła plecy w oparcie krzesła. O matko i córko. Czy dowiedziała się już o tym, że Bartek grał na dwa fronty? To jego dziecko? Nie mówiła o żadnym innym mężczyźnie, a to oznaczało...

– Piłam i paliłam – odezwała się wreszcie zachrypłym głosem. – To dziecko jeszcze nie przyszło na świat, a już ma pod górkę. Chwyciłam pierwszy z testów. Dwie kreski. Drugi – dodatni. Tak samo trzeci. Uniosłam na wysokość oczu zdjęcie USG, starając się cokolwiek z niego wyczytać, ale na marne. Jedna wielka czarna plama.

Wszystkiego bym się spodziewała, ale nie czegoś takiego.

– Zatrzymasz je? – spytałam cicho. – Bo jeśli nie chcesz, są organizacje...

– Wiem – przerwała mi. – Wiem, że są. Gdybyś spytała tydzień temu, bez słowa pokazałabym ci zapisany kontakt w telefonie na takie okazje. – Wyrwała mi zdjęcia. – A teraz nie wiem. Naprawdę.

To prawda, hipotetycznie człowiek zna siebie i doskonale wie, co zrobiłby w każdej sytuacji. Wie to, dopóki się w tej sytuacji nie znajdzie.

Doczłapałam do fotela po drugiej stronie biurka i na niego opadłam. Zabrakło mi siły, żeby podnieść się do czajnika, który zakomunikował, że woda już się zagotowała. Kto by teraz pił herbatę?

Czy Bartosz już wiedział? Nie. Na pewno nie.

– Mogę cię o coś spytać? – podjęłam.

Julia mruknęła, dając mi w ten sposób pozwolenie.

– Nie zabezpieczaliście się?

Ogarnęłam, że głupio pytać ludzi o takie sprawy, gdy Julia przykryła twarz dłońmi, jeszcze bardziej rozmazując czarne ślady pod oczyma. Mogłam się nie odzywać. Co ja w ogóle wiedziałam o związkach i seksie?

Plusem niewiedzy z pewnością było to, że nie musiałam martwić się takimi sprawami.

– Od lat biorę tabletki, ale... – Jasne oczy Julii znów wypełniły się łzami. – Dostałam od dentystki antybiotyk po wyrwaniu ósemki. Dasz wiarę? Tyle lat brałam tabletki i mi się zapomniało, jak może się skończyć łączenie ich z antybiotykami! Co za idiotyzm!

Warknęła z wściekłością i rzuciła zdjęciami, które nie doleciały do biurka. Szybko schyliła się i odłożyła je na blat.

– Bartek już wie? – spytałam nieśmiało.

Julia uniosła wysoko cienkie brwi.

– Jaki Bartek?

Poprawiłam się w siedzeniu. Czyli jeśli Bartek wyznał jej, że zachował się jak gniot i grał na dwa fronty, nie wspomniał Julii, z kim ją zdradzał. Mogłam nic nie mówić i uniknąć jej złości, ale... złożyłam śluby. Bo czy kłamstwa w którymkolwiek momencie doprowadziły mnie w odpowiednie miejsce?

Chyba nie.

– Bartosz Tomczak – uściśliłam. – Julia, wiem, że to o niego chodziło. To on był tym gościem, który cię wystawił, a ja byłam tą drugą kobietą. Tak bardzo cię przepraszam. Gdybym wiedziała, kijem bym go nie tknęła!

Julia ani myślała się odezwać. Czyli okularnik nie powiedział jej, z kim ją zdradzał. Co

za palant!

– Dowiedziałam się, gdy zobaczyłam go na zdjęciu w twoim mieszkaniu – ciągnęłam. – Prosił, żebym ci nie mówiła. Powiedział, że chce sam to załatwić. Wiedziałam, że ci na nim zależy, więc mu na to pozwoliłam... ale nie powinnam. Powinnam przyjść i sama ci o tym opowiedzieć. Przepraszam.

Tylu ludzi musiałam ostatnio przeprosić, że głowa mała.

– Ty myślisz, że ojcem dziecka jest Bartek? – wypluła wreszcie.

Teraz to ja oparłam się o fotel. A to ona tak nie myślała?

– No tak – burknęłam. – Przecież to on obejmował cię na zdjęciu. Tym na tle gór.

– Poczekaj... Powoli... – Julia się wyprostowała. Znów przypominała siebie. Jej głos przybrał na sile. – Zobaczyłaś zdjęcie i pomyślałaś, że spotykam się z Bartkiem, z którym ty się spotykałaś. Poszłaś więc do niego, powiedziałaś, że wiesz o tym, że zdradza mnie z tobą, a on obiecał ci, że wszystko mi wyjaśni. Tak było?

Może ja dalej biegałam po tym matrixie?

– No tak. – Tylko tyle dałam radę powiedzieć. – Zerwałam z nim, gdy tylko się dowiedziałam.

Przysięgam.

Julia wybuchnęła śmiechem. O matko, brzmiała jak czarny charakter z bajki.

– Zatłukę gnojka – wycharczała przez śmiech. – Idziemy.

Jako że ani drgnęłam, Julia podeszła do mnie i chwyciła mnie za fraki. Wyszliśmy z gabinetu, a ona stąpała z taką furią, że nie śmiałam pytać, co planuje. Dopiero gdy otworzyła drzwi biura Bartka i wparowała do niego bez pukania, dotarło.

Konfrontacja.

Stałam przed drzwiami, rozdarta pomiędzy chęcią nagadania mu i niedokładania sobie kolejnych przeżyć. Mogłabym wrócić do swojego pokoju, zrobić sobie herbatę...

– Ina! – wrzasnęła Julia.

Podreptałam potulnie za nią i zamknęłam za sobą drzwi. Niech będzie nagadanie.

– Dobrze, że jesteś – wycedziła do siedzącego przy biurku okularnika. – Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego Ina uważa, że jesteś moim facetem?

Mężczyzna pobladł. I ja chyba tak samo. Bartek nie spotykał się z Julią?

– Ja...

– No ty, ty – przerwała mu. – Bo jak na moje oko, to zrobiłeś dziewczynie wodę z mózgu! Ja nie wiem, to ty jesteś starszy. Dlaczego to ja ci matkuję?! – Szturchnęła go. – Mów, że jesteś moim bratem!

Mój mózg eksplodował. Teraz jego kawałki powoli ześlizgiwały się z wewnętrznych powierzchni gładkiej czaszki i z chłupotem spadały... Nie wiem gdzie, nie znam się na anatomii. Gdzieś spadały na pewno, bo w mojej głowie już ich nie było.

– Twój brat... Ale on... – Machałam rękoma. – Byłam... Mówiłam mu... On powiedział...

Ale...

No i po sprawie. Mózg na ścianie, a Malinie pozostały równoważniki zdań do porozumiewania się ze światem.

– Ale macie inne nazwiska! – wyrzuciłam.

Julia stęknęła i przysunęła sobie krzesło. Usiadła blisko Bartka, chyba żeby nie mógł uciec.

– Tak, bo to mój brat cioteczny – wycedziła. – Syn mojej ciotki. Mieszkają na południu Polski i lepią oscypki.

Jak ktoś, kto lepi oscypki, mógł spłodzić tak wstrętne stworzenie?! Nogi omal się pode mną nie ugięły, ale utrzymałam pion. To ja cały czas... Myślałam... Ale... – Czekał – wyrzuciłam z siebie. – Dlaczego skłamałeś?

Powinnam podzielić to pytanie na kilka sekcji. Dlaczego skłamałeś o umowie? Dlaczego o tym, że ci się podoba? I dopiero na koniec, czemu przyznał, że jego siostra jest jego dziewczyną?! To nie jest cholerna Gra o Tron!

Bartosz podniósł się i podszedł do okna. Po namyśle zdjął granatową marynarkę i poluzował krawat pod szyją. Chyba nie spodziewał się takiego obrotu spraw. – Musimy przez to przechodzić? –

spytał.

– Tak! – odpowiedziałyśmy z Julią chórem.

Westchnął, widocznie się już poddając. Stał nad Julią i się skrzywił.

– Mam mówić wszystko czy....

– Jak na spowiedzi – wycedziła Julia. – I to szybciotko.

Z takim człowiekiem się nie dyskutuje. Ja nie miałabym odwagi i najwidoczniej Bartek też. Usiadł w fotelu i przez kilka chwil tkwił nieruchomo, wpatrując się w ścianę. Porządkował myśli? Wymyślał nowe łągarstwa?

– Wszystko zaczęło się w dniu rozmowy kwalifikacyjnej – zaczął niechętnie. – Wypadłaś tragicznie, a prezes dał mi zadanie zatrudnienia kompetentnego asystenta dla swojego syna. Nie brałem cię pod uwagę. Ale po tym, jak wyszłaś, Kuba wpadł do mojego gabinetu, przepłoszył wszystkich pozostałych kandydatów i nakazał zatrudnić ciebie.

Spotkanie na przystanku. Mój monolog na temat tego, jak bardzo pragnęłam pracy w Adeline. Kuba wpadający do firmy, nakazujący przyjąć mnie i tylko mnie. A mówił, że nie miał z tym nic wspólnego. Kłamczuch.

– A prezes się ugiął – wycedził okularnik i oparł się o biurko. – Zawsze to robił! Kuba umykał, olewał zebrania, a ja tyrałem jak dziki osioł i nic z tego nie miałem. Postanowiłem, że ustąpię i nie będę się w to angażował, ale wtedy... – Wyprostował się. – Wtedy doszło to zebrania, po którym Kuba poprosił prezesa, żeby zatrzymał cię na stanowisku. Kuba nigdy o nic nie prosił.

Pamiętałam to. Bartosz opowiedział mi, że Kuba się za mną wstawił. Do tego momentu jeszcze nadażalam za rozwojem wydarzeń.

– Wtedy zrozumiałem, że liczy się z twoim zdaniem – westchnął Bartosz. – Miałaś na niego wpływ. Nie wiem, jak to się stało, ale naprawdę obchodziło go, co myślałaś. Nawet gdy udawał, że było inaczej. Znam go jednak trochę.

– Więc postanowiłaś poderwać Inę na złość Kubie? – podpowiedziała Julia. – Oj, Bartuś. Niech tylko cioteczka się o tym dowie...

Poderwać na złość? Kuba za mną przepadał, więc Bartek stwierdził, że potraktuje niczego świadomą asystentkę jak trofeum? Co za uprzedmiotowienie! Drgnęłam. Kolejny element układanki trafił na swoje miejsce.

– Dlatego tyle razy spotykaliśmy Kubę podczas naszych spotkań – dopowiedziałam sobie. – To nie miało nic wspólnego z przypadkiem. Wiedziałaś, gdzie bywa.

Najpierw pizzeria, w której pożyczyłam Kubiakowi pieniądze. Później kolacja, podczas której dyrektor naszedł nas razem z Magdą. To żaden zbieg okoliczności.

– Wiedziałem – potwierdził Bartek. – I nie rozumiem, skąd w tobie to zgorszenie. Sama chciałaś, żeby dostał za swoje.

– Nie w taki sposób! Sama umowa była moralnie wątpliwa – uniosłam się. – A jeszcze te gierki? Naprawdę sądzisz, że pogratuluję ci, że użyłaś mnie do swojego wielkiego planu zemsty?

Zrobił zdziwioną minę. Nie no, on chyba naprawdę jeszcze chwilę temu sądził, że pogratuluje mu pomysłowości. *Dziękuję, Bartoszu, za igranie z moimi uczuciami. Poczekaj, już lecę kupić ci kartkę z napisem: Dziękuję, żeś mnie zrobił w bambuko!*

Na to liczył?

– Nie chodziło o zemstę – powiedział. – Nie jesteśmy w przedszkolu.

– Tylko o stołek dyrektora, no nie? – dopowiedziała Julia. – Manipulowałaś Iną w nadziei, że pogrążysz Kubę, a prezes odda ci jego stołek. Powiedz, że się mylę.

Wytrzeszczyłam oczy. Jak ona tak szybko łączyła fakty? Dopiero co została wtajemniczona! Ja siedziałam w tym bagnie od miesiąca i nic nie zauważyłam!

– Zawsze miałaś na niego chrapkę – dodała.

– Żebyś wiedziała – odparował Bartosz. – Wszystkie obowiązki dyrektora generalnego i tak wykonywałem już wcześniej, bo Kuba ma tę firmę w dupie. Doskonale o tym wiesz.

– Wszyscy wiedzą – odparowała Julia. – Ale mogłaś pokonać go w sprawiedliwej walce, a nie przez manipulowanie niewinną dziewczyną! Niby wiedziałam, że rozmowa skupiła się na mojej osobie,

ale siedziałam pogrążona w głębokiej analizie poczynań Bartosza. Chyba wreszcie załapałam, do czego cały czas zmierzał.

– Teraz masz to czarne na białym – mówiłam bardziej do siebie niż do niego. – Posadziłeś na stołku dyrektora żółtodzioba i pokazałeś prezesowi, że to ty wszystko robisz, a Kuba jest niepotrzebny. Odebrałeś mi obowiązki, żeby zaakcentować to jeszcze bardziej. Dlatego tak się wkurzałeś, gdy chciałam cokolwiek robić. – Ja pierdzielę, co za porąbany typ! – Ale w takim razie dlaczego się wycofałeś? Mogłeś poprowadzić to przedstawienie do końca, a tego nie zrobiłeś.

To mi się już nie składało. Rzeczywiście, Bartek na początku naszej znajomości udawał troskę i szarmanckość. Zapraszał na drinki, kolacje i uśmiechał się słodko. Przyszedł pod moje mieszkanie z kwiatami i zabrał do siebie! A potem bez ostrzeżenia zaczął się odsuwać. Nie towarzyszył na imprezie, spławił mnie... Może faktycznie w grę wchodził wieczór kawalerski? Istniała możliwość, że gdyby nie to, poszlibyśmy na piętnastolecie razem i nigdy nie dowiedziałabym się, że Kuba skłamał.

Albo że mnie lubi.

– Powód jest dość przewidywalny – jęknął zrezygnowany. – Po prostu zacząłem się z kimś spotykać. Nie jestem typem, który gra na dwa fronty. Kuba sam doskonale się pogrążał, nie potrzebowałem już ciebie.

Och. Ludzki pan!

– Czyli nie było żadnego wieczoru kawalerskiego. – W końcu zrozumiałam. – Byłeś z tą kobietą. To jej głos słyszałam.

Bartosz przytaknął. Wiedziałałam już wszystko, co chciałam, a nawet więcej. Musiałam powiedzieć o tym Kubie. Niech walczy o swoje miejsce w tej firmie. Chociaż... Jakby na to nie spojrzeć, nawet głupi Bartosz miał trochę racji. Kuba faktycznie umykał i zrzucał swoje obowiązki na głowy innych. Wierzyłam, że okularnik wykonywał tytaniczną pracę.

Jednak nie zmieniało to faktu, że był dupkiem.

– A szwaczki? – spytałam nagle, patrząc Bartoszowi prosto w oczy. – Kto wpadł na to, żeby pozbawić je pracy?

Okularnik prychnął i rzucił mi pełne wyższości spojrzenie. Taki był cwany. Wielki pan dorobkiewicz w swoim gabinecie śmierdzącym intrygami!

– Są nieopłacalne – burknął. – Kuba się na nie upierał, bo gównu wie o robieniu interesów.

A zatem znalazł się ten, który wpadł na pomysł oszczędności.

– Kuba się na nie upierał, bo dobrze wykonują swoją pracę – wycedziłam. – I dba o swoich pracowników.

Zerwałam się z miejsca i już miałam odejść, kiedy mój wzrok zatrzymał się wielkim białym kubku z kawą. Nie unosiła się nad nim para.

Chwyciłam go, dotknęłam przelotnie, sprawdzając, czy na pewno jest zimny i chlupnęłam zawartością prosto w Bartosza.

Facet zerwał się na równe nogi z przekleństwem na ustach.

– To za kłamstwo o umowie! – krzyknęłam. – I za robienie mi wody z mózgu! A najbardziej za spiskowanie przeciwko Kubie!

Wyszłam stamtąd prężnym krokiem. Z wypiętą piersią i uniesionym podbródkiem. Ależ mi ulżyło. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie ochlapałam kawą. Dobre uczucie. Trochę dziwne, ale koleś totalnie zasłużył.

– Ina!

Julia mnie dogoniła. Na jej ustach błąkał się diaboliczny uśmiezek. Chyba była dumna.

– Ładnie go załatwiłaś – oświadczyła. – W życiu tego nie dopierze.

Pociągnęłam ją do swojego gabinetu. Wkroczyłyśmy do niego jak dwie nastolatki – nie mogąc opanować chichotu. Dopiero gdy zasiadłyśmy w fotelach i nieco się uspokoiłyśmy, postanowiłam wrócić do najważniejszego tematu.

– Czyli kto jest ojcem dziecka? – wyrzuciłam.

Wycucie czasu miałam marne. Do oczu Julii ponownie napłynął smutek. Ramiona, do tej pory uniesione, zgarbiły się pod ciężarem rzeczywistości.

– Nikt z firmy – odparła. – Ma na imię Tomek. Poznaliśmy się na weselu znajomych. On przyszedł z koleżanką, która szybko zmyła się do domu, ja byłam sama. Od słowa do słowa... Wiesz, jak jest.

– Kochasz go?

Szybko pożałowałam tego pytania. To domaganie się deklaracji, a z tego, co do tej pory rozumiałam, Tomek unikał takowych jak ognia.

– To nie jest takie proste – mówiła, bawiąc się dłońmi. – Mijamy się. Kiedy on chciał czegoś więcej, ja kazałam mu spadać. Potem nagle mi się odwidziało i zaczęłam chcieć, ale przez niego najwyraźniej przemówiła duma, więc mnie olał. I tak przeciągamy linię od miesięcy.

– Nie możesz być z nim po prostu szczerą? – spytałam tonem mędrzyni.

Julia spojrzała na mnie z wyrzutem. Jakby chciała powiedzieć: Ty mi prawisz morały?

– I ty mi to mówisz? – Otóż to. – Rozumiem, że rozmowę na temat waszych uczuć macie już z Kubą za sobą?

Celny cios. Prosto w serce.

– Nasza relacja jest trochę inna...

– No, o stokroć lepsza. – Posłała mi smutny uśmiech. – Bo z tego, co widziałam, zbudowaliście ją na przyjaźni. To widać gołym okiem.

Podniosłam się, obeszłam biurko i kucnęłam przy niej. Pochwyciłam jej dłonie i mocno je ścisnęłam. Nie chciałam już uciekać. Nie chciałam odrzucać kolejnych okazji na zbudowanie przyjaźni i nie mieć do kogo otworzyć gęby.

– Możesz na mnie liczyć, wiesz? – wyrzuciłam. – Pomogę ci, ile tylko dam radę. Cokolwiek postanowisz. Dzwon o każdej porze dnia i nocy. Nie odpuszczę ci. Chcę się zaprzyjaźnić. Naprawdę. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Naprawdę chcę.

Julia zaśmiała się nerwowo.

– Wiesz, że to zabrzmiało trochę jak groźba?

Wzruszyłam ramionami. Trudno.

Rozdział 33

Ledwie Julia opuściła mój gabinet, a wślizgnął się do niego Kuba. Serio, ten ostatni dzień w Adeline niewiele miał wspólnego z pracą, ale jakoś tak nawet nie było mi żal.

– Co ty, czatowałaś pod drzwiami, aż Julia wyjdzie? – rzuciłam ze śmiechem.

Kubiak jednak zrobił taką minę, że powstrzymałam rechot.

– Skąd wiedziałaś? – spytał, ale zaraz wyszczerzył zęby. No tak, żartowniś. – Przerwano nam na parkingu, a chciałem...

Drzwi otworzyły się na oścież i wmaszerował przez nie niski i łysy człowiek w lśniącej grafitowym garniturze. Prezes zamknął za sobą i przeszedł obok nas, nie unosząc spojrzenia znad smartfonu. Tego akurat mogłam się spodziewać. W końcu ja wypadałam z gry, a Kuba do niej wracał. Najwyraźniej nadszedł czas oficjalnych zmian.

Stanęliśmy z Kubą obok siebie i w napięciu oczekiwaliśmy, aż prezes wróci do rzeczywistości. Tak też się stało – ostatni raz zaśmiał się do telefonu, po czym go wygasił i schował do kieszeni.

– Pani Mazurek – przemówił. – Dziękuję pani za dotychczasową współpracę. Może pani spakować swoje rzeczy i wyjść wcześniej. Powodzenia. Wiele pani osiągnie w życiu.

Krótko, zwięźle i na temat. Spodziewałam się tego, a i tak targnęło mną dziwne uczucie. Z jednej strony wiedziałam, że w Adeline się nie rozwinę, z drugiej trochę się już do tego miejsca przyzwyczaiłam.

– O czym ty mówisz? – odezwał się Kuba. – Co to za jakieś pożegnalne mowy?

Szlag, zapomniałam wspomnieć Kubie, że wypadłam z gry.

– Umowa zakładała, że po tym miesiącu odejdę z pracy – wytłumaczyłam.

– Co? – wydusił. – Przecież to nie ma sensu. Nie zgodziłabyś się na to.

– No cóż... – Pokiwałam głową na boki. – To trochę prawda. Nie doczytałam umowy, a nikt o tym nie napomknął...

– Wiesz o umowie? – odezwał się prezes.

Obydwoje z Kubą odwróciliśmy się do jego ojca. Czy będzie krzyczał przez to, że dyrektor dowiedział się o umowie? Na bank będzie krzyczał. Zaczęłam się już mentalnie przygotowywać.

– Od dwóch dni – odpowiedział Kuba i założył ręce na piersi. – Dlaczego chcecie pozbawić Inę pracy? Nie znajdziesz lepszej pracownicy. Jest ambitna, dociekliwa... – Wyliczał. – Ma ogromną wiedzę, lubi się uczyć, cholernie ciężko pracuje. Zależy jej na tym stanowisku. Popelniasz olbrzymi błąd.

Wpatrywałam się w profil dyrektora, a przed oczyma migają mi sceny: nasze spotkanie na przystanku. To, jak omal nie zabił mnie drzwiami pierwszego dnia pracy. Zebranie, na które się spóźnił. Mój krzyk, jego jadowity ton. Pizzeria, w której pożyczyłam mu pieniądze (dupek nadal wisiał mi za tę pizzę). Zatrzaśnięcie się w klitce i pierwsza prawdziwa rozmowa.

– Pani Mazurek podpisała umowę. – Głos prezesa ukrócił moje wspominki. – Należy ponosić konsekwencje swoich czynów.

– Tak – odezwałam się słabo, nadal na wpół pogrążona we wspomnieniach dwóch ostatnich miesięcy. – Prezes ma rację.

– Nie – wycedził Kubiak i chwycił moją dłoń. – Nikt tak ciężko na to nie pracował jak Ina. Nigdy nie byłeś konsekwentny! Co ci się tak nagle odmieniło?

– No właśnie! – zagrzmiał jego ojciec. – Nie byłem! I na kogo wyrosłeś?!

W pokoju nastała cisza. Tykanie zegara odbijało się od pustych ścian.

Błysk z oczu Kuby zniknął, tak jak i jakiegokolwiek pragnienie walki. Ścisnęłam go mocniej za dłoń, której wciąż nie wypuścił z uścisku.

– Wyrósł na jednego z najlepszych ludzi, jakich znam – odezwałam się, zaskakując nawet samą siebie, i dopiero wtedy puściłam rękę Kuby. – Jeśli uważa pan inaczej, to znaczy, że w ogóle go pan nie zna. Postawił restaurację mojej mamy na nogi. Nic nie chciał w zamian. Przez cały miesiąc wypełniał obowiązki asystenta... Nie widział pan tego? To po co ten cyrk z umową?

Prezes ścisnął się za skronie, jakby mu się w czaszce nie mieściło to, co się wyprawia.

– Nie będę z panią dyskutować – postanowił. – Kuba, wracasz na stanowisko dyrektora. Na próbne trzy miesiące. Jeśli, nie daj bóg, znów czymś podpadniesz...

– Nie.

Obydwoje z prezesem zwróciliśmy się do Kuby. Ten natomiast wyprostował się i rozpromienił. Jak gdyby to jedno „nie” zmieniło świat na lepsze.

– Nie chcę tego – dodał. – Ani twoich próbnymi miesiącami, ani stołka dyrektora.

Ale jak to nie chciał stołka dyrektora? Przecież tak żył od lat. Dobre pieniądze, ogromna swoboda. Mógł umykać, szaleć, wynajmować apartament w centrum. Chciał z tego zrezygnować?

– Ale Kuba... – Pociągnęłam go za koszulę. A jeśli poniosła go chwila i potem będzie żałować? – Zastanów się nad tym. Praca tutaj dała ci mnóstwo możliwości. Finansowych również. Dzięki niej nie musisz mieszkać w szarym bloku i...

– Ina, ten miesiąc, w którym mieszkałem w szarym bloku, był lepszy niż ostatnie lata w apartamentowcu. – Zaśmiał się. – Naprawdę. W końcu zrozumiałem, że nie jestem chodzącą porażką. Ty, twoja mama, Alina, nawet Asia... – Poczerwieniał i potarł nerwowo kark. – Uwierzyłyście we mnie. Stać mnie na więcej niż to.

Wskazał pomieszczenie, ale ręka jakoś niefortunnie wylądowała prosto przed prezesem. Niezręcznie.

– Dzisiaj dostaniesz moje wypowiedzenie – dokończył Kuba. – Spakuję się i wraz z Iną opuścimy budynek Adeline. Nie będziesz już musiał wstydić się za syna.

Na stołku dyrektora posadzisz Bartusia, od dawna do tego dążył – dodał. – I wszyscy będą zadowoleni.

To naprawdę ten sam facet, który pewnego wieczora pojawił się przed drzwiami mojego mieszkania, bo najemca wywalił go na zbity pysk?

Prezes utkwiał spojrzenie w paznokciach. Przyglądał im się w milczeniu, jakoś dziwnie spokojny.

Jak nic zaraz wybuchnie i nas wszystkich zabije. Teraz? Dlaczego akurat teraz, gdy wszystko zaczęło się układać?

– Dobrze – przemówił. – Rozumiem... Jesteś tego absolutnie pewien?

Opuścił ręce i skupił uwagę na synu. W jego oczach dostrzegłam... zawahanie. Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw.

Całkowicie zrozumiałe. Też się nie spodziewałam.

– Absolutnie – potwierdził Kuba. – Mogę stworzyć coś swojego. Mam wiedzę, umiejętności i doświadczenie. Poradzę sobie.

Serce urosło mi w piersi. Byłam z niego taka dumna.

– A pani, pani Mazurek?

Mazurek... To chyba...

Odwrociłam się do prezesa. Co ja miałam z tym wspólnego?

– Powiedzmy, że w tych okolicznościach... – Rozłożył ręce. – Byłbym gotów zmienić zdanie. Skoro mój syn rezygnuje ze stanowiska, zgadzam się, że Bartosz będzie najlepszym kandydatem na jego miejsce. To zaś oznacza, że potrzebuję asystenta. Lub asystentki.

Przestałam oddychać. Naprawdę to powiedział? Przywróciłby mnie do pracy w Adeline?

– Oferuję pani własny gabinet oraz przyzwoite wynagrodzenie – ciągnął. – Oczywiście nie tak ekstremalne jak w ostatnim miesiącu, ale myślę, że nie będzie pani narzekać. Do tego możliwość

rozwoju, na którym tak bardzo pani zależało.

Gabinet z oknem? Stanowisko asystentki prezesa?

I zarąbiste pieniądze?

Nie musiałabym się martwić o Warzywniak. Mogłabym dalej pomagać mamie. Wesprzeć ją.

Tylko że mama nie chciała, żebym to robiła. Chciała radzić sobie sama.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Na myśl o tym, że wyjdę z tego budynku z kilkoma swoimi rzeczami, w drzwiach pozdrowię pana Waldka i już nigdy tu nie wrócę, moje serce ścisnął żal...

Ale wypełniał je również spokój.

– Panie prezesie, przyszłam tutaj z głową pełną pomysłów i ogromnymi chęciami do pracy – odezwałam się drżącym głosem. – A zamiast się realizować, połowę przepracowanego tutaj czasu przepłakałam. Dałam się wciągnąć w intrygi, zostałam zmanipulowana i wielokrotnie okłamana. Sama kłamałam! To nie jest rozwój, na którym mi zależy.

Złapałam dłoń w dłoń, żeby dodać samej sobie otuchy. Brawo, Ina. Z siebie też możesz być dumna.

– Mnie też stać na więcej – oświadczyłam. – Chciałam działać w zgodzie z pewnymi wartościami i zamierzam to robić. Świat nie kończy się na Adeline. Szkoda, że tyle czasu zajęło mi zrozumienie tak prostej rzeczy.

Zdębiałam, gdy pokój wypełnił się skrzekliwym śmiechem. Prezes rechotał, jakbyśmy obydwój z Kubą właśnie odwalili przyzwoity stand-up. Popatrzyliśmy po sobie.

I wtedy prezes podszedł do Kuby i go objął. Wyglądało to dość komicznie, bo sięgał mu zaledwie do ramion, które, swoją drogą, zakleszczył w żelaznym uścisku, uniemożliwiając synowi jakikolwiek ruch.

Czy to by było już za dużo, gdybym zrobiła im w tym momencie zdjęcie?

– Stary jestem, a głupi – przemówił prezes, uwalniając syna. – Masz rację, synu. Stać cię na dużo więcej.

Żeby nie zrobiło się zbyt cukierkowo, prezes jeszcze zmarszczył groźnie brwi, nie wiadomo na kogo, i wyszedł, trzaskając głośno drzwiami. Odetchnęłam. A więc właśnie odmówiłam posady asystentki prezesa Adeline? Gdyby ktoś cofnął się w czasie i powiedział o tym Malinie, która wyszła z rozmowy kwalifikacyjnej, pewnie pałaby na zawał.

– Jesteś tego pewna?

Kuba. Stał tuż obok ze wzrokiem wbitym w moją twarz. W napięciu oczekiwał odpowiedzi.

– Zmywamy się stąd – odparłam. – O której mam dziś u ciebie być?

Rozdział 34

Podjęłam pewną decyzję. Całkiem ważną. Bardzo ważną. Postanowiłam tego wieczora wyznać Kubie, co do niego czuję. Nie wymyśliłam jeszcze tylko, jak to zrobić. Czy to będzie coś w stylu: *Wiesz, zastanawiałam się nad tym od jakiegoś czasu i w związku z tym, że twój charakter nie jest jednak tak tragiczny, jak twierdziły pierwotne założenia, może moglibyśmy zakochać się, wziąć ślub i mieć dzieci?*

Nie, coś mi mówiło, że to nie to. A może: Ty się zmieniasz, ja się zmieniam. *Może zmienimy też status związku?*

Oto dlaczego jeszcze nigdy nie miałam chłopaka.

Buszowałam po galerii handlowej w poszukiwaniu sensownego prezentu na to jego nowe mieszkanie, ale albo nic mi się nie podobało, albo podobało, ale wykraczało poza budżet. Który, swoją drogą, do najwyższych nie należał. W końcu znów stałam się bezrobotna. Zaśmiałam się do siebie. Śmieszna sprawa z tą utratą pracy. Przez moje ręce przeszły koce, noże, kubki, szlafroki, poduszki w kształcie żaby, czajniczki, srebrna żyrafa służąca niczemu oraz świąteczna pościel z promocji. Skąd oni wzięli we wrześnie pościel z reniferami?

Przeglądałam plakaty, starając czymś zainspirować, kiedy zniechęcona napotkałam spojrzenie przesywająco błękitnych oczu. Pisnęłam uradowana. No pewnie, że *Władca Pierścieni* się sprawdzi! Przecież Kubiak miał fioła na punkcie Tolkiena.

Frodo Baggins kupi mi dzisiaj miłość. Tak właśnie postanowiłam.

W podskokach udałam się pod wskazany adres. Nawigacja poprowadziła mnie pomiędzy blokami w taki sposób, że nie trafiłabym tu przenigdy ponownie, ale kiedy zakomunikowała, że wreszcie dotarłyśmy na miejsce, uniosłam głowę i z uwagą przyjrzałam się wysokiemu, białemu jak śnieg, blokowi. Świeżo odmalowany budynek i dwanaście pięter. A Kuba na szóstym. Dam radę.

Domofon nie działał, więc stwierdziłam, że trochę zaskoczę gospodarza. Minęłam windę. Nie przemawiała do mnie. Wyglądała, jakby tylko czekała na nieszczęśnika, którego mogłaby zabić. Znałam swoje marne szczęście, więc sapałam głośno i wspinałam się po schodach z wielkim plakatem z Frodem pod pachą i z reklamówką wypchaną trzema rodzajami ciast, które wcisnęła mi mama.

Otworzyłam drzwi, prowadzące z klatki schodowej na korytarz, i się rozejrzałam. Potrzebowałam mieszkania numer sto trzynaście, a stałam przy osiemdziesiąt trzy. Przyjrzałam się, w którą stronę ta liczba rosła, i szybko zrozumiałam, że upragnione drzwi prawdopodobnie znajdują się za zakrętem. Drogę do ziemi obiecanej rozpoczęłam lekkim, wręcz tanecznym krokiem.

– Co ty tutaj robisz? – Po korytarzu rozniósł się znajomy męski głos.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – odpowiedział mu damski.

Zatrzymałam się, a plakat prawie wyślizgnął mi się spod pachy. Nadstawiłam uszu. To Kuba i Magda.

– Po prostu się ciebie nie spodziewałem – powiedział Kuba.

Przyspieszyłam i wychyliłam się zza ściany. W zasięgu mojego wzroku znalazła się ciemnowłosa dziewczyna w długim beżowym trenczu, który powoli rozwiązywała. – Będziemy tu tak stać? – spytała słodko.

Odchyliła płaszcz. Już ja wiedziałam, jakiego typu kreację na sobie miała. Obejrzałam w życiu niejedną film.

Prześlizgnęłam się wzrokiem na swoje trampki i dzinsy. No tak. Róża i malina. Czy nie tak

to leciało?

Pociągnęłam cicho nosem i osunęłam się plecami po ścianie. Czyli jednak się zejda. Nie no, dobrze. Wytarłam szybko łzy z policzków. Przecież Kuba tego właśnie pragnął. W końcu kochał Magdę od tyłu lat. Przeszedł tę całą przemianę...

– Nie mogę – powiedział. – Czekam na Inę.

Wyprostowałam się. Laska przyszła w samym trenzu!

– No dobrze, może nie wyraziłam się jasno. – Magda mówiła teraz tak cicho, że ledwie wychwytywałam słowa. – Zmieniłam zdanie, Kuba. Rozumiesz? Chcę z tobą być.

Westchnienie zaskoczenia. Nie spodziewał się tego usłyszeć. Wyciągnęłam telefon z kieszeni. Pewnie zaraz przyjdzie wiadomość o odwołanym spotkaniu. Spadaj na drzewo, Ina. Miłość mojego życia wreszcie się namyśliła.

– Magda... Możesz zawiązać? – poprosił Kuba. Kazał jej zawiązać płaszcz? Co z nim? Wychyliłam się i ujrzałam go stojącego przed Magdą. – Wiem, że mówiłem, że będę na ciebie czekać. Czekałem strasznie długo. Strasznie. – Zaśmiał się smutno. – Robiłem wszystko, żeby zasłużyć na twoją miłość, ale... na miłość nie powinno się zasługiwać, wiesz? Skakałem jak pajac, żebyś mnie w końcu wybrała, i tak bardzo starałem ci się przypodobać, że w końcu w tym wszystkim zatraciłem gdzieś siebie.

Wstrzymałam oddech. Naprawdę to powiedział? Czy on właśnie...

– Próbujesz mnie spławić? – spytała Magda.

Kuba podrapał się zakłopotany po karku. Skrzywił się, a moje serce dostało skrzydeł. Pamiętał, co mu powiedziałam. Pamiętał.

– Tyle lat cię kochałem, że w pewnym momencie wydawało mi się, że jeśli to nie będziesz ty, to nikt inny, ale... jest ktoś – mówił. – I ona wygrywa wszystko. Jest jednocześnie wyzwaniem, ale i jedyną osobą, przy której czuję się całkowicie zrozumiany. Ale przede wszystkim czuję, że nie muszę przed nią nikogo udawać.

Zrobiłam w głowie szybką kalkulację. Jakie było prawdopodobieństwo, że w życiu Kubę brały udział jeszcze jakieś inne kobiety, o których nie wiedziałam, a o których mógł mówić?

– Rozumiem... – wydusiła Magda. – Tak mi się wydaje. Jejku, to... – Przykryła się ciasniej płaszczem. – Wybacz, nie spodziewałam się tego.

Kuba zaśmiał się nerwowo. Nic dziwnego, że Magda nie spodziewała się odrzucenia. Facet łąził za nią od dekady.

– Pójdę już – stęknęła. – Porozmawiamy o tym, ale... muszę sobie to najpierw ułożyć.

Uścisnęli się, a ja... A ja dalej się na nich gapiłam! Drzwi od mieszkania Kubę trzasnęły, a ja stałam pośrodku korytarza z plakatem i torbami z ciastem.

Rzuciłam się biegiem do schodów. Magda pojedzie windą i się miniemy.

Ledwie zdążyłam się schować za drzwiami prowadzącymi do klatki schodowej, kiedy te się otworzyły i już stałyśmy z modelką twarzą w twarz.

– Chowasz się? – spytała.

Wyprostowałam się i pokręciłam głową.

– Nie ufam windom – powiedziałam.

Zaśmiała się pod nosem i minęła mnie, pozostawiając za sobą zapach. Róże!

– Czekaj na ciebie – dodała, znikając mi z pola widzenia.

Czekał. Kuba na mnie czekał! Nie na Magdę! Na Malinę!

Popędziłam pod jego drzwi i zaczęłam się tak dobijać, że otworzył i od razu wypalił:

– Coś się stało?

– Tak! – wykrzyknęłam. – Kocham cię. Strasznie, strasznie cię kocham.

Oto, co ludzie mają na myśli, gdy mówią, że ktoś wyskoczył jak filip z konopi. Powinni wstawić zdjęcie tej scenki obok tego wyrażenia w słowniku powiedzonek. Nie ma takiego słownika, prawda?

Kuba stał w tym samym miejscu z taką miną, jakbym wyznała mu miłość po hebrajsku.

– Przepraszam, że tak z tym wyskoczyłam – zaczęłam się w panice wycofywać. – Mam ciasta od mamy. I plakat Froda Bagginsa na nowe mieszkanie. Nie wiedziałam, co ci kupić. I głupio tak wyskoczyłam trochę, nie?

Przepchnęłam się w wejściu i zaczęłam zdejmować buty.

– Nie zdejmuj butów – wydusił z siebie Kuba.

Nie zdejmować? Matko, nigdy nie zrozumieję ludzi, którzy chodzą w butach po domu. A jak spadnie im chrupek na podłogę? Zjedzą go? A co, jeśli ta podłoga zaliczyła bliskie spotkanie z podeszwą, która swoje już w życiu przeszła?

I dlaczego rozmawiamy teraz o butach? Czyli jednak chodziło o inną kobietę? Ach, kogo to obchodzi! Ja i tak mam do powiedzenia, co mam do powiedzenia. Położyłam Froda na podłodze obok ciast i stanęłam przed Kubą.

– Wiem, że nie jestem w twoim typie – wyplułam. – I że ciągle coś odwalam. Wkurzam cię i wcale się nie dziwię. Jednak chcę to powiedzieć, bo jeśli przemilczę to choć jeszcze jeden dzień, to chyba już do końca zgłup...

Przyciągnął mnie do siebie. Jedną dłonią uniósł mój podbródek, a jego ciepły oddech omiół moje wargi. Druga dłoń zatopiła się we włosach. Był tak blisko...

– Kochasz? – spytał.

Niby znałam odpowiedź, ale właśnie wymuszał drugie wyznanie miłosne, a sam nie zdeklarował się ani razu.

– Istnieje takie prawdopodobieństwo... Pocałujesz mnie? – szepnęłam mu w usta. – Czy tylko się zgrywasz? Bo w sumie... Wydaje mi się, że to całkiem dobry pomysł. Kuba uśmiechnął się szeroko, przytrzymał mnie mocniej. Nachylił się, a moje serce się zatrzymało. Wstrzymałam oddech, gdy dotknął moich warg i złożył na nich szybki pocałunek.

Tylko tyle?! Na to tak długo czekałam?

Zawiesiłam mu się na szyi, a on objął moje policzki obydwoma dłońmi i pocałował tak namiętnie, że znów zapomniałam o oddechu. Jego dłonie powędrowały w dół moich pleców, przycisnęły mnie do niego, aż wreszcie odnalazły moje pośladki. Przygwoździł mnie do ściany i dopiero wtedy odsunął się na odległość oddechu. To chyba znaczyło, że jednak trochę mu się podobałam.

– Czy to znaczy, że to ja jestem tą kobietą, dla której odrzuciłeś Magdę?

Zmrużył powieki.

– Podśluchiwałaś?

Wzruszyłam niewinnie ramionami. Całe szczęście, że na ich widok postanowiłam osunąć się dramatycznie po ścianie, a nie na przykład uciec z płaczem. – Troszeczkę – stęknęłam. – Ale to nie była moja wina! Akurat szłam i...

Jego wargi znów wylądowały na moich. Okej, ta forma uciszania była nienajgorsza.

– Powiedzmy, że spotkałem pewną stukniętą babkę – podjął. – Która bardzo chciała ze mną pracować, a ja się zgodziłem. Później tego żałowałem, bo działała mi na nerwy. – Pogładził moją szyję. – Ale nic nie potrafiłem poradzić na to, że dobrze się przy niej czułem. Nawet gdy się darła i nosiła głowę w górze. To musiało się w końcu stać.

– Co takiego? – spytałam z udawaną obojętnością, starając się wymusić na nim wyznanie miłosne. Dupek na pewno przejrzał moje plany, bo uśmiechnął się złośliwie.

– To – szepnął i znów wpił się w moje usta.

Oj, musiało. Jeśli to jednak był matrix, to nie zamierzałam się stąd ruszać.

Rozdział 35

Ludzie po mistrzowsku komplikują sobie życie. Jedna prosta sytuacja potrafi zamienić się w lawinę, która bezlitośnie pożera całe miasta, a często wynika po prostu... z nieporozumienia. Z tego, że zamiast się ze sobą komunikować, dopowiadamy, kreujemy własne teorie, przed snem na płachtach zamkniętych powiek wyświetlamy scenariusze, nie mające szans się ziścić. Wyobrażenia rzadko kiedy spotykają się z rzeczywistością. Tak po prostu jest.

Na początku sądziłam, że wiem o sobie wszystko, znam się na wylot i nigdy nie zaskoczę samej siebie. Potem zaś dowiedziałam się, że przez życie prowadzi mnie nie tylko ambicja, z którą się tak butnie obnosiłam, lecz również strach i nienawiść. Strach przed tym, że znów wyląduję na końcu łańcucha pokarmowego. Że będę patrzeć na ludzi, którzy mają wszystko, ściskając kurczowo w ramionach resztki tego, co mi zostało. Wszak robiłam to od nastoletnich lat. Miałam w ustach język, skręcając się z zazdrości na widok telefonów, odtwarzaczy, pięknych plecaków i nowych ubrań moich koleżanek. Bałam się, że nigdy im nie dorównam. I nienawidziłam. Losie, nie miałam pojęcia o tej nienawiści, która burzyła spokojne sny i kazała uciekać przed tym, co mogło mnie uszczęśliwić. To uczucie pojawiło się wraz z odejściem ojca. Mogłam obwiniać mamę, mogłam zrzucić winę na niego... lecz nie potrafiłam. Za bardzo ich kochałam. Dlatego wcisnęłam ją w miejsce, którego nikt nie mógł obronić. W siebie samą.

Ta nienawiść mnie zmęczyła. Doprowadziła na skraj, pokazała prawdziwą twarz, która bynajmniej nie przypadła mi do gustu. Wystarczyło już sabotażu i krzywdy wyrządzanej samej sobie w przekonaniu, że na nią zasługuję. To nieprawda. Zasługiwałam na to, żeby być szczęśliwa.

Szłam długim korytarzem, by zaraz wejść do jasnego pokoju dziennego. W oknach nie wisały jeszcze ani żaluzje, ani firanki, więc wpadało przez nie maksimum światła i osiadało na bieluśkich ścianach, pod którymi jeden na drugim stały poukładane kartony. Oprócz nich jedynie szara kanapa, telewizor i płyty, z których pewnie kiedyś powstaną meble.

Kuba wskazał kupkę ciemnobrązowych sklejek.

– Dopiero co przyszły – wyjaśnił. – Jeszcze nie robi piorunującego wrażenia, ale trochę nad tym popracuję i zobaczysz, że... – Oblizwał wargi i przyciągnął mnie do siebie. – Podoba ci się tutaj? Może... Mieszkaliśmy już razem, więc może...

– Hola, hola, Romeo. – Wyswobodziłam się z uścisku. – Nie możemy ze sobą zamieszkać. Dopiero co był pocałunek! Nawet nie doszliśmy do drugiej bazy!

Ale mu trafiłam w gusta. Jego wzrok bezwstydnie przemaszerował po moim ciele. Cholera, byłam w pełni ubrana, a poczułam się naga.

– Przestań natychmiast! – rozkazałam, ledwie powstrzymując śmiech. – Jesteś w tym dobry, wiesz?

Kuba się zbliżył, ale ja zrobiłam krok w tył, nie pozwalając mu się objąć.

– W czym jestem dobry?

– W rozśmieszaniu mnie. Otwieraniu jak puszkę konserwy – odpowiedziałam.

Zacmokał.

– Chyba raczej Pandory – dopowiedział.

Próbowałam powstrzymać kąciki, ale bezpardonowo rozciągnęły się w kolejnym uśmiechu.

– Świetnie. Oto jak sprawić, żebym się już więcej nie otworzyła. Gratuluję.

Rozpoczęłam marsz po pomieszczeniu. Zajrzałam w każdy goły kąt, starając się na nowo uporządkować myśli. Tylko że tam nie było niczego, co mogłabym zwiedzać. Pustki. Poza tą górą nieposkładanych mebli, przy kanapie leżały jeszcze tylko ramki ze zdjęciami, już uzupełnione, a wśród nich...

Kucnęłam i chwyciłam jedną. Słyszałam za plecami protest, który Kuba stłumił. Przejechałam opuszkami palców po zimnej szybce, zza której patrzyła na mnie Malina, o nieobecnym, zapijaczonym wzroku, z niebieską wążką na czubku głowy.

– Wydrukowałeś zdjęcie ze mną?

Kuba podszedł do mnie i wyjął ramkę z dłoni. Spojrzał na fotografię i uśmiechnął się pod nosem, by potem odłożyć ją na miejsce. Zamiast cokolwiek powiedzieć, odwrócił się i zaczął czegoś szukać w jednej z toreb. Grzebał w niej chwilę, aż wreszcie wyciągnął szare pudełeczko i wcisnął mi je w dłoń.

Z sercem w gardle wydobyłam z pudełka wążkę. Tę samą, którą pokazałam mu u jubilera. Tę samą, w której się zakochałam.

– Magda ci ją oddała? – szepnęłam.

– Żartujesz? – Kuba się obruszył. – Jak mogłaby mi ją oddać, jeśli nigdy jej nie dostała? Nie potrafiłem jej dać tego w prezencie, odkąd zobaczyłem, jak ty na to patrzysz. – Wcisnął ręce głęboko w kieszenie ciemnych džinsów. – Chciałem, ale... Nie mogłem.

Po krótkim namyśle odebrał mi ją, zaszedł mnie od tyłu i zapiął łańcuszek na mojej szyi.

– No, wreszcie na swoim miejscu – powiedział, przyglądając mi się z zadowoleniem.

Jego dłonie znalazły się na moim karku i zmusiły do tego, bym na niego spojrzała.

– Dość szybko się ze mną uporałaś. Zbyt szybko – mówił z uśmiechem tańczącym na wargach. – Pojęcia nie miałem, co mi odbija i dlaczego nie mogłem przemóc się, żeby podarować Magdzie ten naszyjnik. Za nic nie chciałem przed sobą przyznać, że zakochałem się w tobie jak ostatni szczeniak. A wtedy jeszcze stroiłaś fochy, chociaż na uszach stawałem, żebyś się do mnie przekonała.

Opanowałam ochotę skakania ze szczęścia. To w ogóle nie przystoi poważnemu dorosłemu człowiekowi.

– Co robisz? – spytał Kuba.

– Chyba trochę podskakuję ze szczęścia.

Znalazł się znów na odległość oddechu i uśmiechnął szeroko. Zagryzł wargę.

– Naprawdę kupiłaś mi plakat z Frodem?

Parsknęłam, całego go przy tym opluwając.

– To źle? – bąknęłam.

Kuba wyprostował się i przytulił mnie do siebie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu.

– Nie – odparł. – To dowód na to, że trafiłem w dziesiątkę.

Epilog



– Na miłość boską, dlaczego nie jesteś jeszcze gotowy?

Kuba odwrócił się w moją stronę ze szczoteczką w ustach, pianą wokół i zdziwionym wyrazem twarzy. Czego ja od niego chciałam? Przecież on sobie po prostu mył zęby w chwili, w której ja już stałam przygotowana do wyjścia, z butami na nogach i kluczami w dłoni. Biedactwo, jak zwykle cały świat przeciwko niemu! – Przecież mówiłam ci dziesięć minut temu, że zaraz wyjeżdżamy! Będziemy jak zwykle ostatni!

Wybełkotał coś z zawadiackim uśmiechem na ustach, ewidentnie robiąc mi na złość, a ja warknęłam w odpowiedzi i pobiegłam do sypialni, przypominając sobie o prezencie. To byśmy poszli – na przyjęcie urodzinowe bez prezentu. Wytargałam z pokoju ogromnego pluszowego misia i postawiłam go przed drzwiami. Ten jednak przechylił się na bok. W sklepie internetowym wyglądał na słodsze. Teraz, gdy tak na niego patrzyłam, mniej się uśmiechał, a bardziej przypominał miśka na kacu-gigancie.

– Szybciej, bo będziemy ostatni! – krzyknęłam ponownie, próbując jednocześnie uspokoić oddech.

Szybko wystukałam wiadomość do Oliwki. Młoda weszła w okres dojrzewania, pierwszych miłości i zaczęła zadawać jeszcze więcej pytań niż wcześniej. No, może nie w liczbie tkwił problem, tylko w tym, że stawały się coraz trudniejsze.

Kuba wyszedł z łazienki z rozbijającym wyrazem twarzy, podszedł i przycisnął mnie do siebie, doskonale wiedząc, że będę się przez to wściekać. Jego palce zaczęły grać na moich żebrach, więc wrzeszczałam, dopóki nie zamknął mi ust szybkim całusem. Dopiero wtedy, wielce z siebie zadowolony, sięgnął po kurtkę. Kocham go, ale kiedyś naprawdę go zamorduję.

– Nie wpuści nas z tym olbrzymem – powiedział, wskazując na misia Bernarda, bo takie imię nosił szary niedźwiedź, który notabene zdążył się już przewrócić i leżał na boku, zajmując połowę przedpokoju. Zdecydowanie na kacu.

Szybko wykluczyłam tę możliwość, trochę dlatego, że nie zdążylibyśmy i tak kupić innego prezentu, i nakazałam Kubie ruszyć przed siebie. On targał Bernarda, a ja zamknęłam za nami drzwi i popędziłam jego śladem. Ludzie schodzili mu z drogi, bojąc się, że misiek ich pożre, z czego Kuba był widocznie zadowolony. Tylko później, gdy dotarliśmy już do auta, z całych sił, bez krztyny łagodności, wciskał pluszaka do bagażnika.

– Tylko go nie porwij! – Darłam mu się nad uchem. – Uważaj!

Z trudem zamknął klapę i spojrzał na mnie z żywą niechęcią.

– Nie mogłaś kupić tabletu, jak robią to normalne ciotki?

Tupnęłam nogą, oburzona podobnymi insynuacjami.

– Moja nieformalna chrześniaczka nie dostanie byle jakiego prezentu – rzuciłam przez ramię i weszłam do auta.

Nieformalna, bo ustanowiona umową ustną, a nie kościelną, ale nadal się liczyło.

Odpaliłam auto i ruszyłam z piskiem, puszczać mimo uszu uwagi Kuby o tym, że nas kiedyś zabiję. Byłam świetną kierowczynią, która dostała mandat tylko raz. I to przez nieporozumienie. Po prostu się zamyśliłam i nie zauważyłam, że noga naciskała na pedał gazu troszkę za mocno.

– Pamiętasz, że jutro idziemy na śniadanie z mamą i Asią? – spytał.

Pacnęłam się w czoło. Kompletnie zapomniałam!

– Dobrze, że mówisz. Wypadło mi to z głowy. – Spojrzałam na niego przerażona. – Zabiłyby mnie. To ich rocznica.

Uśmiechnęłam się pod nosem, wyczuwając dłoń Kuby na moim udzie.

– Na szczęście ja pamiętam o tym, co ważne, co jest kolejnym dowodem na to, że beze mnie byś zginęła – stwierdził.

– Bez dwóch zdań.

Poddałam się łatwo, zbyt łatwo, ale co zrobić, jeśli taka właśnie była prawda?

Dojechaliśmy na miejsce spóźnieni zaledwie kwadrans. Zapukałam do drzwi, a moje usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, kiedy Julia otworzyła z Marysią na rękach. Dzieciątko uczesane w dwie ledwie widoczne kitki i ubrane w złotą sukienkę ze skrzydełkami, wyciągnęło z radością rączki w moją stronę.

Uśmiech z twarzy Julii natychmiast zniknął, gdy spostrzegła Bernarda.

– Absolutnie nie – powiedziała, ale ja już zabrałam Marysię z jej rąk i mówiłam do niej w języku rocznego bobasa, wchodząc w głąb mieszkania, na co ona chętnie mi odpowiadała, a Kuba wcisnął się bez pytania w drzwi, taranując miśkiem bezbronną matkę dziecka.

Dotarliśmy do momentu, w którym siedzieliśmy na pierwszych urodzinach córeczki Julii, Kuba trzymał swoją dłoń u dołu moich pleców i delikatnie je gładził, a ja szczebiotałam o wszystkim i o niczym ze znajomymi. Julii nie ułożyło się z Tomkiem, ale świetnie dawała sobie radę. Staralam się ją wspierać, jak umiałam, i już po kilku miesiącach zbudowałyśmy tak piękną przyjaźń, że to ja, właśnie ja, trzymałam jej dłoń podczas porodu, drąc się za nią wniebogłose. Julia też lubiła opowiadać, że to ja byłam tą, która zemdląła na widok okrwawionego noworodka i przecinanej pępowiny, ale w to bym nie wierzyła. Nie pamiętam, co się wtedy wydarzyło, jednak na pewno nie to.

Poruszała ten temat na każdej imprezie, teraz robiła dokładnie tak samo. I po co od razu wyciągać zdjęcia, na których uwieczniono, jak personel szpitala mnie cuci?

Odwrociłam się w stronę Kuby, licząc na jego wsparcie, ale te wspominki bawiły go jak nic innego. No niech im będzie. To faktycznie trochę zabawne.

Oparłam się pokusie pocałowania Kuby w lekko zarośnięty policzek. Wciąż uśmiechał się zalotnie do kobiet i był bardziej pewny siebie, niż powinien, ale wybaczałam mu to, bo twierdził, że na świecie jest tylko jedna, która mu się podoba. Mało, że mówił – czułam to każdą komórką ciała, więc nie zamierzałam się z tym kłócić. Zbudował sobie żelazne zaufanie i za to kochałam go jeszcze bardziej.

W końcu to mnie całował codziennie rano w czoło po przebudzeniu. To mnie pewnego dnia zasłonił oczy opaską i zawiózł na wielką pustą działkę, oznajmiając, że w tym miejscu wybudujemy dom. Mnie poprosił, żebym wprowadziła się do jego mieszkania i ze mną adoptował kota ze schroniska.

Co było po pocałunku, który skończył podchody?

Samo życie. Setki kłótni o głupoty. Wyrzucanie sobie nawzajem, kto powinien teraz zmyć naczynia. Następnie sprzeczki o to, jaką kupić zmywarkę. Wspólne święta i różnica poglądów w trakcie decyzji o to, czy choinka powinna być żywa, czy sztuczna. Próba przekonania mnie do czytania literatury pięknej, kończąca się bezgraniczną miłością do pana Darcy'ego i dalszą niechęcią do fantastyki. Założenie firmy marketingowej. Nieprzespane ze zdenerwowania noce. Otwieranie szampana, gdy w końcu nam się udało, i upicie się we dwoje w namiocie, rozstawionym na pustej działce. Polskie góry i nauka jazdy na nartach. Oglądanie wschodu słońca nad morzem. Moje pierwsze próby wspinaczki, kończące się na wielkim guzie na czubku głowy i wizycie w szpitalu.

Pocałunki. Ciche dni. Miłość. Złość. Przyjaźń. Obojętność. Wszystkie kolory tęczy, ale już nigdy nienawiść. Ani w nim, ani we mnie.

Restauracja mamy przynosiła takie zyski, że wreszcie zatrudniła ludzi do pomocy. Sama bywała tam raczej z zamiłowania aniżeli z potrzeby. Alina nie pracowała już na kuchni, lecz została menadżerką, która wszystkiego doglądała. Joanna stała się częścią rodziny.

Podobnie jak Oliwia. Nie zdecydowałam się odbudować relacji z ojcem. Żadne z nas naprawdę tego nie chciało. Utrzymywaliśmy jednak neutralne relacje – nie unikaliśmy się, czasem nawet zamieniliśmy słowo lub dwa. Nie miało to nic wspólnego z przyjaźnią, ale wystarczało. Najważniejsze, że obok trwała Oliwka. Chyba nieźle sprawdzałam się w roli starszej siostry.

Nie zawsze było kolorowo. Przecież, żeby móc podziwiać tęczę, najpierw trzeba przeczekać deszcz. Na szczęście miałam kogoś, kto każdorazowo trzymał nade mną parasol. Jeśli Kuba nie mógł trzymać go nade mną, ja go rozwijałam.

Będzie, co ma być, myślałam sobie każdej nocy, kiedy strach znów próbował wedrzeć się do moich myśli. Czasem jeszcze mnie znajdował. Zazwyczaj budziłam się wtedy z przyspieszonym oddechem i szukałam Kuby wśród pościeli. Kiedy się zbliżałam, on to wyczuwał i przyciągał mnie, przytulając mocno do siebie przez sen. – Kocham cię – szeptał mi do ucha.

I to wystarczało. Nie byłam sama. Nigdy.

Podziękowania

Czasem człowiek tak długo o czymś marzy, że gdy to w końcu się dzieje, nie dowierza. To ta chwila. Bo wiecie, czekałam na ten moment kawał czasu. Wiele razy potknęłam się na tej drodze i nieraz zdarłam kolana. Jednak nie przyszło mi do głowy stwierdzić, że dalej nie idę. Po każdej przewrotce się podnosiłam. Wykonałam tytaniczną pracę, abyście teraz mogli trzymać tę powieść w dłoniach i (jeśli dobrze mi poszło) czasem się do niej uśmiechnąć.

Dlatego zacznijmy właśnie od tego! Tobie chcę podziękować! Za to, że przeczytałeś lub przeczytałaś tę powieść. Nie ukrywam, że liczę na to, że pozwoliła Ci oderwać się od codzienności, trochę pośmiać, przejąc losem pewnej Maliny. Dziękuję Ci, ponieważ dostałam od Ciebie Twój czas. Nie potrafię wyobrazić sobie otrzymania czegokolwiek cenniejszego.

To nigdy by się nie wydarzyło, gdyby ktoś nie uwierzył w tę historię i nie postanowił jej wydać. Dlatego dziękuję moim Wydawcom. Wiem, że przysporzyłam Wam masy pracy i nie było lekko, ale cały czas tli się we mnie nadzieja, że nie żałujecie tych długich godzin spędzonych na zastanawianiu się: „Co, u licha, Luszyńska miała tutaj na myśli?”. Dziękuję Wam za wiarę w opowieść o Malinie, ale również za rzetelną redakcję. Niełatwo było przez nią przebrnąć... ale było warto.

Jejku, już zaczęłam się wzruszać, a to dopiero początek.

Zawsze powtarzam, że nie urodziłam się z talentem do pisania. Po prostu uczę się, żeby wypracować warsztat. Z czasem idzie mi to coraz lepiej. Muszę jednak przyznać, że jak tak patrzę na swoje starsze twory, coraz bardziej doceniam to, ilu mam wokół siebie wspierających i dobrych ludzi, którzy wierzyli we mnie, nawet gdy w ogóle nie mieli ku temu podstaw. (Widziałam swoje pierwsze książki. Wiem, co mówię).

I z tego miejsca pozdrawiam moich rodziców! Mamę – moją najwierniejszą fankę. Wiecie, w końcu czyta wszystkie powieści, które wychodzą spod pióra jej córki, a potem pozwala maglować się masą pytań. Do tego potrzeba nie lada odwagi i jeszcze więcej miłości! Dziękuję za to, że wierzysz we mnie i cały czas przypominasz znajomym, że twoja córka jest pisarką. Ta wiara dmucha w skrzydła. Tato, zobacz! Wreszcie zaczęłam zarabiać na pisaniu!

Ale dość, bo czas antenowy jest szalenie drogi. Dziękuję Konradowi, i to nie tylko dlatego, że powiedział, że nie zrobi mi śniadania, jeśli nie uwzględnię go w podziękowaniach. Za wszystkie podróże, to, że rozśmieszasz mnie i wkurzasz jak nikt inny oraz budujesz nam dom. Za to, że wytrzymujesz z kobietą, która trzy czwarte życia pisze lub gada... lub myśli o pisaniu. Dziękuję. Jesteś super.

Dziękuję moim przyjaciółkom – Marcie, Julii, Żanecie, Zosi i Ani (kolejność przypadkowa!). Dobrze, że jesteście. Wnosicie do mojego życia tyle cudowności, że nawet nie potrafię wyrazić tego w słowach (a powinnam, bo piszę takie długie książki i podziękowania!). Jestem szczęściarą, że stanowicie część mojej codzienności. Nigdzie się nie wybierajcie.

Dziękuję mojemu bratu za to, że zawsze mogę zwrócić się do niego o radę ze świadomością, że odpowie szczerze... Nawet gdy wypadałoby skłamać.

Wujkowi Irkowi, bo możemy nie rozmawiać ze sobą dłuższy czas, a i tak wiem, że cokolwiek robię, stoisz za mną murem.

Moim babciom i dziadkowi! Bardzo doceniam Waszą obecność i to, że nawet jeśli nie zawsze się ze sobą zgadzamy, to i tak zawsze mogę na Was liczyć.

I w zasadzie mogłabym tak jeszcze bardzo długo, ale intuicja mi podpowiada, że to dobry moment na zatrzymanie tego potoku słów. Mam to szczęście, że jest wokół mnie wielu dobrych ludzi. Dziękuję każdemu, kto stanął na mojej drodze. Za każdą rozmowę, dobre słowo, okazane wsparcie. Dziękuję.

No i starczy! Kurde, fajne to pisanie książek!